

MARCIN WOLSKI

ALTERLAND

TMN

2003

CZEŚĆ PIERWSZA

TERAZ

I

Padał śnieg. Drobny, twardy, bardziej przypominający grad niż biały puch. Wystarczyło wychylić głowę z wnętrza limuzyny, aby poczuć na twarzy smagnięcie lodowego pazura. Simon zawahał się, zatrzasnął jednak za sobą drzwiczki i postawiwszy kołnierz granatowego płaszcza z wielbłądziej wełny, śmiało skierował się ku gardzieli wypalonego wąwozu, będącego kiedyś ruchliwą, zabytkową ulicą.

Służbowy lincoln objechał tymczasem wokół ronda, omal nie tracąc zawieszania na wystających szynach tramwajowych, i zniknął w głębi alei. Północną jezdnię arterii Wschód-Zachód odgradzał od ruin podwójny rząd zasieków z drutu kolczastego, z tabliczkami w języku rosyjskim i polskim, ostrzegającymi przed przekraczaniem granicy *Skansiena*. Nie dotyczyło to Amerykanina – miał *propusk* ważny jeszcze kilka dni... *Propusk klasa A* – pozwalający poruszać się bez urzędowego opiekuna po całym terenie miasta, wyjąwszy obszary podległe wojsku.

– Rubikon – pomyślał, dochodząc do ośnieżonej rudery Cafe-Clubu. –
Przekraczam cholerny Rubikon!

Oczywiście jeszcze mógł wrócić, telefonicznie przywołać samochód, który ledwie co zniknął w tumanach śniegu, a potem odwołać operację, powstrzymać Agnes i Chrisa, a samemu, porzuciwszy wszelkie nadzieje, zaszyć się gdzieś na krańcu świata i co najwyżej liczyć na cud.

Jednak na samą myśl o powrocie na bankiet poczuł mdłości. Patrząc znów na zapite mordy sowieckich *marszałów*, *gienierałów* i ich tubylczych sługusów? Oglądać, jak oszołomieni wódką generał Powell, Clark czy Ramsay dają się poklepywać tym Euroazjatom i pić dalej kolejne toasty, *za druźbu*, *za mir*, *za pabiedu* nad żółtkami i arabusami, *za buduszczeje zawtra*?

Cóż za cierpienie dla byłego pijaka i byłego Europejczyka!

Mimo popołudniowej pory *szampanskoje*, traktowane jako *zapojka*, lało się hektolitrami i, rzecz warta zauważenia, nie była to wcale sowiecka podróbka, ale oryginalne *vin de France*, wprost od towarzyszy z Paryża. I to w jakiej scenerii...? Na świeżo odmalowanych ścianach klasycystycznego Pałacyku, dziś siedziby Pierwszego Komisarza, a od paru stuleci ulubionej kwatery zdobywców, mianowańców i kolaborantów wisiały stare tkaniny oraz powyciągane z muzeów malowidła. Często

zmieniane, zdarzało się bowiem, że podczas bankietów we własnym gronie podochocona generalicja paliła z pistoletów do tych wszystkich *gierojew proszłych wriemion*, powstańców, wodzów, królów, których twarze, jak utlenione freski, poznikały już z tubylczych podręczników, ustępując pola bohaterom nowym, ludowym, słusznym.

Simona upodobał sobie szczególnie generał NKWD Pietrowski, zruszczony Polak, brunet o twarzy filmowego amanta i zimnych oczach urodzonego mordercy. Przepijał do Amerykanina często, a na koniec, gdy wyszli razem na papierosa do palarni, mieszczącej się w dawnej kaplicy, zaczął wprost namawiać do wspólnego wypadu w miasto.

– Próbował pan Polek, profesorze? – pytał nienaganną angielszczyzną. – Nikt nie kocha tak jak Polki. Nie mówię oczywiście o jakichś zawodowych kurwach, mamy wśród naszych współpracowniczek biegle pod każdym względem studentki, istne „grafinie”, a także nastoletnie aktywistki Komsomołu, gotowe zrobić naprawdę wiele na polu współpracy radziecko-amerykańskiej..

Simon taktownie odmówił, lecz mimo to nie pozbył się towarzystwa dowódcy Awtonomnoj Czerezwyczajki.

– A swoją drogą interesujące, po co znakomitemu doradcy do spraw ekologii globalnej przepustka do *Gruzawowo Rajona*?

Pytanie nie zaskoczyło Amerykanina.

– Ptaki – odparł krótko. A widząc po raz pierwszy zdumienie na twarzy Pietrowskiego, dodał: – Nie wiem, czy pan generał orientuje się, jak wiele gatunków ptaków i drobnych ssaków znalazło sobie ostoję w tym rumowisku. Wczoraj zupełnie przypadkowo widziałem gadożera, siedzącego na dachu Muzeum Narodowego. Tego gatunku nie notowano w waszych stronach od lat...

Pietrowski uśmiechnął się pogardliwie.

– Zatem życzę pomyślnych łowów – powiedział, odchodząc od ornitologa. I zapewne dodając w duchu: *Wot zapadnaja diekadiencyja!* Ich świat właśnie się kończy, a chcą się zajmować jakimiś chrzanionymi *pticami*. Choć z drugiej strony nic nie szkodzi, jeśli po całym tym imperialistycznym barachle miałyby pozostać tylko parę skrzydlatych drapieźników.

Krasnoarmiejec o perkatym nosie i twarzy jakby wyjętej z ruskiej *narodnej skazki* przez dłuższą chwilę drobiazgowo przeglądał dokumenty.

– *Amierykaniec?* – zapytał.

Simon potwierdził.

– *Szpion znaczyt...* – w oczach przybyłego gdzieś z głębokiego Powołża junaka zapaliły się czujne błyski. Chwilę taksował wzrokiem wysokiego, niespełna czterdziestoletniego mężczyznę, dobrze odżywionego, w eleganckim ciemnym

płaszczu i wytwornych butach, na tle ruin i nierównego trotuaru wyglądającego na przybysza z innej planety. Nade wszystko z dyscypliną walczyła w nim chętką, by zerwać z szyi gościa futerał z *fotokamierą*.

– Jestem członkiem delegacji Kongresu Stanów Zjednoczonych, przybyłej na zaproszenie *Awtonomnowo Komissariata Inastrannyh Dieł* – wyjaśniał spokojnie, płynną ruszczyzną, indagowany. Nie życzył sobie żadnego konfliktu, a myśl o przeszukaniu budziła w nim niepokój. Wartownicy byli kretynami, ale gdyby ich szef zdecydował się na rewizję, odkrycie przekaźnika, modemu, nie mówiąc już o ukrytej broni, pograżyłoby go na amen. Dlatego uśmiechnął się szeroko i wyjął z kieszeni paczkę marlboro. – *Zakuritie?*

Euroazjata złagodniał. A kiedy nierozpakowana paczka znalazła się w jego kieszeni, usunął się na bok i machnął automatem dwóm „zaporowym”, grzejącym się przy koksowniku. Niechętnie odsunęli szlaban.

– *Nada wiernut'sia w tri czasa* – pouczyli go na odchodnym. – *Milicyjonnyje wriemia.*

W odróżnieniu od reszty miasta dawny Trakt Królewski wyglądał, jakby działania wojenne zakończyły się wczoraj. Wypalone fasady straszyły oczodołami pustych okien. Gruz uprzątnięto jedynie z prawej strony ulicy, czyniąc przejazd dla policyjnych skotów – reszta pozostawała, i pozostać mogła, wiecznym rumowiskiem – skansenem kontrrewolucji. Budynki najbliższe alei 1 Maja pokrywały jeszcze napisy *Wnimanije miny!*, dalej jednak ktoś wypisał łacińskimi literami „Min nie ma”.

Ulica zakręcała łagodnym łukiem i kończyła się ślepo starą barykadą, w której utkwiał wrak wypalonego czołgu z czerwoną gwiazdą. Parę metrów przed nią wąska, uprzątnięta i odśnieżona „droga milicyjna” wiodła w prawo i dalej zapewne w dół, ku Wiśle. Simon jednak nie miał żadnych interesów na Powiślu. Skręcił więc w lewo, w Warecką, z narażeniem życia przeciskając się pod łącznikiem, który dobry czas temu osunął się z lewej strony, pozostawiając niewielki prześwit.

W odróżnieniu od wyludnionego Nowego Świata, w tej części gruzowiska można było zauważyć liczne dowody ludzkiej egzystencji: wydeptane ścieżki wśród ruin. Przygarbione, płochliwe postacie, pomykające tu i ówdzie. Blade twarze, wyglądające z okien, w większości pozasłanianych dyktą. Nozdrza drażnił zapach dochodzący z ognisk, na których autochtoni najwyraźniej warzyli sobie posiłki.

Na temat mieszkańców gruzowiska krążyły najrozmaitsze wieści. Okupant dysponował przecież wystarczającymi środkami, aby zlikwidować wszelkie życie biologiczne w dowolnym punkcie Ziemi – los Bretanii czy buntowniczego Piemontu stanowił dostateczny dowód jego bezwzględności i konsekwencji w eksterminacji wrogów. Z jakiego więc powodu tolerował ten nielegalny świat warszawskich robinsonów? Jako swoisty eksperyment? Rezerwuar „helotów”, w którym młodzi

funkcjonariusze Czeki mogli nabierać doświadczenia podczas swoistych kryptejów? Poligon broni biologicznych? W imperium nic nie działo się bez powodu. O nogi Simona otarł się bezański kundel. Męczyzna instynktownie odskoczył. Wiedział o wściekłości szalejącej w Warszawie.

– *Hello. Do you want a guide?* – obok Amerykanina wyrósł chłopak dwunasto-, może trzynastoletni. – *This is my street.*

– Możesz mówić po polsku – półgłosem odparł przybysz. Wyrostek popatrzył nań płochliwie, wyjaśnił więc: – Urodziłem się w tym mieście. A za pomoc dziękuję. Poradzę sobie sam.

Chłopak cofnął się, nie miał jednak ochoty zrezygnować z potencjalnego klienta. Rozglądając się czujnie na boki, wydłubał z bluzy pogniecione zdjęcie lolitki o niepokojąco wydatnych ustach, rozchylonych w prowokacyjnym uśmiechu – niemym zaproszeniu do grzesznej miłości.

– Mam fajną siostrę – czternaście lat... Chcesz zobaczyć?... *Only five dollars!*

– Nie – wycedził przez zęby Simon – nie szukam łatwych przygód.

Ruszył dalej. Widział, że nawet krótki postój ośmiela innych mieszkańców rumowiska. Już teraz z przyprószonych śniegiem zwalisk wypęzać zaczęły postaci jak z fantasmagorii Boscha wyklute: beznogi żebrak na deskorolce, zda się zrosniętej z kadłubkiem, kobieta z jedną ręką, dziewczyna o fioletowej twarzy... A rejwach, dochodzący z pobliskich podwórek, dowodził, że można się było spodziewać następnych natrętów.

– Do domu – rzucił małolat w stronę nadciągającej konkurencji – on jest mój!

Simon zignorował owo twierdzenie i tylko przyśpieszył kroku. Chłopak jednak jak pies trzymający trop posuwał się trzy metry za nim.

Naraz doskoczył i z siłą, o jaką trudno by posądzić wynędzniałego wyrostka, szarpnął go w bok. Potoczyli się w jakąś rozpadlinę, ponad którą chybotął się w porywach wiatru szyld wykonany z poczerńiałej deski, reklamujący „obiady domowe” (takim eufemizmem określano nieliczne nielegalne restauracje)...

– Helikop! – wyjaśnił mały warszawiak.

Teraz i do Simona dotarł warkot śmigłowca.

– Nigdy nie wiadomo, co im wpadnie do głowy – ciągnął chłopak. – W zeszłym tygodniu ostrzelali bazarek na placu Napoleona – tłumaczył. – Jak to azjaty...

Chwilę leżeli obok siebie i Amerykanin mógł poczuć emanujący z wyrostka zapach potu, biedy i taniej machorki.

– No, odlecieli... – wyciągnął rękę i pomógł wstać przybyszowi. – Nazywam się Jacek, a pan?

– Szymon – wykrztusił Amerykanin.

– Jeśli szuka pan antyków, mogę zaprowadzić w parę takich miejsc...

– Jestem ekologiem – przerwał Simon, a widząc, że słowo to nic Jackowi nie mówi, wyjaśnił: – Interesują mnie zwierzęta, które zaadaptowały się do życia w tym...
– szukał właściwego słowa, ale nie znalazł – ...w tym nowym środowisku.

– Szczurów najwięcej jest za Żelazną Bramą, a zdziczałych kotów na Starówce.

– Nie, nie. Interesują mnie ptaki... – Wyciągnął z kieszeni kartkę z notatkami. –
Czy to możliwe, żeby na hotelu Warszawa gniazdowały sokoły?

– Nigdy nie zwracałem na to uwagi, w górę się patrzy, czy „bolsze” nie lecą...

– Przy okazji chciałbym rzucić okiem na gmach poczty przy Świętokrzyskiej.

– O kiej, zaprowadzę... To niedaleko.

Mały przewodnik świetnie orientował się w terenie. Bez najmniejszego trudu, z wprawą dziecięcia kamiennej puszczy, odnajdywał zakamuflowane przejścia, zamaskowane pasáže betonowego matecznika. Całe szczęście, bo jego klient już po chwili zupełnie się zgubił w labiryncie zniszczonego Śródmieścia. Postępując za chłopcem i pilnie bacząc pod nogi, by nie nadziać się na zdradliwy pręt zbrojeniowy, na podobieństwo żądła wyściubiający się z podłoża, lub nie zapaść w rozpadlinę sięgającą kanałów, Simon pozostawał czujny. I ciekawy. Bezludzie, jakim zdawała się Warszawa widziana z okien podchodzącego do lądowania samolotu, tu okazywało się pozorne. Prawie na każdym z osłoniętych podwórek dostrzegał liczne dowody rozpaczliwych prób powrotu do normalnego życia. Ówdzie okno wydłubane w ślepych murze zaskakiwało bielą prawdziwej koronkowej firany, gdzieś z rozpadliny wąskiej jak ucho igielne dolatywał stłumiony płacz dziecka i łagodna melodia kołysanki. Gdzieniedzie snuły się dymy z ognisk, domowych palenisk i piecyków typu „koza”. W kramach, zaimprovizowanych z kawałków dykty, tektury czy blachy, sprzedawano na podpałkę stare meble i książki.

Przez chwilę Szymonowi zdało się, że poznaje stary narożny dom, postrzelany na wskroś pociskami artyleryjskimi. Czy to nie tam, w firmowym sklepie Wedla, tak chętnie w latach szkolnych pijał gorącą czekoladę?

– To ulica Szpitalna? – zapytał.

– Marszałka Ogarkowa! – chłopak splunął przez dziurę po przednich zębach i dodał: – Jeśli pan się nie boi ryzyka, przejdziemy teraz przez kurhan. Zresztą nie ma się czego bać, helikop odleciał w stronę Starego Miasta.

– Kurhan? Jaki kurhan?

– Górka-śmierdziurka! Ludzie wywalają tu śmiecie i gruz z podwórek, nie dziw, że stale rośnie. Pośpieszmy się.

Sztuczne wzgórze, usypane w miejscu, gdzie ongiś, w czasach młodości Szymona, znajdował się salon meblowy, miało wysokość sześciopiętrowej kamienicy i niewielkie siopełko na wierzchołku. Wgramoliwszy się na tę przełęcz, przybysz dobrą chwilę w milczeniu spoglądał w kierunku zachodnim. Na wypalone szkielety wieżowców, morze

ruin i jaśniejący świeżo odnowioną elewacją Pałac Kultury i Nauki imienia generalissimusa Gromowa. Ni kadłub przysadzistej rakiety, ni pomnik baby ruskiej, która przysiadła załatwić potrzebę fizjologiczną na wielkim rumowisku Awtonomnoj Socjalistycznej Rzespubliki Priwislinii.

Kontrast gigantycznej budowli ze zniszczonym miastem przywoływał skojarzenie z gwoździem wbitym w źrenicę. Na olbrzymim placu koło tego monumentalnego pomnika *Družby i bratstwa* stało kilkanaście pojazdów pancernych. Simon wyjął aparat z pokrowca i dobrą chwilę używał teleobiektywu jako lornety... Co tam się mogło dziać? Szybko sam sobie odpowiedział: Wszystko jasne, za parę dni powinna odbyć się kolejna defilada i pochód tubylców z okazji wyzwolenia stolicy. Pod tym względem mieszkańcy ruin mieli przewagę nad resztą społeczeństwa: jako nieistniejący nie musieli uczestniczyć w „Manifestacji Przyjaźni”. Jacek wskazał tymczasem inne miejsce, bardziej w prawo, otoczone przez prowizoryczne ogrodzenie, przy którym kręcili się funkcjonariusze.

– Tam się spalił – powiedział.

– Kto?

– Jakiś pisarz. Podobno w proteście przeciwko temu wszystkiemu.

– Pisarz? Nie znasz przypadkiem nazwiska?

– Ni cholery. Jacyś pijaczkowie mówili o nim pan Tadzik.

Z zakamarków pamięci wypływały wspomnienia samizdatów. Mój Boże! Szymon Rawski nie mógł zapanować nad szlochem, który dobył się z jego piersi. Zatrzymał wzrok na dekoracji z kolorowych lampek, umieszczonej na frontonie pałacu. Wielki napis widoczny był nawet bez powiększenia: *S nowym godom 2001*. „Mała apokalipsa” nadeszła!

– Szybko na dół! Znów leci ten pieprzony helikop! – zawołał chłopak.

II

Mówiąc o sobie jako o warszawiaku, Rawski dopuścił się pewnej nieścisłości.

Urodził się bowiem na Pradze, a precyzyjnie mówiąc na Grochowie, czego koledzy pochodzący z lewego brzegu Wisły przy każdej okazji nie omieszkowali mu wytykać. Jednak z początkiem lat siedemdziesiątych ostatecznie, jak wówczas myślał, stał się mieszkańcem Śródmieścia. Rodzice przeprowadzili się z domku babci do niewielkiego mieszkania w nowo wzniesionym osiedlu za Żelazną Bramą. A raczej – do betonowej szuflady, wsuniętej w przysadzistą szafę bezosobowego mrówkowca. Wtedy jednak nie zauważał brzydoty owego budownictwa. A dziś nawet za nią tęsknił, idealizując, jak prawie wszyscy, zagubioną młodość. Opodał Ogrodu Saskiego

mieściło się jego liceum. Pierwsze piwo pił w okrągłaku przy Pałacu Kultury, pierwszą dziewczynę całował na Kamiennych Schodkach, opadających stromo od Rynku ku Wiśle. Filmy takie, jak „Gwiezdne wojny”, „Ojciec chrzestny” czy „Kabaret” oglądał przeważnie w kinach „Bajka”, „Palladium” lub w „Relaksie”. Na jego oczach wyrosła Ściana Wschodnia ulicy Marszałkowskiej, duma rodzimej bieda-architektury.

Asystował również wraz z całą szkołą przy otwarciu Dworca Centralnego. Ceremonię uświetnił swym przybyciem sam generalny sekretarz KPZR, Leonid Breżniew. Dziś próżno mógł szukać w panoramie miasta charakterystycznej hali, zwieńczonej zapadniętym naleśnikiem dachu. W czerwcu roku 1989, po wybuchu pociągu z amunicją, zamieniła się w czarny, nigdy nie odgruzowany lej. Przez siedemnaście lat to niezwykle, choć brzydkie miasto było najbliższą okolicą Szymka, szarą powszedniością, urozmaicaną przez czerwone kartki w kalendarzu. Miejscem wzruszeń, wtajemniczeń, doświadczeń, miłości. Wspólnym terytorium Andrzeja, Jurka, Jarka, Lucka... Kiedy przychodziła wiosna i upalne kwietniowe dni, podczas których po prostu grzechem było nie zerwać się na wagary, ruszali razem nad Wisłę albo do Łazienek... Latem całe dni spędzali na basenie Legii lub nad Zalewem Zegrzyńskim. A zimą – jakież piękne kuligi udawało się robić w anińskich lasach!

Teraz, kiedy jego wzrok odnalazł ocalałą wieżyczkę kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, uśmiechnął się gorzko... Czy to nie tam spowiadał się po raz ostatni, zatajając parę chłopięcych grzechów? Wkrótce potem, zachwycony naukowym poglądem na świat, dał sobie spokój z Panem Bogiem... Przynajmniej na dłuższy czas.

Jeśli dziś miałby jednym zdaniem scharakteryzować tamtejszą rzeczywistość, to najbardziej chyba oczywiste było poczucie bezpieczeństwa, banalna normalność owego świata, jego powszedniość, przewidywalność, wręcz nuda. Historia upodobała sobie inne rejony świata. Krwawiły Wietnam i Kambodża, paroksyzmy wojen i ataków terrorystycznych wstrząsały Bliskim Wschodem, ale wyglądało, że Europa Środkowa, przez dwa stulecia główna scena teatru wojennego, wyczerpała swój limit dramatów na długo.

Szymon nie doświadczył bezsennych nocy swych rodziców w czasie kryzysu kubańskiego czy goryczy wstydu w 68, gdy na paskudnym Dworcu Gdańskim żegnali przyjaciół, nagle napiętnowanych jako „syjoniści” i skazanych na banicję. Ominęło go również przeżywanie inwazji Czechosłowacji. Mógł dojrzewać w błogim przeświadczeniu, że nic złego nie przytrafi się jego generacji. Mimo to jak cierń w jego pamięci ropiął obraz pijanej żebraczki, która właśnie tamtego dnia ostatniej spowiedzi wytoczyła się z ulicy Bagno, wlokąc za sobą wózek z rupieciami i złorzecząc na cały świat.

– „I nadejdzie dzień, kiedy wszystko, co znajome, obróci się wniwecz, woda zamieni się w krew, a gwiazdy spadać będą!” – wołała. Chciał usunąć się jej z drogi.

Ale uca piła go szponami za mankiet, by wycharczeć do ucha: – Zobaczysz to wszystko, zobaczysz... I oddaliła się, a on miał już nigdy nie zapomnieć cuchnącego alkoholem oddechu, zgrzytu wózka i starczego rechotu...

Szymon urodził się siedemnaście lat po wojnie – „ostatniej wojnie” – jak mawiali ludzie wierzący telewizji, Edwardowi Gierkowi i „wspólnocie pokoju i socjalizmu” z Leonidem Breżniewem na czele...

Był dzieckiem zrodzonym z miłości tak wielkiej, że niewiele brakowało, by się w ogóle nie urodził.

Na przełomie roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego i drugiego pewna szesnastoletnia dziewczyna miała kłopoty z nauką. Znacznie bardziej wołała wesołe prywatki w gronie koleżanek i kolegów niż wkuwanie słówek i mordęgę z trygonometrią. Była piękna i doskonale o tym wiedziała. Lubiła usiąść sobie w klasie na parapecie i podkuliwszy długie, kształtne nogi patrzeć, jakie wrażenie sprawia to na jej równolatkach – przyszczatych niedorostkach o tłustych włosach i wiecznie wilgotnych dłoniach.

W tym samym czasie pewien prawnik gorączkowo poszukiwał dodatkowych źródeł utrzymania. Zbliżał się do czterdziestki, a więc był już w wieku, w którym raczej broni się tego, co ma, niż rozpoczyna karierę. Niestety Aleksander Rawski należał do przypadków nietypowych, choć może, biorąc pod uwagę specyfikę swoich czasów, nieodosobnionych. Żołnierz Armii Krajowej, w dodatku wyjątkowo niewłaściwego pochodzenia (po kądzieli spokrewniony z całą arystokratyczną elitą, wymiecioną przez socjalistyczną miotłę na śmietnik historii), najpierw walczył w powstaniu, potem blisko rok siedział w oflagu, na koniec wrócił odbudowywać kraj ze zniszczeń wojennych, wierząc w to, o co apelowała „władza ludowa”. *O sancta simplicitas!* Władza ludowa, jak to miała w zwyczaju, przywitała Alka z otwartymi ramionami i prawie natychmiast zadzierzgnęła swój uścisk na dobre. Rawski przesiedział sześć lat w stalinowskich więzieniach i choć po Październiku 56 roku wyszedł na wolność, nie mógł nawet marzyć o karierze adwokata.

Z krechą w życiorysie, fatalnym pochodzeniem i niezależnymi poglądami, których nie taił, skazany był na status prawnika drugiej kategorii. Gdybyż jeszcze, jak mu sugerowano, wstąpił do partii! Wzorem wielu ludzi poddanych podobnej presji wybrał półśrodek, zapisując się do „przyzwoitszego” Stronnictwa Demokratycznego. Przez parę lat pracował jako radca prawny w małej spółdzielni mieszkaniowej; później, gdy czas gomulkiowskiej odwilży minął, z najwyższym trudem zdołał zatrudnić się na pół etatu w Klubie Rzemiosła. Przed pełnym niedostatkiem – był za dumny, aby zabiegać o pomoc rodziny – ratowały go korepetycje. Biegle władał francuskim, niemieckim i rosyjskim (choć za tym ostatnim nie przepadał), toteż przy odrobinie wysiłku zawsze znajdował zapóźnionych uczniów, których rodzice gotowi byli dać każde pieniądze za

wlanie im importowanego oleju do głowy.

Owo mozolne wlewanie *ruskowo jazyka* w Madzię Marczyńską rozpoczęło się zaraz po Wszystkich Świętych. Dystyngowany Aleksander, żywy pomnik przedwojennego arystokraty, zrobił znakomite wrażenie na pani Zofii, samotnie wychowującej jedynaczkę. Być może przypominał jej poległego przed wielu laty męża.

W ocenie córki doniosłą rolę odegrały inne przymioty. A już w najmniejszym stopniu zasady przedwojennej kindersztuby. Przedwcześnie rozbudzona nastolatka na zabój zakochała się w swoim preceptorze.

Prawnik nie miał naturalnie inklinacji pedofila. Przeciwnie, od chwili kiedy młodzieńcze porywy umarły wraz z łączniczką Krysią pewnej sierpniowej nocy na Mokotowie, pozostawał zwolennikiem „bezpiecznego seksu”. W jego wypadku oznaczało to trzymanie się zerowisk bezproblemowych, płytkich i pozbawionych niespodzianek. Wyjąwszy okres więzienny, na który wypada spuścić zasłonę tajemnicy, młody, przystojny, a na pewno elokwentny mężczyzna zdobywał każdą kobietę, na jaką miał ochotę. Mężatki, przeżywające kryzys „siódmego roku małżeństwa” (takich w branży rzemieślniczej nie brakowało), wpędzone w staropanieństwo księgowe i poszarzałe biuralistki, które dzięki niemu na tydzień, na dwa, czasem na rok zamieniały się w rajskie ptaki... Ech, żyć nie umierać.

Żenić się nie zamierzał. Tym bardziej iż dwudziestometrowej kawalerki na Grochowie, z ciemną łazienką i kuchnią w ciasnym korytarzyku, przypominającej najbardziej gniazdko jaskółki dymówki, nie uważał za właściwe miejsce do założenia rodziny. Jednak na nic innego nie było go stać.

Jeśli więc nawet okiem rasowego samca wysoko ocenił wdzięki nastolatki, już na pierwszej lekcji powiedział sobie: „Ani się waż! Nie wolno! Chyba nie zwariowałaś. Nie bądź śmieszny i miej sumienie!”

A sumienie odpowiadało mu w podobnym tonie: „Absolutnie masz rację. Możesz być pewien swego morale!”

Zobowiązanie: „Będę tylko korepetytorem!”, traktował jak najpoważniej. Przez cały długi miesiąc nie skierował oczu niżej niż podbródek uczennicy i nie zbliżył się bardziej niż na długość standardowej linijki. Ba, w przerabianym „Eugeniuszu Onieginie” pomijał na wszelki wypadek bardziej namiętne strofy. Jego powściągliwości sprzyjała stała obecność pani Zofii, która dłubiąc w kątku koronki czy hafty, co rusz rzucała okiem w stronę edukującego i edukowanej. Magda natomiast nie ułatwiała mu zachowania staroświeckich zasad. Odprowadzając pana Aleksandra do drzwi, przeważnie cmokała go w policzek, a czasem, jak się pomyliła, także w usta, wszelako dość długo odbierał to wyłącznie jako drobny, cichy dowód przyjaźni. Podobnie kiedy pod stołem, chcący czy niechcący, zetknęły się ich nogi, on cofał swoją dyskretnie, oczywiście nie za szybko, żeby nie wyszło, nie daj Bóg, że się dziewczyny brzydzi lub,

co gorsza, nie zwróciło to uwagi pani Marczyńskiej.

Co się więc stało?

Jeśli idzie o szczegóły swego poczęcia, do Szymona dotarły dwie sprzeczne wersje. Ojca i mamy. Powtarzało się w nich jedynie stwierdzenie, że bezpośrednim czynnikiem przyspieszającym owo grzeszne zdarzenie był wypadek, jakiemu uległa pani Zofia, wychodząc oblodzonym chodnikiem z bazaru na placu Szembeka. Czy zawinił wyjątkowo natrętny Święty Mikołaj, wokół którego tłoczyła się dzieciarnia, tarasując drogę, czy żywy karp, który podskoczył w jej siatce, w każdym razie otwarte złamanie podudzia zmusiło matkę do spędzenia świąt Bożego Narodzenia w szpitalu, z nogą na wyciągu.

Na samorzutny efekt „pustej chaty” nie trzeba było długo czekać. Inna sprawa, że dwie istniejące wersje różnią się w szczegółach. Magdalena *de domo* Marczyńska całą odpowiedzialnością za dalszy niekontrolowany rozwój wypadków obciążała dotkliwy ziąb w mieszkaniu, będący wynikiem pęknięcia rury grzejnej. Wyłącznie zimno sprawiło – twierdziła – że poprosiła korepetytora, aby wszedł pod pierzynkę i troszkę ją ogrzał...

Wersja przebiegu zdarzeń według Aleksandra była odmienna. Utrzymywał, że już w trakcie ubierania choinki doszło do niespodzianek, o jakich się najstarszym Mikołajom nie śniło: zasady pękły jak strącone bombki, łańcuchy powściągliwości zostały przerwane, a zimne ognie przemieniły się w pożar zmysłów, aż sprężyny starej kanapy przemówiły ludzkim głosem...

Jeszcze ważniejszy okazał się efekt przypadkowego połączenia dwóch komórek o tak różnym rodowodzie i tradycji. Niewiele brakowało, aby Szymon podzielił los wielu dzieci poczętych za „środkowego Gomułki” i powiększył grono aniołków. Ani Aleksander, ani Magda nie chcieli mieć dziecka, a rodzina Rawskiego, cała ta banda bieda-hrabiów, groziła mu jak najsurowszymi sankcjami, z zerwaniem wszelkich kontaktów włącznie.

Szymona, będącego wówczas zaledwie kandydatem na Szymusia, przed śmiercią z ręki ginekologa uratowała babcia Zofia.

– Dziecko musi się urodzić, choćbym miała je sama wychowywać! – stwierdziła Marczyńska. I dopięła swego.

W dodatku w trakcie całej tej batalii między korepetytorem a uczennicą rozkwitła prawdziwa miłość, zakończona w pół roku później ślubem w małym kościółku świętego Wacława na Gocławku. Po latach nikt z rodziny nie wyobrażał sobie, żeby ta historia mogła potoczyć się inaczej.

III

Przestrzeń pomiędzy szkieletem Prudentialu a wypalonym gmachem Poczty na Świętokrzyskiej robiła przygnębiające wrażenie. Dawny parking na tyłach gmachu telewizji przed dziesięciu laty, jeszcze w trakcie walk, zamieniono w prowizoryczny cmentarz. Niewiele zmieniło się mimo czasu, który upłynął od tamtych zdarzeń, co najwyżej królestwo Tanatosa powiększyło swój obszar. Ponieważ grobów stale przybywało, zaimprovizowana nekropolia musiała zaanektować znaczną przestrzeń dawno zamkniętej dla ruchu ulicy Świętokrzyskiej, którą nieco dalej, na odcinku od Jasnej do Nowego Świata, okoliczna ludność rozparcelowała na ogródki działkowe. Zapewne z powodu dotkliwego zimna tak cmentarz, jak i działki sprawiały tego dnia wrażenie kompletnie opuszczonych.

Jacek wzdragał się przed wejściem na ściśnięte zbiorowisko mogił.

– To nie jest dobre miejsce – tłumaczył – paskudne towarzyszo tam się zbiera – pijacy, narkomani, gruzinki...

– Kto?

– No, dziewczyny z ruin, co dają za szmalec.

– Nie musisz mi towarzyszyć – Szymon wyciągnął z kieszeni 10 dolarów i podał chłopakowi – znajdę sobie stanowisko w ruinach i będę śledził ptaki. Wedle prognozy pogody koło północy powinno się przejaśnić... A że mamy teraz pełnię, mogę dokonać ciekawych obserwacji...

– A nie zamarznie pan?

– Jestem zahartowany. I ciepło ubrany.

– Jakby co, znajdzie mnie pan w piwnicach „Domu Chłopa”, wystarczy gwizdnąć trzy razy. O, tak...

– Dziękuję. Chociaż naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Musiał jak najszybciej pozbyć się towarzystwa chłopca, odszukać pewną starą studzienkę kanalizacyjną... Każda dodatkowa godzina pobytu w Dzielnicy Ruin zwiększała ryzyko przedsięwzięcia. Wiedział, że jeśli nie wróci do ambasady przed godziną milicyjną, zaczną go szukać, i to nie tylko sami, ale również ludzie Pietrowskiego. Kucnął między grobami i wyciągnął postrzępiony plan miasta, wydany w 1938 roku. Potem zdjął z szyi futerał z aparatem. Na moment przypomniał mu się jego stary nikon i zdjęcia robione z samowyzwalaczem nad Horse Shoe Bay. On i Anette... Anette! Zduślił powracające wspomnienie jak niedopałek papierosa. „Nie pora się rozklejać! Do dzieła!” Jego cyfrowy aparat fotograficzny miał również opcję „teodolit”. Orientując się wedle rozkładu ocalałych okien i drzwi, precyzyjnie ustalił krawędzie przedwojennej zabudowy, prawdopodobny przebieg jezdni, na koniec

rozmieszczenie studzienek. Jeszcze w Waszyngtonie uzupełnił schemat infrastruktury sprzed drugiej wojny światowej danymi wziętymi z planu Warszawy lat osiemdziesiątych. Wedle wszelkich wskazówek właz winien się znajdować dokładnie między kwaterą żołnierzy zgrupowania Zorro i dziewcząt z batalionu Szariki. Wprawdzie od dawnego poziomu ulicy dzieliło go blisko półtora metra gruzu, zauważył jednak, że już w paru miejscach otwory ściekowe zostały przez mieszkańców udrożnione... Tak więc wystarczyło tylko zdjąć kilka desek...

– No i popatrz, koleś, kogo tu mamy? Hienkę cmentarną. Zdrętwiął. O trzy kroki od siebie ujrzał dwóch nieogolonych facetów, woniejących wódką i tanim tytoniem.

– Szukasz tu czegoś, koleś? – zachrypiał niższy – Wszystko dawno przeczesane.

– Poza tym to nasz rewir – wycodził wysoki – i nie potrzebujemy tu obcych.

– Szukam... szukam grobu mojego brata – wybąkał – i jeśli wiąże się z tym jakaś opłata, to chętnie...

– To jest konkretne podejście do problemu. Dasz setkę dociców?

– Trochę dużo...

Kątem oka zaobserwował, że drugi zachodzi go od tyłu. Zastanawiał się, jakie miałby szanse, gdyby doszło do walki... Paralizator pozostawał ukryty głęboko w nogawce, igłę z trucizną miał w zapiętej kieszeni, ładunki w butach... Aby do nich sięgnąć, musiał najpierw zyskać na czasie.

– Oczywiście, panowie – powiedział, starając się nie drażnić napastników – możemy się dogadać, nie mam przy sobie wiele gotówki. Jednak jeśli reflektujecie...

Nagły kop w nerki pozbawił go oddechu. Poleciał twarzą do przodu, nadziejąc się na stalowe pięści kurdupla. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jak na pospolitych pijaczków, mężczyźni byli zbyt trzeźwi, za silni i nazbyt precyzyjni w działaniu...

Wzięli go pod fleki i dłuższą chwilę czuł się jak worek treningowy. Nie mógł odzyskać inicjatywy, dławił się własną krwią, czuł ból wybijanych zębów...

Chyba nie chcieli go zabić. Poprzestali na zderciu mu wielbłądziego płaszcz, butów kupionych przy Pennsylvania Avenue. Zabrali aparat, zegarek.

Zastanawiał się, kiedy odkryją, że pod koszulą spowija go bandaż, pod bandażem zaś znajduje się cały bezcenny sprzęt, przyklejony do ciała...

Nim jednak doszedł do jakichś konkluzji, stracił przytomność.

Poszybował w dół sztolnią głęboką, ciemną. Ku latom słonecznym, zielonym, których, jak czasami przychodziło mu do głowy – nigdy nie było.

IV

Jesienią roku 1978 w szkole Szymka pojawił się nowy nauczyciel fizyki. Szczupły,

mimo młodego wieku szpakowaty, bardzo surowy. Podobno przyjechał z Wybrzeża, a może z Krakowa. Jakoś nie chwalił się nikomu swoim *curriculum vitae*. Nie integrował się również z ciałem pedagogicznym, a dyrektorka, zwana pieśczośliwie „Larwą”, instynktownie wyczuwała w nim wroga klasowego. Opadająca powieka i lewentyńska uroda sprawiły, że do nowego belfra przyłgnęła ksywka „Dajan”.

Nie rokowało mu to wielkich sukcesów edukacyjnych. A jednak w ciągu pół roku „Dajan”, choć wymagający i oschły, zdobył prawdziwy mir wśród młodzieży. Martwe dotąd kółko fizyczne stało się obleganym, elitarnym klubem. Cokolwiek bowiem powiedzieć o Karolu Rossmanie – nie nudził. Jego wykłady były żywe, niekonwencjonalne. Nauczyciel ubarwiał je anegdotami, chętnie opowiadał o najnowszych osiągnięciach technicznych na Zachodzie – o komputerach, odtwarzaczach wideo, mówił też o perspektywach telewizji satelitarnej.

Szymon, dotąd skłaniający się raczej ku biologii (marzeniem rodziców było, aby zaczął studiować medycynę), odkrył nagle pociąg do fizyki. „Dajan” nie zlekceważył tej iskierki – podsunął odpowiednie książki, umiejętnie stosował pochwały i zachęty. Efekt? Z początkiem siedemdziesiątego dziewiątego roku Rawski wygrał olimpiadę fizyczną.

Fakt ten sprawił, że naraz chłopak stał się ulubieńcem „Larwy”. Dyrektorka, dotąd wobec Szymka obojętna, poczęła przebąkiwać, że tak zdolny młodzieniec mógłby ubiegać się o studia w Moskwie.

– Wszyscy wiedzą, że tam bije serce światowej fizyki – powtarzała. – Oczywiście powinieneś wcześniej zapisać się do ZMS-u. Stamtąd jeden krok do Partii...

Przy takim natłoku zajęć trudno się dziwić, że coraz rzadziej odwiedzał babcię Zosię. Zresztą z roku na rok starsza pani z centrum jego świata usuwała się coraz bardziej na peryferie. Kiedyś, kiedy zastępowała mu wiecznie zapracowaną matkę, była codzienną dawką dobroci, troski, mądrości. Gdy miał dziewięć lat, przeczytała mu całą „Trylogię” Sienkiewicza, potem „Quo vadis”... Później sam już odkrył ekscytujący świat Karola Maya, Sherlocka Holmesa i rozkosze urwisowania na ulicy. Kontakty jeszcze bardziej osłabły, gdy z rodzicami przeprowadził się na drugą stronę Wisły. Wraz z przemianą ufnego dziecka w czupurnego nastolatka pojawiły się konflikty o bardziej fundamentalnym charakterze. Babcia miała mu za złe, że nie chodzi do kościoła, nie interesuje się historią ojczystą i ma lekceważący stosunek do przeszłości... Przeszłość – to była jej obsesja! W dwupokojowym mieszkaniu Marczyńskiej, zajmującym piętorko dawnego domu pradziadka, w kącie sypialni znajdował się prawdziwy ołtarzyk. Nie do końca sakralny. Obok pożółkłej kopii rafałowskiej Madonny wisały tam zdjęcia dziadka Romana, poległego w powstaniu, szabla pradziadka, walczącego pod Radzyminem. Tomiki wierszy wuja Tadeusza, zakatowanego na Szucha...

– Tu jesteśmy sobą, tu żyjemy naprawdę – powtarzała starsza pani, nieustannie poprawiając bibeloty, jakby co rusz niewidzialna ręka dokonywała złośliwych przemieszczeń. Puszczając te słowa mimo uszu. Nie znaczyły przecież nic w epoce małej stabilizacji, która – jak wiele wskazywało – miała trwać zawsze. Wszelkie wybory polityczne zostały dokonane ponad głowami środkowoeuropejskich narodów, raz na zawsze, przed wielu, wielu laty.

Wiosną roku 1979 Szymon po raz pierwszy zakochał się z wzajemnością. Jego wybrance, Sylwii, drobnej brunetce, o cerze przypominającej dojrzałą brzoskwinie, imponował przystojny chłopak, łączący powagę prymusa z całkiem niezłymi wynikami w sporcie.

Obopólna sympatia narastała z taką siłą, że wkrótce przestały ich bawić spotkania w kręgu klasowej paczki i wystarczać uściski w mroku kinowej sali, gdzie zwykle lokowali się w ostatnim rzędzie. Gwałtownie potrzebowali małej, intymnej przestrzeni, w której mogliby się bliżej poznać i dokonać kroku, nazywanego nie bez powodu „prawdziwym egzaminem dojrzałości”. Mieszkanie za Żelazną Bramą nie stwarzało do tego warunków – Agnieszka miała dopiero trzy lata i była chorowita, tak że matka przebywała z nią niemal cały czas w domu. Z drugiej strony Sylwia z jakiegoś tylko sobie wiadomego powodu nie zapraszała chłopaka do siebie. A czekanie na gorące noce czerwcowe i możliwości, jakie wówczas stwarza plener, wydawały się obojgu zbyt odległą perspektywą.

Praktycznie jedynej szansy mógł dostarczyć domek, czy raczej budka nad Liwcem, który wskutek jakichś rodzinnych legatów trafił w połowie dekady w ręce babci Zosi. Dacza owa, często odwiedzana w sezonie letnim, w chłodniejszych porach roku stała pusta i tylko w weekendy babcia Zosia wpadała tam, korzystając z uprzejmości sąsiada, pana Stasia, który z dobrego serca pomagał emerytce przycinać drzewa i krzewy. W dodatku sąsiad posiadał poważny atut w postaci samochodu marki Syrena, z przyczepką. Rodzina żartowała, że pan Stasio to „późny amant” Marczyńskiej, jednak Szymonowi jakoś nie mieściło się w głowie, aby babcia, żyjąca wspomnieniami o poległym mężu-bohaterze, mogła relaksować się w ramionach jakiegoś rencisty z dwoma złotymi zębami i palcami pożółkłymi od tytoniu.

Miłość w jego wyobrażeniach była wyłączną domeną ludzi młodych. Jak on i Sylwia.

Tymczasem wedle coraz bardziej konkretnych planów Wielka Inicjacja miała nastąpić w pewną gorącą sobotę kwietniową. Nawet w naszych szerokościach geograficznych zdarzają się takie dni, kiedy wiosna wydaje się całkiem dojrzałym latem, zgoła nieoczekiwanie sady okrywają się kwieciami, nie wiadomo skąd pojawiają się pszczoły, bąki i osy, drą się ptaki, a świat wydaje się młody i piękny jak nigdy wcześniej i rzadko potem.

Szymek i Sylwia wysiedli na małej stacyjce niedaleko Siedlec, po czym szli drogą wśród zieleniących się pól i groteskowych, korpulentnych wierzb, coraz ściślej objęci, coraz bardziej wtuleni w siebie. Czasem stawali i całowali się obłąkańczo, po czym znów szli dalej.

Domek babci stał nieco na uboczu, ukryty w naturalnym wgłębieniu terenu, otulony w dodatku niewielkim brzozowym gajem. Żywopłoty z gęstych, co roku strzyżonych tuj odgradzały go od sąsiednich działek.

Rawski wyciągnął dorobiony klucz (akcja była przezeń niezwykle starannie przygotowana) i otworzył furteczkę. Już, już przymierzał się, by jak na dobrym amerykańskim filmie przenieść ukochaną przez próg, kiedy coś go zastanowiło. Pod szopą opodal przyzmy drewna stał stary motor Jawa, z całą pewnością nie należący ani do pana Stasia, ani do babci.

– O co chodzi? – Sylwia zauważyła niepokój chłopaka.

– Cii... – Przytknął palec do ust i wskazał motor.

– Złodziej? – szepnęła dziewczyna.

Wzruszył ramionami. Nie bardzo wiedział, czego złodziej mógł szukać w domku pozbawionym telewizora, radia czy cennego sprzętu AGD? Babcinych konfitur, roboczych ciuchów pana Stasia...?

Starając się robić jak najmniej hałasu, okrążył domek. Ktokolwiek znajdował się wewnątrz, zadbał, aby nie można było go podejrzeć, okiennice zamknięte były na głucho i wzmocnione metalowymi sztabami. Kiedy próbował zajrzeć do środka przez szpary, zorientował się, że z drugiej strony szyby zostały opuszczone ciężkie zasłony. Co tu się dzieje?... Jednocześnie do jego uszu dotarł stłumiony łoskot, jakby gdzieś wewnątrz pracowała jakaś maszyna.

Czyżby ktoś pod nieobecność Zofii Marczyńskiej zorganizował tu wytwórnę dolarów?

– Co robimy? – W rozszerzonych niepokojem oczach Sylwii nie widział śladu niedawnej namiętności. Raczej nieodpartą chęć ucieczki.

– Wróć na drogę i czekaj na mnie nad rzeką – powiedział.

– A ty co chcesz zrobić?

– Muszę sprawdzić, co tam się dzieje. Nie bój się, nic mi się nie stanie. Szybko biegam. Mam na czterysta metrów trzeci czas w szkole.

Chciała zaprotestować, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Do domku można było wejść drzwiami od frontu i przez magazynek narzędzi ogrodniczych, choć tamto przejście zwykle aż do lata bywało zabite na głucho. Istniała jeszcze trzecia droga, znana tylko chłopakowi, również wiedąca z graciarni. Swego czasu zrobił sobie pomiędzy stropem a dachem na całej długości budynku wąską kryjówkę, własną „grotę Robinsona”. Nie zaglądał do niej wprawdzie od ukończenia

trzynastego roku życia, ale choć od tego czasu znacznie urósł, miał nadzieję, że jeszcze się zmieści... Drzwi do magazynku broniła solidna kłódka, znał jednak schowek na klucz. Delikatnie wśliznął się do wnętrza graciarni, podstawił stołek. Wyjął ukryte kołki, mocujące deskę. I już znalazł się w swoim dziecięcym królestwie, które po tylekroć bywało, oprócz grotu Robinsona, Tajemniczą Wyspą, „Nautilusem” kapitana Nemo czy pieczarą Winnetou. W środku panował półmrok, a kiedy deska wróciła na swoje miejsce, zapanowała pełna ciemność. Przygotowany na każdą okoliczność, wyciągnął z kieszeni latarkę i zaczął posuwać się do przodu.

Hałas dochodził coraz donośniej: sunąc po zleżałym sianie, czuł silne wibracje całego stropu. W połowie kryjówki namacał ruchomą deskę, po jej podniesieniu mógł zajrzeć do środka. Postępował bardzo ostrożnie. Najpierw oczyścił klapę i jej sąsiedztwo ze ździebeł siana, przetarł strop chusteczką, na koniec dla pewności odmuchał. Potem, zgasiwszy latarkę, delikatnie podważył. Uderzył go łoskot i światło. W pomieszczeniu, które znał dotąd jako kuchnio-izbę, piętrzyły się pod ścianami sterty papieru. W środku stała pracująca maszyna. Dwaj rozebrani do pasa mężczyźni, ubrudzeni farbą, podkładali kolejne kartki papieru. Kurka wodna!

Delikatnie opuścił klapę. Nie wierzył własnym oczom. O tajnych drukarniach opozycji słyszał jednym uchem, kiedy ojciec codziennie wieczorem nastawiał Radio Wolna Europa i słuchał „Faktów-Wydarzeń-Opinii” oraz „Panoramy Dnia”... Ale żeby coś takiego mieściło się u nich, w domku letniskowym?... Czyżby tyrady babki o tym, że każdy na swoim odcinku powinien czynnie przeciwstawiać się komunie, nie były tylko cczą gadaniną...?

Łomot i krzyk, dochodzący z szopy, przywrócił go do rzeczywistości. Zawrócił. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był przewrócony stołek i skulona Sylwia...

– Moja noga! – jęczała – po co szłam za tobą...

Chwilę potem rozebrany do pasa mężczyzna wpadł do rupieciarni.

– Co tu robicie, dzieciaki?

– Mógłbym pana spytać o to samo, panie profesorze – odpowiedział Szymon prosto w twarz „Dajana”.

Tego dnia Rawski nie zdobył sprawności „stuprocentowego mężczyzny”. Nie udało mu się to również w dniach następnych. Jego związek z Sylwią pozostał na zawsze nieskonsumowany. Może dlatego, że córka zawodowego wojskowego nie miała najmniejszej ochoty na bliższe związki z KOR-owskim podziemiem. Chociaż – i chwala jej za to – nie wyspała profesora Rossmana. Do czerwca uczył bez przeszkód fizyki w ich liceum. Drukarnię na wszelki wypadek przeniesiono w inne miejsce.

Szymek cnotę stracił w zgoła nieromantycznych okolicznościach, sporo miesięcy później. Pijany młodym włoskim winem, zdobył swój pierwszy męski „szlif” w obozie dla uciekinierów w Latinie z jakąś młodą, niezbyt przywiązaną do zasad islamu

Turczynką czy Albanką, której imienia, a tym bardziej nazwiska nigdy nie poznał.

Można natomiast mówić o zdobytej owej wiosny sprawności „małego konspiratora”. Od przypadkowego spotkania polityka stała się dla Rawskiego ważniejsza od fizyki. Mimo początkowych oporów Rossman zgodził się parę razy skorzystać z jego usług przy transporcie książek i ulotek. Równocześnie nie ukrywał, że na razie najważniejszą sprawą dla Szymona jest uczyć się.

– Nauka to potężna broń. Ludzie mądrzy nigdy nie dadzą się zniewolić – powtarzał. – Systemy totalitarne rodzą się z głupoty i zaniechania. Ludzie światli prędzej czy później zauważą kłamstwa propagandy i upomną się o swoje prawa.

Czy był pewien tego, co mówił? Wszędzie wokół nich narastał klimat zwątpienia. Nawet babcia Zosia, urodzona optymistka, dawała wyraz swym obawom.

– Idą trudne czasy – powtarzała. – Z drugiej strony jednak, kto powiedział, że zawsze mają być łatwe?

Dobiegający sześćdziesiątki ojciec żywił jeszcze mniej złudzeń. Któregoś wieczoru Szymon podsłuchał jego rozmowę z matką.

– Naprawdę nie czujesz tego, Madziu? Mówię ci, coś niedobrego wisi w powietrzu. Jeszcze parę lat temu wydawało się, że reżim ugnie się pod naciskami społecznymi, sam żywiłem płonne nadzieje na złagodnienie systemu. Na konwergencję. Wolna Europa donosiła o powstawaniu Wolnych Związków Zawodowych, czytaliśmy podziemne gazetki... Ale teraz widzisz, co się dzieje, kochanie. Coraz częściej nieznanymi sprawcy napadają na księży i działaczy niezależnych. Spalono kościół w Zbroszy Dużej. W Gdańsku pobito na śmierć młodego sympatyka niezależnych związków zawodowych... Jak on się śmiesznie nazywał, Szwędała czy Włóczęga...? Najważniejsi z opozycjonistów, Michnik, Kuroń, Moczulski – znowu siedzą. Wszędzie czyhają konfidenci, donosiciele. Nawet w naszym małym Klubie Rzemiosła zrobiła się paskudna atmosfera. Wcale się nie zdziwię, jeśli stracę tam robotę...

– Oni chcą, żebyśmy zwątpili i pogodzili się z beznadzieją. Zależy im na złamaniu ducha narodu – odpowiadała matka.

– O czym ty mówisz?! – Ojciec obu dłońmi mocno objął łysiejącą głowę, jakby obawiał się, że eksploduje mu mózg. – Tego ducha niestety już dawno nie ma. Słyszałaś pewnie o apelu intelektualistów „Jest jeszcze czas na reformy”. Na początku podpisało go osiemdziesięciu pięciu koryfeusza kultury i sztuki. Potem połowa wycofała podpisy. Mówię ci: w naszym kraju zmiany mogą być tylko na gorsze. Dużo w życiu przeżyłem i przeczuwam chwilę, kiedy zaczyna kołysać się dzwon na trwożę. Najwyższa pora – uciekać!

V

– Dzięki Bogu, ocknął się pan wreszcie.

Simon wynurzył się z głębin snu niczym pływak z mrocznego oddechu, zaczerpnął powietrza, zamrugał powiekami. Czuł się tak obolały, jakby przerobiła go snopowięzka. Z tyłu czaszki promieniował tępy ból... Świat tańczył mu przed oczami, nieostry i mroczny. Zapewne wrażenie to potęgowały dodatkowo migocące obok jego głowy płomyki dwóch świec. Z posłania, które, jak po chwili zauważył, przy innych okazjach musiało służyć za katafalk, mógł dostrzec fragment starego ceglanego muru, tworzącego nad głową szeroką kolebę... Krypta jakaś? Czyżby znalazł się w grobie? Z jego ust dobył się nieartykułowany jęk.

– Proszę się nie denerwować, nie jest z panem aż tak źle, jakby być mogło, choć i zarazem nie aż tak dobrze, jak być powinno. – Głos niezbyt silny, zarazem jednak miękki i opiekuńczy, działał na podobieństwo balsamu. – Jacek pomógł mi przynieść pana tutaj... Dobry to chłopak, tylko strach myśleć, co z niego wyrośnie...

Szymon usiłował się podnieść, ale dopadł go jeszcze dotkliwszy ból i na moment cały obraz przygasł.

– Proszę się nie ruszać – powiedział niewidoczny opiekun. – Potrzeba panu przede wszystkim odpoczynku.

– Co mi jest?

– Wedle mojego rozeznania ma pan dwa pęknięte żebra, zwichnięty bark, wstrząs mózgu i trochę drobniejszych potłuczeń. Ale w sumie nie jest najgorzej. Wyjdzie pan z tego.

Usiłował poruszyć rękami. Lewa była unieruchomiona. A prawa... Ostrożnie przesunął ją ku piersiom. Bandaż i ukryte pod nim urządzenia zniknęły. No to pięknie!

– Chce pan może pić? – zapytał gospodarz.

– Proszę...

Drobne, prawie kobiece dłonie o długich palcach przywodzących na myśl rzeźbę z alabastru podsunęły mu wyszczerbiony kubek, pełen białego ciepłego płynu.

– Mleko? – w głosie Szymona zabrzmiało zdumienie. Nawet w jego hotelu dysponowano jedynie sproszkowaną namiastką.

– Mam tu przyjaciół, którzy wbrew zakazom Sanitarkomu hodują krowę...

Wreszcie mógł obejrzeć pochylonego nad sobą opiekuna. Mężczyzna był szczupły, właściwie chudy. Jego pociągła, zmęczona twarz, na którą opadały rzadkie siwe włosy, zdradzała ogrom przebytych cierpień, jedynie oczy, młode i żywe, paliły się ogniem mocnym, niezłomnym, jaki widuje się na hiszpańskich obrazach, przedstawiających świętych szaleńców i proroków.

– Gdzie ja jestem? – zapytał półprzytomnie.
– W domu Bożym. Właściwie w tym, co z niego zostało.
– A pan kim jest?
– Mówią na mnie ojciec Jerzy od Świętego Krzyża.
– Ksiądz?
– Nie da się ukryć. Proszę leżeć spokojnie. Pod moją opieką naprawdę nic panu nie grozi. Proszę się przespać, a rano z pewnością poczuje się pan lepiej.

Szymon Rawski chciał zaprotestować, tłumaczyć, że nie ma czasu na spanie, a do transmisji pozostały najwyżej dwie doby, ale nie miał siły. Poza tym skąd pewność, że ksiądz był prawdziwym księdzem, a krypta rzeczywistymi podziemiami kościoła?

– Będzie pan miał tu naprawdę dobre towarzystwo – ksiądz jakby odgadł niepokoje swego pacjenta, wziął bowiem jedną z gromnicznych świec i ruszył w głąb pomieszczenia, wskazując na dwie kamienne, nieznacznie nadkruszone urny stojące za rozgrzanym do czerwoności piecykiem. – Przechowujemy tu serca Chopina i Reymonta. Mieli więcej szczęścia od wieszczów i królów z krypty św. Leonarda, kiedy bolszewicy zajęli Wawel.

Ksiądz Jerzy od Świętego Krzyża...? Oczywiście, jeszcze w Ameryce Szymon słyszał o podziemnym kościele w Polsce, który ciągle działał wbrew podporządkowanej partii organizacji „Chrześcijanie w Służbie Pokoju i Komunizmu”. Podobno pierwsze utajnione struktury powołał jeszcze prymas Tokarczuk, na krótko przed swoim aresztowaniem w 91. Wprawdzie wedle rozeznania Departamentu Stanu ruch ten został zlikwidowany, a Priwislińska Czerezwyczajka tropiła gorliwie wszelkie przejawy niereglamentowanego kultu, widocznie jednak tu, w warszawskim rumowisku, nie udało się jej wypłenić do końca nienawistnego przeciwnika.

Tysiące pytań cisnęło się na usta Rawskiemu. Nie dał jednak rady otworzyć ust.

– Śpij, śpij i niech się Polska przyśni tobie – powiedział ksiądz i zdmuchnął oba płomyki.

VI

Jakaż Polska mogła mu się przyśnić? Obecna, spustoszona niedawnymi walkami, intensywnie przekształcana w Awtonomną Socjalistyczną Rzespublikę za pomocą kolejnego gigantycznego eksperymentu o nazwie „Europa Bez Granic”? A może ta z początku lata 1979, kiedy wypakowanym ponad wszelką miarę fiatem 125p Rawscy całą rodziną wyjeżdżali na wczasy do Włoch? Starzy, Szymek, mała Agnieszka. Szczęśliwi posiadacze paszportów i dolarowego konta „A”. Tylko babcia Zosia została – „pilnować mieszkań”. Zresztą nawet gdyby jakimś cudem wcisnęła się do

samochoду, to i tak by wróciła do Warszawy. *Inter spem et metum* – jak sama mawiała.

Żeby być w zgodzie z faktami, trzeba przyznać, że wyjeżdżając, wcale nie byli pewni, czy „wybiorą wolność”. Wprawdzie Aleksander Rawski był od dawna zdecydowany prysnąć przy najbliższej okazji (dużo wcześniej odgrażał się, że niech no go tylko wypuszczą, gotów nie wracać do PRL-u, nawet jeśli do końca życia miałby „płukać kufle w Kopenhadze czy w Paryżu pety zbierać”), jednak Magdalena wyrażała stanowczy sprzeciw, bała się nieznanego, przerażało ją zaczynanie wszystkiego od nowa.

– Rodzina nam pomoże – Rawski uruchamiał całą potęgę perswazji. – Przez krótki czas adaptacji może być nam ciężko, ale damy radę. Potem urządzimy się w Kanadzie albo Australii, Agnieszka będzie miała spokojne dzieciństwo, ja znośną starość, a Szymek ze swoimi talentami zrobi wielką karierę.

– U nas też by ją zrobił...

– Wiesz kochanie, jak mawiano w starym kawale z serii o Radiu Erywań: *Łuczszyj białyj chleb na Czornom Morie czem czornyj na Biełom*.

Najbardziej zdecydowanym przeciwnikiem emigracji był Szymon. Nie wyobrażał sobie życia poza Polską, tu miał przyjaciół, kolegów, profesora Rossmana, zabawę w konspirację...

Stańto na kompromisie – wyjazd miał być wypoczynkowo-turystyczny, choć na wszelki wypadek mieli być przygotowani i na drugą opcję. Zabrali wszystkie pieniądze, notatniki pękały od adresów... Na wszelki wypadek. Wszystko mogło się zdarzyć...

Dziwne było tamto lato, deszczowe, groźne. W obozie socjalistycznym, w którym od dość dawna mnożyły się oznaki kryzysu gospodarczego, doszło do zbiegu nieoczekiwanych zdarzeń, które dla ludzi przesądnych, a takich nigdy nie brakowało, uchodziły za oczywistą ingerencję szatana.

7 lipca – dokładnie w czasie, kiedy rodzina Rawskich zwiedzała Piazza San Marco w Wenecji, podchodzący do lądowania w Jafcie samolot TU-154 (model specjalny), targnięty nagłym porywem wiatru, wypadł z pasa i eksplodował. Tak przynajmniej podano w oficjalnym oświadczeniu agencji TASS. Identyczną wersję przedrukowały wszystkie dzienniki świata. W podobnym brzmieniu przekazywały wiadomość, przerywając w pół słowa programy, główne stacje telewizyjne. Bo i była to istotnie Katastrofa Stulecia, fatalnym tupolewem podróżowała bowiem cała radziecka „wierchuszka” – gensek Breżniew, premier Kosygin, ideolog Susłow, szef Armii Radzieckiej – Ustinow, wieczny „drugi” Czernienko...

Czy był to przypadek, czy zaplanowany zamach? Speckomisja, badająca sprawę, nigdy nie ogłosiła rezultatów śledztwa. Nie wyjaśniono nawet, dlaczego, wbrew procedurom bezpieczeństwa, aż tylu członków ścisłego kierownictwa leciało jednym

samolotem. Ludowa plotka uparcie powtarzała bajkę o pijanym Łońce, który osobiście uparł się zasiąść za sterami TU-154. W każdym razie po paru dniach zamieszania władzę w imperium przejął Tymczasowy Komitet Specjalny przy Biurze Politycznym, a *de facto* triumwirat przywódców. W jego skład weszli dotychczasowy szef bezpieczeństwa Jurij Andropow, który został pierwszym sekretarzem KPZR, minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko (powierzono mu kierowanie Radą Najwyższą) i marszałek Wiktor Kulikow, desygnowany na premiera...

Rodzina Rawskich zwiedzała w tym czasie Florencję, zachwycając się grobowcami Medyceuszy. Też tyranów, ale z dużo większą klasą.

Z różnych oświadczeń i kontrolowanych przecieków do zagranicznej prasy wynikać mogło, że wybawiony cudem z łap klikli gerontokratów Związek Radziecki ruszy wreszcie kursem koniecznych przemian i odnowy. Andropow już w pierwszym wywiadzie dla agencji TASS ogłosił potrzebę pełnego respektowania Ustaień Helsińskich, zadeklarował plan NEP bis, co miało wiązać się z częściowym powrotem do indywidualnego rolnictwa i z umożliwieniem tworzenia prywatnych warsztatów oraz podejmowania usług na własny rozrachunek. Nie koniec na tym: zupełnie nieoczekiwanie w Zagorsku spotkał się z hierarchią Cerkwi prawosławnej i, odpowiadając na hołdy patriarchy Pimena, wysoko docenił wysiłki ludzi wierzących, ponoszone przy budowie potęgi socjalistycznego państwa. W dalszej kolejności uwolnił kilku znanych dysydentów, a także zezwolił na emigrację grupy Żydów do Izraela... Nie dziw, że bezzwłocznie zaczęto nazywać go Wielkim Pragmatykiem, snuć porównania z Piotrem Pierwszym, wdychając wprawdzie, że rękę ma ciężką, ale z Rosjanami inaczej nie można.

Dlatego też rychłe doniesienia o masowych aresztowaniach „gospodarczych szkodników”, rozstrzeliwaniu skorumpowanych urzędników i czystkach wśród nieudolnych biurokratów nie wywołały protestów dyżurnych obrońców praw człowieka. Pojedyncze głosy oburzenia zostały zgaszone oświadczeniami intelektualistów, że demokracja w Eurazji posiada specyficzne cechy i wypada tę specyfikę uszanować. Wedle rzeczowych analityków wskazywało to wyłącznie, że nowe kierownictwo poważnie traktuje program uzdrowienia gospodarki. Raport CIA dowodzący, że KGB musiało od dawna przygotowywać się do całej operacji, a krymska katastrofa niekoniecznie była nieszczęśliwym wypadkiem, powędrował do kosza.

W zwiedzanej przez Rawskich Florencji istnieje mnóstwo pamiątek po jej wielkich obywatelach, mają swoje domy-muzea zarówno Dante, jak i Michał Anioł, trudno natomiast znaleźć ślady po Niccolò Machiavellim, genialnym prekursorze marketingu politycznego. A szkoda. Andropow należał do jego najlepszych uczniów. W ciągu paru tygodni ukazał światu twarz człowieka pragmatycznego i rzeczowego,

pozbawionego ideologicznych obsesji. Przy okazji wyszło na jaw, że ów rzekomo twardy czekista pisze subtelne wiersze, interesuje się teatrem i kocha zwierzęta. Bardzo prędko zamiast niezastąpionych do niedawna gerontokratów pojawili się w nowym kierownictwie ludzie jak na stosunki radzieckie nadzwyczaj młodzi – choćby ledwie czterdziestoparoletni Dmitrij Kaługin, wychowany w zagranicznych szkołach, którego ojciec był wieloletnim ambasadorem w paru krajach Europy Zachodniej, do niedawna sekretarz niewielkiego kombinatu na Uralu, a wcześniej szef regionalnej komórki Komsomołu. Jego nominacja na zastępcę członka Politbiura wypadła w czasie, gdy Rawscy posuwali się mrocznymi korytarzami katakumb św. Kaliksta w Rzymie.

W jazgocie powszechnych zachwyty nad „nowym kursem” odosobnionym dysonansem zabrzmiały słowa profesora Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Redaktor programu „Trzy kwadransy” (zwracając się do rozmówcy): *Panie profesorze, czy pańska rezerwa wobec genseka Andropowa wynika z oceny jego złowroziej roli w tragedii węgierskiej 1956 roku?*

Zbig Brzeziński: *W polityce od przeszłości ważniejsza jest przyszłość. Jeśli o nią zaś chodzi, dostrzegam ogromną konsolidację władzy w jednych rękach. Władzy, dodajmy, pozbawionej jakiegokolwiek kontroli.*

Redaktor: *Podtrzymuje pan zatem opinię gubernatora Kalifornii Ronalda Reagana, który twierdzi: „Biały niedźwiedź zmienia nie tylko wyleniałą skórę i prawdopodobnie nigdy nie był tak groźny jak dziś”?*

Brzeziński: *Nie użyłbym akurat takiego sformułowania. Obawiam się jednak, że rezygnacja z pewnych ideologicznych ozdobników nie musi oznaczać ani demokracji, ani otwarcia na Zachód. Wzmacnianie dyscypliny w Rosji oznacza de facto terror. A wewnętrzne kłopoty mocarstw, czego dowiodły losy niejednego imperium z przeszłości, grożą najgorszymi konsekwencjami.*

Redaktor: *Ekspertem rewolucji?*

Brzeziński: *Pan to powiedział. Ja zaś bardzo chciałbym się mylić w swych prognozach.*

Redaktor: *A, właśnie. Czy pańskie oceny podziela prezydent Carter?*

Brzeziński: *Wypowiadam tu swoją prywatną opinię jako politolog...*

Parę dni później zresztą był już tylko prywatnym obywatelem. Jimmy zdymisjonował profesora. Podobno ze strony byłego producenta fistaszek było to posunięcie dobrej woli wobec nowego kierownictwa, zasugerowane przez radzieckiego ambasadora.

W tym czasie Szymon krążył wśród ruin Pompejów, zniszczonych przez wybuch Wezuwiusza przed ponad tysiąc dziewięćset laty... Następne dni spędzili na

campingu w Sorrento. Rano Aleksander z synem biegli do pobliskich sklepików, czytali nagłówki gazet, nocami wyławiali z radiowego szumu, będącego bardziej wynikiem odległości niż pracy zagłuszarek, wiadomości z BBC, Głosu Ameryki. Najciekawsza Wolna Europa była na głębokim południu Włoch niesłyszalna.

24 lipca odbyła się w Moskwie Narada Przywódców Socjalistycznej Wspólnoty.

Nigdy nie ogłoszono tekstów wystąpień z tego posiedzenia, ani nawet pełnego referatu Andropowa. Jedyna wersja „internacjonalistycznej instrukcji”, jaką sekretarz KC PZPR Łukaszewicz, skądinąd twardy zamordysta, podzielił się w Warszawie z francuskim korespondentem „Le Figaro”, i tym sposobem przekazał ją wolnemu światu, okrzyknięta została tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie „rewizjonistyczną prowokacją”. Poza tym była zbyt straszna, aby mogła okazać się prawdziwa. Wedle owej wewnątrzpartyjnej notatki Andropow miał stwierdzić otwarcie: „Czasy bezhołwia się skończyły. I albo czeka nas Nowa Smuta, a w dalszej kolejności rozpad imperium i triumf światowego imperializmu ze Stanami Zjednoczonymi na czele, albo Druga Rewolucja i powrót do praktyk leninowskich. W ciągu dziesięciu najbliższych lat kraje demokracji ludowej winny stać się jednym organizmem z unią celną, wspólną walutą i wspólną polityką gospodarczą...”

Z tego samego źródła pochodziła pogłoska, że na pytanie polskiego przywódcy Gierka, skąd znajdą się środki na tak przyśpieszoną transformację, padła brutalnie szczerą odpowiedź: „Są jeszcze wokół nas kraje bogate, które nie wiedzą, co robić z nadmiarem swych bogactw. I jak się z nami nie podzielą, sami weźmiemy!”

– No nie, tu już przesadzili – oceniła wiadomość Magda Rawska, powracając z rodziną Autostradą Słońca. – Puszczają balon próbny. Zresztą czy temu Łukaszewiczowi można ufać? Takich spraw nie ujawni żaden członek kierownictwa partii będący przy zdrowych zmysłach!

Ale czy szef polskiej propagandy w czasie rozmowy z Bernardem Margueritte na pewno czuł się dobrze? Trzy dni potem, podobno w ataku silnej depresji, popełnił samobójstwo, wyskakując z okien najwyższego piętra Komitetu Centralnego na wewnętrzny dziedziniec.

W odróżnieniu od podobnych bałamutnych plotek, oficjalny komunikat agencji TASS wydany bezpośrednio po moskiewskim spotkaniu mówił jedynie „o pełnej zgodności opinii i umocnieniu jedności w działaniu”.

Czy jednak naprawdę osiągnięto jednomyślność?

25 lipca, jeszcze w trakcie moskiewskiej wizyty zmarł na zawał serca „Wielki Syn Węgierskiej Klasy Robotniczej”, Janos Kadar. Trzy dni później obradujące w Warszawie Plenum Komitetu Centralnego przyjęło dymisję (ze względu na stan zdrowia) Edwarda Gierka, stawiając na czele partii przywódcę betonowej frakcji PZPR – Stefana Olszowskiego.

30 lipca gruchnęła kolejna wiadomość. Tym razem z Rumunii. Podczas zwiedzania wzorcowego gospodarstwa hodowlanego pod Timișoară pijany funkcjonariusz Securitate zniecka otworzył ogień z automatu do dostojnych gości, wizytujących obiekt. Wśród ofiar znaleźli się przywódcy partii i państwa – Nicolae i Elena Ceaușescu. Dobrzy marksiści, ale – jak napisała znacznie później „Prawda” – „skażeni nalotem bałkańskiego nacjonalizmu”.

Czy ktoś na świecie wyciągnął właściwe wnioski z tej zaskakującej sekwencji?

31 lipca, po bezsennej nocy, spędzonej na campingu pod Weroną, zapadła decyzja. Magda i Agnieszka żałowały jej krótko, a pan Aleksander aż do swojej śmierci w luksusowej klinice w Kalifornii błogosławił. Gratulując sobie roztropności, że udało im się w ostatnim momencie. Zamiast w stronę przełęczy Brenner błękitny fiat 125p zakręcił na południe, a następnego dnia mecenas Rawski wystąpił w Rzymie, w imieniu całej czteroosobowej rodziny, o azyl polityczny.

VII

Generał Pietrowski rozgniół w szklance trzy tabletki aspiryny, załał piwem Warszawskie i wypił całość jednym haustem. Kac walczył w nim z wściekłością i jak na razie wygrywała wściekłość.

Jeszcze raz rzucił okiem na raporty.

– Gadzinow, do mnie! – rzucił do interkomu.

Wszedł jego zastępca, niewysoki, blady, o nalanej twarzy niezrealizowanego maniaka seksualnego, z nieodłącznym, lepkiem uśmiechem na ustach.

– Co oni narobili!? Mieli go tylko zrewidować, a nie zabijać...! – wycedził szef Priwisłinskiej Czerezwyczajki. – Akurat teraz nie potrzebujemy kłopotów z Amerykańcami!

Gadzinow rozłożył ręce w geście politowania pomieszanego z bezradnością.

– Facet prawdopodobnie jeszcze żyje. Fakt, trochę poniosło chłopaków – rzekł z ubolewaniem. – Ale opłaciło się. Wiem od Listkowa, że ten imperialistyczny agent był wprost naszpikowany sprzętem szpiegowskim. Sam tylko aparat fotograficzny posiadał tyle funkcji, że wszystkich do tej pory nie mogą rozgryźć nasi naukowcy – do tego znaleziono ładunki wybuchowe, ukryte w butach, paralizator, igłę z trucizną... Regularny *szpion* CIA lub ichniejszego Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

– Podejrzywałem go od początku – generał wyszedł zza biurka, nad którym wisiał ogromny portret Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego, i podszedł do swego zastępcy, a zarazem szefa pionu propagandowego. – Nabrałem podejrzeń podczas spotkania w Belwederze... – tu obrócił się ku Gadzinowowi. – Wiemy chociaż, dla

kogo pracował? Zastępca machinalnie kartkował papiery, jakby bojąc się spojrzeć szefowi prosto w oczy:

– Tajemnicza sprawa, sprawdzaliśmy go jeszcze, zanim wydano mu wizę. Z CIA, spenetrowanej przecież przez ludzi z GRU, nie przyszło żadne ostrzeżenie. Nasz agent w prezydenckim Biurze Bezpieczeństwa Narodowego również zaprzecza, żeby centrala miała coś wspólnego z ekspedycją Ravella. Najbardziej wygląda to na jakiś spisek politycznych „jastrzębi” lub działanie na własną rękę. Udało się natomiast ustalić prawdziwą tożsamość tego faceta. – Tu wręczył generałowi komputerowy wydruk, opatrzony nazwiskiem Simon Ravell. – Faktycznie nazywa się Szymon Rawski. Syn Aleksandra.

– Polaczek. Czuję!

– Urodzony tu, w Warszawie. W roku 1979, podczas indywidualnej wycieczki do Włoch, uciekł wraz z rodzicami na Zachód... – Gadzinow sięgnął po kolejne notatki. – Ukończył fizykę na uniwersytecie w Berkeley w 1985, z jedną z pierwszych lokat. Równocześnie studiował biologię, i studia te uwieńczył doktoratem na uczelni w San Diego, gdzie zamieszkał z całą rodziną. Krótco pracował w Międzypanowskiej Komisji Ekologicznej, a potem, na przełomie lat 1988-89 przeniósł się do Nowego Jorku. Jego życiorys w części amerykańskiej posiada pewne luki, jednak aż do 1992 roku nie odnotowano żadnych powiązań z tajnymi służbami. Później zatrudniała go rządowa agencja, związana z NASA, realizująca program „Chronos”. Nie mamy pojęcia, czego dotyczył ów tajny program i na czym polegał udział Ravella. I to jest trochę dziwne: wiadomo, NASA była już w tym czasie dobrze zinfiltrowana przez chłopaków z GRU. Sądzę, że gdyby szef zwrócił się do Centrali, moglibyśmy dowiedzieć się, czego naprawdę dotyczył ów program...?

Pietrowski zacisnął zęby. Nie miał zamiaru spowiadać się podwładnemu, że jego mocodawcy z centrali na Starej Łubiance nie uznają za celowe zaznajamiać go z najważniejszymi tajemnicami.

– Mów, co jeszcze mamy o nim!

Gadzinow znów zajrzał w papiery.

– Mniej więcej w tym samym czasie zmienił nazwisko na Ravell. Po reorganizacji Agend Rządowych w 98 na własną prośbę przeniósł się do Departamentu Badań Naukowych. W Waszyngtonie poświęcił się swojej drugiej specjalności, którą nie zajmował się od lat studenckich – ekologii... Obecna wizyta u nas jest jego pierwszą podróżą do Europy od ponad dziesięciu lat.

– Wróćmy do wydarzeń w dniu wczorajszym. Czy udało się ustalić, gdzie się podział?

– Zgodnie z ustaloną procedurą, pięć minut po napadzie przy cmentarzu mieli pojawić się nasi sanitariusze, by odtransportować ofiarę pobicia do resortowego

szpitala...

– Wiem!

– Kiedy przybyli, już go nie było. Kilku szczeniaków zabrało go z miejsca incydentu na drugą stronę ulicy Świętokrzyskiej. Podobno tam zajął się nim jakiś klecha.

– Książdz? – Pietrowski poczuł naraz, że kac przeszedł jak ręką odjął – nie powiesz, że to ten sam...?

– Oczywiście nasz stary, nieuchwytny znajomy. Kryptonim „Jerzy”. Podobno wyłonił się jak duch i zabrał nieprzytomnego jankesa. Nasi informatorzy nie wiedzą dokąd. Albo nie chcą mówić. Nie znamy wszystkich kryjówek tych kryptochrześcijan.

– A niech to szlag! – Generał walnął pięścią w biurko tak mocno, że niewiele brakowało, aby je przepołowił. – Co się dzieje? Od kilkunastu lat w ograniczonej przestrzeni, na zamkniętym terenie, nie można złapać jednego cherlawego księżula. Ba, nie mamy nawet namacalnych dowodów, że ktoś taki rzeczywiście istnieje. Ani jednego zdjęcia, ani pół odcisku palca. Wytlumacz mi, Gadzinow, jak to możliwe? Przecież mamy tam więcej konfidentów niż normatywy przewidują...

– W tej jednej sprawie dziwnie nie chcą z nami współpracować.

– Niby dlaczego? To wszystko degeneraci, złodzieje, kurwy, mordercy, gotowi sprzedać własną matkę za pięć dolarów.

– Myślę, że się boją.

– Kogo? Chyba nie Boga? Z tego, co wiem, nawet tam prawie nikt nie wierzy już w żaden Absolut.

– Sądzę, że obawiają się jakiejś tajemniczej amorficznej mocy – odparł Gadzinow, nerwowo dłubiąc w ucho. – Przypisują ojcu Jerzemu ponadnormalne zdolności. Utrzymują, że czyni cuda, a z drugiej strony potrafi ściągnąć nieszczęście na przeciwników Wiary.

– Kompletna bzdura!

– Powtarzam tylko obiegowe opinie, szefie. Jednak, cokolwiek by mówić, na faceta, który miał go nam wystawić trzy lata temu, spadło pół kamienicy. Inny, świetny fachowiec od rozpracowania środowiska mętów miejskich, zwariował.

– Alosza był alkoholikiem i narkomanem!

– Być może. Jednak sam pan generał uczestniczył w trzech obławach na tego katabasa. Za każdym razem już, już go mieliśmy... A on rozpływał się jak duch.

– Tym razem się nie rozplynie. Zwłaszcza z nieprzytomnym Amerykaninem na plecach. Czynię cię osobiście odpowiedzialnym za tę operację, Piotrze! Jeśli ją spieprzysz, to pojedziesz jako instruktor do towarzyszy z centralnej Afryki, a klimat tam paskudny i wódka ciepła.

Mimo gróźb serwilistyczny uśmieszek nie zszedł jednak z warg Gadzinowa;

wyczekał, aż szef wygada się do końca, po czym prawie pod drzwiami odwrócił się:

– Może was to zainteresuje, towarzyszu, ale udało nam się ustalić, że babka Rawskiego, niejaka Zofia Marczyńska, nie wyjechała z resztą rodziny na Zachód. Prawdopodobnie jeszcze żyje.

– No to odszukajcie ją jak najszybciej! A o postępach akcji chcę być informowany na bieżąco.

Gadzinow wyszedł, a Pietrowski, przymknąwszy oczy, usiłował zapanować nad powracającym bólem, który puchł mu pod czaszką. Znów przypomniał mu się sen, dręczący go od lat: noc, szeroko rozlana rzeka, ciężki, obciążony kamieniami worek. I on sam wewnątrz tego worka, sparaliżowany strachem, opadający w głąb bezdennej topieli.

VIII

Wąski snop dziennego światła, który znalazł sobie jakąś szczelinę wśród gruzów, trafił dokładnie na koniec nosa Szymona. Czy światło może łaskotać?

Zdania na ten temat są podzielone. W każdym razie śpiący kichnął i się obudził. Wracał do świadomości ze złudnym przekonaniem, że czas zwidów minął, a on sam zaraz znajdzie się w swoim przestronnym domu pod San Diego albo w mieszkanku za Żelazną Bramą, lub przynajmniej w baraczkach nad Liwcem.

Jednak to nie było San Diego. Surowe cegły. Sterty gruzu po kątach, zabytkowe płyty nagrobne na ścianach, kanopy Wielkich Polaków, a pod plecami katafalk sypialny. Z pobliskiego blaszanego piecyka dochodziła fala ciepła...

– Jak się pan czuje, szefie? – Ledwie tylko się poruszył, piegowaty małolat bez przednich zębów pojawił się obok wezgłowia.

– Cierpię, więc żyję – wymamrotał. Trudno o precyzyjniejsze sformułowanie w sytuacji, gdy każde poruszenie przynosiło mu ból.

– Chwała Bogu! – powiedział Jacek. – To prawdziwy cud ojca Jerzego. Kiedy pana podnosiliśmy, maj frend, leżałeś jak trup.

– Dzięki za pomoc – wymamrotał.

– Może zje pan coś, przyniosłem zupy... Z prawdziwego proszku!

Pokonując ból, uniósł nieznacznie głowę.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Nakarmię pana...

Zabrzączała łyżeczka, mieszająca płyn w metalowym garnuszku. Po chwili gorące łyki rosółu popłynęły do gardła Rawskiego.

– Musiałeś być cholernie ważną personą, szefie – nawijał chłopak. – Bolsze dostali

prawdziwego świra. Od rana ich helikopy latają jak oszalałe. Podobno wyznaczyli nagrodę 1000 złotych za jakąkolwiek informację o jakimś Simonie Ravellu, zaginionym turyście amerykańskim... Kupa forsy! – szelmowsko przymrużył prawe oko.

– I nie połamiesz się na taki szmal?

– Ojciec Jerzy nie pozwoliłby – odparł nieco markotnie.

– Bardzo boisz się ojca Jerzego?

Młokos spoważniał:

– Kocham go – rzekł bez chwili wahania. – On jest ostatnią dobrą istotą w tym parszywym mieście...

– Nie przesadzajmy, jest nas paru – w wejściu ukazał się sam kapłan. – Widzę, że samopoczucie chorego trochę lepsze? – zwrócił się do Szymona.

– Jak na kogoś, kto powinien nie żyć, wręcz pyszne!

– Tak łatwo się nie umiera – ksiądz wykonał delikatny gest odprawiający i Jacek wyszedł.

– To niesamowity przypadek, że ksiądz się zjawił, zanim zakatowali mnie na śmierć – powiedział pacjent.

– Nie ma przypadków. Jest tylko wola Boża, którą każdy może wypełniać, gdy zechce.

– Wola Boża? – Szymon omal nie podskoczył na łóżu bóleści. – Niech ksiądz nie mówi mi o woli Bożej. Czyż to, co przytrafiło się temu miastu i całemu światu, nie jest najlepszym dowodem, że Bóg umarł? Czy sytuacja, w której trzy czwarte globu objęła czerwona zaraza, nie dowodzi, kto ostatecznie wygrał ten Armagedon?

– Jeszcze nie wygrał. Pana obecność jest dowodem nieprzeniknionych decyzji Opatrzności...

– Moja obecność? Co ksiądz wie o mnie? Ksiądz nie wie nawet, jak się nazywam.

– Szymon. Tyle powiedział mi Jacek. To prawda, wiele o panu nie wiem. Ale czuję... Poza tym przez jedenaście lat czekałem na znak.

– Jaki znak?

Kapłan podwinął rękaw sutanny.

– Pojawiły się nietypowe stygmaty! Widzi pan te ślady na przegubach...

– Wyglądają jak świeże otarcia od sznura.

– Jednak nikt nie wiązał mnie tej nocy. Zresztą to nie wszystko, na całym moim ciele samorzutnie wystąpiły sińce, jakby to nie pana, a mnie skatowano... – Zrzucił sutannę przez głowę, obnażając wychudły tors ze śladami potężnych uderzeń. – Potrafi pan to sensownie wytłumaczyć? Wczoraj nie było na moim ciele najmniejszego siniaka. Pojawiły się we śnie, a ja nie czuję bólu.

„Trafiłem na Bożego szaleńca” – pomyślał Szymon, a głośno dodał:

– Czego to, zdaniem księdza, dowodzi?

– Nie mam pojęcia. Tak samo jak nie wiem, dlaczego wczoraj znalazłem się tam na Świętokrzyskiej i dlaczego, choć stokroć powinienem nie żyć, żyję i czynię postugę temu miastu. Mogę co najwyżej żywić nadzieję, że Opatrzność, trzymająca mnie w swej pieczy, z sobie wiadomego powodu zesłała nam pana.

– Powtarzam, jestem jedynie amerykańskim naukowcem...

– A to jest typowy sprzęt do badania ptaków? – ksiądz uniósł kartonowe pudełko i pokazał akcesoria, które musiał zdjąć z ciała Rawskiego, kiedy ten był nieprzytomny. – Nawet dla mnie, prostego księdza, nie ulega wątpliwości, że przybył pan do Warszawy w zgoła innym celu.

– Zapewne rozumie więc ksiądz, że nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć.

– Nie szkodzi, Szymonie. Wiem jedno, muszę pomagać w twoim przedsięwzięciu.

Umilkł i dłuższą chwilę obserwował, jak Rawski przegląda resztki swego ekwipunku. Najpierw odpakował płaskie elektroniczne urządzenia, sprawdził pokrywającą je folię i znów zawinął z westchnieniem ulgi, potem obejrzał plik waluty i fałszywy paszport Zjednoczonego Królestwa na nazwisko Jeremy Thompson. Spomiędzy kartek dokumentu wyciągnął zdjęcie ślicznej ciemnowłosej dziewczyny o urodzie gwiazdy filmowej i bystrych oczach intelektualistki. Dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, poruszając ustami, jakby się modlił do świętego obrazka. Kątem oka dojrzał zaintrygowane spojrzenie księdza.

– To taka moja Matka Boska – wyjaśnił mu. – Anette.

W tym momencie na schodach rozległ się tupot nóg. Wpadł zdyszany Jacek.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zawołał. – Bolsze idą!

– Gdzie?

– Nadciągają z trzech stron. Od ulicy Kopernika, od Nowego Świata i od Krakowskiego Przedmieścia. Trzy plutony, z psami. Musimy uciekać!

Przez szczeliny, do tej pory dostarczające jedynie słonecznych promieni, doleciał warkot samochodów pancernych i ujadanie psów. Szymon pomyślał o swych połamanych żebrach, zwichniętej ręce i wstrząśniętym mózgu. W poczuciu pełnej bezradności mocno zacisnął powieki.

IX

Polskie wydarzenia czerwcowe roku 1981 miały gwałtowność letniej burzy i niosły szkody porównywalne jedynie z olbrzymią powodzią. Zaczęło się od podwyżki cen mięsa, która jednak nie poprawiła zaopatrzenia sklepów. Natrętna propaganda i aroganckie oświadczenia władzy stały się na głodowym przednówku owego roku

istnym detonatorem, podłożonym pod beczkę prochu. Podobnie jak pięć lat wcześniej w Radomiu i Ursusie, stały największe zakłady Łodzi i Poznania, wnet zastrajkowały Gdańsk i Lublin. Tym razem jednak bunt przypominał bardziej działania dziewiętnastowiecznych robotników, niszczących maszyny, niż rozważną akcję świadomego swej siły proletariatu. Nikt nie kierował protestem, nikt go nie kontrolował, może poza siłami specjalnymi i sąsiedzką agenturą. Ostatni wielki autorytet moralny, prymas Wyszyński, od kilkunastu dni nie żył. Kanały komunikacji społecznej zostały skutecznie zablokowane. Wszyscy ważniejsi opozycjoniści od ponad półtora roku przebywali w więzieniach. Tylko nielicznym, jak Karolowi Rossmanowi, udało się wcześniej wymknąć za granicę. Zagraniczni korespondenci, otoczeni ścisłą opieką, skazani byli na informacje władz lub plotki puszczane przez płatnych konfidentów. Po Wolnych Związkach Zawodowych nie zostało ani śladu.

A rząd nie zamierzał patyczkować się z kontrrewolucją. Premier Grabski nie miał zamiaru iść w ślady Jaroszewicza. Ani w głowie było mu gaszenie „przerw w pracy” za pomocą rozdawania pieniędzy czy poprzez cofanie podwyżek. Tymczasem, ponieważ strajki okupacyjne nie przyniosły cofnięcia podwyżek, zdesperowane tłumy wyszły na miasta. Pierwsze strzały padły na Piotrkowskiej w Łodzi, potem w Nowej Hucie. I pod kopalnią „Wujek” w Katowicach.

Nie zaskoczyło to aparatu przemocy, który, jak się wydaje, czekał na taki właśnie rozwój wydarzeń. Błyskawicznie w całym kraju wyłączono telefony, a potężne zagłuszarki ograniczyły do minimum słyszalność Radia Wolna Europa czy Głosu Ameryki. Inne stacje zagraniczne – Deutsche Welle, BBC czy Radio Watykan podawały wiadomości z Polski oględnie, lęklonie, jakby bojąc się dolewać oliwy do ognia. Zresztą uderzenia władzy spadały na każde nowe ognisko sprzeciwu, nim zdążyło na dobre rozgorzeć. Nie obeszło się bez zamknięcia dziewięciu uczelni i masowego powoływania studentów do wojska. Owszem, poszło z dymem parę komitetów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ktoś rzucił bombę domowej roboty na radzieckie koszary w Legnicy. Zaś nieznaną sprawcą z bliskiej odległości zastrzelił generała kierującego operacjami w Trójmieście. Incydenty te skutecznie wykorzystywały władze, uwypuklając chuligańsko-przestępczy charakter zamieszek.

Świat milczał. Reżim zadbał o pozory. Jeśli w pacyfikacjach uczestniczyły wojska armii zaprzyjaźnionych, czyniły to incognito, w polskich mundurach, tak, by sekretarz Grabski czy generał Milewski mogli się chwalić na spotkaniach z towarzyszami bratnich partii, iż „Polacy własnymi patriotycznymi siłami okiełznali kontrrewolucyjną zawieruchę”. Wersję, że „zaburzenia w Polsce”, w odróżnieniu od wyczynów Chruszczowa na Węgrzech czy Breżniewa w Czechosłowacji, udało się rozwiązać suwerennymi decyzjami władz, kupiło ONZ, postępową prasę, intelektualistów i wielu uczciwych, choć głupich ludzi na całym świecie, ciesząc się, że światłe kierownictwo

radzieckie pozwoliło Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej rozwiązać jej problemy własnymi siłami.

Z amerykańskiej perspektywy trudno było dojrzeć właściwy sens tych wydarzeń. Zdaniem Aleksandra Rawskiego wyraźnie sprowokowanych. Po stłumieniu protestu w sklepach pojawiły się towary (na kartki), podniesiono niektóre pensje i stypendia, uruchomiono erotyczny kanał w telewizji. Zaufanym towarzyszom umożliwiono szybkie awanse oraz udziały w nowo otwieranych przedsiębiorstwach o własności mieszanej z udziałem obcego kapitału. Przeważnie rosyjskiego. Nie doszło nawet do próby pałacowego przewrotu, podobnego do tych, które poczynając od 1956 roku, niezmiennie towarzyszyły społecznym zaburzeniom w Polsce.

Nie bez przyczyny rok wcześniej przeprowadzili weryfikację szeregów partyjnych i przy okazji wymiany legitymacji pozbyli się dwóch milionów niepewnych członków, tych, co pyskowali na zebraniach, chodzili do kościoła lub potajemnie chrzcili dzieci – pisał Rawski w liście do syna. – Teraz, w uszczuplonych, ale zwartych szeregach PZPR pozostał wyłącznie partyjny beton – starzy stalinowcy i młodzi cyniczni aparaczczyki, sam nazywałeś ich „brojlerami socjalizmu”. Temu aktywowi rozdano broń i obiecano nowe przywileje... Mówi się – będą bronić socjalizmu jak niepodległości. Przepuszczam nawet, że z większym przekonaniem.

– Ale ku czemu to zmierza? – pytał ojca Szymon, kiedy spotkali się 4 lipca w Waszyngtonie.

– Ku najgorszemu.

I rzeczywiście. Po paru tygodniach bunt wygasł. Robotnicy wrócili do pracy, nieposłuszni studenci poszli w kamasze, sądy doraźne wydały kilkadziesiąt wyroków śmierci, z których większość wielkoduszną decyzją Rady Państwa złagodzano, zamieniając na wieloletnią katorgę w bratnich łagrach. Poza tym, w ciągu następnych miesięcy i lat kilkudziesięciu szczególnie niepoprawnych opozycjonistów dosięgły kule, noże i pałki nieznanymi sprawcami. Parę tysięcy dysydentów wywieziono w głąb Rosji pod pozorami „szkoleń reedukacyjnych” i naród jako całość zamilkł. Albo raczej przyczał się. Obserwujący wydarzenia z perspektywy kalifornijskiego kampusu, Szymon mógł jedynie gryźć palce w bezsilnej rozpacz, biegać na solidarnościowe wiece, zbierać pieniądze na pomoc dla poszkodowanych i domagać się interwencji rządu USA.

Jednak wybrany właśnie na drugą kadencję Jimmy Carter (nazywany przez kpiarzy „orzeshkiem przyziemnym”) poprzestawał na wzdychaniu i modlitwie.

Wielce cenił sobie prawa człowieka, ale jeszcze bardziej potrzebował życzliwości rosyjskiego niedźwiedzia. Czyż to nie z jego pomocą rozprawił się z rebelią mułłów w Iranie? Utrzymał przy władzy szachinszacha Rezę Pahlawiego, zapewniając bezpieczeństwo dostaw ropy naftowej, i zagwarantował nienaruszalność granic

Izraela. W zamian za to Andropow dostał wolną rękę w przejęciu kontroli nad Afganistanem. Możliwości sowieckiego sojusznika Carter docenił w pełni, gdy zatruty czubek parasola, należącego do bułgarskiego agenta, dosięgnął przebywającego na emigracji w Paryżu przywódcę irańskich fundamentalistów, ajatollaha Chomeiniego. CIA, sparaliżowana przez opinię publiczną i liberalny Kongres, w żadnym wypadku nie mogłaby sobie na taką akcję pozwolić. W ciągu następnych lat jeszcze parokrotnie oba mocarstwa działały ręka w rękę, rozwiązując kilka naprawdę trudnych spraw.

Nade wszystko jednak gensek Andropow, w „Time Magazine” Człowiek Roku 1978 i ponownie 1981, jawił się zachodnim elitom jako pierwszy od lat radziecki przywódca, który nie bał się dokonywać gospodarczych reform, tworzył specjalne strefy ekonomiczne, dopuszczał obcy kapitał. Godził się nawet na częściowe atomowe rozbrojenie. I oczywiście przyjmował płynące szeroką strugą *burżujskie dieńgi*, pozwalając sobie na rezygnację z pewnych przestarzałych dogmatów marksizmu-leninizmu! Socjalistyczny kapitalizm w andropowowskiej odmianie był w istocie neofeudalizmem – uwłaszczona nomenklatura mogła się bogacić, pozostawała jednak w bezwzględnej zależności od Partii. Własności bowiem nie chroniło żadne prawo i, wypadając z łaski, traciło się majątek, a często życie. Aparat represji działał znów sprawnie jak za Stalina. Cudzoziemcy, przybywający do Związku Sowieckiego robić kokosowe interesy, nadal posiadali urzędowych opiekunów, czuwających nad każdym krokiem, mieszkali w wydzielonych osiedlach, pozbawieni dostępu nie tylko do „speczon”, zamkniętych baz czy łagrów, ale również do zwykłych obywateli Kraju Rad. Te ograniczenia rekompensowano im do woli wódką, kawiosem i dziewczętami.

Politolodzy z Harvardu czy Columbii uważali, że jawne odstępstwa od marksistowskiej doktryny muszą zaowocować nieuchronnymi zmianami, demokratyzacją, liberalizacją. Nic mylniejszego. Andropow zafundował Rosji nie tyle pieriestrojkę, co pięcioletnią pieriedyszkę. Nowy NEP, połączony z totalną wymianą kadr. Zwłaszcza w armii i w rozgałęzionych służbach bezpieczeństwa. Gdy w roku 1983 przywódca zmarł na ostrą niewydolność nerek, tajne struktury gotowe były do Nowej Fazy. Nieuchronnej? W latach 1983-85 doszło do krótkiego okresu zawirowań, zwanego raczej na wyrost „małą smutą”, zmieniło się aż trzech pierwszych sekretarzy, a w kulminacyjnym momencie bezhołowia protestujący studenci postawili na Placu Czerwonym miniaturę amerykańskiej *Statui Swobody*... Wreszcie władzę przejął marszałek Gromow. Zdarzyło się to, czego obawiali się Lenin i Stalin. Rewolucja bolszewicka z wieloletnim opóźnieniem wkraczała w fazę bonapartyzmu. Tyle że Gromow miał tyle wspólnego z Napoleonem, co Andropow z Piotrem Wielkim. Jednak nawet zamach Gromowa, jeśli wierzyć sowieckiej telewizji, powitany entuzjastycznie przez masy pracujące, politolodzy amerykańscy z Henrym Kissingerem na czele, zamiast jednoznacznie potępić, skłonni byli tłumaczyć historycznymi

prawidłowościami, euroazjatycką specyfiką oraz dziedzictwem Bizancjum i kultur Wielkiego Stepu.

„Byłym imperium carów po prostu nie można rządzić w inny sposób – pisał Zmyślny Henry w swej «Historii dyplomacji». – Kiedy Piotr Wielki na przełomie XVII i XVIII stulecia dokonywał europeizacji *matuszki Rassii*, biorąc, bez pytania kogokolwiek, cały naród pod but i knut, *de facto* działał w interesie oświecenia i postępu”.

X

Czy musiało się tak zdarzyć? Widocznie musiało, skoro się zdarzyło. Tylko czy na pewno? Bardzo wielu ludzi, i Simon nie był pod tym względem wyjątkiem, doświadcza takich momentów przebudzeń, podczas których nie wiedzą, po której stronie brzasku jest sen, a po której jawa, czy jeszcze śnią, czy już niestety nie. Do jeszcze innego gatunku sennych omamów należą odcinkowce – majaki powtarzające się cyklicznie, konsekwentnie, w których zdarzenia są precyzyjnym następstwem poprzednich faktów, a człowiek, rzucając się w objęcia Morfeusza, czuje się, jakby wychodził do pracy lub jechał na weekend do doskonale znanych miejsc.

Gdzie wtedy przebywamy? W równoległej rzeczywistości, w przeszłości zapisanej w pamięci genetycznej, w przyszłości? Szymon miał zawsze ogromne trudności, próbując zlokalizować notorycznie powracający obraz modrzewiowego dworku, ganku oplątanego dzikim winem, koni pasących się na tle ciemnej ściany boru. Gdzie kryła się owa Arkadia spokoju?... Czasem realniejsza niż rzeczywistość. A z pewnością przyjemniejsza niż ruiny, śnieg i osowiałe gawrony na śniegu.

– Musimy ruszać – głos ojca Jerzego przywołał go do rzeczywistości.

Rawski próbował się podnieść, jednak eksplozja bólu powaliła go z powrotem na posłanie.

– Wstań, mówię! – powtórzył dobitnie ksiądz, podchodząc do Szymona i przygarniając go ojcowskim gestem do wychudłej piersi.

W pierwszej chwili Rawski odczuł falę gorąca, ogarniającą całe ciało. Potem nagły chłód, przesywający go na wskroś.

– Proszę przestać!

Kapłan jednak nie odsunął się, tylko dotknął chłodnymi rękami czaszki gościa. Ścisnął ją mocno. Ból Szymona jeszcze się zwiększył. Wszystkimi mięśniami wstrząsać zaczęły drgawki, rozproszone zaś skupiska cierpienia z najodleglejszych zakamarków organizmu jeły spływać ku środkowi ciała na podobieństwo strumyczków, wzbierających podczas wiosennej odwilży. Płynął tępy ból z potylicy, ognisty z

przedmózdzia, promieniejący z obolałego barku, i klucie od strony pękniętych żeber, potęgujące się przy każdym oddechu. Wreszcie gdzieś na wysokości mostka wszystkie te bóle skoncentrowały się w jedną małą, kłującą kulę. Jeśli wcześniej cierpienie wydawało się wielkie, teraz stało się nieznośne. Rawski nie mógł powstrzymać strugi łez... I wówczas ksiądz odjął ręce, cofnął się i ciężko oparł o ścianę krypty. W tym momencie przypominał raczej niewyraźną zjawę niż żywego człowieka. Tak jakby cały ból i słabość Szymona przeszły na niego. Rawski, kompletnie oszołomiony, czekał na powrót swych dolegliwości. Długą chwilę bał się poruszyć, nawet odetchnąć, przekonany, że lada moment dopadnie go arcycierpienie. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Oparł się rękami na posłaniu – żadnego bólu poza uczuciem ogromnego osłabienia. Niemożliwe! Zsunął nogi na chłodne kamienie posadzki...

– Doskonale panu idzie – powiedział słabym głosem ksiądz, też chyba trochę zaskoczony nadzwyczajnym efektem swych działań. – Tylko proszę nie poruszać się za gwałtownie! Pomogę panu się ubrać...

Ale doradca komisji Kongresu do spraw ekologii już podniósł się z katafalku. Zrobił jeden krok, drugi, zachwiał się... Jacek go podtrzymał, a następnie posadził i klęknął, aby założyć mu skarpety.

– Tylko tak dalej, szefie!

Ojciec Jerzy również regenerował siły. Wziął dzbanek z wodą i zaczął pić. Pił i pił niewyobrażalnie długo, jak wielbłąd, który przemierzył całą Saharę tam i z powrotem...

Tymczasem do ujadania psów dołączyły również głosy sowieckich żołnierzy. Pościg wydawał się tuż-tuż.

– Czas na nas! – powiedział kapłan.

Wspólnie z Jackiem odsunęli płytę, zdobioną epitafium ku czci jakiegoś dawno zmarłego biskupa. Ukazało się wejście do głębokiego lochu, równocześnie z czeluści doleciała charakterystyczna woń kloaki. Duchowny zaśwycił latarkę i począł schodzić po metalowych prętach, umocowanych w ceglanym murze.

– Sądzi ksiądz, że nie będą nas szukać w miejskich kanałach? – spytał Rawski, idąc w jego ślady.

– Ależ będą, będą synu. Próbowali zresztą już niejeden raz. Bez skutku.

– Zawsze im uciekniemy – dorzucił rezolutnie Jacek. – Głupie łapsy.

Już na dole z małego plecaczka kapłan wydobyl dwie maski przeciwgazowe. Jedną wręczył Szymonowi, drugą pochwycił chłopak.

– To na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że mają pod ręką granaty gazowe, albo gdyby wyziewy kloaczne okazały się zbyt mocne.

– A gdzie maska dla księdza?

– Mnie nie będzie potrzebna.

Rawski łypnął okiem, ale nic nie powiedział. Po możliwościach, jakie przed chwilą

zademonstrował ojciec Jerzy, niewiele mogło go już zaskoczyć. Może lewitacja, może przenikanie ścian?

Chwilę szli w milczeniu. Stary kanał, którym się posuwali, wyglądał na nieużywany od dość dawna (może nawet od powstania, choć Rawski nie miał pojęcia od którego), nieczystości zakrzepły na jego dnie w formie zestalonej lawy. Posuwali się w dół i mimo braku kompasu odnosił wrażenie, że podążają w kierunku Wisły.

– Opuuszczamy miasto? – zapytał z lekkim niepokojem.

– Nie.

– Rozumiem – ma ksiądz jeszcze jakąś kryjówkę?

– Parę.

– Są nie do odkrycia?

– Każdą kryjówkę można odkryć, przyjacielu, dlatego przez pewien czas w żadnej nie zagrzejemy miejsca dłużej, niż wymaga tego twój odpoczynek. Proszę się nie bać, nie dopadną nas.

– Skąd ta pewność?

– Wyczuwam ich trochę wcześniej, zanim zdołają mnie wysledzić.

Zmęczeni się i na moment przysiedli na kamiennym występie.

– Można powiedzieć, że ksiądz się w ogóle niczego nie boi? – powiedział Rawski.

– Na pewno nie okupantów i ich popleczników. To jednak nie znaczy, iż uważam się za bohatera. Daleko mi do niego. W dzieciństwie, pamiętam, byłem bardzo lęklwym chłopcem... I nadal się często boję. Tyle że dziś przeraża mnie zupełnie coś innego niż fizyczna przemoc i ogólna nędza.

– Co?

– Ja sam. Zapewne nie uwierzysz, gdy powiem ci, iż nie wiem, kim naprawdę jestem? Oczywiście nie chodzi o nazwisko, powołanie, życiorys... Tu żadnych wątpliwości nie mam. Jednak od dawna, chociaż nie potrafię powiedzieć precyzyjnie, od którego momentu, czuję się tak, jakbym tu żył, a jednocześnie jakby mnie tu wcale nie było. Nie muszę jeść, wystarcza mi picie wody. Miewam sny, w trakcie których śnię, że umarłem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ani kiedy. Widziałem po wielokroć powtarzające się obrazy z mego pogrzebu, mnóstwo ludzi, transparentów, których treści nie rozumiałem, obserwowałem moich starych rodziców, pogrążonych w rozpacz. Ale zaraz potem budziłem się i odnajdywałem znów w tym ponurym świecie. I tak to trwa. Robię, co do mnie należy, staram się nie wpaść w ręce ludzi Pietrowskiego, a gdy się uda komuś pomóc... Tylko co pewien czas zdarzają mi się sytuacje, które na zdrowy rozum nie mają prawa zdarzyć się nikomu. Wtedy jestem prawie pewny, że nie żyję.

Rawski dotknął ręki księdza, wbrew oczekiwaniom okazała się ciepła, może nawet odrobinę cieplejsza niż jego.

– Bada pan, czy jestem upiorem? – uśmiechnął się ksiądz Jerzy. – Zaręczam, że nie. A że nie potrafię poradzić sobie z wieloma zjawiskami, które mnie otaczają?... Cóż. Wiele jest spraw na naszej ziemi umykających ludzkiemu rozumowi. Wiem tylko, że z jakiegoś powodu podoba się Bogu, bym tu pozostawał, bym robił, co w mej mocy, i modlił się za to nieszczęsne miasto...

– Nieujarzmione – dorzucił bez namysłu Szymon.

– Ujarzmione, ujarzmione! – kapłan westchnął ciężko i przez krótką chwilę nasłuchiwał odgłosów z powierzchni. – Bardziej niż pan myśli. Trudno byłoby znaleźć naród bardziej doświadczony przez historię. Od paru wieków nieustannie tracimy swe elity, ciskając najlepszych z najlepszych jak kamienie na szaniec. A ci, których oszczędziła śmierć, zazwyczaj emigrują.

– Za każdym razem jednak potrafiliśmy się odradzać!

– Obawiam się, że ostatnio, po kolejnej klęsce i psychicznej traumie nasz naród stracił możliwość dalszej regeneracji.

– Ksiądz jednak się nie poddaje?

– Modłę się, próbując ratować już nie Sprawę, ale poszczególne dusze. Jednak przychodzi mi to z ogromną trudnością. Bardzo niewielu warszawiaków zachowało jakąkolwiek wiarę.

– Ja wierzę – przerwał Jacek – i znam wielu ludzi...

– W co wierzycie? W medaliki jako amulety, w czosnek przeciwko wampirom, w kawałki starych ikon, chroniące od nagłej śmierci, w bursztyn, w tartą cegłę, w dni feralne, w magię i horoskopy. Nikomu w głowie nie powstaje myśl, by naśladować Chrystusa czy dawać świadectwo prawdzie... Większość się zaprzedała, część próbuje kombinować. – Tu zwrócił się do Szymona. – Jeśli myśli pan, że tli się jeszcze gdziekolwiek chęć oporu, nadzieja, że ostaniemy się jako naród, jest pan w błędzie. Jeśli nie nastąpi jakiś cud, pisany jest nam los Etrusków, Kartagińczyków, Jadźwingów... lub może raczej prasłowiańskich turów czy ptaków dodo.

Zamilkł i przez dłuższą chwilę słychać było tylko krople wody, kapiące ze ścian kanału. Wreszcie powstał i pociągnął swego rozmówcę.

– Ruszajmy dalej, panie Szymonie! Czekiści są niedaleko nas, badają podziemia czujnikami termicznymi. Nie ułatwiamy im zadania.

XI

Wczesnym popołudniem słońce wyjrzało zza zwałów ołowianych chmur. Do centrali Priwislinskiej Czeki napłynęły kolejne meldunki z miasta. Pietrowski słuchał ich ze stężałą twarzą.

– Na razie jeszcze nic nie mamy, towarzyszu generale – meldował szef operacji, major Listkow, wielkie chłopisko o czerwonej twarzy choleryka z nadciśnieniem. – Żeby to szlag. Po prostu kamień w wodę! Ani śladu tego Ravella, księdza czy małodłata towarzyszącego Amerykaninowi.

– A nasi informatorzy?

Listkow rozłożył ręce. Żaden z informatorów, na stałe przebywających w *Skansienie*, nie miał nic do powiedzenia na temat poszukiwanych. Wszystkie raporty, jakie wpłynęły do godziny piętnastej, świadczą o kompletnej porażce. Psy podjęły wprawdzie trop Amerykanina, ale po dojściu do ruin kościoła św. Krzyża zgubiły go ostatecznie. Czujniki termiczne nie wykryły w okolicznych kanałach żadnej żywej istoty większej od szczura. Równocześnie żaden z pięciu „robinsonów”, koczujących w pobliżu miejsca zajścia, nie udzielił rozsądnej informacji o Ravellu. O księdza Listkow nawet nie pytał. Z jakiegoś powodu informacji o nim z nikogo nie udawało się wydobyć, nawet torturami.

W ramach zachęty do dalszej współpracy major kazał rozstrzelać dwóch z tych łapserdaków, a trzech zamierzał powiesić, w ostatniej chwili jednak zmienił zdanie.

– Macie czas do jutra – oznajmił łachmaniarzom. – Jeśli nie znajdziecie Amerykanina, zajmiemy się również waszymi rodzinami.

Dalszą opowieść przerwał natarczywy sygnał telefonu komórkowego u pasa majora.

– Odbierzcie – zdecydował Pietrowski.

– Co jest, mówiłem przecież...? – zaczął ostro Listkow. Potem raptownie zamilkł, słuchał, a jego twarz przybierała szybko barwę zachodzącego słońca. – Cholera, cholera!

– Co się stało? – nie wytrzymał Grigorij.

– To się po prostu nie mieści w głowie. Muszę jechać...

– Ale co się stało?

– Wygląda na kolejny pieprzony cud... Dopóki nie zobaczę, nie uwierzę. Pozwólcie, że udam się pod ten kościół...

– Poczekajcie, polecę z wami! – zawołał Pietrowski.

*

Słońce, które wznosiło się niezbyt wysoko ponad linię horyzontu, nie dostarczało wiele życiodajnego ciepła. Cienie, zalegające w kanionie Krakowskiego Przedmieścia, były długie, nieprzyjemne. Śmigłowiec generała usiadł opodal pustego cokołu po pomniku Mikołaja Kopernika, który dzięki operatywności tubylców już przed paru laty wylądował w kawałkach w jakimś punkcie skupu metali kolorowych. Tylko cudem ocalony globus słynnego astronoma trafił do Muzeum Ateizmu i Wolnomysłicielstwa,

zlokalizowanego w dawnym kościele Zbawiciela.

– Co tu się stało? – wołał Listkow do swych funkcjonariuszy, a kamienną zazwyczaj twarzą Pietrowskiego targał nerwowy tik. Wskoczyli z helikoptera i omiatali niespokojnym wzrokiem okoliczne ruiny. Żołnierze specnazu z bronią gotową do otwarcia ognia tworzyli wokół niego ciasny krąg. Czort wie, czego jeszcze można się spodziewać.

– Powtórzcie raz jeszcze, jak do tego doszło? – zwrócił się Listkow do dowodzącego oddziałem młodego niskiego oficerka, który z najwyższym trudem usiłował opanować nerwowy tik twarzy. – Rozmawiałem z kapitanem Chmielem ledwie pół godziny temu.

– To był wypadek. – Młody lejtnant, blondynek o wodnistych oczach, nie krył przerażenia. – Kiedy powtórnie przeszukując teren, odkryliśmy tę kryptę pod kościołem, *towariszcz* kapitan wkroczył tam pierwszy. Myślał, że już ich mamy, gdy jednak zobaczył, że amerykańiec i ksiądz uciekli, zostawiając jedynie pokrwawione ciuchy, wpadł we wściekłość. Zaczął okropnie bluźnić. A potem wziął granat i rzucił... – Tu wskazał ręką na ocalałą fasadową ścianę kościoła św. Krzyża. Na potrzaskanych schodach ciągle stała przechylona i wielokroć postrzelana figura Chrystusa dźwigającego Krzyż. – W niego rzucił.

– W Chrystusa? – zapytał generał. – Chmiel rzucił granatem w figurę...? I co się stało?

– Niesamowity rykoszet – lejtnant spuścił głowę. – Nikt nigdy czegoś podobnego nie widział. Granat odbił się od rzeźby, powrócił jak bumerang i eksplodował na piersi kapitana Marka Zenonowicza Chmiela. Mamy ośmiu naocznych świadków tego zdarzenia...

Szczałki oficera nadal spoczywały pod zielonkawą pałatką, a śnieg zabarwiony był wkoło jak po eksplozji słoja z farbą... Dłoń z sygnetem znalazła się aż na szczycie schodów. Pietrowski charknął i splunął grudą brunatnej od nikotyny flegmy:

– Spiszcie raport – rzekł do Listkova. – I kontynuujcie pościg.

– A co z tym? – wodnistooki blondyn wskazał na pochyloną figurę Odkupiciela.

– Wziąć parę lasek trotylu i rozwalić... – warknął Listkow.

Jednak lejtnant popatrzył w stronę Pietrowskiego, pragnąc usłyszeć potwierdzenie z jego ust.

– Dobra, rozwalcie – przytaknął Grigorij – albo nie... Zabobon nie zabobon, ale to *iskustwo*.

Kwadrans po trzeciej śmigłowiec generała Pietrowskiego znalazł się z powrotem na Nowej Cytadeli, wzniesionej po roku 1990 na Łuku Siekierkowskim. Tam, z dała od centrum, osłonięte przez betonowe bastiony, sąsiadowały ze sobą biura komisariatów siłowych, pałac *komissar-gubernatora*, a także pewna liczba

komfortowych pałacyków, zamieszkiwanych przez najważniejszych promoskiewskich prominentów.

Nie zastawszy w pokoju operacyjnym Gadzinowa, co ze względu na wczesną porę było sytuacją dość dziwną, generał mruknął coś ponuro do siebie i ruszył do swego gabinetu. Marzył o gorącym prysznicu, a potem o dużym *stakańczyku* sibir whisky, namiastki szkockiej, pochodzącej z gorzelni w Irkucku i pachnącej bajkalską tarcicą. Wchodząc do przedpokoju, już w progu poczuł zapach cygara. Kto, do kurwy nędzy, ośmielił się palić w jego kwaterze?!

– Macie gości – powiedziała lekko przestraszona sekretarka Lolita, zwana „beżową Wenus”, którą podczas pobytu na bratniej Kubie dostał w prezencie od El Comandante. – Z Moskwy.

– *Kto eto?*

– *Nie znaju, compadre... Ważny!*

Pietrowski zaklął siarczyście. Nie lubił niezapowiedzianych wizyt. A jeszcze bardziej kiedy gość zjawiał się w jego własnym gabinecie wcześniej od niego.

Żując wyrafinowane przekleństwa, wtargnął do gabinetu i zamarł. Na jego osobistym fotelu, obitym skórą ussuryjskiego tygrysa, siedział korpulentny mężczyzna, łysy, z dobrotliwą twarzą głównego księgowego zakładów dziewiarskich, twarzą mogącą łagodnym uśmiechem zmylić każdego z wyjątkiem najlepiej wtajemniczonych.

– Witajcie, towarzyszu! – powiedział Borys Pugo, szef Wszecheuropejskiego Kontrwywiadu. – Musimy porozmawiać.

– Tak jest, *tawariszcz komissar!* – Pietrowski wyprężył się i z szacunkiem uściśnił podaną dłoń. Nadal nie rozumiał, co właściwie zaszło. Wizyty oficjeli tak wysokiego szczebla poprzedzały zazwyczaj długie procedury i towarzyszył im bizantyjski ceremoniał. Nagłe pojawienie się jednego z hegemonów nie oznaczało nigdy niczego dobrego. Naraz stanęły mu przed oczami owe koszarne dni maja 1989 roku i ich pierwsze spotkanie. Wówczas, podobnie jak dziś, rozmawiali w cztery oczy. Nigdy nie zapomni obskurnego gabinetu, udostępnionego im przez komendanta garnizonu w Mińsku Mazowieckim. Zza okien, wychodzących na *warszawskoje szosse*, dolatywał zgrzyt czołgów, sunących na stolicę *Polszy*, a odległa kanonada artyleryjska wskazywała na zaciekle walki toczone wokół Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie!

– Ktoś to musi załatwić! – przekonywał pułkownika tajnej służby ówczesny rezydent KGB. – Trzeba odwrócić niekorzystny bieg zdarzeń, towarzyszu Pietrowski. Nasi komandosy są już na przedpolach Paryża, a tu na głębokim zapleczu frontu taki bardak. *Wosstanije, kontrriewolucyja!* Bunt podniosły nawet wasze elitarne formacje. *Jobanyje buntowszcziki!* Kierownictwo polskiej partii jest w rozsypce, wojsko przechodzi na stronę rebeliantów, siły bezpieczeństwa używają jedynie półśrodków...

A szefowi Informacji Wojskowej, *gienierału* Kiszczakowi, wydaje się, że może występować w roli mediatora. *Wot durak!* Negocjacje *między kontrrewolucyję* a nami? Tak nie może być! Liczymy na was, pułkownika Pietrowski.

– Co mam zrobić? – zapytał słuźbiście Polak.

Pugo uśmiechnął się.

– Wyeliminować problem. *Cietaja zagwozdka – eto szef Polskiej Informacji, gienierał Kiszczak. Niet Kiszczaka, niet problemi!*

I tak się stało. Tak się musiało stać. O co jednak mogło chodzić Borysowi Pugo tym razem?

Komisarz powitał go kordialnie, uściskał i ucałował jak starego druha. To oczywiście nic nie znaczyło. Dwa dni po tamtej rozmowie w Mińsku, w bunkrze operacyjnym na Mokotowie sam Pietrowski też najpierw serdecznie przywitał dowódcę Wojskowego Wywiadu, a dopiero potem, gdy ten odwrócił się do barku po koniak, strzelił mu w potylicę.

– Macie problem, Grigoriju Władysławowiczu, a my razem z wami – powiedział *jewrokomissar* – chyba się domyślacie, o co chodzi? – Pietrowski próbował udać intensywną pracę umysłową, ale zrobił głupią minę i Pugo to dostrzegł. Przymrużył oczy. – Chyba nie zawodzi was wasza słynna intuicja? Dziś ten problem nazywa się Simon Ravell, czy jak wolicie – Szymon Rawski. Ale o ile wiem, polskie nazwiska wychodzą u was z mody – tu uśmiechnął się zgryźliwie – wszyscy teraz przybieracie ruskie końcówki lub obcinacie wasze zachodniosłowiańskie sufiksy.

– Szukamy Amerykanina i znajdziemy go, towarzyszu komisarzu – powiedział sucho Pietrowski, zastanawiając się, kto bez jego wiedzy zaalarmował Starą Łubiankę. (Gadzinow? Nogi z dupy mu powyrywam!!!)

– Nie wątpię, że znajdziecie. Liczy się jednak czas. Ale co tak stoicie? Usiądźcie, generale, to *w konce koncow* wasze biuro! – Generał usiadł, a Rosjanin ciągnął dalej: – Gdybym was nie znał, mógłbym pomyśleć, że wykazaliście karygodny brak czujności. Ta zgoda na wizytę Amerykanina w Warszawie, *propusk* na swobodne poruszanie się po *gorodie*.

– Nie było przeciwwskazań. I tak, przygotowując *międzunarodnuju wstriecku*, zakwestionowaliśmy jedną trzecią ze składu delegacji jankesów. Przyjechali tylko ci, co do których nie było większych zastrzeżeń.

– A udział tego Ravella w programie „Chronos” przegapiliście – Pugo ściszył głos do szeptu. – To chyba stało w jego aktach.

– „Chronos”? – Pietrowski błyskawicznie odzyskał inicjatywę. – Nie wiemy, co to był za program – wycedził. – Jeśli światowa centrala posiadała na jego temat jakieś wiadomości, to niestety nie była uprzejma powiadomić o nich sojusznika. Gdybym wiedział, czego dotyczył ten „Chronos”, i mógł się domyślić, w jakim celu Ravell

przybywa do Warszawy, z pewnością nie doszłoby do zdarzeń, które tak was niepokoją.

– Może tak, może nie – dialektycznie stwierdził *jewrokomissar*. – W każdym razie jestem tu, żeby sprawę wyprostować. – Słowo „wyprostować” zabrzmiało tak wieloznacznie, że Pietrowski przez krótką chwilę poczuł się jak na sądzie polowym w którymś z zamkniętych obiektów KGB. – „Chronos” był programem, który nigdy nie przekroczył granic Ameryki. Zresztą skończył się fiaskiem. Większość jego uczestników nie żyje. Wedle naszych informacji mister Ravell został zaangażowany do niego zimą roku 1991 lub w pierwszych dniach 1992... Można nawet powiedzieć, ocaliło mu to życie.

XII

(wcześniej i jeszcze wcześniej)

Który to był dzień picia? Piętnasty, dwudziesty, setny?

Szymon dawno już stracił rachubę czasu. Nie był nawet pewien, czy zaczął się już Nowy Rok 1992. Pewnie zaczął. Przypomniała mu się niedawna noc pełna fajerwerków, kiedy niebo nad Manhattanem przywodziło na myśl oszalałą fantasmagorię mistrza efektów specjalnych, a dwie oświetlone rżęsiście wieże World Trade Center strzelały w niebo niby architektoniczne wyzwanie, rzucone Stwórcy.

Rawski leżał w rozgrzebanym barłogu i nie mógł pozbierać się na tyle, aby wstać. Pocił się okropnie. Jego organizm gwałtownie domagał się kolejnej porcji alkoholu, zapasy jednak skończyły się, a on sam nie miał siły, żeby wyjść z domu. Z braku forsy nie mógł zamówić dostawy przez telefon. Wszystkie karty kredytowe zostały unieważnione. Jego rodzina w San Diego była zbyt daleko, by pomóc, zresztą po tym wszystkim, co im zrobił, nie miał odwagi dzwonić do matki ani do Agnieszki. A zwłaszcza do ciężko chorego ojca... Podobnie jak do dawnych przyjaciół z Bostonu. Sąsiadom zalegał jakieś bajeczne sumy, a rodzeństwo Anette?... Pamiętał, jak potraktowali go przy ostatnim spotkaniu. Nieomal jak sprawcę całego zła tego świata.

Podniósł słuchawkę, ale przywitała go cisza. Telefon też mu odcięto!

Teraz mógł tylko czekać na eksmisję, albo...

Uniósł się i stanął na czworakach, puste butelki rozbiegły się z brzękiem niczym kręgle, ściany gięły się, jakby zawieszane w wirtualnej przestrzeni. I tylko szara plama okna wydawała się jedynym celem realnym, choć odległym. Zajęło mu trochę czasu, zanim osiągnął parapet. Ale akurat czasu miał dość. Uniósł okno. Uderzył go chłodny powiew od East River. W zimowej szarówce dostrzegł kamienną panoramę

Manhattanu, bliżej kratownicę mostu Brooklyńskiego. Z zakamarków niepamięci powrócił obraz ojca w rozciągniętym swetrze, z nieodłącznym papierosem recytującego strofy Wołodi Majakowskiego:

*...Jak zelant oszalały
zapuszcza się
w kościół
jak idzie
do pustelni
na chłostę i post –
tak ja
w kłębowisku wieczornej szarości
pokorny
wchodzę na Brooklyński most...*

Aleksander Rawski nienawidził sowieckiej Rosji, ale kochał jej poezję. Gardził historycznymi chwalcami rewolucji, a jednocześnie podziwiał poetycki talent autora „Obłoku w spodniach” i lubił ową frazę, zamkniętą w schodki, chociaż prowadziła ku Złej Sprawie!

Paradoks, sprzeczność nie do pogodzenia? Nie potrafił przecież rozwiązać jej i sam Majakowski, skoro zdecydował się przerwać życie rewolwerowym wystrzałem.

Szymon nie posiadał rewolweru. Miał jednak to okienko i kilkanaście piętér, oddzielających go od poziomu bruku...

Do tego kroku przymierzał się od dawna. Czemu dotąd się wahał? Ze strachu?

Naturalnie, że przejmował go lęk przed owym lotem bezpowrotnym, przed nieuchronnym bólem. Nie miał też pewności, co tam zastanie.

Oczywiście nie wierzył w życie pozagrobowe. W wiekuiście nagrodę lub karę. Co jednak mogło zdarzyć się przed zapadnięciem w otchłań ostatecznego mroku, w umierającym mózgu? Jakie obrazy i przerażające projekcje czekały na progu ciemności? Czytał kiedyś opowiadanie science fiction o pastylce, która zdolna była wywołać w jaźni skazańca iluzję własnej egzekucji lub wieloletniej katorgi.

A może jednak – pocieszał się – w ostatnim błysku świadomości uda się zobaczyć jeszcze raz Anette, smukłą, zawadiacką, z kpiącym uśmiechem i cudownymi dołeczkami na policzkach, taką, jaką zapamiętał na zawsze z lotniska Kennedy’ego, kiedy w ów piękny kwietniowy dzień roku 1989 błagał ją, opodal kas Air France, aby wstrzymała się z lotem do Europy...

Przecucia i sugestie ojca skłaniały go do maksymalnej ostrożności. A sygnały, dobiegające ze Starego Kontynentu, przypominały pomruki nadchodzącej burzy.

Anette lekceważyła jego ostrzeżenia.

– Naprawdę nie musisz tam jechać – powtarzał.

Nie chciała go słuchać.

– Muszę, *my sweetheart!* – tłumaczyła dziewczyna. – Ten cykl reportaży ustawi nas oboje. Zrozum, mam szansę na Pulitzera. Poza tym czego się boisz? Francja to nie jakaś dzika Kambodża czy Angola. Tamtejsi komuniści mnie nie zjedzą. To cywilizowani ludzie, wychowani na najlepszych uniwersytetach. Wspólnie z socjalistami demokratycznie doszli do władzy, a ponieważ narobili bałaganu, to teraz po trzech latach lewicowego karnawału muszą przegrać wybory. Wedle wszelkich sondaży – sromotnie!

– I jesteś pewna, że komuniści uszanują werdykt elektoratu?

– Oczywiście. Nie mają przecież wyjścia. Powiem ci więcej, jestem pewna, że tegoroczne wakacje spędzimy razem w Cap Antibes, popijając pyszne francuskie wino.

Dwa miesiące później nie było już tamtej Francji i tamtej Europy. Komuniści mimo przegranych wyborów nie zamierzali oddawać raz zdobytej władzy. Po pierwszej turze lewicowe media oskarżyły „wrogów demokracji” o fałszerstwa wyborcze, a opanowane gruntownie przez współpracowników KGB centrale związkowe ogłosiły strajk generalny... Dotychczasowy „czerwony” parlament uznał się za jedyne legalne ciało w państwie i groził postawieniem urzędującego prezydenta przed Trybunałem Stanu.

Gdyby kryzys ograniczył się tylko do Francji. Niestety! Podobny scenariusz przypadł także w udziale Włochom. 21 kwietnia prezydent Andreotti, oskarżany zewsząd o korupcję, rozwiązał parlament Italii, oddając władzę lewicowemu Rządowi Tymczasowemu. Ten poszedł francuską, jakobińską ścieżką. Wybory miały się odbyć dopiero na jesieni.

Prawica obu krajów nie zamierzała jednak kapitulować. Pod hasłami obrony wolności rozpoczęły się protesty przedsiębiorców, kontrstrajki w sferze usług i komunikacji. Gniewne pomruki dochodziły też ze strony „wielkiej niemowy” – armii. W kilku miastach zdesperowani ludzie wyszli na ulice, atakując merostwa i komitety „Frontu Ludowego”. Doszło do krwawych zamieszek – „faszystowskich ataków na awangardę klasy robotniczej” – jak dosadnie nazywała te niepokoje agencja TASS. Ową interpretację podchwyciły miejscowe „wolne media”, tradycyjnie sprzyjające lewicy.

W reportażach Anette Laroche, mimo prób zachowania „równego dystansu” wobec stron konfliktu, coraz częściej brały górę emocje – powtarzały się oceny: niezrozumiały kapitał nienawiści, aberracja, amok. Nie widać było jednak obawy przed najgorszym, przed ewentualnością, której zresztą nie dostrzegł nikt po obu stronach Atlantyku. W kręgach opiniotwórczych tak bardzo obawiano się prawicowego

przewrotu (naturalnie z poduszczenia wstrętnej CIA), że nie dostrzegano, iż dokonywał się właśnie lewicowy.

Mimo ostrzeżeń ze strony Brytyjczyków i dramatycznych raportów z Warszawy od agenta ulokowanego na szczytach MON-u, prezydent Ed Kennedy nawet nie przerwał swego urlopu na Hawajach. Odbił jedynie krótką telefoniczną pogawędkę z prezydentem ZSRR Gromowem. „Stosunki radziecko-amerykańskie są lepsze niż kiedykolwiek” – głosiło wydane po niej oświadczenie rzecznika Białego Domu, Strobe’a Talbotta. „Planowo postępuje dalsze ograniczanie arsenałów atomowych”...

Tak nadeszła noc Walpurgi, z 30 kwietnia na pierwszy maja.

W wybitym różową tapetą apartamencie Gudrun Hefter „położonym na przedmieściu Bonn” telefon zadzwonił dokładnie o 4.30. Wyrwany z głębokiego snu kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Vogel dłuższą chwilę nie wierzył własnym uszom.

– *Was, was?* – powtarzał oszołomiony – *das ist unmöglich!* To przecież miały być tylko nocne manewry, uzgodnione z naszą stroną!

– *Nein!* – szef sekretariatu łamiącym się głosem powtórzył jeszcze raz. – To nie manewry... Od piętnastu minut mamy inwazję. Czołgi państw Układu Warszawskiego, biorące udział w ćwiczeniach na terenie NRD, przekroczyły bez najmniejszego uprzedzenia naszą granicę pod Schwerinem, Brunszwikiem, Eisenach, Hof i jeszcze prawdopodobnie w paru miejscach. Na co najmniej kilku lotniskach wylądowały desanty komandosów. Nie mam jeszcze informacji o ofiarach, wszędzie jednak doszło do pełnego zaskoczenia. Zaraz, przepraszam, właśnie otrzymuję faks z MSZ-u. Sowieci przekazali przed chwilą komunikat na falach wschodniobrzeźlińskiej rozgłośni...

– Czytaj szybciej!

– „Towarzysze, Bracia, to nie jest inwazja, tylko bratnia, internacjonalistyczna pomoc dla narodów Europy Zachodniej, zagrożonych faszystowską dyktaturą...”

– Ależ to absolutna bzdura, nie mieliśmy od lat żadnych konfliktów, nasze stosunki uchodziły za modelowe, przekazywaliśmy im wielomiliardową pomoc, dlaczego... – jęczał Vogel. – To trzeba wyjaśnić!

– Co tu wyjaśniać, panie kanclerzu, zostaliśmy zaatakowani! Minister obrony właśnie udaje się do centrum kryzysowego.

– Dobrze, zaraz tam będę...

Oszołomiony kanclerz, w samej górze od pidżamy, zaczął szukać spodni. Znalazł je pod łóżkiem i wtedy zobaczył zimne spojrzenie oczu Gudrun, tak niepodobne do normalnego wejrzenia kochanki.

– A dokąd się wybierasz, Misiu? – zapytała.

– Nagła sprawa, Żabko... – wybąkał. I urwał. Zobaczył w rękach Gudrun pistolet z tłumikiem. Przed oczyma stanęły mu prywatne ostrzeżenia deputowanego Kohla,

którego pokonał w ostatnich wyborach. „Wiem z pewnego źródła, że wśród pańskich najbliższych mogą być agenci Honeckera” – mruzczał zwalisty przywódca chadecji. Vogel wyśmiał te obawy.

Palec dziewczyny drgnął na spuszcie. „A więc jednak gruby Helmut miał rację” – było ostatnią myślą kanclerza.

Dokładnie w tym samym czasie ministra obrony zabiła bomba podłożona pod jego samochodem. Szefa resortu spraw wewnętrznych zlikwidował gaz, wpuszczony do przewodów klimatyzacyjnych w jego willi... Nim wstał świt, „piąta kolumna” komunistycznych dywersantów, ideowych *poputczików* czy po prostu „użytecznych idiotów”, sparaliżowała Niemcy. Sprzeczne rozkazy dla armii natrafiały na propagandowe przeciwuderzenia przeciwnika. Zresztą niemieccy żołnierze nie chcieli ginąć, a oficerowie nie widzieli sensu w stawianiu oporu. Amerykanie nie stacjonowali w Niemczech już od trzech lat, pershingi wycofano jeszcze w 83.

Do Ameryki wiadomości z Europy dotarły późnym wieczorem, zastając władze i media kompletnie nieprzygotowane. Gabinety Pentagonu świeciły pustkami, większość szefostwa centrali CIA w Langley wyjechała na weekend. „Armagedon się zaczął!” – wykrztusił przez telefon Rawski senior do Rawskiego juniora.

Przez całą noc, kiedy dopiero szukano doradców i ekspertów, zwoływano Radę Bezpieczeństwa Narodowego, bezskutecznie poszukując wiceprezydenta, łowiącego ryby gdzieś w Wyoming, a stary Ed Kennedy, doznawszy zapaści, zamiast w Owalnym Gabinetcie lub w bunkrze w Nebrasce znajdował się w sali reanimacyjnej. Sowietci niepowstrzymanie parli naprzód, posuwając się doskonałymi niemieckimi autostradami, nie bombardując żadnych obiektów, nie używając rakiet ani haubic. Ogień z broni ręcznej otwierano tylko w przypadku oporu. Równocześnie jeszcze przed świtem z każdej dziury wychynęli Zielono-Czerwoni, dawni ekologiści, pacyfiści, antyfaszyści, anarchiści – tak naiwniacy, jak pospolici agenci, zjednoczeni wspólną akcją burzenia burżuazyjnego państwa. *Wilkommen, kameraden* – mogli przeczytać oficerowie polityczni na rogatek zachodnioniemieckich miast. Wkrótce ulice tychże metropolii zaroily się od bojówek niedawnych pacyfistów, naraz doskonale władających kałazami i granatami, a nad tłumami demonstrantów zatrzepotały czerwone sztandary.

Odosobnione ogniska oporu Bundeswehry skapitulowały po pięciu dniach umiarkowanych walk. Resztki dywizji francuskich – armia radziecka nie zatrzymała się na Renie – po dziesięciu. Rzym, o dziwo, wbrew tradycyjnie kiepskim opiniom o bojowym duchu makaroniarzy, bronił się dłużej. Złamało go dopiero dywanowe bombardowanie Watykanu i Kwirynału, w trakcie którego ostatni papież przepadł bez śladu.

A Anette Laroche?

Mimo próśb Szymona pozostała w Paryżu do końca. Zginęła śmiercią rasowej reporterki, na oczach milionów widzów, razem z większością korespondentów amerykańskich, kiedy śmigłowiec CNN-u, startujący z dachu ambasady USA przy placu Concorde, ugodziła rakietą odpalona przez jakiegoś nadgorliwego rewolucjonistę. Informacje przekazane przez telewizję i relacje naocznych świadków, które udało się uzyskać Rawskiemu za pośrednictwem znajomego z ambasady tunezyjskiej, potwierdziły wersję oficjalną. Zdruzgotany własną tragedią mógł tylko śledzić kolejne etapy podboju Starego Kontynentu.

Nikt nie pomógł Europie Zachodniej. Szwajcaria i Szwecja ogłosiły neutralność. Wielka Brytania skwapliwie skorzystała z rozejmu. USA, zagrożone narastającą guerillą w Iberoameryce, wspartą przez tamtejszy Kościół Wyzwolenia, uspokojone oświadczeniami, że broń atomowa nie zostanie użyta, a prawa człowieka (w miarę możliwości) uszanowane, ograniczyły się do werbalnych potępień i ogłoszenia ekonomicznych sankcji...

I tylko Polska! Romantyczna, naiwna Polska spontanicznie zerwała się do nierównej walki. Od początku nie było żadnego planu. Młodzi ludzie z roczników dojrzałych po roku 81, nienaznaczeni doświadczeniem ostatnich klęsk, postanowili przeszkodzić najeźdźcom. Chłopi, robotnicy, studenci, żołnierze, a nawet część pracowników frontu ideologicznego nie poparli agresji Wschodu na Zachód. Przerywano linie komunikacyjne, atakowano radzieckie transporty. W kierownictwie PRL-u, gdzie jak zwykle karierowicze konkurowali z pospolitymi głupkami, a rusofile z nacjonalistami, delikatnie zezującymi w stronę Pekinu, doszło do politycznego klinczu, którego efektem był decyzyjny pat. Operacja „Wiosenna Burza” trwała już drugi dzień, a nie ukazało się oficjalne stanowisko Komitetu Centralnego. W oświadczeniu na pierwszej stronie „Żołnierza Wolności” można było przeczytać ogólnikowy wstępniak „Wypełnić internacjonalistyczny obowiązek”. Stanowisko Polski nie powinno mieć większego znaczenia geopolitycznego, obowiązujący w całym wschodnim bloku stan rewolucyjny i tak oddał pełnię władzy w ręce szefa sił zbrojnych Paktu Warszawskiego a zarazem genseka, Gromowa. Jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, w zda się zrusyfikowanym do cna Ludowym Wojsku Polskim ujawniła się proamerykańska konspiracja. Na jej czele stał szef Sztabu Generalnego, generał Ryszard Kukliński.

Przekonany o rychłym kontruderzeniu amerykańskim, zapewniany przez łącznika z CIA, że w wypadku wystąpienia polskiej armii przeciw Sowietom nieuchronny odwet atomowy oszczędzi Polskę, wystąpił przeciw Układowi Warszawskiemu. W nocy z trzeciego na czwarty maja elitarny korpus stołecznego WSW aresztował starych promoskiewskich generałów. Kilku z nich, między innymi Sawczuk, Molczyk i Baryła zostało rozstrzelanych w lasach pod Magdalenką. Głównodowodzący, marszałek

Wojciech Jaruzelski, rozdarty między zdradą a niesubordynacją wobec Moskwy, popełnił samobójstwo. Dzień wcześniej zmobilizowane dywizje Frontu Zachodniopomorskiego, zamiast zgodnie z rozkazami generalissimusa Gromowa uderzyć na Szlezwik-Holsztyn i Danię, odmówiły wykonania rozkazów, omal nie udaremniając operacji „Wiosenna Burza”.

Gdybyż jeszcze ktokolwiek na kontynencie zachował się jak Polacy!

Drobne incydenty na Węgrzech, demonstracje na placu Wacława w Pradze, dezercja bułgarskiej brygady do Turcji, bohaterskie w swej wymowie – nie miały większego znaczenia dla przebiegu kampanii.

Amerykańskie rakiety pozostały bezczynne w swych silosach. Zgodnie z kalkulacjami kierownictwa Sowietów Biały Dom nie zaryzykował wymiany ciosów i atomowej zagłady.

„Lepiej być czerwonym niż martwym” – odparł ponoć Strobe Talbott na telefoniczne błagania o pomoc króla Hiszpanii Juana Carlosa.

A prezydent supermocarstwa? Na wpół sparaliżowany Kennedy na pokładzie Air Force One udał się na cały tydzień do Nebraski, skąd słał pełne oburzenia protesty, memoriały, lecz nie podejmował żadnych decyzji militarnych. Zresztą zebrany na nadzwyczajnej sesji Kongres odmówił wysłania wojsk do Europy. Anglicy, oszczędzani przez sowieckie naloty, bezpiecznie i honorowo ewakuowali się z Brestu, Cherbourga i Dunkierki. Natomiast Chińczycy, na których pomoc liczyła do niedawna Unia Europejska, pogratulowali Rosjanom błyskotliwego zwycięstwa nad imperializmem... „Kiedy kot łapie myszy, nie szczuje się go psem” – powiedział na plenum KPCh sędziwy Deng Xiaoping.

14 lipca na Polach Elizejskich defilowały radzieckie dywizje, czerwone sztandary łopotały ponad rzymskim Kapitelem i ateńskim Akroplem. Taki był koniec starego świata. I prawdziwy koniec młodości Szymona.

W miarę jak tracił nadzieję na cudowne ocalenie Anette, coraz więcej pił. W coraz rzadszych okresach trzeźwości bezradnie obserwował *normalizację Zapadnoej Jewropy*. Jej pełne skomunizowanie zabrało ludziom Gromowa trochę czasu. Podobnie jak w latach czterdziestych w Europie Wschodniej, najpierw powstały demokracje ludowe, kierowane przez rządy koalicyjne. Później jednolita czerwień z małymi regionalnymi dodatkami, jak frygijska czapeczka czy czarny orzełek, zalała kontynent od Gibraltaru po Peloponez. Z czasem bezpośrednią administrację przejęły z rąk okupantów rządy kolaboracyjne, a narodowe czerezwyczajki mogły zacząć posługiwać się subtelniejszymi formami terroru. Faza ta zabrała sporo czasu. Podobnie jak pokrycie nowych „demoludów” siatką gułagów. Ciekawe, że w pierwszej kolejności zaczęli do nich trafiać nie promineneci z prawicy – tych dość szybko udało się kupić, zastraszyć lub zabić – ale oszołomieni postępowymi wizjami idealisci; ponieważ

nawet do nich zaczęło wreszcie docierać, że wymarzony obóz pokoju i socjalizmu to po prostu jeden wielki łagier. W dodatku szybko doprowadzony do gospodarczej niewydolności i kryzysu zaopatrzeniowego.

Jednak mało kto mógł podzielić się podobnymi opiniami. Cenzura, bliźniacza siostra bezpieki, zadbała o to, aby wszyscy mieli zdrowe, socjalistyczne poglądy. O rozpaczliwych buntach, jak rzeź robotników Fiata w Turynie czy pacyfikacja rolników w Wandei, świat miał się w ogóle nie dowiedzieć.

Po paru latach szarej i beznadziejnej normalizacji bardzo trudno było uwierzyć, że istniała kiedyś całkiem inna, kolorowa i radosna Europa. Ta jej część umarła lub została zabita w owe majowe dni 1989 roku. Nawet ci, którym udało się przeżyć do końca swe dni, mieli czuć się jak martwi. Rawski, chociaż oddzielony barierą Wielkiej Wody, coraz bardziej tracił sens życia. Czekać, aż los Europy spotka Amerykę? Doprawdy opuszczenie tego najgorszego z możliwych światów zdawało się całkiem rozsądną alternatywą.

Szymon zestawił doniczkę z wyschniętym fikusem na podłogę. Ręce mu drżały, ale wraz z podjęciem decyzji dotychczasowy natłok obrazów ustąpił miejsca nieprawdopodobnej pustce. Przełożył bosc stopy przez parapet. „Anette, czekasz tam na mnie?”

– Chwileczkę!

Silna ręka zacisnęła się na jego ramieniu. Któż to się objawił? Nieistniejący anioł stróż?

– Skoczyć zawsze zdążysz, ale może najpierw porozmawialibyśmy.

Rawski odwrócił głowę.

– Profesor Rossman? – zawołał.

– Możesz mówić mi Karol albo „Dajan” – powiedział fizyk, odciągając go od okna.

XIII

– Program „Chronos” stworzyła grupka naukowców-zapaleńców, w większości świeżych uchodźców z Europy, takich jak niejaki Rossman, *jewriejskij dissident iz Polszy* – opowiadał Pugo. – Znalazła mocne wsparcie lobby „jastrzębi” w Departamencie Obrony. Wysupłano dla niej jakieś tajne fundusze, znaleziono stary obiekt niedaleko Flagstaff w Arizonie... Znasz się na fizyce, Grigorij?

– Uczyłem się kiedyś, jak wszyscy, towarzyszu komisarzu – odparł Pietrowski. – Wiem z grubsza, jak działa maszyna elektrostatyczna, ale reaktora atomowego nie skonstruuje.

– Zatem nie będę wprowadzał cię w naukowe zawiłości. Grupa zajęła się badaniami dziedzin uchodzących dotąd za paranaukowe – konkretnie możliwości ingerowania w przeszłość.

– Chcieli skonstruować wehikuł czasu?

– Wehikuł czasu to literackie mrzonki *tawariszcza Dżordża Łelsa*. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzy w możliwość realnego podróżowania w czasie. Toteż ich badania nie szły nawet w tym kierunku. Uchwycono się pomysłowi, nazwanego od nazwisk twórców hipotezą Bauera-Rossmanna. Chodziło im o takie przyśpieszenie mikrocząstek, aby osiągały prędkości większe od światła. Mówiąc obrazowo, żeby pojawiały się, zanim jeszcze zostały wyemitowane.

– Z tego, co wiem, sam stary Einstein wykluczył taką możliwość.

– Akurat w tej sprawie ów stary *Jewriew* mógł się mylić. Podobnie jak wcześniej mylili się jego wielcy poprzednicy, zakładający choćby niepodzielność atomu. Doświadczenia we Flagstaff potwierdziły słuszność teorii obu fizyków. Już w roku 1997 ludziom z „Chronosa” udało się skonstruować właściwy akcelerator. Rok później przystąpiono do praktycznych doświadczeń. Czytałem raporty naszego agenta, uczestniczącego w eksperymencie. W hermetycznym cylindrze umieszczono ciężarną samicę szczura. W tym samym pudle znalazł się pojemnik z trucizną, zamknięty na elektroniczny zatrzask. Mniej więcej po półgodzinie od zamknięcia, kiedy narodziny małych szurków stały się faktem (zostały sfotografowane i nagrane), wysłano w przeszłość impuls, mający dwadzieścia pięć minut wcześniej uruchomić pojemnik i wypuścić toksyny. Potem otwarto cylinder. Wiesz, co tam znalezione, Grisza?

– Martwe szczury?

– Jednego ciężarnego szczura, w dodatku nieżyjącego od blisko pół godziny. Małe szurki w ogóle się nie urodziły.

Pietrowski omal nie zaklął ze zdumienia.

– Nie będę ukrywał, sukces doświadczenia zaniepokoił naszych specjalistów – kontynuował Pugo. – Nawet półgłówki zdawał sobie sprawę, że powodzenie eksperymentu otwiera drogę do ingerowania w przeszłość w zdecydowanie szerszym zakresie. Na szczęście praktyczne wykorzystanie tego odkrycia okazało się niemożliwe.

– Jak to?

– Na kilka dni przed kolejnym doświadczeniem Karol Rossmann ogłosił nową teorię, znaną później jako „drugie twierdzenie Rossmanna”. Naukowiec dowodził w nim, że każda zmiana dokonywana w przeszłości generuje niewyobrażalną liczbę dalszych zmian, narastających w postępie geometrycznym. „Likwidacja jakiegoś osobnika z przeszłości – pisał – sprawia nie tylko, że nie urodzi się jego syn. Z jednej nawet niewielkiej zmiany wynikają miliardy błyskawicznie narastających modyfikacji,

zrazu drobnych, często niezauważalnych, jednak o wręcz nieprawdopodobnych konsekwencjach w przyszłości, czyli teraźniejszości: jedna niezdeptana trawka, zwalczona bakteria, odrobina dwutlenku węgla w powietrzu więcej uruchamia lawinę kolejnych zmian, a wszystkie te przekształcenia po skumulowaniu prowadzą do niekontrolowanej eksplozji – rozsadzenia istniejącej już rzeczywistości. W efekcie – przestrzegał Rossman – wynikiem jakiegokolwiek nieograniczonej ingerencji w przeszłość musi być łańcuchowa destrukcja, mogąca w efekcie doprowadzić nawet do unicestwienia biologicznego życia na całej planecie”.

– Czy to możliwe? – generał popatrzył na eurokomisarza.

– Profesor Bauer nie podzielał do końca tezy Rossmana, jednak radził zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Nasi naukowcy z Leningradu nie mieli dość danych na potwierdzenie lub zaprzeczenie teorii, jednak również wskazywali na ogrom ryzyka. W Ameryce Rossman wymógł na przełożonych, aby następne doświadczenie, będące głębszą ingerencją w przeszłość niż pierwszy eksperyment, odbywało się w warunkach rzeczywistości wyizolowanej. Posłuchano go. W zawieszonym w próżni baniaku o pojemności dziesięciu tysięcy metrów sześciennych stworzono cały doskonale zaprogramowany ekosystem: rośliny, zwierzęta, drapieżniki, roztocza. Dla zwiększenia bezpieczeństwa laboratorium nadzorujące eksperyment zostało również hermetycznie oddzielone od reszty świata. Uniemożliwiono wszelkie kontakty, odcięto łączność, nawet telefony. Jeden ze zwierzątek miał wszyty mały detonator. Po miesiącu niezakłóconego funkcjonowania mikroświata planowano nadać impuls wsteczny i zabić nosiciela, a potem przeanalizować efekt takiej modyfikacji przeszłości...

– Udało się?

– Trudno ocenić jednoznacznie. W dniu uruchomienia programu cały obiekt został odcięty. Wyłączono wszystkie telefony, zablokowano łącza komputerowe...

– No i?

– Kiedy minął miesiąc i dodatkowy tydzień kwarantanny, a laboratorium nie nawiązało kontaktu z centralą, z Waszyngtonu wysłano ekipę ratunkową. Ratownicy wyważyli zablokowane drzwi, pokonali syfony próżniowe i dotarli do wnętrza. Tam doznali szoku. W miejscu dawnego laboratorium nie znaleziono dosłownie nic.

– Jak to nic?

– Chyba wyrażam się precyzyjnie, towarzyszu generale. Trochę popiołu, osmalone ściany, stopione kable... Gigantyczna implozja zniweczyła całe wnętrze obiektu. Nie przeżył nikt z pięcioosobowego personelu, żadna żywa istota, roślina, wyparowały wszystkie urządzenia... Rossman i Bauer zginęli.

– A nasz przyjaciel Ravell?

– Miał wielkie szczęście, nie uczestniczył w tym eksperymencie. Przebywał akurat

w San Diego u matki, chorej na astmę.

– Rozumiem, że był to ostateczny koniec „Chronosa”?

– Wszystko na to wskazuje. W każdym razie nie posiadamy informacji, by ktokolwiek kwapił się kontynuować badania, ryzykując totalną zagładę planety. Nie wydano w tej sprawie żadnych komunikatów, tajne służby zatarły ślady. Całą dokumentację, zanim trafiła w nasze ręce, pochłonęły niszcarki.

– A Ravell?

– Poszukał sobie innej, mniej ryzykownej pracy, poświęcając się ochronie środowiska naturalnego.

Na twarzy Pietrowskiego w miejsce dodatkowego napięcia pojawił się wyraz ulgi.

– Znaczy, nie ma żadnych dowodów, że jego pobyt u nas może mieć jakikolwiek związek z jego „chronosowym” epizodem?

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Pugo. – Ale jako człowiek myślący kompleksowo wiem, że przypadków nie ma – są co najwyżej nieudokumentowane ciągi przyczynowo-skutkowe. Dlatego tu jestem. I uważam, że równie ważne jak złapanie Simona Ravella jest ustalenie, po co tak naprawdę ten Polako-Amerykanin tu przybył.

Rozmowę z *jewrokomissarem* przerwało przybycie Gadzinowa. Ledwie zasalutował szefowi, natomiast z towarzyszem Borysem przywitał się jak ze starym dobrym znajomym, co jeszcze spotęgowało zły nastrój przełożonego.

„Co ten gnojek kombinuje za moimi plecami?” – zastanawiał się, słuchając raportu swojego zastępcy.

– Zlokalizowaliśmy starą Marczyńską. Babka Ravella mieszka nadal na Grochowie i choć od dawna jest na rencie, pracuje na pół etatu w Domu Sierot – meldował. – Ma opinię osoby nieprzychylniej wobec władzy ludowej. Ale żadnej działalności bezpośredniej nie podejmuje. Zleciłem całodobową obserwację... Ech, ci emeryci, więcej z nimi kłopotu niż z młodymi!

– Nie da się pozbyć wszystkich szkodliwych elementów za jednym zamachem, szczególnie emerytów... – zgodził się z tą opinią Borys Pugo.

– Może trzeba dziś więcej rewolucyjnej odwagi... – zauważył sucho Pietrowski. – W roku 1990 ponad sto tysięcy aspołecznych *zapadnojewropejczyków* zostało załadowanych na barki, które wkrótce potem przypadkowo zatoneły w Morzu Północnym.

– Ale u was nawet emeryci nie pójda jak barany na rzeź – przerwał mu Pugo. – Pozwólmy dalej mówić waszemu zastępcy.

– Uznałem, że niezależnie od obławy, prowadzonej przez Listkowa, w okolicach, które penetrował ten amerykański *szpion*, nie zaszkodzi zalać wszystkich studzienek toksycznymi substancjami – chwalił się Gadzinow. – Akurat stoi kilka składów cystern

ze zrączy odpadami na bocznicach przy Olszynie... znaczy Lasku Grochowskim – poprawił się, świadom, iż dawna nazwa Olszynka Grochowska, upamiętniona słynną bitwą powstania listopadowego, jako niemiła dla rosyjskich przywódców, była obecnie zakazana. – Przelejemy całą zawartość do beczkowsów i zawieziemy na tereny świętokrzyskiego cmentarza. To, czego szukał tam Amerykanin, czymkolwiek by było, stanie się dla niego niedostępne. Nawet gdyby zdobył sprzęt do nurkowania. Substancje, jakich użyjemy, przeżrą każdą maskę i każdy skafander, jeśli nawet coś takiego udałoby mu się skombinować.

– Zuch, *maładiec* – Pugo poklepał polczekistę, który przymknął ślepią jak pogłaskany kundel. – Połowa sukcesu to mieć dobre pomysły! Wiesz, o czym mówię, towarzyszu generale?

Pietrowski zagryzł wargi. No, niech tylko Rusek wyjedzie, a on już się zajmie swym zbyt ambitnym politrukiem. Zachciało mu się rozgrywki poza plecami szefa? Ciekawe, od kiedy? Pieprzony bladolicy onanista!

– *Na wsiakij pożarnyj słuczaj* zalaliśmy też betonem wszelkie podziemne drogi, prowadzące w rejon cmentarza świętokrzyskiego – kontynuował swój meldunek Gadzinow. – Uzgodniłem też z majorem Listkowem kolejne kroki i sądzę, że już od jutra uda się zacząć dezynfekcję kanałów pod całym *Skansieniem* przy pomocy napalmu. Przy okazji pozbędziemy się mnóstwa szczurów i dzikich kotów... A jeśli wskutek akcji zmaleje trochę liczba nielegalnych mieszkańców... – urwał i zaśmiał się brzydtko – w końcu to tylko ich osobisty kłopot.

– *Charaszo!* – skomentował Pugo.

– Obawiam się jednak, że środki zaproponowane przez Gadzinowa mogą nie wystarczyć – rzekł Pietrowski.

– Wiem, wiem, ten wasz ksiądz to podobno jakiś magik cudotwórca, zdolny swymi sztuczkami wyprowadzić niejednego w pole. Znałem takich! Pojaliśmy kiedyś w Wietnamie jednego dezentera, Sybiraka – nie uwierzycie, kule plutonu egzekucyjnego się go nie imały. Sznur rwał się. Ale już po kwadransie spędzonym pod wodą miał dosyć. Wniosek – na każdego znajdzie się sposób. Najważniejsze, towarzysze, to zindywidualizowane podejście do przeciwnika. Jeśli są trudności ze złapaniem Amerykanina, należy sprawić, aby Amerykanin sam przyszedł do nas – tu uśmiechnął się i zmieniając ton, zapytał: – Co mamy jeszcze w planie na dziś?

– Pozwoliłem sobie zorganizować miłą kolację w gościnnym pawilonie, my dwaj, parę *assistantek*... – zaproponował generał – *małenkij wiesiełjyż użin*.

– Darujemy sobie kolację i asystentki – przerwał oschle Pugo. – Jestem trochę zmęczony. Spotkamy się rano – tu w jego oku pojawił się dziwny błysk – mam nadzieję, że i ja będę miał dla was miłą niespodziankę.

XIV

– Niesamowite, po przebudzeniu nie mogłem się poruszyć, a teraz odczuwam jedynie lekkie zmęczenie – Rawski zdumiewał się wydolnością własnego organizmu.

Ze Starówki głębokim kanałem przedostali się na Muranów, prześlizgując się przez opustoszałą, nigdy niedokończoną stację metra „Dzierżyńska”. Jacek twierdził, że nad tym miejscem unosi się klątwa rabinów ze zniszczonej synagogi. Skromny posiłek zjedli gdzieś pod gmachami sądów. Młody przedsiębiorczy człowiek, który zniknął na ledwie pół godziny, skombinował nie wiedzieć skąd bochenek czarnego chleba i puszkę tuszonki.

– Wszystko można dostać za samogon – wyjaśnił i zachichotał. – Ruscy nawet nie pytają, z czego jest pędzony.

Przy okazji wręczył Rawskiemu okazałych rozmiarów zegarek, enerdowskie cacko marki Ruhla, mające pełnić rolę następcy utraconego roleksa.

– Dziękuję ci, Jack, niestety nie mam jak zapłacić, te typy ze Świętokrzyskiej pozbawiły mnie całej gotówki.

– Drobiazg, szefie! Rozliczymy się później, w najgorszym razie zwróci mi pan po prostu tego buksiaka.

Ksiądz nie jadł razem z nimi – jak wcześniej wyjaśnił, jego jedyne pożywienie od lat stanowiła woda, raz dziennie hostia i odrobina namiastki mszalnego wina. Po posiłku łukiem starego kolektora podążyli w stronę dawnej ambasady chińskiej, aby znów zawrócić ku Starówce. Z zewnątrz nie docierały do nich żadne niepokojące dźwięki. Widocznie ze względu na zapadające ciemności zawieszono obławę. Do tej pory nie zetknęli się w kanałach z żadną grupą pościgową. Owszem, dwakroć umykały przed nimi jakieś cienie, słyszeli pośpiesznie oddalające się kroki, ale byli to tylko inni lokatorzy podziemi, wskutek ciężkich doświadczeń życiowych wysoce nietowarzyscy.

– Daję słowo, diabła tutaj nie ma, został na górze – uspokajał Rawskiego ojciec Jerzy – niedługo będziemy mogli trochę odpocząć. Nie wznowią pościgu przed świtem.

Wreszcie przystanęli, ksiądz zarządził popas w niewielkiej gotyckiej piwniczce, ukrytej głęboko pod jednym z domów na Nowym Mieście, który, jak twierdził Jacek, przypominał z zewnątrz ceglany kurhan. Za starych dobrych czasów musiał mieścić się tu skład winny, albowiem w murach zachowało się przytłumione wspomnienie dawnego aromatu. Piwniczka, położona na trzecim poziomie podziemi, znajdowała się niedaleko kanału, gwarantującego możliwość szybkiej ewakuacji. Temperatura była w niej zdecydowanie wyższa niż na powierzchni, zwłaszcza że za ścianą przebiegał czynny rurociąg grzewczy. Znajdowały się przy nim liczne – jak określał Jacek –

ujutne wnęki, w sam raz nadające się na noclegownię bez niebezpieczeństwa odmrożenia sobie uszu.

– Tu możemy spać bezpiecznie – powiedział ojciec Jerzy.

Jeśli wierzyć enerdowskiemu zegarkowi, do chwili rozpoczęcia operacji pozostawała niecała doba. A Rawski był od celu równie daleko, jak przed rozpoczęciem operacji. Do tego słaby, połamany, bezbronny.

Znając perfidię KGB, brał pod uwagę, że cała okazana mu pomoc może być jedynie misterną prowokacją, mającą na celu wyciągnięcie z niego informacji o podjętej misji. Jego wybawcy zachowywali się dość dziwnie. W trakcie wielogodzinnej ucieczki kapłan ani razu nie zapytał Szymona o cel przybycia do Warszawy, ani o to, co zamierzał robić dalej. Jacek prawdopodobnie miał wielką ochotę zapytać. Ksiądz wydawał się być zupełnie obojętny. Może po prostu wiedział?

Musiał jednak zaufać im obu. A chłopca wykorzystać jako zwiadowcę. Cóż za paradoks. Losy świata i jego własne życie zależały teraz od tego niepozornego dziecka ulicy, małego sutenera, kombinatora, a czasem złodziejaska...

– Chciałbym, abyś sprawdził możliwość dotarcia nocą do tej studzienki kanalizacyjnej na Świętokrzyskiej – powiedział. – Sprawdź, czy ci, jak ich nazywasz „bolsze”, wystawili tam jakiś posterunek.

– W porządku, szefie. Tylko powiedz, czego tam szukamy. Skarbu?

– Jak wrócisz, to ci powiem.

– Okiej. *Never mind!*

Warszawski gawrosz zniknął, a pogrążonego w mroku Szymona trącił dłonią ojciec Jerzy:

– Bądź spokojny, nie zawiedziesz się na chłopaku – powiedział. – Dzisiejsi warszawiacy mają dość uproszczony system wartości: ot, ze trzy przykazania z dziesięciu, kilka szczątkowych zasad życiowych i wiara będąca połączeniem magii i ułamków Pisma – takie nadwiślańskie voodoo. Jednak to, co im jeszcze zostało, traktują niesłychanie poważnie – dane słowo, przyjaźń. Ich zachowania przypominają relacje międzyludzkie w pierwotnym plemieniu. Chcą przetrwać. Ale wiedzą, że nie dadzą rady w pojedynkę.

Wynurzenia księdza skłoniły Rawskiego do postawienia kwestii nurtującej go od dawna:

– Skąd wzięli się tu ci ludzie, proszę księdza? Słyszałem, że wtedy, w roku 1989, po ataku gazowym, nalotach dywanowych i użyciu napalmu nikt nie miał prawa przeżyć w lewobrzeżnej Warszawie.

– Ja przeżyłem – wielkie źrenice księdza Jerzego znalazły się na wysokości oczu Szymona. – Ja, paru kloszardów w głębi kanałów, kilku rannych. Niestety wszyscy potem umarli, poza mną...

– Więc skąd wzięli się ci wszyscy dzisiejsi mieszkańcy?

– To napływowy element, przedmiot eksperymentu socjologicznego, właściwego naturze euroazjatyckich okupantów! – uśmiechnął się gorzko kapłan. – Już dość dawno temu Rosjanie polubili zsyłki, przymusowe osiedlenia. Teraz w swych doświadczeniach posunęli się dalej, wymyślili sobie tani ludzki śmietnik na świeżym powietrzu. Bandyty, złodzieje, buntownicy, jeśli nie chcą poddać się socjalistycznej reedukacji, mogą uciekać w ruiny. Tu nieletnie matki pozbywają się niechcianych płodów, tu uciekają ci, którym się wydaje, że mogą stać się obiektem łowów i *bezprizorni*, na których polują czekałsi.

– Jednak tolerowanie takiego *gruzowego skansiena* stanowi chyba dla okupanta pewne ryzyko?

– Ich zdaniem nie ma żadnego ryzyka. Wśród mieszkańców ruin mają sporo konfidentów, że nie wspomnę o licznych rozmieszczonych kamerach, monitoringu lotniczym, satelitarnym... Toteż władze otrzymują pełną informację, co w trawie piszczy, można nawet powiedzieć, że jest to ich system wczesnego ostrzegania. Zresztą podobne gruzowiska zafundowano Rzymowi, Berlinowi, chyba również Madrytowi... Dostarczają informacji, a czasem, przy okazji swoistych kryptejów, również rozrywki.

– Jednak księdzu udało się przeżyć tyle lat.

– Wola Boża, szczęście, a poza tym wie pan, ilu z tych informatorów spowiada mi się około Wielkiej Nocy?

– Rozumiem, że do Jacka można mieć zaufanie?

– Jak do własnego dziecka. Znalazłem go w ruinach koło placu Dzierżyńskiego w pierwszym roku okupacji. Był parodniowym oseskiem, porzuconym na gruzowisku. Zająłem się nim najlepiej, jak potrafiłem. Chociaż nie byłem chyba najlepszym ojcem zastępczym. Kiedy miał osiem lat, uciekł ode mnie i moich nauk. Jednak teraz, kiedy ma problemy, wraca. Coraz częściej. Jest moim najlepszym przyjacielem na tej ziemi...

Tu urwał, wstał i otrzepał ubłoconą sutannę. W słabym świetle latarki wydał się Rawskiemu jeszcze drobniejszy, bledszy.

– Wybacz, synu, ale pora na mnie – rzekł przepraszająco. – Przede wszystkim jestem tu ciągle duszpasterzem. Wrócę za godzinkę, może dwie.

Poprzedzany krążkiem światła zniknął w głębi korytarza, a myśli Szymona pożeglowały na drugą półkulę, gdzie dopiero budził się dzień.

XV

Świtało. Mgły leżały na zboczach na podobieństwo płatów waty, a ciepły wiatr od

Pacyfiku sprawiał, że ślady burzy śnieżnej, jaka przed dwoma dniami przeszła nad południową Kalifornią, dając się we znaki gajom pomarańczowym, zniknęły bez śladu.

Samochód, niespełna trzyletni Landrover z napędem na cztery koła, zahamował tuż przed bramą Ośrodka.

– Dzień dobry, pani doktor – zaspany strażnik wychylił się przez okienko, omal nie wylewając świeżo zaparzonej kawy. – A cóż to – do pracy w sobotę?

Odsunęła się przyciemniana szyba obok kierowcy i wyjrzała młoda opalona twarz, otoczona burzą blond włosów. Oczywiście śliczna Agnes Graham, któż by inny?

– Cześć, Tim! – powiedziała, posyłając mu promienny uśmiech. – Zostawiłam w biurze trochę notatek, nad którymi chciałam posiedzieć w weekend, wezmę je z pracowni i zaraz wracam. Chcesz zajrzeć do wozu?

– Jeśli pani wyrazi ochotę, mogę zrobić najwyżej rewizję osobistą – Tim oblizał się w duchu i nacisnął przycisk, otwierający dostęp do obiektu. Agnes nie śpieszyła się z przejazdem.

– Nie wiesz, czy w laboratorium nie ma przypadkiem Chrisa? – zapytała. – Lubi tam czasem nocować.

– Nie widziałem doktora Zemana trzy dni – odparł strażnik i sposepniał. Według krążących plotek Agnes i ten płowłosy drągał z zadartym nosem stanowili parę. – W ogóle nie ma tam dziś nikogo. Chyba naprawdę ci z rządu chcą zamknąć nasz Ośrodek. Aha, byłbym zapomniał – wyciągnął rękę do Agnes – wczoraj przy pani miejscu parkingowym znaleziono te okulary. To chyba pani własność? Bardzo eleganckie.

Młoda kobieta wzięła ciemne szkła i założyła je.

– Dziękuję – powiedziała – robię się ostatnio coraz bardziej roztargniona. Te plotki o zakończeniu programu wszystkim działają na nerwy. Zaraz wracam.

Wjechała na dziedziniec i zaparkowała jak najbliżej wejścia do pawilonu A. Wzięła z przedniego siedzenia małą, firmową walizeczkę Hewletta-Packarda i podeszła do połyskliwej płyty zastępującej drzwi. Przytknęła oko do czytnika rogówki.

„Dzień dobry, doktor Graham” – powiedział elektroniczny bas. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Weszła.

„Miłego dnia” – skomentował cyber-cerber.

Wewnątrz zautomatyzowanej portierni obok przestronnego hallu nie zauważyła ani pół człowieka, toteż zamiast ruszyć do swojego biura, szybko podeszła do pulpitu, na którym jarzyły się ze dwa tuziny kontrolki. Otworzyła laptopa i połączyła go kablem z konsolą.

„Wprowadź kod osobisty” – zażądał system.

Wystukała dane dyrektora Howarda. Oszustwo nie wyda się wcześniej niż w poniedziałek. Potem posłużyła się skradzionym kodem bezpieczeństwa. Z jego pomocą

odbezpieczyła trzy tuziny drzwi, wprowadziła retrospektywne programy dla kontrolnych kamer tak, by pokazywały jedynie puste wnętrza, na koniec uruchomiła opcję „goście”, umożliwiającą otwarcie szerszej przestrzeni dla manewrów. Wreszcie wydała komendę: „Drzwi główne!”

Otworzyły się błyskawicznie. W tym momencie z bagażnika rovera stojącego pod murem wysunęły się dwie postacie. Drobniejsza zajęła miejsce kierowcy. Założyła bujną blond perukę, poprawiła szminką usta i sięgnęła po zostawione na siedzeniu ciemne okulary.

– Do dzieła, Peggy, pokaż ile jesteś warta – szepnęła Agnes, myśląc o najbliższej przyjaciółce.

Mężczyzna tymczasem energicznym krokiem wszedł do hallu. Drzwi samoczynnie zamknęły się za nim. Rover zakręcił zwinnie i pomknął ku bramie. Peggy, w identycznym kostiumie, makijażu i ciemnych szklach wyglądająca dokładnie jak Agnes, machnęła ręką Timowi, który mechanicznie otworzył bramę. Czuł narastającą senność. Jego zmiennik miał nadejść dopiero za dwie godziny. Nawykowo rzucił okiem na monitor kontroli systemu zabezpieczeń – wszystko działało w porządku, w całym ośrodku znów nie było żywego ducha.

Dwie godziny wystarczyły, by Chris i Agnes zadomowili się wewnątrz kompleksu. Na główny punkt działania Zeman wybrał małe pomieszczenie bez okien, z dwoma stanowiskami komputerowymi, tuż obok swojej dawnej pracowni. Od miesięcy przygotowywali się do operacji. Cały potrzebny sprzęt znajdował się w ich osobistych szafkach, wypadało tylko dokonać podłączenia. Dla postronnego obserwatora, ba – nawet dla satelitów komunikacyjnych akcja miała wyglądać jak jeszcze jedna zaszyfrowana rozmowa telefoniczna. Nie istniały na świecie urządzenia, zdolne namierzyć zmodyfikowaną „nadfale”, podróżującą w przeszłość szybciej od światła.

– Myślisz, że się nam uda? – zapytała Agnes.

Uśmiechnął się jak człowiek wyzbyty jakichkolwiek lęków.

– Jeśli twój brat zamocował modem w ustalonym miejscu, dokonamy synchronizacji. Potem uruchomimy akcelerator i prześlemy oba nagrania.

– Nie pytam o synchronizację. Pytam o ten przekaz w przeszłość. Czy wierzysz, że to się może udać? Że nagranie dotrze do właściwego adresata, a jeśli nawet, ten posłucha Szymona?

– Szymon mówił tylko, że istnieje pewna szansa. Nie był w stanie określić, jak duża. Nikt nie robił podobnych eksperymentów od czasu katastrofy w 97... Zresztą i wtedy doświadczenia ograniczały się do krótkodystansowych testów. Jednak uznaliśmy, że trzeba zaryzykować. Nie mamy innego wyjścia.

Popatrzyła na niego z miłością. Wiedziała, że robi to wyłącznie dla niej. O politykę nie dbał, zresztą w odróżnieniu od Polaków, w podbitej Europie jego zakarpaccy

ziomkowie radzili sobie całkiem dobrze. Odpowiedział uśmiechem:

– Powiedzmy sobie otwarcie, kochanie: szansa jest znikoma, ale tym bardziej nie wolno nam jej zaprzepaścić.

XVI

Zostały dwadzieścia dwie godziny. Tylko dwadzieścia dwie! Szymon wpatrywał się przez dłuższą chwilę w fosforyzującą tarczę starego buksiaka. Czekał, aż wskazówka sekundowa dokona pełnego obiegu tarczy. Pocziwa ruhla. Dostał taką w prezencie na Pierwszą Komunię... Gdzieś w ruinach kościoła Najświętszej Marii Panny odezwała się sowa pójdzka. Z pewnością interesujący okaz dla ornitologa. Szkoda, że nie mógł się tym zająć. Zastanawiał się, czy Chrisowi i Agnes udało się już dotrzeć do ośrodka. Czy poradzili sobie z zabezpieczeniami? A co z programami maskującymi, przygotowanymi tak, aby nikt w stacjach przesyłowych nie zwrócił uwagi na zwiększony pobór mocy? Jedno było jasne: bez dokładnej synchronizacji wave-markera z akceleratorem cały plan brał w łeb. Wyemitowany sygnał poszybowałby w nicość. A synchronizacji można było dokonać wyłącznie poprzez umieszczenie modemu na tym starym kablu.

Z głębi korytarza dobiegło szuranie. Wróg czy przyjaciel? Na wszelki wypadek wyłączył trzymaną latarkę. Wstrzymał oddech. W jego stronę sunęła jakaś żywa istota, coś mniejszego niż człowiek, a zdecydowanie większego niż szczur. Coś doskonale znajdującego drogę w panujących ciemnościach.

– Krewa, szefie! – powiedział Jacek, kiedy znalazł się obok Rawskiego – ci pierdoleni bolsze wpakowali się nam w paradę!

Książd, który w chwilę później pojawił się z przeciwnej strony, potwierdził wieści przyniesione przez chłopaka. Rejon nekropolii na Świętokrzyskiej stał się absolutnie niedostępny.

– Na ziemi aż roi się od funkcjonariuszy – opowiadał kapłan – wszystkie przejścia kanałami zostały zacopowane, natomiast do podziemi koło Poczty nalano jakichś trujących chemikaliów.

– Nie przedostaniemy się tam za chińskiego boga! Jeśli planował pan wydobycie czegoś stamtąd, to może pan wracać do domu – podsumował urwis.

– Nie chodziło mi o wydobycie – odparł – zamierzałem jedynie dotrzeć do starych przewodów telefonicznych, jeszcze sprzed drugiej wojny światowej.

– Akurat na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej?

– Z moich informacji wynikało, że tam zachowały się łącza jeszcze sprzed powstania. Miałem do nich dotrzeć.

– Chciałbym cię dobrze zrozumieć – zapytał półgłosem ksiądz. – Chodziło ci o dotarcie do nich konkretnie w tym jednym miejscu?

– Nie, ale o innych równie starych przewodach nic mi nie wiadomo.

– Zaraz, zaraz, synu! Jeśli dobrze rozumiem, chodzi ci o zabytkowe instalacje, które działały jeszcze przed drugą wojną?

– I podczas wojny, aż do powstania!

– Obojętnie gdzie?

– Były w Warszawie, w Śródmieściu. Ważne, żeby nie były ruszone z miejsca.

– No, to prawdopodobnie jest jeszcze parę takich punktów. Nawet tu, na Starówce.

– Może ksiądz wskazać miejsce? – ożywił się Rawski.

– Nie, nigdy nie zwracałem uwagi na coś takiego, ale przypuszczam...

– Mogę popytać ludzi, którzy skupują złom miedziany – wtrącił się nagle Jacek.

– Wyszabrowali na pewno wszystko – mruknął Szymon. – A mnie zależy na kablach, które leżą nietknięte ponad pięćdziesiąt lat.

– Każdy rasowy szabrownik zachowuje żelazny zapas na czarną godzinę – powiedział chłopak. – Jutro, pojutrze pójdę w miasto, popytam, gdzie trzeba.

– Pojutrze będzie za późno! Jeśli są gdzieś takie przewody, muszę dostać się do nich przed upływem dwudziestu godzin!

– Jeśli to takie istotne, to dotrzemy do nich, synu, przed terminem – oznajmił duszpasterz ruin.

Jacek był bardziej dociekliwy:

– Mogę zobaczyć to ustrojstwo, które trzeba zamontować?

W zasadzie dlaczego miał mu nie pokazać? Szymon ostrożnie wyciągnął zawiniątko i rozpakował je, wyjmując modem, oprzyrządowanie, zaciski...

– I co z tym trzeba zrobić...? – drobne dłonie Jacka wyglądały na wyjątkowo sprawne.

– Zainstalować na starym kablu telefonicznym w ten sposób. – Rozstawił wszystkie elementy i zaczął demonstrować zasady montażu. – Wyobraź sobie, że ta zapalka to jest przewód... Teraz spróbuj zrobić to sam.

Ksiądz obserwował szkolenie z dystansu, uśmiechając się cierpliwie.

– Może pora spać – zaproponował wreszcie.

Na spoczynek wczółgali się do wąskiej komory, przypominającej parooosobową trumnę. Jej standard zdecydowanie podnosiła odsłonięta rura grzewcza, od której rozchodziło się dobroczynne ciepło. Ale Rawski długo nie mógł zasnąć. Był podniecony. Może jednak się uda. Przynajmniej wysłać przekaz. Co będzie z odbiorem i z reakcją – trudno przewidzieć.

Sen zaczął go morzyć, kiedy od północy dobiegły ich głosy intensywnej kanonady.

Długie serie z broni automatycznej przerywały krótkie detonacje granatów ogłuszających.

– Co się dzieje? – poderwał się i zawył, uderzając boleśnie głową o niskie sklepienie.

– Jakaś zadyma przy wiadukcie kolejowym – szepnął chłopak. – Może to znowu *desperados*.

– Kto?

– Nieszczęśnicy z Europy Zachodniej, deportowani na Syberię – objaśnił ojciec Jerzy, który też był na nogach. – Zdają sobie sprawę, że Polska to jedyne miejsce, gdzie po ucieczce raczej nie zostaną wydani w łapy Czeki... Toteż kiedy pociąg zwalnia przed wjazdem na most, próbują niekiedy uciekać. Czasem im to się udaje... Idę tam!

– Zaraz! Chce ksiądz iść pod kule? – przeraził się Szymon. – Po co?

– Wypełniać swoją posługę. Na pewno będą zabici, ranni i potrzebujący pociechy.

– Czyste szaleństwo!

– Nic mi nie będzie, synu, zaręczam ci. Nie widzę powodu, aby właśnie tej nocy opuściła mnie łaska Boża. Ty zostaniesz! – powstrzymał energicznie Jacka, który też sposobił się do wyjścia. – Pod moją nieobecność przejmiesz opiekę nad naszym gościem.

Strzały cichły, oddalały się. Przez jakiś czas wyły syreny wozów milicyjnych, warczał śmigłowiec. W końcu zaległa cisza. Rawski leżał jeszcze dłuższy czas, pogrążony w mroku, a jego myśli falowały między nadzieją i rozpaczą. Wszystko działo się tak szybko. Wpadł już na samym początku akcji, plan awaryjny nie został dopracowany...

Z wolna myśli zaczęły mu się plątać. Rzeczywistość mieszała się z fikcją – znów nie wiedział, gdzie jest: w Nowym Jorku, w San Diego, w Warszawie?

Na pograniczu sennej nirwany dogonił go cichy szept: „Wszystko zależy od ciebie, Szymonie”. Resztką świadomości usiłował ustalić, kto to mówi – warszawski ksiądz czy profesor Rossman?

XVII

Intensywny zapach pomarańczy...

Kiedyś woń taka kojarzyła się z przygotowaniami do Wigilii. Z tarciami skórki, niezbędnej do pieczenia świątecznego ciasta. Jednak nie znajdował się w kuchni babci Zosi. Zapach dochodził od strony dojrzewających sadów pomarańczowych, spływających po stokach wzgórz prawie do samego ganku jego nowego domu.

Kiedyś uważał to miejsce za ucieleśnienie spełnionego amerykańskiego snu. Żywy dowód na możliwość odniesienia sukcesu w Nowym Świecie, na przewycięzenie nostalgii i apatii. Wyszedł z alkoholowych korkociągów, powoli pogodził się z utratą Anette, a „Chronos” miał doprowadzić do triumfu dobrej historii nad złą. Miał. Gdyby nie pech czy fatum jakieś! Czy wszystko, w czym uczestniczył, było zawsze skazane na zgubę, a ludzie, których kochał, musieli przedwcześnie odchodzić – ukochana dziewczyna, ojciec, teraz Karol? Choroba mamy dopełniała czary rozpacz. Nie cieszyło go już ani słońce, ani wspaniała przyroda. Tuż przed nim na rattanowym stoliku stała butelka. Jeszcze zamknięta. Ale kusząca. Skąd tam się wzięła? Chyba musiała przytoczyć się sama. Od ponad sześciu lat nie zaznał smaku alkoholu. Owszem, bywało, śnił mu się po nocach. Na szczęście coraz rzadziej. Absorbował go przecież cel, miał pracę. I przyjaciela. Do wczoraj.

Najpierw w wiadomościach pojawiła się krótka, enigmatyczna wzmianka o katastrofie we Flagstaff. Potem zadzwonił ktoś ze sztabu „Chronosa” w Waszyngtonie. „Już chyba wiesz, stary, zginęli wszyscy, to wręcz nie do uwierzenia!...” Wreszcie późnym wieczorem złożyło mu wizytę dwóch facetów w czarnych garniturach i podobnie ciemnych okularach. Dopytywali się o Ośrodek i powód, dla którego od miesiąca znajdował się poza nim.

Powtórzył wersję o chorej matce. Skłamał, twierdząc, że nie zna dokładnie szczegółów ostatniego eksperymentu. Agenci zapowiedzieli, że zostanie zaproszony na oficjalne przesłuchanie za kilka dni i polecili nie opuszczać San Diego. Potem oddalili się, zostawiając go w stanie głębokiej depresji. W trakcie bezsennej nocy wielokrotnie analizował postępowanie Rossmana. Wcześniej nie przychodziło mu do głowy, że opiekuńczy profesor, wysyłając go do San Diego, mógł kierować się czymkolwiek innym poza współczuciem i podziwem dla synowskiej miłości. Z drugiej strony, od najważniejszego eksperymentu dzieliły ich dni, a choroba matki, choć należała do przewlekłych, z pewnością w aktualnym stadium nie groziła śmiercią... Może zatem nie chciał narażać go na ryzyko, z którego zdawał sobie sprawę? Albo nawet dopuszczał myśl o katastrofie...?

Naraz z całą precyzją stanęła mu w oczach ostatnia rozmowa z profesorem. Jak zwykle nieuczestany, Rossman biegał po gabinecie, rozmawiając równocześnie przez dwa telefony, Simon czekał zaś na krótką przerwę, aby się pożegnać. Widząc, że sytuacja jest beznadziejna, a z dziedzińca raz po raz odzywa się klakson autobusu, rzucił „do zobaczenia” i wyszedł. Karol dopędził go na schodach.

„Nie łam się chłopie, że nas zostawiasz, wykorzystaj dobrze ten miesiąc, odpocznij. Będziesz potrzebował dużo siły. W życiu każdego człowieka musi istnieć hierarchia spraw ważnych, rodzina, ojczyzna, ludzkość. Choć czasami kolejność bywa odwrotna”.

Uściskali się. Mógłby przysiąc, że od profesora zaleciał zapach alkoholu. Dziwne, Rossman znany był jako zagorzały abstynent. „Pamiętaj, liczę na ciebie, mały, wierzę, że to, co ja zacząłem, ty kiedyś skończysz...”

Bzdura! Nic już nie było do skończenia.

Pozostawał ból i uczucie wdzięczności. Karol wiedział o niebezpieczeństwie. Karol nie chciał go narażać. Tak... Byłaby w tym jakaś konsekwencja. W ciągu ostatnich sześciu lat cały czas usiłował go chronić. Wyrwał ze szponów nieuleczalnej, zda się, choroby alkoholowej, natchnął nadzieją, zapalił do programu „Chronos”.

(„Masz pojęcie, jak fascynująca jest perspektywa poprawiania historii świata!”)

Jakież piękne przeżywali wówczas dni, jakież szaleńcze żywili marzenia! A teraz zabawa dobiegła kresu. Wszyscy odeszli: najpierw Anette, potem tata, wreszcie Karol... Butelka sobie tylko wiadomym sposobem znów przesunęła się po stole i znalazła w zasięgu jego ręki...

Na podjeździe zaskrzypiał żwir, zapiszczały hamulce. Agnieszka przywiozła mamę po serii zabiegów. Zwinnie schował trunek pod szafką. I nieco chwiejnie wybiegł na podjazd.

Pani Rawska po dwóch tygodniach spędzonych w klinice czuła się dużo lepiej, natomiast Agnieszka promieniała wręcz optymizmem. Mówiła o dobrych perspektywach leczenia, o niewielkiej uciążliwości respiratora, zacytowała dwa dowcipy opowiedziane przez lekarza.

– Aha – powiedziała na koniec – jadąc po mamę, zajrzałam do biura. Wyobraź sobie, na nazwisko Agnes Graham, zaledwie pół roku byłam zamężna, a korespondencja ciągle przychodzi na Graham, dostarczono gruby, niepodpisany list, w środku była druga koperta zaadresowana na ciebie. – Podała mu przesyłkę. Pochłonięty myślami o przyjaciółce-butelce, chciał już cisnąć list na stertę nieprzeczytanej korespondencji, wypełniającej wielką paterę obok telefonu, jednak jakiś nie do końca uświadomiony impuls skłonił go do rozerwania koperty.

Wewnątrz znajdowała się płyta CD, a na niej krótki napis: „Nasze ulubione monstrum na szpilkach”. Wzruszenie złapało go za gardło – rozpoznał kanciasty charakter pisma Karola.

Nie odpowiadając na pytania Agnes: „Czy to coś ważnego?”, pobiegł do swego pokoju. Zapomniał o butelce, drżącymi rękoma otworzył laptopa i wsunął krążek do czytnika dysków.

Na monitorze pojawił się napis: „Wprowadź kod DL”.

Zaniepokoił się. Kod DL (nazywany „samobójczym”) oznaczał, że wprowadzenie jakiegokolwiek mylnego hasła spowoduje automatyczne skasowanie zawartości dyskietki. Opanował jednak nerwy. Pięć kropek dowodziło, że oczekiwane hasło musi być pięcioliterowe. Aż prosiło się wpisać własne imię „Simon”... A może „Karol”?...

Za proste! O wiele za proste! Jeżeli Rossman nie chciał, aby jego dyskietka trafiła w niepowołane ręce, z pewnością nie zaryzykowałby najprostszego skojarzenia. W dodatku, nie bez powodu opatrzył dyskietkę odręczną notatką. W zamyśle zrozumiała tylko dla nich dwóch. Cóż jednak mogło oznaczać: „Nasze ulubione monstrum na szpilkach”?... „nasze monstrum... na szpilkach?” Chwileczkę!

Razem z profesorem Rossmanem znali jedną taką osobę. Przed dwudziestu laty, w Warszawie. Jednak jako hasło nie pasowało ani trzynastoliterowe nazwisko dyrektorki ogólniaka, ani krótkie imię – Ewa. Natomiast jej przezwisko...?

Szymon wziął głęboki oddech i wystukał: LARWA.

Przez moment czekał na uruchomienie autokasacji, jednak nic takiego nie nastąpiło, z delikatnym brzękiem otworzył się plik tekstowy.

Drogi mój!

W tym równaniu nie ma niewiadomej. Jeśli czytasz moje słowa, wniosek może być jeden, ja nie żyję. Zresztą jeśli nie czytasz, też. Piękny paradoks – czyż nie? Z wiekiem człowiek zauważa, że nasz świat zawiera w sobie więcej paradoksów, niż można to sobie wyobrazić. Paradoksem jest życie i śmierć, paradoksem jest materia, której de facto nie ma, i energia, o której, im dłużej badamy zagadnienie, nic pewnego nie można powiedzieć. A wiara, właściwa każdej ludzkiej kulturze, czyż w istocie nie jest rzeczą nie do wiary? Nie mówiąc już o naszej grze z czasem – czy może raczej wypadłoby powiedzieć o „grze na czas”?

Niech cię nie zwiedzie mój pogodny ton, Szymonie, boję się dziś przyszłości nie mniej, niż ty bałeś się jej ze stopami przerzuconymi przez parapet okienka twego nowojorskiego mieszkania. Nie ma jednak innego wyjścia. Ktoś musi to zrobić. Ja wyprzedzam jedynie nieuchronne. Od paru miesięcy jestem naznaczony, mówiąc górnolotnie, „stygmatem Tanatosa”. Lekarz nie pozostawił mi złudzeń. Rak – mój znak astrologiczny. Może zostało mi jeszcze pół roku, może rok. Z bardzo przykrą końcówką. To – być może zgodzisz się ze mną – wybitnie komfortowa sytuacja dla przyszłego samobójcy. Można powiedzieć – promyk zachodzącego słońca na zasnutym burzowymi chmurami niebie. Ostatnia szansa na zrobienie czegoś dobrego.

Powiadają, że całe życie jest nieustannym oswajaniem się ze śmiercią. Pamiętasz dzieciństwo i swoje ówczesne wyobrażenia o kresie? W szczenięcych latach kostucha jest czymś tak dalekim, że wręcz nieobecnym. Dopiero kolejne śmierci – dziadków, rodziców, kolegów – sprawiają, że nagle pani z kosą staje się naszą bliską znajomą. Taką namolną, wścibską sąsiadką zaglądającą coraz częściej i częściej. Jak się żyje? Kiepsko? A może już wystarczy?”

Pamiętam, iż jako młodzieńca przerażał mnie bezsens siedemnastowiecznych wojen. Te czworokąty jaskrawo umundurowanych mężczyzn maszerujące w zwartym

szyku i strzelające do siebie na komendę z karabinów, często z dystansu kilkunastu kroków. Mechaniczne ruchy, chmurki dymu, osuwające się ciała. Dziś nie widzę w tym niczego nadzwyczajnego. Każda ludzka generacja jest takim czworobokiem, zrazu świeżym, dziarskim, z rozwiniętymi proporcjami, nowiuteńkimi koletami. Grają trąbki bojowe. Serca się do czynu rwą! Strzały, zrazu rzadkie, powalają najpierw najbardziej nieostrożnych, narwanych lub tylko pechowych, próbujemy ich zastępować, uzupełniać, tylne szeregi stają się pierwszymi, aż w końcu zostaje nas kilku, sztandar, puste ładownice... „Gwardia umiera, ale się nie poddaje”. Czasy zmieniły się na tyle, że miast maszerować, jedziemy na ruchomych platformach, do kresu dnia.

Dość jednak literatury, „pora uderzyć w czynów stal”, jak mawiali nasi ojcowie.

Oklamałem cię, Szymonie. I to nieraz.

Oklamałem zresztą wszystkich. I teraz, stojąc u progu nieskończoności, proszę Boga, Jahwe, Allacha czy jakiegokolwiek TAM nosi imię, aby moje kłamstwo nie wydało się za prędko.

Zdecydowałem się na mistyfikację i na zbrodnię. Zrobiłem to z oczywistego powodu. Nie mogłem dopuścić, aby ONI przejęli nasz wynalazek. Powiesz: obsesja. ONI, ONI! – Przewrażliwiony Karol popada w schizofrenię. Rozumiem cię. Ciągle jeszcze nie masz nawyku oglądania się za siebie. Nie wzbudza twych podejrzeń samochód dostawczy, stale parkujący w tym samym miejscu, ani facet w parku, udający, że czyta gazetę. Nie zauważasz mikrokamery wpiętej w obicie ścienne, nie przeczuwasz mikrofonu w telefonie. Zaczyniesz, zaczyniesz...

Są wszędzie. W FBI. W CIA. W naszym departamencie! W mediach. Dawne śpiochy z lat détente i nowi, cyniczni, inteligentni, myślący już o czasach, „gdy związek (ten bratni) ogarnie ludzki ród”. A ilu jest wśród nich po prostu kupionych albo tylko szantażowanych. Czy bez owej tajnej armii Sowietów weszliby w Europę Zachodnią jak nóż w zjełczełe masło? Myślisz, że nasz „Chronos” ostał się bez ich inwigilacji?

Drogi mój, z pięciu osób, które zginą wraz ze mną, może jedna nie jest z nimi związana, a i to niepewne.

Zapytasz mnie o dowody. Jakież mam przytoczyć lepszy dowód niż ja sam? Tak, przyjacielu, ja sam jestem, czy raczej byłem, jednym z nich.

Nie bądź zaszokowany. I nie sądz mnie przedwcześnie. Kiedy wypuszczali mnie za granicę Imperium Zła, musiałem podpisać pewne zobowiązania. Myślałem: czcza formalność.

A jednak przypomnieli sobie o mnie, kiedy znalazłem się w Ameryce... Odnaleźli, zaproponowali to i owo. Oczywiście odmówiłem. Jednak parę lat później, kiedy w grę wchodziło uratowanie mego rodzzonego brata, mego brata, znakomitego aktora, wywiezionego w 89 z Krakowa i umierającego na gruźlicę nad Kołymą, znalazłem się

w sytuacji bez wyjścia... Nie chciałbym, abyś kiedykolwiek stanął wobec podobnego wyboru. Zdecydowałem się ratować Alberta, rzuciłem im na odczepnego jakąś ćwierćinformację, coś z plotek ogólnie znanych w naukowym środowisku, jeden przeterminowany projekt... Nic, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Kupili to. Al znalazł się w Japonii, gdzie po miesiącu zmarł na moich rękach. Zrobili dobrą transakcję. Co? Myślałem: nie odezwą się więcej.

Ale potem dostałem tę robotę w „Chronosie”. Łakomy kąsek dla czerwonych pluskiew. Znowu mnie znaleźli. Teraz miałem do wyboru: albo zgłosić się do FBI, wyznaczyć, kim jestem, i stracić program, albo kontynuować grę. Nie! Nawet takiego wyboru nie miałem. Przecież w FBI też byli ich ludzie.

No więc grałem dalej. Mówiłem im, ale nie wszystko, fałszowałem dane, zmieniałem parametry. Mistrzowskim posunięciem miało stać się opublikowanie „drugiej hipotezy Rossmana”, czyli naukowego wywodu, że „Chronosa” nie da się wykorzystać w praktyce. Uwierzono mi. Prawie. Okazało się, że Bauer też pracuje dla nich i jest bliski zdemaskowania moich poczynań. Potrzebna jest więc kropka nad i. Śmierć moja i Bauera. Zagłada całego laboratorium. Rozumiesz, malutki? Muszę zainscenizować wiarygodny fajerwerk, by zniechęcić potencjalnych manipulatorów do majstrowania w przeszłości. Strach przed totalnym unicestwieniem powinien zablokować ich na jakiś czas. Dobrałem środki wybuchowe tak, aby eksplozja wyglądała w pełni wiarygodnie i by nie pozostawiła żadnych śladów po nas i po programie.

A jaka jest prawda? Inna. Moja prawdziwa teoria brzmi: Wszechświat, choć wygląda na zbiór paradoksów, jest logiczny i rozumny. Ktoś to wszystko kontroluje. Zapobiega destrukcji. Ponad Chaosem unosi się Duch. Pamiętasz z „Genesis”: „I Duch unosił się nad wodami”. Toteż zmiana przeszłości nie unicestwia totalnie teraźniejszości, tylko ją zmienia. Drobin w kalejdoskopie przesuwiają się, tworząc inne kompozycje, ale nie przestają istnieć. Ergo, gdyby w kontrolowany sposób dokonać modyfikacji naszego Wczoraj, twoje Dziś mogłoby wyglądać zupełnie inaczej... Nie zagłada, tylko inna wersja.

Czytając, Simon czuł kompletną suchość w gardle, a nad wzruszeniem coraz silniej dominowała ciekawość. Znając Rossmana, wiedział, że profesor nigdy nie działał bez namysłu, bez planu. Jego śmierć nie mogła być tylko ucieczką. Była środkiem zmierzającym do przedsięwziętego celu.

Można powiedzieć: „nie wszystkich umrę”. Choć pociągnę za sobą cały ośrodek, sprzęt i załogę dobraną tak, aby wśród ofiar znaleźli się wszyscy sowieccy agenci (jestem pewien, że zgłoszą się na ochotnika), zostaniesz ty, Szymonie, oraz

kwintesencja mojej teorii, zawarta w drugiej części dyskietki. Zostawiam ci również propozycję kilku rozwiązań. Oczywiście nikt nie wie, że od paru miesięcy przygotowywałem program alternatywny. Na dużo mniejszą skalę, bez wykorzystywania laboratorium, sztabów ludzi. Mówi ci coś nazwisko Chris Zeman? Tak, ten złośliwy krytyk moich teorii sprzed paru lat. Zajmuje się kwestiami pozornie nieśtychaniem odległymi od „Chronosa”. Tylko pozornie...

Jego wielką zaletą jest, iż dotąd nie angażował się w politykę. Nie jest, a przynajmniej nie był inwigilowany przez Sowietów. Ale przede wszystkim jest na zabój zakochany w Agnieszce, twojej siostrze. Od dawna próbuje skłonić ją do podjęcia pracy w ośrodku pod San Diego. Sądzę, że jeśli przekonasz Agnes do naszych planów, ona skaptuje Zemana bez trudu. W ośrodku Zemana znajduje się aparatura, która po pewnych modyfikacjach winna umożliwić realizację mego pomysłu. Pełny projekt adaptacyjny znajdziesz na niniejszym dysku. Pamiętaj, nie kontaktuj się z Chrisem bezpośrednio. Jakiś czas będziesz czujnie obserwowany. Przez Nich i przez Naszych, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Zajmij się jakimiś duperelami: ekologią pustyni Nevady, prawami politycznymi dla delfinów. I przynajmniej przez najbliższy rok nie myśl o niczym innym. Do kontaktu z Zemanem używaj wyłącznie swej siostry. Niech przed przejściem do pracy u Chrisa zmieni parę razy miejsce zamieszkania i zatrudnienia. I ważne – niech posługuje się wyłącznie nazwiskiem Graham. Agnes Graham – to brzmi dużo ostrożniej niż Agnieszka Rawska. Być może nie zostanie wyłapane już w pierwszej chwili przez agenturę. We wzajemnych kontaktach unikajcie Sieci, kart kredytowych, telefonów, szczególnie komórek. Nie wciągajcie innych ludzi. To jest zadanie wyłącznie dla was trojga!

Wierzę, że Ci się uda. W coś wierzyć trzeba. Pustka jest najgorsza. Wiem to po sobie, od lat szamocząc się między agnostycyzmem, teizmem... Czasami bardzo chciałbym po prostu wierzyć w Pana Boga, jeśli nawet nie takiego z fresków Michała Anioła, to przynajmniej z rysunków Jeana Effela. Zawsze dzieliło nas za dużo zaszłości: moje dwie tradycje w genach, ateistyczny dom, heglowskie ukąszenie... Dziś chyba w Niego wierzę, choć nie bardzo wypada mi się do tego przyznać. W każdym razie, kiedy całkiem niedługo Go spotkam, przeproszę Staruszka za wszystko. Jeśli okaże się Bogiem bardziej z Nowego niż ze Starego Testamentu, być może mi wybaczy.

Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś o zwornikach, najłabszych punktach historii, których zmiana mogłaby odmienić wszystko. Wytypowaliśmy wtedy trzy lub cztery miejsca w historycznej czasoprzestrzeni.

Decyzja należy do ciebie. Jednak, dokonując wyboru, weź pod uwagę nie tyle rozmach przedsięwzięcia czy początkową głębokość zmiany, ile szansę realizacji. Plan, jeśli ma się powieść, musi być przede wszystkim możliwy.

Jeśli potrafisz się modlić, Szymonie, pomódl się czasem. Za mnie...

XVIII

Naraz po uśpionych korytarzach rozlało się prawdziwe wiadro dźwięków. Niewyraźnych wprawdzie i dość odległych, ale już przez samą swoją nieproszoną obecność wysoce niepokojących. Dudniły nierozpoznawalne słowa, kraszone muzyką dziwnie znajomą, choć pogłos podziemi mocno ją zniekształcał. Czyżby jakiś mieszkaniec tych kanałów posiadał radio na baterie?

Szymon nastawił uszu i, zmacawszy obok siebie latarkę, omiótł snopem światła ciasne pomieszczenie. Barłogi z gazet i szmat, które wczoraj obok niego zajmowali ksiądz i wyrostek, świeciły pustką. Najwidoczniej ojciec Jerzy nie wrócił jeszcze ze swej nocnej wyprawy, a Jacek, nie budząc go już, wyruszył szukać telefonicznych przewodów. Oby mu się udało. Rawski narzucił podarowaną przez księdza ciepłą kufajkę, wysunął się z sypialnej norki i podążył wyschniętym kanałem w poszukiwaniu źródła dźwięków.

Melodie i słowa. Słowa i melodie... Co mu to przypominało? Najbardziej chyba ciepłe pierwszomajowe przedpołudnia, kiedy pod oknami jego śródmiejskiego mieszkania maszerowały poczty sztandarowe i grupy mieszkańców Woli, podążające na punkt zborny przed pochodem. „Pochód pierwszomajowy przypomina życie małżeńskie – przypominał sobie stary żart. – Ochota dawno przeszła, ale Wola musi dalej maszerować”. Dziś jednak nie było ani ciepło, ani majowo. A zatem...?

Przyśpieszył kroku, coraz mniej uważnie patrząc pod nogi... Naraz rozwarła się przed nim głęboka rozpadlina. Poleciał w dół dobre dwa metry, kurczowo ściskając latarkę, która jednak zgasła przy upadku. Runął na kozuch zeschnięty nieczystości, przeturlał się po nim i zatrzymał, boleśnie uderzając o ścianę. W słabym naturalnym świetle, sączącym się z góry, dostrzegł ceglany mur, na którym wyraźnym cieniem odbijała się krata. Odwrócił głowę w drugą stronę. Ujrzał jasne, chłodne niebo. Podpełził ku kracie, przegradzającej wylot kanału. Przed sobą widział wiślany brzeg, skutą lodem rzekę. Po drugiej stronie zabudowania mniej zniszczonej Pragi, gdzie władze Priwislinii skoncentrowały ministerstwa, szkoły i teatry. Insurekcję '89 przypominała jedynie ścięta w połowie wieża kościoła św. Floriana. Korytarz zakończony kratą przypominał jakąś scenę filmową, tylko z czego? Naturalnie z „Kanału” Wajdy – dramatycznego podsumowania losów pokolenia („Kolumbów? – raczej robinsonów?” – zżymał się Aleksander Rawski, kiedy tylko słyszał to określenie, zaczerpnięte z książki Bratnego – „Kolumb wyruszył świadomie odkrywać świat, Robinsona natomiast bez jego woli wypluł na wrogi ląd bezwzględny ocean. Tak jak

nas”).

Skąd brała się ta dziarska muzyka? Najwyraźniej wzdłuż podskarpia, obok przejezdnej Wisłostrady, rozwieszono głośniki-szczekaczki. Wkrótce dało się rozpoznać również słowa.

„W przededniu święta Wyzwolenia Stolicy – gdał spiker postawionym głosem filmowego amanta – całe społeczeństwo i władze Autonomicznej Republiki Nadwiślańskiej oddają hołd radzieckim wyzwolicielom Warszawy z pęt faszyzmu, imperializmu i nacjonalizmu”. Wypowiedź kończyło dobitne: „Niech żyje Socjalistyczna Eurazja! Niech żyje lepsze jutro swobodnych ludów!”

Uderzony pigułą nowomowy Szymon cofnął się od zakratowanego wyjścia. Zaiste pobyt w kanałach okazał się przyjemniejszy od egzystencji w świecie zewnętrznym. Ruszył z powrotem. Wreszcie dźwięki ucichły. Po jakichś schodkach wszedł do niskiego tunelu. Potem skręcił w prawo...

– Nie, zaraz! – zatrzymał się. – Ten skręt powinien być chyba w lewo, a potem w dół.

Jednak schodki prowadziły dalej w górę. Zaniepokojony, postanowił się cofnąć. Źle! Zamiast przejść do suchego korytarza, natrafił na jakiś błotnisty kolektor. W dodatku znów się pośliznął. Latarka wypadła mu z dłoni i znikła w cuchnącej brei.

– No to koniec!

Dobry kwadrans gmerał w płynącej gnojówce. Nic nie znalazł. Widocznie nurt zmył latarkę gdzieś dalej.

Starając się opanować narastającą panikę, szedł, potykając się, przytulony do ściany. Poszukiwał najmniejszego choć światełka w mroku. Nie umiał jednak odnaleźć nawet schodków. Tunel ciągle opadał. Niedobrze, z tego, co zapamiętał, powinien się podnosić. Musiał zabrnąć zdecydowanie za daleko, skoro od dłuższego czasu nie słyszał muzyki. A może po prostu skończono próbę megafonów? Parę razy z piskiem umknęły mu spod nóg szczury. Wreszcie jego ręce dotknęły muru. Tunel przegradzała lita ściana. Macał dosyć długo, szukając jakiegokolwiek przejścia, daremnie, wszędzie solidny beton. Zawrócił po omacku i natrafił na jakieś rozwidlenie.

Tym razem korytarz wyraźnie się podnosił. Zaczęły się strome schody. Szedł nimi coraz wyżej i wyżej. Nareszcie drzwi! Szarpnął klamką. Zamknięte. Szarpnął mocniej. Klamka została mu w rękach.

Skulony i obolały, zaczął płakać jak dziecko. A potem się modlić.

– Boże – szepnął – zrób ze mną, co zechcesz, ale nie teraz. Nie teraz!

Rozległ się zgrzyt dawno nieoliwionego zamka i drzwi otworzyły się na oścież. Uderzony snopem jaskrawego światła, uniósł ręce do góry, cofnął się, stracił równowagę i skoziółkował z paru schodków, tracąc przytomność.

Ocknął się w znajomej niszy, w której spędził ostatnią noc. Mimo ciepła, bijącego

od rury, dygotał. Ksiądz wlał mu w usta odrobinę całkiem niezłej nalewki, przechowywanej, jak twierdził, dla najbardziej potrzebujących. Jacek zaś próbował go rozgrzewać pomyślnymi wiadomościami:

– Znaleźliśmy te przewody, szefie, nienaruszone. Nawet niedaleko od nas, w podziemiach Starego Banku...

– W pobliżu dawnej centrali telefonicznej na Tłomackiem – dorzucił ksiądz. – Leżą dosyć płytko. Niestety o tej porze panuje tam spory ruch. Kręcą się patrole, wyposażone w czujniki termiczne i w psy. Możemy próbować dostać się tam najwcześniej o zmierzchu. Czy to panu wystarczy?

– Wystarczy – odparł Szymon. – A co z tymi uciekinierami?

– Tragiczna sprawa. Dawno nie słyszałem, żeby na tak desperacką akcję zdecydował się cały wagon. Sześćdziesięcioro zesłańców, głównie z Francji, Hiszpanii i z Socjalistycznych Niderlandów. Jedyłą winą większości z nich było złe pochodzenie socjalne lub zatajona praca w „systemie wyzysku”, bankowości, prasie, biznesie. Paru z nich okazało się naprawdę odważnymi ludźmi. Najpierw zabili konfidentów, potem wyłamali drzwi i skakali z nasypu...

– Powiodło im się?

– Bilans jest tragiczny. Trzech zabiło się podczas skoku, kilkunastu połamało nogi i wpadło w ręce sokistów. Za resztą ruszył pościg. Ścigający funkcjonariusze zachowywali się jak bestie. Strzelali bez pardonu do nastolatków, kobiet... Ledwie siedmioro cudem ocalonych udało mi się zaprowadzić do kryjówki na Żoliborzu. Ale dzięki Bogu i za to.

– Będą potrzebowali dokumentów – ożywił się Jacek – czuję, że wujek Gienek będzie miał znowu robotę...

– Mam już zrobione zdjęcia całej siódemki – powiedział kapłan, wyciągając polaroidowe fotki. Po czym zwrócił się do chłopca: – Niech pan Eugeniusz zorganizuje dla nich dokumenty. Najlepiej *jewropasporty*, kartki żywnościowe, *propuski*. Będzie miał Belga, dwóch Hiszpanów, Holendra, Baska, Szwajcara, Francuzkę...

Szymon machinalnie brał do ręki fotki. Naraz krzyknął, a reszta zdjęć wypadła mu z dłoni.

– Anette!!!? – Nie, nie, to nie może być ona... Ona nie żyje.

– Myślisz, synu, o tej Francuzce – ksiądz wziął z jego ręki fotografię i przysunął ją bliżej oczu. – W rzeczy samej, powiedziała mi, że się nazywa Anette. Anette Laroche. Dzielna dziewczyna. I w dodatku może mówić o wyjątkowym szczęściu. Udało jej się uciec, nie odnosząc najmniejszego obrażenia.

– Ale o czym ksiądz mówi? Moja Anette zginęła dwanaście lat temu. Jej rodzina dostała oficjalne zawiadomienie z ambasady, że panna Anette Laroche, urodzona w

1966 roku w Montrealu, zginęła 13 maja 1989 roku, wraz z dziesięcioma innymi dziennikarzami, ewakuującymi się tego dnia z Paryża helikopterem. Maszyna została zestrzelona przez bojową grupę komunardów im. St-Justa...

– Mylisz się, synu. Nie dalej jak godzinę temu zrobiłem jej to zdjęcie. Jest żywa, zdrowa i pełna nadziei!

Przez dłuższą chwilę Rawski nie mógł wydusić słowa, potem jednak, kiedy stupor minął, zaczął śmiać się, płakać, całować księdza i Jacka, wołając:

– A więc Bóg istnieje, istnieje!

– Choć opinie na ten temat bywają podzielone, osobiście nie mam najmniejszych wątpliwości – powiedział ojciec Jerzy.

XIX

Niagara bywa zwykle uwięzieniem znajomości dwojga ludzi skazanych na siebie przez Opatrzność czy też, jak uważają umysły naukowe, w wyniku losowego doboru naturalnego. Nad Niagarę jadą nowożeńcy na weekend miodowy, zwłaszcza ci, których nie stać na cały miesiąc na Hawajach. W kronikach kryminalnych i scenariuszach filmowych odnotowana jest również pewna liczba par, które wybierają graniczny wodospad w celu „trwałego rozwiązania pozycia”. W wypadku Anette i Simona wielki wodospad, przełamujący skalny próg między jeziorami Erie i Ontario, oznaczał niespodziewany początek wszystkiego najpiękniejszego w ich życiu. Zaczęło się banalnie. Ot, osobnik w żółtym plastikowym płaszczu szarmancko podtrzymał turystkę w podobnie kosmicznym stroju, zanim spadła ze śliskich stopni. Rozdawane wycieczkowiczom płaszcze są wyjątkowo mało seksowne, a jednak Rawskiemu wystarczyło spojrzenie na przepiękne migdałowe oczy i pełne, figlarne usta, aby zachwycić się i pojąć, że drugi raz w życiu nie spotka podobnej istoty. Trudno więc mu się dziwić, że nie poprzestał na wymianie uprzejmości, ale podczas dalszego zwiedzania nie odstępował dziewczyny na krok, a gdy wyszli, nie porzucił towarzystwa ślicznej Kanadyjki.

Mieli trochę czasu na rozmowę: wycieczka Japończyków, którą pilotowała panna Laroche, na dwie godziny ugrzęzła w pobliskim kasynie, a Szymon, wysławszy mamę i siostrę na ekskursję statkiem do podnóża kaskady, był panem popołudnia.

Pili więc herbatę i rozmawiali. Potem piwo i rozmawiali dalej. Następnie zamówili kawę i ze zdumieniem zauważyli, że limit czasu dobiegł końca, a oni dopiero rozsmakowali się w rozmowie o wzajemnych fascynacjach przyrodą, nauką, sztuką... Szymon musiał zrewidować obiegową opinię, że u młodych dziewcząt uroda i inteligencja rzadko chodzą w parze. Niestety przyszło się pożegnać. Anette musiała

odwieźć Japończyków do hotelu w Toronto. Rawscy nocowali na miejscu, w Niagara Falls, i nazajutrz mieli ruszać w dalszy objazd Wielkich Jezior.

Wyglądało to na koniec krótkiej znajomości. Ich domy oddziaływały tysiące mil. Szymon od paru lat był już pracownikiem naukowym w San Diego i przymierzał się do doktoratu. Dziewczyna natomiast studiowała dziennikarstwo na uniwersytecie w Toronto. Pełna inwencji i z natury niezwykle aktywna, występowała równocześnie w studenckim radio i telewizji. Pisała też do szkolnej gazetki, a podczas wakacji dorabiała jako pilot zagranicznych wycieczek. Wprawdzie wymienili adresy, ale Anette nie napisała, a Szymon nie zadzwonił. Zapewne uznali, że ich znajomość nie ma perspektyw. Nic nie wskazywało, żeby rozdzielający ich dystans całego kontynentu miał kiedykolwiek skurczyć się do rozmiarów wspólnego tapczanu. Jednak wiosną następnego roku, kiedy symposium ekologiczne ściągnęło Ravella ponownie do Kanady, zamiast podrywać młode ekolożki, pełne zapału wobec wszystkiego, co się rusza bez udziału elektryczności i energii nuklearnej, przypomniał sobie o uroczej szatynce. Nie pamiętał wprawdzie jej nazwiska, ale w kampusie bez trudu wskazano mu drogę do amatorskiego studia telewizyjnego.

Przez rok Anette zmieniła się, schudła i spoważniała. Czyżby dręczyły ją jakieś kłopoty? – zaniepokoił się Szymon. Na spacerze, a potem na kolacji w obrotowym lokalu u szczytu wieży telewizyjnej w Toronto (najwyższej na świecie, jak głośno foldery) bez zahamowań opowiedziała mu sporo o sobie. Właśnie rozstała się ze swoim pierwszym chłopakiem, czołowym hokeistą drużyny kanadyjskiej.

– Traktował mnie z jednej strony jak lalkę Barbie, a z drugiej jak krążek hokejowy, który służy wyłącznie do popychania i strzelania goli – scharakteryzowała ich wzajemne relacje. – Nie uwierzysz, najbardziej wkurzało go, że nie chcę startować w wyborach miss Toronto, uważał, że tracę życiową szansę, a on nie będzie mógł pochwalić się kolegom... A wiesz, co mu odpowiedziałam?

– Nie mam pojęcia.

– Że wolę być sprzedawcą niż towarem!

Roześmiał się:

– Jeśli ostrość twego pióra dorównuje ostrości języka, zrobisz karierę.

– Obyś miał rację. Na razie w lokalnej telewizji prowincji Ontario, do której zaniósłm mój reportaż, zaproponowali mi zamiast dziennikarskiego stażu występ w reklamie proszku do prania. Nie przyjąłm oferty. Jakoś nie widziałm się w roli „rozsądnej praczki za rozsądną cenę”.

Odwiózł ją do kampusu grubo po północy. Naturalnie korciło go, by zaproponować dziewczynie wizytę w jego pokoju hotelu Carlton Inn, aby kontynuować tak mile rozpoczętą dyskusję, ale zabrakło mu odwagi.

I może słusznie postąpił, rezygnując z próby pospiesznego finiszowania. Uczucie,

które poczynało się rodzić, nie zasługiwało na rozładowanie szybkim numerkiem. Doskonale wiedział, że prawdziwa miłość, podobnie jak wino, wymaga czasu dla nabrania mocy.

Po tym spotkaniu kontakt już się nie zerwał. Pisywali do siebie. I dzwonili. I tęsknili. Przez następne pół roku w ich życiu zawodowym doszło do poważnych zmian – Szymon dostał pracę w międzystanowej komisji do spraw zanieczyszczeń, a Anette skończyła studia i trafiła do ogólnokrajowej sieci radiowej.

Z początkiem lata roku 1988 głośna katastrofa panamskiego tankowca w pobliżu Vancouver przykuła uwagę ekologów i reporterów. Dzień i noc w malowniczych zatoczkach i kanałach nad Pacyfikiem trwała walka o życie zwierząt i czystość plaż.

Tam wreszcie połączyła ich sama natura. Jego usmarowanego ciemną kleistą mazią i ją, niewypuszczającą z ręki mikrofonu. Kiedy akcja dobiegła końca, półprzytomni z wysiłku, zdecydowali się na wypoczynek. Jakoś dla obojga było oczywiste, że wypoczną wspólnie. Razem wynajęli romantyczną kwaterę w małym, pachnącym świerkiem domku z bali nad brzegiem Horse Shoe Bay.

I tam nastąpiła ich pierwsza noc i pierwszy dzień, i kolejna noc i kolejny dzień...

Wbrew standardom łatwych miłości lansowanych coraz śmielej w wersji soft i hard, pierwszej nocy poprzestali na pocałunkach. Niewiarygodne i niedzisiejsze, ale prawdziwe. Byli tak zmęczeni trwającą dwie doby akcją, że nawet butelka czerwonego kalifornijskiego wina i gorąca kąpiel nie podziały jak afrodyzjak.

Mieli zresztą sporo czasu i wiedzieli, że pośpiech nie jest w miłości najlepszym doradcą.

Nie stało się to także rano, gdy zaczęli budzić się pocałunkami i niespiesznie poznawali swoje ciała. Był gotów. Ona jeszcze nie.

– Poczekaj! Chcę być absolutnie pewna, że pragnę tego najbardziej na świecie! – powiedziała. – Nie mogę pozwolić sobie na jeszcze jedno rozczarowanie.

Cofnął się. Kochał jej duszę na równi z ciałem.

Potem rozmawiali całe długie przedpołudnie tak szczerze, jak tylko dwoje ludzi jest zdolnych rozmawiać ze sobą. On opowiedział jej o tułaczkiej doli emigranta, powoli zapuszczającego korzenie na obcym kontynencie, ona o trudnym losie dziewczyny, która chce dokonać w życiu czegoś więcej poza przećwiczeniem wszystkich figur Kamasutry.

O 14.30 gotów był spędzić z nią całe życie.

O 16.15 nawet się z nią ożenić.

Między 17.03 a 17.05 ich ciała wreszcie odnalazły się nawzajem, i było to epokowe spotkanie na miarę zderzenia Julii z Romeem, Daimlera z Benzem czy redaktora Stanleya i doktora Livingstone'a.

Całe szczęście, że ich uniesienie skończyło się przed 17.34, kiedy to zadzwonił

ktoś z centrali CNN, zainteresowany ofertą współpracy złożoną agencji przez młodą reporterkę.

Niedługo potem nastąpiły dwa wspólne, cudowne tygodnie na Hawajach w wynajętym apartamencie niedaleko Hanauma Bay, gdzie chodzili kąpać się tak wcześnie, że świadkami ich nurkowań były wyłącznie małe, kolorowe rybki. Później trzy dni w San Diego, w słynnym hotelu Coronado, dokąd Anette przybyła na wybory miss Ameryki. Oczywiście jako sprawozdawca!

Razem pojechali również do ogarniętego rozruchami Meksyku.

Wspólnie spędzili Boże Narodzenie i Nowy Rok w Nowym Jorku. Dwie przytulone do siebie kruszyny na pulsującym emocją Time Square. W styczniu 1989 Simon przeniósł się na stałe do „Wielkiego Jabłka” tak, aby mogli być zawsze razem, mimo że kontrakt zaproponowany na Columbia University był dla niego zdecydowanie mniej korzystny niż oferty z Kalifornii.

Rozdzielił ich dopiero nieszczęsny wyjazd do Francji.

– Zrozum, najdroższy, muszę tam pojechać! – przekonywała go ze łzami w oczach. – To moja życiowa szansa i fantastyczne wyzwanie. Zaledwie po pół roku pracy dla CNN mogę pójść na pierwszą linię. Turner jr. nie da mi drugi raz takiej szansy. W Europie dzieją się niesamowite rzeczy – a ja potrafię je relacjonować... Poza tym zawsze fascynowała mnie Francja. Wiesz, że moja praprababcia uciekła stamtąd podczas rewolucji z dzieckiem w łonie, podczas gdy prapradziadek na własnej szyi badał skuteczność gilotyny.

– I to jest najlepszy dowód, że nie należy tam jeździć.

– Daj spokój, pesymisto, w Meksyku było pięć razy niebezpieczniej. Poza tym czas szybko zleci. Kontrakt jest zaledwie trzymiesięczny. Wracam i natychmiast bierzemy ślub! Już teraz zamawiam białą suknię. Albo, jak chcesz, po wiosennej sesji egzaminacyjnej sam przyjedziesz do mnie i pobierzemy się w Monaco, albo na wieży Eiffla, albo w Lourdes...

Owej nocy, kiedy z lotniska w Nowym Jorku wrócił do pustego, wynajętego mieszkania, gdzie na półeczce została jeszcze jej różowa szczoteczka do zębów, a pościel pachniała jej perfumami, jej ciałem, jej miłością, kupił litrową bourbon whisky i upił się po raz pierwszy.

A potem było tylko gorzej.

Ileż lat w jego głowie na podobieństwo kasety odtwarzała się ciągle jedna i ta sama transmisja CNN:

Napis „Breaking News” i szybka przebitka na szeroką panoramę miasta, kręcącą chyba z dachu ambasady. Dymy pożarów zasnuwają niebo. Za ilustrację muzyczną służy odległy, dochodzący z paryskich przedmieść pomruk dział, na który nakłada się o wiele bliższy jazgot broni automatycznej komunardów, szturmujących pobliski hotel

Crillon. Ten sam budynek, w którym Ludwik XVI i Benjamin Franklin ponad dwieście lat wcześniej podpisali traktat, uznający Stany Zjednoczone. Potem operator skupił się na detalach. Wykadrował przewrócony wózek inwalidzki na wyludnionym placu Concorde, obiektyw przez moment prześlizgnął się po wypalonych wrakach samochodów na rue de Rivoli. Zatrzymał na czarnej eleganckiej teczce, porzuconej w panice przez kogoś pośrodku ulicy. Na zgubionym damskim pantofelku z kokardką... Następnie kamera skierowała się ku ruchliwej zazwyczaj, a dziś opustoszałej Sekwanie. Zaraz po drugiej stronie rzeki pojawiła się przerażająco przetrącona wieża Eiffla ze złamanym wierzchołkiem, a bardziej w lewo spalony kompleks Pałacu Inwalidów. Potem obraz zafalował, jakby kamerzysta potknął się, zaświstały kule. Jednak już po chwili widok ustabilizował się ponownie. Teraz dzięki transfokacji pierwszy plan wypełniły okopy w ogrodach Tuileries, tam gdzie przebiegała linia frontu. Połyskliwe hełmy, przesuwane się niczym drobiny rtęci w rowach strzeleckich, plujące ogniem lufy automatów. W dalszej perspektywie widać było Luwr, wyglądający na nietknięty, jednak na dachu głównego pawilonu ktoś zatknął czerwony sztandar. Jeszcze chwila, a obiektyw przesunął się ku wzniesieniu Montmartre'u, ukazując wierzchołek płonącej bazyliki Sacre Coeur z przepołowioną kopułą i morze ognia w biedniejszych dzielnicach na północnym wschodzie...

Naraz całkiem blisko ozwały się pomieszane okrzyki po angielsku i francusku. „*Depechons! Go on! Faster! Vite!*”

Operator wykonał gwałtowny zwrot w tył i w zasięgu kamery znalazła się gromadka przykurczonych dziennikarzy, wsiadających do helikoptera: Greg Watson – zeszlóroczny laureat Pulitzera, Turner jr. – szef paryskiej placówki stacji w zakrwawionym bandażu na głowie, zjawiskowo piękna panna Laroche i jak zwykle nieustraszona wolontariuszka Jane Fonda.

Z offu ktoś parokrotnie krzyknął: „Mike, Mike! Pośpiesz się”. Potem dłuższą chwilę opuszczona kamera rejestrowała jedynie ceramiczne płytki pokrywające taras. Warkot silnika zagłuszył jakiegokolwiek dźwięki. Następnie można było się domyślić, że operator – Mike Anderson – zajmuje w kabinie najdogodniejsze miejsce do dalszego filmowania. Śmigłowiec chwiał się chwilę, jakby nie mógł zdecydować się na start. Wreszcie oderwał się od dachu. Przez moment można było zobaczyć pobliskie ogrody, potem panoramę Pól Elizejskich z ciągle nienaruszonym Łukiem Triumfalnym i soczystą, spokojną zielenią Lasku Bulońskiego...

Nieoczekiwane szarpnięcie przypominało konwulsję śmiertelnie ranionego zwierza. Parę stacji pominęło końcową sekwencję filmu jako zbyt drastyczną. Szymon oglądał tylko fragment raz jeden, w zwolnionym tempie. Bez fonii, a mimo to przekonany był, że słyszy przerażający huk detonacji. Krzyk ginących ludzi. Do końca życia pamiętać też będzie koziołkujący obraz, błyskawicznie przybliżającą się ziemię.

Potem ciemność!...

XX

Czy mimo wszystko mogła przeżyć? Szymon długi czas łudził się nadzieją, choć oficjalne raporty nie mogły budzić wątpliwości. W chwili zderzenia z trotuarem bak śmigłowca eksplodował. Jednak większości ciał nie udało się zidentyfikować. Dotyczyło to również Anette. Druga iskierka nadziei, która z czasem zgasła, wynikała z faktu, że w chwili startu nie pokazano wszystkich pasażerów. Operator był już w kabinie i przez otwarte okno filmował tylko to, co działo się na zewnątrz. Owszem, wcześniej zarejestrował, jak panna Laroche wsiadała, ale istniała jedna szansa na milion, że tknięta jakąś nieprawdopodobną intuicją, w ostatniej chwili opuściła helikopter.

Tylko, jeśli wysiadła, co mogło się z nią stać potem? Rawski nie znalazł jej na żadnej liście jeńców czy w wykazach aresztowanych, sporządzonych przez Czerwony Krzyż i Czerwoną Gwiazdę. Nigdy też nie dała najmniejszego nawet znaku życia ani jemu, ani swojej rodzinie. Ale...

Zachłannie wpatrywał się w fotografię. Mogła przecież stracić pamięć, egzystować pod zmienioną tożsamością? Czy było to niemożliwe?

– Muszę ją zobaczyć – powiedział do księdza – natychmiast!

– Wykluczone, synu, przejście na Żoliborz za dnia jest niepodobieństwem. Kanały zawałyły się lub zostały zasypane. Najwcześniej możemy dostać się tam nocą.

– Nie rozumie ojciec, ja muszę się przekonać, czy to ona!

– A pana misja? – wtrącił się Jacek. – Myślałem, że jest najważniejsza.

– Ustaliliśmy przecież, że ruszymy dopiero wieczorem... do tej pory mamy mnóstwo czasu.

– Oczywiście, rozumiem twą niecierpliwość – powiedział kapłan. – Jednak na twoim miejscu zadałbym sobie pytanie, czy nie jest to zbyt cudowny zbieg okoliczności. Nie bierzesz pod uwagę, że może być to wyjątkowo perfidnie zastawiona pułapka?

– Wystarczy mi parę sekund, by się o tym przekonać.

– Mam propozycję – odezwał się Jacek – przecież ja mogę ją tu przeprowadzić.

– W jaki sposób?

– Skombinuję mundurek pioniera. Dzieciaki, zwłaszcza należące do organizacji, nie potrzebują przepustek. W takim kostiumie dostanę się na Żoliborz...

– Ale jak wrócisz razem z nią? Sam może unikniesz kontroli, ale ona...?

– Jeśli mister Ravell da mi jakąś przyzwoitą kasę na łapówki, to podejmuję się

przeprowadzić stamtąd nawet Murzyna w stroju amerykańskich marines, ubliżającego na głos Wszechjewishowskiej Partii, sojusznikom i pokojowi światowemu.

*

Powierzone Jackowi zadanie okazało się jeszcze prostsze, niż przypuszczali. Nikt nie zatrzymywał szczupłego pioniera, który w czerwonej chustce z dzieciątkiem Lenin na piersiach przemaszerował sprężystym krokiem przez tunel Dworca Gdańskiego na drugą stronę Alei Bohaterów Walki i Pracy. Bliski Żoliborz, oszczędzony podczas walk w trakcie majowej insurekcji, niewiele odbiegał wyglądem od podobnych dzielnic w innych miastach Europy. Zmienił się jedynie mieszkańcy. Przedwojenne wille i odnowione domy, po gruntownym wymieceniu elementów wrogich i drobnokapitalistycznych, zajęli czołowi promieniści reżimu. U nich uciekinierzy z transportu nie mogli liczyć na azyl. Dlatego milicyjne poszukiwania w pierwszej kolejności skoncentrowały się na zdewastowanych blokowiskach Piasków czy Sadów Żoliborskich, gdzie całą noc naszczekujące psy i wałacy do drzwi funkcjonariusze budzili popłoch wśród mieszkańców. Tak więc na zachód od dawnej ulicy Stołecznej, dziś Piotra Wielkiego, gęsto było od patroli, natomiast ciche uliczki pełne domków, w których ubek sąsiadował z konfidentem, a emeryt walki z rencistą pracy (ideologicznej), nie budziły zainteresowania łapaczy.

Jacek, rozglądając się bacznie, czy przypadkiem nikt go nie obserwuje, dotarł pod willę zamieszkiwaną przez wdowę po prokuratorze wojskowym, wyjątkowo krwiożerczej kanalii. Żartowano nawet, że kiedyś na cmentarzu komunalnym alejka pełna grobów jego ofiar dostanie nazwisko oskarżyciela. Chłopak jeszcze raz rozejrzał się i zadzwonił według pouczenia księdza – trzy krótkie sygnały, jeden długi.

– O co chodzi? – zabrzmiał z wnętrza skrzekliwy głos kobiety.

– Jestem pionierem z drużyny imienia Janka Krasickiego, zbieram makulaturę na pomoc zimową... Dla Afryki – dorzucił. Miał nadzieję, że wdowa posiada poczucie humoru.

Kiedy znalazł się wewnątrz, w staroświeckim przedpokoju, skrzyżował w charakterystyczny dla konspiratorów sposób dwa palce wskazujące i potarł nimi czoło.

– Przyniosłeś dokumenty? – zapytała niewiasta w czerni.

– Będą na jutro. Dziś muszę się zobaczyć z jedną z osób. Tą Francuzką... Anette.

– Poczekaj.

Starsza pani skrzyżowała w stronę spiżarki, gdzie, jak mógł przypuszczać, kryło się przyjęcie do sekretnej piwniczki. Usłyszał zgrzyt podnoszonej klapy i szmer głosów.

Anette Laroche wyszła z piwnicy. Jacek zgłupiał. Wśród rozmaitych precjozów, zgromadzonych w ukrytej na dnie skrytki blaszanej puszcze po nigdy nie smakowanych

czekoladkach, przechowywał zdjęcia słynnych aktorek z dawnych czasów: Marilyn Monroe, Brigitte Bardot, Giny Lollobrigidy. Żadna jednak nie umywała się do kobiety o pięknych orzechowych oczach i wydatnych ustach. Niezależnie od ubożego stroju i malującego się na jej twarzy wyczerpania, przypominała anioła. I to z temperamentem. Takich krasawic nie widywało się nawet w pisemkach „Seks-družba” czy „Porno-ogoniok” przemycanych z rzadka do dzielnicy ruin. Mimo swych trzydziestu paru lat, jak wynikało z danych do dokumentów, wyglądała niczym dwudziestoletnia studentka.

– O co chodzi? – zapytała po francusku – czego chce ten chłopiec?

– Mówi pani po angielsku? – zapytał Jacek.

– *Of course!*

– Mam doprowadzić panią do jej przyjaciela – rzekł łamaną angielszczyzną.

– Do przyjaciela? Nie mam przyjaciół w tych stronach...

– A Simon Ravell?

Przez chwilę wydawało się, że zemdleje, jej źrenice rozszerzyły się, zatrzymał oddech. Prokuratorowa podsunęła krzesło, na które opadła, jakby naraz opuściły ją wszystkie siły. Ukryła twarz w dłoniach i nie odrywając ich od oczu, zapytała:

– Simon jest tutaj? Gdzie?

– W bezpiecznym miejscu. Ukrywa się. Ale czeka na panią...

Najwyraźniej długo nie mogła się opanować. Kiedy wstała, miała mocno zaczerwienione oczy.

– Ale jak mogę się z nim zobaczyć?... nie mam dokumentów, ścigają mnie...

– Moja w tym głowa, żeby wszystko się udało – powiedział chętnie. I zwrócił się do wdowy: – Czy może zrobić jej pani taki makijaż, żeby wyglądała starzej i nieatrakcyjnie. Jak siódme dziecko stróża trzy dni po utopieniu...

– Mogę spróbować.

Anette usiadła naprzeciw lustra. Gospodyni wzięła się do pracy. Znajomość francuskiego umożliwiała rozmowę. Tymczasem pannę Laroche bardziej od lustra zaciekał wiszący obok portret mężczyzny w prokuratorowskiej todze, o wąskich, mściwie zaciśniętych wargach. Przed portretem, w wazonie, stały świeże kwiaty.

– Myślisz, że jest w piekle? – zapytała prokuratorowa, nakładając na twarz Kanadyjki ziemisty makijaż. – Mój mąż to był mały człowiek. Karierowicz i tchórz. Chociaż do końca nie jestem pewna Boskiego osądu. Trzy lata temu oskarżał w procesie paru chłopaków niewiele starszych od tego huncwota, obwinianych o antyustrojową konspirację. Obowiązywała niepisana zasada, że przy przyspieszonym trybie sędzia tylko zatwierdzał zgłoszony przez oskarżyciela wyrok. Mąż opowiadał mi, że w noc przed procesem, mimo zamkniętych drzwi, naraz w jego gabinecie pojawił się szczupły ksiądz o bladej twarzy. „Musisz to robić, Leonie? – zapytał. – Przecież jutro staniesz przed Panem”. I zniknął. Opowiadając mi o tym przy śniadaniu,

mój małżonek śmiał się, wołając, że chociaż bezsilna opozycja ucieka się do magii i telepatii, to i tak nic jej nie pomoże. A przecież, wygłaszając swoją mowę końcową, zmienił ustalony ze zwierzchnością tekst. Zażądał jedynie dożywocia. I sąd wydał taki wyrok. Godzinę później Leon umarł w służbowym samochodzie na zawał. Kierowca mówił, że atak przyszedł niespodziewanie. Mój mąż zdołał tylko wyszeptać: „Podziękuj księdzu Jerzemu”. No, więc będę dziękować do kresu dni moich. Może go ocalił..

Laroche nie wydawała się być szczególnie poruszona opowieścią. Najwyraźniej była myślami gdzieś bardzo daleko, bo na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Teraz dobierzemy odpowiednie ubranie – powiedziała prokuratorowa.

Kiedy pół godziny później wyszli na ulicę, za Anette nie obejrzałby się nawet spragniony kobiet sołdat z dywizji polarnej po dziesięciu latach służby na Nowej Ziemi. Ziemista cera i strąkowate włosy, wyglądające spod chustki, korespondowały z pękatą sylwetką (pięć warstw ciuchów zrobiło swoje).

Baba, w którą się zmieniała, ugięła się pod ciężarem koszyka, czy raczej kosza pełnego bibelotów i artefaktów wypożyczonych przez prokuratorową, którymi niekoncesjonowany handel był surowo zabroniony. W międzyczasie Kanadyjka przećwiczyła parę niezbędnych odżywek po rusku. Ponieważ była oswojona z mową okupantów, wychodziło jej to dosyć zgrabnie. Chłopak podziwiał ją coraz bardziej. Jeśli bała się, potrafiła to doskonale ukryć.

Dopiero gdy tramwaj stanął na wiadukcie ponad torami i uzbrojeni kontrolerzy weszli sprawdzać bilety i dokumenty, poczuł, mimo grubych warstw spódnic i sukni, że oparta o niego panna Laroche drży.

Szybko zainteresował się nią niemłody funkcjonariusz *gorodskiej ochrony*.

– *Pasport i propusk! Szto zdies dierzytie?*

Uchyliła ścierki, którą przysłonięty był koszyk, i wyjrzał spod niej zielony, studolarowy banknot.

– *Tolko moi sobstwiennyje wieszczy* – powiedziała całkiem poprawnie.

– *Idi!* – strażnik zagarnął banknot i nawet nie zapytał o dokumenty.

Przez muranowskie podwórka dotarli do piwnic jakiegoś rozwalonego domu, potem opuścili się do kanałów.

– *One minute!* – Anette zatrzymała się, i nie krępując się Jacka, szybko pozbyła się wielowarstwowego kostiumu. W majtkach i staniku była jeszcze piękniejsza. Z koszyka wyciągnęła butelkę z wodą mineralną i parę szmatek. Jacek skromnie oddalił się, a gdy powrócił, zauważył, że zmyła makijaż i uczesała się, a na garderobę narzuciła gustowny zakopiański kożuszek, otrzymany od prokuratorowej. Nawet w warunkach okupacyjnych nie chciała stanąć przed byłym narzeczonym jako monstrum czy kocmołuch.

– Kurcze blade, ale pani jest piękna! – wyrwało się Jackowi.

– *Thank you, znaczyt spasibo!*

*

Spotkanie po latach... Szymon Rawski czekał na nie trochę z lękiem, trochę z niedowierzaniem. Słyszac podwójne kroki w korytarzu, wyszedł naprzeciw. Spotkali się w miejscu, w którym słońce, wpadając przez kratę studzienki, rozjaśniało mrok...

– Simon?

– Anette?

Oczywiście, to była ona. Niezmieniona upływem czasu, nadal młoda, fascynująca. Krótką chwilę stali zaszokowani, niepewnie mierząc się wzrokiem. Ksiądz taktownie wziął Jacka za rękę i pociągnął w mrok podziemi.

– *Cest moi Simon*, wróciłam – wyszeptala.

Rawski nie potrafiłby opowiedzieć, w jaki sposób nagle znalazła się w jego objęciach. Wszelkie wątpliwości zniknęły. To te usta całował przed laty, rozkoszował się ich smakiem, zaznawał tajemniczej prowokacji języka. Smakował brzoskwiniovą krągłość policzków, jedwabiste koniuszki uszu. Czując dotyk jej cudownych włosów, odgarnął je i natrafił ukochane wgłębienie między szyją a obojczykiem. Potem nagle znaleźli się na prowizorycznej pryczy. Sami. Nadzy. Mimo mroku czuł się jak człowiek, który po latach wrócił do swojego mieszkania. Bezbłędnie rozpoznawał znajome miejsca, strome jędrne piersi, kształtną płaszczyznę brzucha, upajając się niezapomnianym smakiem, zapachem, aż osiągnął regiony najdalsze, wprawdzie znane, zawsze jednak trochę tajemnicze, pociągające ku krawędzi szaleństwa, za którą czekało pełne zespolenie. Świat przestał dla nich istnieć. Choćby cała Priwislinska Czeka wtargnęła do kanałów, nie zauważyłby jej obecności.

Kiedy pierwsze szaleństwo opadło, zapalił latarkę.

– Chcę cię widzieć całą – szepnął. Brakowało mu słów. Te, które cisnęły mu się na usta, zdawały się albo zbyt banalne, albo za słabe.

– Strasznie cię kocham – wyznał po prostu.

– Ja też.

– Wiesz, przypomniało mi się to popołudnie w domku nad Horse Shoe Bay...

Wtedy wydawało mi się, że dwojgu ludziom nie może być już lepiej ze sobą. Myliłem się. Pamiętasz tamten moment?

Ku jego zaskoczeniu pokręciła głową.

– Wybacz najdroższy, ale bardzo niewiele pamiętam z mojej... z naszej przeszłości. A to, co mi się przypomina, jest jakby obrazem wyłaniającym się z mgły. Jest znajome, ale na swój sposób nowe. Latami w snach widziałam twoją twarz, rozpamiętywałam

twoje pieśczoły, ale bez umieszczania ich w konkretnych miejscach czy sytuacjach.

– Jak to możliwe, Anette?

– To długa historia, *cheri*. Zresztą niepełna, z mnóstwem luk. Nawet o tym ocaleniu dowiedziałam się dopiero od Vitry. Pamiętasz Lionela Vitry z „Liberation”?

– Chyba nie. Był z tobą na dachu?

– Był.

– Zaraz, może to ten brodac z postrzępionej koszulce z Guevarą? W relacjach CNN trzymał się blisko ciebie.

– Można powiedzieć, że dwakroć zawdzięczam mu życie – wyznała. –

Towarzyszył nam tego dnia w Paryżu, jednak kiedy doszło do ewakuacji ambasady, ten gnojek Turner junior nie chciał go zabrać do helikoptera. Uważał Lionela za komunistę...

– Chyba nie bez powodu! – zawołał Rawski. – Teraz mi się przypomniało. Czy ten Vitry nie był później, pod komunistycznym zaborem, wieloletnim szefem „L’Humanite”? Obrzydliwy fanatyk!

– Rzeczywiście uznawano go za postać dość kontrowersyjną. Ja jednak uważam go za swego zbawcę.

– A więc i ja będę musiał.

– Pierwszy raz uratował mnie poniekąd mimowolnie. Kiedy Turner po chamsku powiedział: „Ten pan zostaje!”, dostałam prawdziwej furii. „W takim razie ja też zostaję!” – zawołałam i w porywie solidarności wyskoczyłam na dach. Helikopter właśnie startował. Co zdarzyło się z nim później, zapewne wiesz?

– Aż za dobrze. Pamiętam każdy szczegół filmu nadanego przez CNN...

– Ja tego nie oglądałam! O przebiegu zdarzeń dowiedziałam się stosunkowo późno. Podobno jedna z rakiet, wystrzelonych w kierunku helikoptera, uderzyła w hotel. Zarwały się schody, po których właśnie zbiegałam... Tak jakby mściwe fatum nie zamierzało dopuścić, aby ktokolwiek uszedł przed swym przeznaczeniem.

– Ale ten moment pamiętasz?

– Też nie. Czasami w snach wydaje mi się, że przeżyłam coś podobnego... Ale nie, nic nie pamiętam. Koszmar!

– Najważniejsze, że przeżyłaś!

– Przeżyłam. Jednak przez wiele lat pogrążona byłam w śpiączce. Żyłam jak roślina. A nawet kiedy wreszcie się obudziłam, musiałam dopiero uczyć się, kim jestem, przypominać sobie, kim kiedyś byłam. Mogę się jedynie cieszyć, że przespałam najtrudniejsze czasy. Walkę z kontrrewolucją, wojnę domową, wielki głód. Gdyby nie Vitry, z pewnością położono by na mnie krzyżyk. Czy raczej sierpek z młoteczkami. Dzięki swym chodom na szczytach władzy Lionel wywalczył dla mnie miejsce w ekskluzywnej klinice w Nanterre. Nie pozwolił odłączyć aparatury reanimacyjnej mimo

zgodnej opinii miejscowych konowałów. Twierdzili, że w moim mózgu nastąpiły nieodwracalne zmiany i dalsze sztuczne podtrzymywanie czynności życiowych nie ma sensu. Na szczęście to Lionel miał rację.

– Co was łączyło?

Szymon zadał to pytanie spontanicznie. Anette zmieszała się. Przez moment wydawało się, że szuka właściwych słów.

– Byliśmy przyjaciółmi. Przyjaciółmi, nie kochankami – powtórzyła z naciskiem – chociaż...

– Chociaż?

– Ja niczego nie pamiętam, ale Vitry przyznał mi się... To stało się raz. W nocy przed katastrofą. Podobno byłam bardzo pijana i jeszcze bardziej przerażona. Możesz to sobie wyobrazić – ja mogę: cały świat się wali na moich oczach. Najeźdźcy zwyciężają na wszystkich frontach, upadła Bruksela, pół Paryża jest w ich rękach... A mnie po raz kolejny nie udało się dodzwonić do ciebie. Pewnie byłam przekonana, że w każdej chwili możemy zginąć. I znalazłam taką łatwą ucieczkę przed wszechobecnym strachem. Choć na chwilę... – tu oczy zaszkliły jej się łzami – ten jeden raz, nigdy więcej... Przepraszam cię.

– A po twoim wyzdrowieniu... Nie spotykaliście się?

– Lionel odwiedzał mnie jeszcze podczas terapii. Wtedy opowiadał mi o mojej własnej przeszłości i o sobie... Potem przestał. Dowiedziałam się, że jest uwikłany w jakieś rozgrywki frakcyjne. Kiedy po wyjściu ze szpitala podejmowałam pracę wiejskiej nauczycielki w małej komunie pod Arles, on siedział już w więzieniu. Biedny Vitry. Rozstrzelali go trzy miesiące temu. „Za rewizjonistyczny oportunizm!” Mnie jedynie uwięzili.

– Na Boga, za co? Tyle lat byłeś przecież nieprzytomna. Nie spotykałaś się z nim.

– Ale korespondowaliśmy z Lionelem, to im wystarczyło. Przedwczoraj dostałam wyrok. Niewysoki. Ledwie dziesięć lat osiedlenia na Północy – zaśmiała się gorzko. – Wieźli nas na zesłanie do Norylska. Paru ludzi z transportu dogadało się, żeby uciekać. Polska wydawała im się ostatnią szansą... Nie mogłam im odmówić pomocy i... – głos nagle jej się załamał – zabiłam człowieka!

– Co ty opowiadasz?!

– W każdym łagier-wagonie umieszczają zawsze paru szpicli. Właśnie na wypadek ewentualnego buntu. Kapusie ci mają ukryte telefony, którymi nadają co pół godziny SMS-y, że wszystko w porządku. Toteż przed planowaną ucieczką trzeba było ich zneutralizować. Młody Katalończyk Juan, jeden z wyznaczonych do tego zadania, w ostatniej chwili stchórzył, zawahał się, niezdarnie próbował ogłuszyć konfidenta, ale został odepchnięty... Szpicel sięgnął do przycisku alarmowego, ja stałam najbliżej... Miałam ukryty nóż. Zabiłam go... *Oh, mon Dieu!*

– Moja bohaterska dziewczynka, moja najukochańsza dziewczynka – Szymon znów zaczął ją całować. Te oczy pełne łez, brodę, piersi, brzuch gładki... Naraz przestał. Podniósł głowę.

– Coś się stało? – popatrzyła na niego czujnie, jakby nagle wyrwana ze snu.

– Słyszałaś?

– Nie!

– Ktoś chodzi na korytarzu.

– Pewnie ksiądz albo mój czarujący mały przewodnik. Może podsłuchują, co tutaj robimy?

– Na wszelki wypadek sprawdzę – a przy okazji trochę się optuczę. W piwniczce powyżej nas jest kran.

Okrył się płaszczem i szybko wyszedł z kryjówki. Uderzył go ziąb korytarza. Zachłannie nabrał powietrza, jakby zamierzał od wewnątrz ostudzić rozpalone policzki... Księdza i Jacka znalazł w jednej z wnęk.

– Pomyliłem się – rzekł ściszym głosem – to nie ona.

– Co takiego? – zdumieli się.

– Nie mam czasu na tłumaczenia. Jacku, weź zapasowy modem i ukryj się. Jeśli mi się nie uda, ty go zainstalujesz, dokładnie tak, jak cię uczyłem. Pamiętaj najważniejsze, musisz zdążyć przed północą...

– Dlaczego jednak sądzisz, że to może nie być ona? – sługa Boży postanowił drażnić temat. – Przywitałaś ją tak entuzjastycznie.

– Bo w pierwszej chwili nie miałem żadnych wątpliwości. To najdoskonalszy sobowtór, jaki można sobie wyobrazić... Ale później zauważyłem leciutką różnicę akcentu. Jej francuski jest rodem z Paryża, nie z Quebecu. Poza tym moja Anette, choć leworęczna, przemogła tę skłonność – ta nie. I wreszcie, na co początkowo nie zwróciłem uwagi... Słyszał ksiądz, żeby blizna po operacji wyrostka robaczkowego znikła bez śladu...?

– W takim razie natychmiast uciekaj!

– Nie mogę, zanim nie dowiem się, kim jest i co z prawdziwą Anette.

– Gdzie jesteś, Simon? – dobiegł z głębi korytarza tęskny głos – czekam na ciebie!

– Już idę, kochanie!

Przez następny kwadrans rozpaczliwie próbował się zmusić do miłości. Nie wyszło mu. Laroche szybko wyczuła zmianę.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało – zapytała w końcu. – W ciągu paru minut stałeś się nagle inny, taki odległy. Powiesz mi dlaczego?

Nie wytrzymał.

– A może ty mi powiesz najpierw, czemu ty okazałaś się inna? Nie moja Anette Laroche, tylko jej niedokładna naśladowczyni...

Pożałował tych słów. Naraz migdałowe oczy Kanadyjki zmieniły się w ślepią tygrysa.

– Już wiesz? Szkoda!

Poderwała się, naga i sprężysta. Mógł spodziewać się szlochów, krzyków, uderzeń pięstkami, ewentualnie drapania pazurami. Na to był przygotowany.

Miał nawet zamiar skrepować ją i zanieść do innej, pewniejszej kryjówki, o której poinformował go ksiądz. Zaskoczenie okazało się bardzo bolesne. Precyzyjny cios w splot słoneczny pozbawił go oddechu. Drugi, nim zdołał zaprotestować lub wykonać jakikolwiek ruch, cisnął na ziemię.

– Nie broń się – powiedziała tonem zawodowej morderczyni – nie chciałabym cię zabić, przynajmniej nie teraz.

Leżał, dysząc ciężko, i patrzył, jak pochyla głowę i melduje po rosyjsku, zbliżając usta do złotego krzyżyka wiszącego na szyi.

– Tu „Pantera”. Jeśli byliście cały czas na nasłuchu, już wiecie, co tu się stało. Mam go. Zorientował się w kamuflażu. Jednak nie powinien sprawiać kłopotów. To nie zawodowiec! Klecha i szczył prawdopodobnie uciekli. Czekam.

Leżący w kącie Rawski walczył z bólem i narastającą grozą.

– Kim ty jesteś, kim ty jesteś? – powtarzał z cichym jękiem.

– Towarzyszka Anette Laroche. Sierżant Eurosurete, Simonie.

XXI

– No i co powiecie na to, *tawariszcz gienierat?* Melodramat i kino akcji w jednym? – Pugo wyłączył nagranie i z nieskrywaną satysfakcją przyglądał się niemogącemu wyjść ze zdziwienia Pietrowskiemu. – Zaraz tu będą.

– Jestem pełen podziwu! Rzeczywiście niezwykła to siurpryza – wykrztusił Grigorij. – Skąd wystraszeńście tę kobietę, towarzyszu komisarzu? W dodatku żywą.

– Być przygotowanym na różne ewentualności to obowiązek naszych internacjonalistycznych służb. A panna Laroche...? Cóż, kiedy tylko zorientowałem się, że macie kłopoty z Ravellem, przejrzałem jego dossier i przypomniałem sobie o tej kobiecie.

– Ja też sobie przypomniałem, ściągnąłem jej akta z archiwum. Ale stoi w nich jak byk: „Zginęła w śmigłowcu”. Skoro zginęła, znaczy nie mogła się uratować.

– Nie mogła – pokiwał głową Borys Pugo – prawidłowe rozumowanie.

– To znaczy, że dzisiaj podstawiliście na jej miejsce jakąś dublerkę?!...

– Nie mogła się uratować, gdyby odleciała z innymi. Jeśli jednak nie odleciała, pojawia się wiele innych możliwości. A poza tym, *daragoj drug*, musisz wybrać,

chcesz znać pełną prawdę, czy jedynie wersję, którą poznał jej kochanek?

– Oczywiście, że prawdę. Wersję przeznaczoną dla Ravella już znam z podsłuchu. *Jewrokomissar* zachichotał.

– Całej prawdy nie mogę ci chwilowo wyjawić. Ale poczekaj, wszystko we właściwym czasie. Na razie przygotuj wszystko do przesłuchania drugiego stopnia i połącz mnie z tym twoim Gadzinowem.

*

Podczas lotu śmigłowcem Anette milczała. Kiedy Szymon spoglądał na nią, odwracała głowę.

„Niechęć do tej roboty, a może jednak pewien kłopot z wyszkoleniem?” – przemknęło mu.

Starał się nie myśleć o dziewczynie, jej pochodzeniu ani o metodach, jakimi skłoniono ją do takiej pracy. Całą myśl koncentrował na jednym. Jak okiełznać strach, wytrzymać na przesłuchaniu tak długo, jak się da? Może chłopak i ksiądz zdamą z instalacją?

Kiedy wylądowali na zimnym dziedzińcu Nowej Cytadeli, jeden z eskorty wypchnął go kopniakiem z maszyny. Padł na zlodowaciałą przyzębę śniegu i zawył z bólu. Anette instynktownie wyciągnęła do niego rękę. Nie przyjął tej pomocy, sam podniósł się na kolana, a potem, zaciskając zęby, wstał.

– Witamy w domu, panie Rawski – powiedział po polsku Pietrowski, który wyszedł na powitanie więźnia. Miał na sobie mundur generalski z błękitnymi wyłogami, z ust unosiły mu się kłęby pary, a oczy lśniły mściwą satysfakcją.

Wąskim korytarzem poprowadzono go w głąb bunkrów i wepchnięto do wąskiej celi z lustrem. Domyślał się, że po drugiej stronie znalazła się reszta ekipy śledczej. Zapłonęły jaskrawe jarzeniówki.

– Koniaku, wódki, może piwa? – Pietrowski zwrócił się do Rawskiego tonem dobrego gospodarza i gdyby nie sceneria sterylnej, obitej dźwiękochłonnym materiałem celi, można by pomyśleć, że jest to propozycja serio. – Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach. Trzeba było wówczas w Belwederze zgodzić się na wspólny wypad na dziewczynki. Oszczędziłoby to nam obu wielu kłopotów.

– O jakich kłopotach pan mówi? – odparł, usiłując nadać swemu głosowi jak najspokojniejsze brzmienie. – Nie złamałem waszego prawa. Na terenie ruin przebywałem legalnie. Zamierzałem obserwować ptaki, kiedy zniemacka zostałem napadnięty i ograbiony przez jakichś oberwańców... Żądam umożliwienia mi jak najszybszego kontaktu z przedstawicielem mojej ambasady.

– Wszystko we właściwym czasie, Simon, a może woli pan imię Szymon?

– W odróżnieniu od pana nigdy nie ukrywałem polskiego pochodzenia.

Ukryty za weneckim lustrem Pugo, sam Łotysz, a nie *koriennyj Ruski*, zarechotał z uciechy. Zawtórował mu obecny Gadzinow. Anette, wtulona w fotel, milczała, zapewne spała z otwartymi oczami, bo jej twarz przypominała lico kamiennego posągu.

Pietrowski nie dał się sprowokować więźniowi i pohamował wściekłość.

– Jeśli sprzęt znaleziony przy panu to typowe akcesoria ornitologa, to ja jestem Czerwonym Kapturkiem – rzekł.

– Nasza nauka, w odróżnieniu od waszej, poszła co nieco naprzód, poza tym, gdyby miało dojść do mojego procesu, z przyjemnością zapytam: gdzie był nakaz rewizji, gdzie protokół przeszukania, gdzie wreszcie dowody, że akcesoria, o jakich pan mówi, nie zostały mi podrzucone?

– Dobrze, cwaniaczku – Pietrowski przełknął ślinę – skoro utrzymujesz, że jesteś takim niewiniątkiem, to wyjaśnij mi, czemu przez ostatnie dni tak zapamiętałe uciekałeś moim funkcjonariuszom?

– Jeśli człowiek jest atakowany nie wiadomo przez kogo, to cóż dziwnego, że ucieka? Po napadzie na cmentarzu mogłem spodziewać się wszystkiego najgorszego.

– Dość tej słownej szermierki – otworzyły się drzwi i do celi wszedł sam Pugo. Jego twarz była Rawskiemu obca, ale sądząc po uniżeniu, z jakim zwracał się do przybysza Pietrowski, musiał być nie lada personą. Odsunąwszy dość bezceremonialnie generała, zwrócił się bezpośrednio do Szymona: – Grajmy w otwarte karty, mister Ravell. I z góry wyjaśnijmy sobie jedno: Żadna ambasada wam nie pomoże. Wiemy, że przybyliście na nasz pokojowy kontynent w zamiarach jednoznacznie dywersyjnych.

– Pan wybacz, ale nie rozmawiam z nieznanymi.

– *Mołczy!* – ryknął Pietrowski. – *Eto jewrokomissar Boris Pugo.*

– Czy w związku z tym powinienem przykleknąć? A może paść na twarz?

– Co uczynicie, zależy od was – oparł z pełną szczerością Rosjanin. – *Skażesz wsio – wiernioszsia damoj.* Nie zechcesz, i tak powiesz. Ale będzie bolało. I, co tu kryć, umrzesz.

Pochylając głowę przed eurokomisarzem, ukradkowo popatrzył na jego zegarek. Dochodziła siódma. Od ucieczki chłopca i księdza minęła już godzina, od jego aresztowania pół. Czas pracował na korzyść sprawy. Gdyby udało się jakoś opóźnić zeznania... Wystarczyło wytrzymać tylko parę godzin. Pugo dostrzegł ten ruch.

– Jesteście umówieni? Z kim, jeśli wolno wiedzieć. Z „Chronosem”?

– Każdy ma swój czas – odparł – i ja, i wy.

– Na siódmy krąg piekieł! Powiesz nam, wszystko nam powiesz, przyjacielu. Naprawdę znamy metody, o jakich się w waszej CIA nie śniło...

– A czy ja najpierw mógłbym spróbować moich? – do celi wszedł Pietia

Gadzinow. – Proponuję zastosować sposób lepszy od przereklamowanej toksykologii.

– Jaki? – obaj zwierchnicy wydawali się zaskoczeni.

– Wprowadzić tę babuszkę – rzucił donośnie.

I stanęła na progu babcia Zosia. Małeńka, kruchotka, ale prosta jak świeczka, przypominająca filigranową figurynkę z saskiej porcelany, z burzą siwych włosów nad pomarszczonym czołem. Na policzku miała paskudny siniak, a ręce, skute na plecach, wskazywały, że nie była potulną aresztantką.

– Szymuś! – zawołała. – Nic im nie mów! Na Szucha było gorzej.

– Babunia – wyszeptał prawie z jękiem, gdyż wiedział, że teraz powie im wszystko.

Pozostała mu jedynie gra na zwłokę. Najpierw milczeć, potem, gdy go złamią, mówić dużo, zasypywać wroga jak największą liczbą nieistotnych szczegółów, a może Jacek zdąży.

Jednak czy zwykły gracz amator mógł poradzić sobie z szulerami, którzy mieli doskonale opanowane stałe elementy gry? Nie dali mu szans. Zofię zakneblowano i przywiązano do krzesła, z samego wyglądu przypominającego prokrustowe łóżko, nic dziwnego więc, że kiedy przybył oprawca w lekarskim kitlu, z walizką pełną katowskich utensyliów, plan Rawskiego runął w gruzy.

– Gawędzimy, czy odpowiadamy na pytania – zapytał Pietrowski, podchodząc do pani Zofii.

– Dobrze, powiem wam, co chcecie wiedzieć? – zawołał, przerażony myślą o bólu, który oprawcy mogliby zadać ukochanej babci.

Zeznając, próbował oczywiście zminimalizować swoją rolę w całej sprawie i wyjawiać jak najmniej istotnych szczegółów. Tak, owszem, przybył wykonać rozpoznanie terenu, ale nie ma pojęcia, komu miała służyć jego misja.

– Kto ci wydaje rozkazy? – naciskał Pugo. – Chyba nie przybyłeś tu z własnej inicjatywy.

– Doktor Herbert Gordon! – skłamał bez mrugnięcia powieką, wywołując wyraźnie zaskoczenie Rosjanina. – Prawa ręka profesora Rossmana w końcowej fazie programu „Chronos”.

– Wymyślcie inną bzdurę, doskonale wiemy, że Herbert Gordon zginął w czasie katastrofy we Flagstaff.

– Macie złe informacje. Widziałem się z nim zaledwie przed tygodniem w Waszyngtonie. Herbert jedynie upozorował swoją śmierć, wiedząc, że inwigilujecie naszą działalność i żywy zawsze będzie przez was śledzony. Nadal jednak działa i z ukrycia wydaje rozkazy. (Wrobienie kogoś, kto autentycznie nie żyje, przyszło Simonowi stosunkowo łatwo, co ważniejsze wiedział, że jego prześladowcy nie będą w stanie sprawdzić wiarygodności tej części zeznań.)

– W czym imieniu działa Gordon?
– Nie mam pojęcia. Zawsze miał niezłe kontakty w Departamencie Obrony.
– Sprawdźmy. Na czym miała polegać twoja operacja?
– Miałem podrzucić parę elektronicznych części.
– Komu?
– Komuś tutaj w Warszawie. Nie znam nazwiska. Ksiądz Jerzy miał nas dopiero skontaktować.

– Wiesz, dokąd udał się razem z chłopakiem...?
– Nie mam pojęcia, mają w mieście setki doskonałych kryjówek.
– A więc zabrali przywiezione przez ciebie urządzenia? – powtórzył z naciskiem Pugo. – Dokąd mieli je dostarczyć?
– Wspominali coś o Pradze i jakiejś cerkwi.

Do tej pory szło mu niezłe i Rawski zaczął się trochę odprężyć, jeśli w ogóle można mówić o odprężeniu w jego sytuacji. Nie docenił przeciwnika. Trzej przesłuchujący go czekałi naprawdę nie byli amatorami.

– Doskonale – skwitował w pewnym momencie jego rewelacje Pietrowski. – Twoja skłonność do współpracy jest wręcz imponująca. Teraz wystarczy tylko zweryfikować twoje informacje i wszyscy będą mogli odpocząć.

– *Da, kanieczno!* – zgodził się Pugo, zgadując myśli generała. – Towarzysz Gadzinow przygotuje wszystko, co potrzeba, a my możemy zrobić sobie małą przerwę. *Zakuritie?* – wyciągnął do Szymona paczkę amerykańskich papierosów. Ten skwapliwie skorzystał z oferty, zastanawiając się, jak może wyglądać owa weryfikacja.

Gabinet po drugiej stronie weneckiego lustra różnił się wystrojeniem od pokoju przesłuchań. Miękkie fotele, sofa w kącie. Jednak Anette Laroche, siedząca na fotelu najbliższym szyby, wyglądała tak, jakby przyszło jej zajmować wyjątkowo niewygodny zył.

Eurokomisarz podszedł do niej, a gdy na jego widok poderwała się na baczność, po ojcowsku pogłaskał ją po głowie. Sprawiała wrażenie zagubionej, a może tylko trochę zmęczonej.

– Świetnie spisaliście się, towarzyszeko, pod każdym względem – powiedział dostojnik i jeszcze podrapał ją po podbródku, jakby była małym kotkiem. – Nigdy dotąd tak krótkie szkolenie nie dało równie doskonałych wyników.

– Dziękuję, towarzyszeko komisarzu – odpowiedziała Anette. Jej twarz oprócz regulaminowego szacunku nie wyrażała żadnych uczuć.

– Naturalnie nie minie was nagroda. I awans. W centrali brak nam takich fachowych i zarazem pięknych czekistek. A jeśli mógłbym wam w czymś pomóc albo coś wyjaśnić, to służę swoją osobą.

– Co z nim zrobicie? – wzrokiem wskazała szybę, za którą Szymon siedział z

głową zwieszoną na piersi.

– Słyszeliście, co powiedziałem. Nie będzie współpracować – zginie...

– A jeśli będzie?

– Bardzo to was obchodzi, *mademoiselle*?

– Absolutnie nie – odparła zimno – jestem jedynie ciekawa.

– Bo gdyby wam szczególnie zależało, musiałbym się zastanowić.

– Czemu miałoby mi zależeć. To wróg.

– Rozsądne stwierdzenie. Może jeszcze macie jakieś pytania?

– Pytania?

– Śmiało! – Pugo w tym momencie wyglądał jak dobry wujaszek, który najchętniej wzięłby ją na kolana i dał cukierka.

– Zastanawiałam się... ale to nie takie ważne. Mogę się odmeldować?

– Dziewczyno, nie zachowuj się jak pannica, która chce, ale się wstydzi. Jaki masz problem? Szczerze.

– Zastanawiam się, kim ja właściwie jestem?

– Jak to kim? – wąska zmarszczka przecięła łyse czoło *jewrokomissara* – sierżantem Anette Laroche.

– Zastanawiam się, kim jestem naprawdę. Bo Anette Laroche na pewno nie...

Papieros omal nie wypadł z ust Pugo.

– Skąd to przypuszczenie?

– Simon nie chciał ze mną rozmawiać. Odpowiedział mi tylko na jedno nurtujące mnie pytanie, jak udało mu się mnie zdemaskować.

– To rzeczywiście interesujące. Jak?

– Trochę akcent, brak wyuczonej praworęczności, a także blizny po operacji ślepej kieszki...

„Nikt nie jest doskonały” – pomyślał Rosjanin, a głośno dodał:

– Mielicie wieloletni zanik pamięci, towarzyszko, poważnie uszkodzony mózg, mnóstwo ran... A że nie macie żadnych blizn? Mamy po prostu doskonałych chirurgów plastycznych. I rewelacyjne maści! Czy to wszystko?

Skinęła głową, przyjmując informacje do wiadomości, a gdy skierował się do stojącego w drzwiach Pietrowskiego, opadła ciężko na poprzednie miejsce.

Pugo tymczasem ujął generała pod ramię i razem wyszli na korytarz. Tam westchnął i zapytał:

– Słyszałeś?

Generał potwierdził:

– Tak. Mogą z nią być kłopoty.

– Szkoda. Taka świetna dziewczyna. Niestety, wprowadzona do akcji za wcześnie, za nagle, bez przeszkolenia praktycznego... Jednak w zaistniałej sytuacji nie

pozostało nam nic innego, jak improwizować...

Wziął telefon i odwrócił się tyłem do generała.

– Połączcie mnie z Lesortem! – Czekał tylko chwilę, po czym rzucił do słuchawki:

– Antoine! Przyjdź jak najszybciej i zabierz stąd tę dziewczynę.

– Sprawia jakieś kłopoty? – w głosie instruktora zabrzmiało zdziwienie.

– Nie, ale może sprawiać. Wzywam cię na wszelki wypadek, bo – jak wiesz – nie znoszę nieprzewidzianych komplikacji.

– Gotowe – zameldował Gadzinow, zapraszając komisarza do celi. – Technicy zamontowali aparaturę. Możemy zaczynać.

Dwóch osiłków chwyciło Rawskiego i po rozpięciu kajdanek doprowadziło do fotela, przypominającego roboczy sprzęt stomatologa. Tam przytroczono go do oparcia tak silnie, że ledwie mógł oddychać. Równocześnie na jego ciele rozmieszczono mnóstwo czujników, z których te najgroźniej wyglądające zainstalowano na głowie, szyi i piersiach więźnia.

– Co to jest? – pytał coraz bardziej zaniepokojony.

– Wariograf – wyjaśnił Pietrowski. – Wykrywacz kłamstw. Oczywiście model nieco zmodyfikowany dla naszych potrzeb.

– Co to znaczy?

– Każda odpowiedź prawidłowa będzie automatycznie nagrodzona doznaniem miłym, kłamstwo, niestety, podlega karze. Bardzo dotkliwej. Naturalnie wierzymy w każde twoje słowo, Simonie Aleksandrowiczu, jednak praktyka zawodowa nakazuje weryfikację słów. Chyba się rozumiemy?

XXII

Anette z pozorną obojętnością śledziła nową fazę przesłuchania. Siedzący obok niej Gadzinow nie mógł ukryć podziwu dla jej opanowania. Sam lubił tortury, ale wiedział, że dla większości ludzi, a szczególnie kobiet, są wrazeniem ponad siły. Jego podziw wzrósłby wielokrotnie, gdyby mógł wiedzieć, jaki wulkan sprzecznych emocji kotłował się pod maską obojętności, będącą w istocie cienką skorupą. W skupionej pozie słuchała informacji, wrywanych z coraz bezbronniejszego Szymona. To, co ujawniał, zuchwały plan zmiany świata, o którym nigdy nie myślała w kategoriach alternatywy, wywoływało w niej coraz większy niepokój. Więcej – przerażenie.

Zarazem dziewczyna była wściekła na swoje reakcje, które pojmowała jako niegodną słabość, nie traciła jednak możliwości logicznego rozumowania i precyzyjnej analizy. Wszystko, co dotąd zapewniało jej komfort istnienia, poczucie sensu, własnej

wartości, opierało się na przekonaniu: „Jestem Anette! – Sierżant Anette Laroche”. A jeśli, gdyby wierzyć Simonowi, wcale nią nie była? Co wówczas w ogóle miało sens?

Własna przeszłość nawet dla niej samej przedstawiała się mgliście. Na dobrą sprawę nie pamiętała niczego z życia tamtej Laroche sprzed katastrofy. Nie miała żadnych wspomnień. A przynajmniej takich, jak powinna. Nauczyła się życiorysu Kanadyjki. Zaakceptowała go jako własny. Uwierzyła, że jest własny.

Bo czyż? Właściwie, jak daleko sięgała pamięcią, jej życie było wyłącznie nauką: wkuwaniem języków i historii ruchu komunistycznego, technik walki i dziejów kultury wschodniej, a także zachodniej cywilizacji. Od zawsze jej domem były białe sterylne pomieszczenia, jakiś ogród, rówieśnicy bez nazwisk, wymieniani tak szybko, iż z żadnym nie zdołała się zaprzyjaźnić. A seks? Ten od początku był wyłącznie rozładowywaniem napięć i absorbowaniem rozkoszy. Kochała się, zanim jeszcze w pełni ukształtowały się jej piersi i porosło runem jej łono. Kochała się z niezliczoną liczbą mężczyzn, a także kobiet, w układach binarnych i grupowych. Intymnie i na oczach wykładowców. I nawet to lubiła. W tym świecie powszechnej kopulacji wyjątek stanowił Antoine. Jej prowadzący. Smutny oficer o oczach stepowego sokoła. Przez ostatnie pół roku, gdy wprowadzał ją w normalne życie, przebywali mnóstwo czasu razem. Bywali w paryskich *milicjonnych* bistrach, chodzili do dyskotek, na wiece i *subotniki*... Jednak jeśli jej dotykał, przypominało to dotyk robota. Kiedyś w końcu zapytała go otwarcie, skąd bierze się ta seksualna powściągliwość.

– Nie podobam ci się, Antoine? Wiem przecież, że nie jesteś gejem. Poza mną przerzynałeś wszystkie kursantki w grupie C.

– Pracujemy ze sobą tak blisko, że nie możemy dopuścić, aby połączyły nas więzi inne oprócz zawodowych, to byłoby zbyt niebezpieczne – odparł chłodno.

„Tak bardzo niebezpieczne! – wspominała z goryczą. – Ciekawe, gdzie dziś mogę czuć się bezpieczna?”

Wykonała zadanie, ale nie czuła satysfakcji. Owszem, ta akcja w pociągu, mroczna radość zabijania, satysfakcja z dobrego kamuflażu... Poszło nieźle. Ale potem? *Merde!* Dlaczego czuła się jak pęknięty dzban czy raczej jak rozpruty worek? Z technicznego punktu widzenia seks z Rawskim nie sprawił jej żadnych trudności, profesjonalna gotowość w połączeniu z jego napaleniem wystarczyłyby na wzorcowy spektakl *twiordoj pornografii*... Tyle że oprócz seksu doznała uczuć dotąd nieuświadomionych, można powiedzieć niedostępnych. To bezgraniczne oddanie Simona, zaangażowanie większe, niż wymagają tego zmysły i potrzeba rozkoszy! Wszystkie nerwy i tkanki partnera po prostu krzyczały miłością. Przynajmniej do chwili, kiedy się zorientował w oszustwie i gwałtownie ochłódł. To było coś porażającego, przerażającego i... pięknego zarazem.

Naraz zdała sobie sprawę, że do tej pory nie kochała nigdy nikogo i niczego.

„Może poza Partią – pomyślała z ironią – Partią, dobroczynnym słońcem i sprawczynią wszechrzeczy”. Nie doznawała mocniejszych uczuć do żadnego człowieka ani przedmiotu. Przecież nawet osoby w teorii jej najbliższe – rodzice, szkolne przyjaciółki, Lionel i Simon, które poznawała, czy raczej, jak – twierdzili instruktorzy – przypominała sobie z nagrań i dokumentów, pozostawały schematycznymi postaciami z akt osobowych, ot, znajomymi z fotografii i filmów. Jak zresztą mogła mieć do czegokolwiek bardziej emocjonalny stosunek? Od zawsze nie posiadała żadnych rzeczy osobistych. Nawet broń, podobnie jak stroje, pojawiały się i znikwały z jej stanu wyposażenia. Czasem, idąc przez miasto, rzucała okiem na witryny sklepików i obserwowała lalki. Czy kiedykolwiek miała takie zabawki jako dziewczynka? Nie pamiętała jednak siebie jako małej dziewczynki. Nie pamiętała ni skrawka kanadyjskiego dzieciństwa. Owszem, w procesie edukacji poznała podstawowe dziecięce baśnie, wierszyki, piosenki, ale równocześnie nie mogła pozbyć się wrażenia, że wcześniej, przed wypadkiem, nigdy ich nie słyszała. Najdawniejsze wspomnienia: pierwsza miesięczka, pierwszy seks, wydawały się doświadczeniem dalekim, choć w innych momentach zaskakująco bliskim i związanym z owym francuskojęzycznym ośrodkiem, a nie ze znanym jedynie z fotografii szeregowym domkiem na przedmieściach Toronto. Ze zdumieniem odkrywała coraz więcej niekonsekwencji, dotyczących jej własnej osoby. Według wszelkich danych miała 34 lata, czyli owe pierwsze doświadczenia musiały mieć miejsce przed ponad dwudziestu laty. W ośrodku mogła przebywać najwyżej dwanaście lat. Czemu więc wydawało jej się, że wszystkie te przeżycia spotkały ją dopiero tu? Konfabulacje w trakcie wieloletniej śpiączki? Coś tu się nie zgadzało. Gdzie więc naprawdę przebywała wcześniej? Podobnie sam czas nastroczał wielu niepokojących pytań. Dni, spędzone pod odkrytym niebem, wydawały się niesamowicie długie w porównaniu z dobami ośrodka. Identycznie rzecz się miała ze starzeniem. Wyglądała ciągle bardzo młodo, ale z tygodnia na tydzień czuła się coraz starzej. Co gorsza, zauważyła, że w ciągu ostatniego pół roku jej skóra straciła dziewczęcą świeżość, włosy dawny połysk, a nim je ufarbowała, dostrzegła pierwsze pasemka siwizny.

Co to mogło wszystko oznaczać? Dotąd nie zadawała sobie takich pytań. Wykonywała powierzone jej zadania i odczuwała satysfakcję płynącą z sukcesu.

Teraz Simon ze swym cholernym uczuciem zepsuł ten doskonały mechanizm. Jego miłość do Anette Laroche, do niej, jeśli w istocie była ową Anette, okazała się doznaniem ponad jej siły.

„Jestem żeńskim Pinokiem – pomyślała – przeklętą kukielką, która nagle odkryła w sobie ludzką duszę!”

Oczywiście z niepewnością, czy z potęgującymi się rozterkami można jakoś żyć. Anette popełniła jednak niewybaczalny błąd. Zdradziła się ze swoimi wåtpliwościami

wobec zwierzchnika, obnażyła swój defekt przed Borysem Pugo. Jakby nie wiedziała, co perfekcyjny system robi z zepsutymi zabawkami! Poczwała strach. Zabawne, jeszcze parę godzin temu nie wiedziała, że istnieje coś takiego. Liczył się obowiązek, zadanie, efektywność... Została przygotowana do każdej misji, w tym również samobójczej. Wśród symulowanych gier, których na treningach rozegrała setki, uczestniczyła również w najtrudniejszej. Jako żywa bomba przybywała na reporterski wywiad do przewodniczącego Chin czy prezydenta Stanów Zjednoczonych... I musiała dokonać autodestrukcji. Straszne? I wspaniałe. Myśląc o takim zadaniu, doznawała nawet swoistej, wręcz seksualnej rozkoszy. Obrzmienie sutek, wilgoć. Podniecała ją skala zadania. Wielkość! Identyfikowała się przecież z ideą! „Dla dobra Partii. Dla dobra ludzkości”. „Urraaaa!” Podobnie zafascynowała ją operacja „Simon Ravell”, teoretycznie szybka, łatwa, nieskomplikowana. W półtorej godziny od nieoczekiwanej odprawy, podczas której Antoine Lesort wprowadził ją w szczegóły misji, razem z paroma innymi agentami – Hiszpanami, Belgiem, Baskiem – znalazła się w łagier-wagonie. Wiele godzin namawiali stłoczonych tam skazańców na ucieczkę. Wewnątrz eszelonu unosił się zawieszisty odór – pot, adrenalina, smród z wiadra zastępującego kibel – było to straszne, a przecież odczuwała jedynie nieustanny przypływ energii: „zaraz się zacznie!” Po prawdzie wiele nie ryzykowała, nawet kiedy wokół uciekinierów rozszalało się ogniowe inferno, agentom *jewrocze*ki nic nie groziło. Dzięki twarzom, pomalowanym bezbarwnym płynem, lśniącem jaskrawo w goglach noktowizyjnych snajperów, odróżniali się od innych celów. Jak w innych podobnych operacjach zginęli wyłącznie więźniowie przeznaczeni na odstrzał. I jeden „swój” – Włoch, idiota, który szalikiem zakrył sobie twarz, bojąc się przeziębienia w mroźnym, północnym powietrzu Priwislinii.

Ale teraz? Niczego nie była już pewna.

Okłamywali ją. Nie mogła pojąć, dlaczego ją okłamywali. Co gorsza, rozumowanie oparte o zdroworozsądkową logikę prowadziło do natrętnej konkluzji: jeśli jeden element doskonałej układanki okazał się kłamstwem, co z pozostałymi? Co z całą konstrukcją? Co z Ideą?

Za szybko Rawski wił się miotany elektrowstrząsami. Ujawniał tajemnice, które jeszcze przed chwilą usiłował ochronić. Impuls wysłany w przeszłość. Plan korekty historii. Modem do zainstalowania na kablu.

- Gdzie kazałeś im zainstalować to ustrojstwo? – naciskał Pietrowski.
- Nie wiem... Auuu... W ruinach banku przy Świerczewskiego...
- Kiedy ma nastąpić przekaz?
- Dziś o północy.

Drobna ulga. Brak karzącego uderzenia. Przecież powiedział prawdę!

Dość nieoczekiwanie Pugo przerywa przesłuchanie. Wskazuje Pietrowskiemu na

zegarek. Dochodzi dziewiąta. Generał rozumie bez słów. Trzeba się śpieszyć.

– Mogę kontynuować tę rozmówkę? – Gadzinow aż się pali do dalszych tortur.

– Byle ogłędnie. Nie chciałbym, aby naszemu gościowi przydarzyło się coś nieprzyjemnego – studzi jego zapał *jewrokomissar*. – Pan Ravell ma nam jeszcze dużo do powiedzenia. I powie. O innych instalacjach. O współnikach w Ameryce...

– Pozostawiamy pana Ravella w fachowych rękach – uśmiechnął się generał, wskazując trójkę oprawców. – Zastanawiam się tylko, co mamy zrobić z nią? – wskazuje skamieniałą w niemym bólu i rozpaczy Zofię Marczyńską.

– Nie będzie nam już potrzebna – odpowiada spokojnie *jewrokomissar*, cofając się w głąb celi.

– Rozumiem – mówi generał i wymienia porozumiewawcze spojrzenie ze swymi zbirami. Chwytają pod ramiona półprzytomną panią Zofię i ciągle zakneblowaną wyprowadzają, czy raczej wywlekają z pomieszczenia. Przez niedomknięte drzwi dolatuje huk wystrzału.

Z ust Szymona wrywa się wycie, targa swoje więzy, strącając większość czujników. I na własne szczęście traci przytomność.

– Lecimy na *Driewnij Gorod* – decyduje Pugo tonem beznamiętnego obserwatora. – Gadzinow, dajcie teraz Amerykaninowi chwilę wytchnienia. Potem pytajcie go tylko o rzeczy ważne. I nie przesadzajcie z elektryczną stymulacją.

Wychodzą z celi. Na korytarzu czeka już na nich Anette Laroche.

– Czy mam wam towarzyszyć w akcji? – pyta, prężąc się przed zwierzchnikiem.

– *Spasibo*. Nie będziecie nam potrzebni – pada odpowiedź. Dziewczynę przenika dreszcz. Podobnej formuły użyto przed chwilą wobec staruszki. – Powinniście wypocząć – mówi *jewrokomissar*. – Umyć się, przespać.

– Może jeszcze przydam się tutaj? – na moment kieruje swój wzrok ku bezwładnej postaci Rawskiego za szybą. Gadzinow uśmiecha się obleśnie, perspektywa współpracy z piękną Francuzką jest równie zachęcająca co tortury.

– Nie, nie, pójdziecie na kwaterę – decyduje Pugo. – Zaraz ktoś się po was zgłosi i zaprowadzi na miejsce. *Spakujnoy noczi*.

– *Merci* – odpowiada Anette, chociaż wie, że ta styczniowa noc żadną miarą spokojna nie będzie.

*

Rukowaditiel zjawił się po pięciu minutach. Nawet nie bardzo zdziwiła się, poznając siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę i szeroką twarz Antoine’a Lesorta. Kogo innego wyznacziliby do takiej *zadaczy*?

Jeszcze wczoraj zegnał ją na lotnisku pod Paryżem. Teraz znalazł się już w

Warszawie. Imponująca szybkość. „Nie zna granic ni kordonów Partii zew” – przypomniała jej się piosenka bardzo popularna w Ośrodku. Zaniepokoiło ją to.

Gdyby chodziło o wypoczynek na warszawskiej kwaterze, przysłano by kogoś tutejszego, a skoro przybył po nią sam prowadzący... Mróz przeszedł jej po kościach.

– Dzielnie się spisałaś – powiedział prawie wesoło i dorzucił poważniejszym tonem: – Wracamy do Paryża. Jeszcze dziś.

– Wolałbym najpierw odpocząć – mruknęła niechętnie – jestem skonana.

– Ja też. Ale we Francji czeka nas nowe zadanie. Odpoczniemy po drodze, *ma petite chou*.

Kłamał. Tego była pewna. Wyczuwała nawet w jego głosie delikatną goryczkę smutku, bardzo prawdopodobną u Pigmaliona, wyznaczonego do zniszczenia Galatei.

Prawdopodobnie właśnie zdenerwowanie sprawiło, iż popełnił drobny błąd, ruszając przodem. Może zresztą chodziło o wzbudzenie w niej zaufania. W każdym razie, kiedy opuszczali bunkier, udało jej się niepostrzeżenie zsunąć z nogi pantofel i umieścić go pod zawiasami tak, by zablokował pozbawione klamki drzwi.

W milczeniu doszli do miejsca, w którym ponury korytarz tworzył szeroką wnękę. Obok znajdował się szyb windy.

– Zapalisz – zapytał, odwracając się ku niej.

– Chętnie – odparła, uśmiechając się promiennie.

Włożył rękę do kieszeni. Na to czekała. Postąpiła dokładnie, jak ją wyszkolił. Zadała trzy błyskawiczne ciosy: stopą w jądra, jedną ręką w tchawicę, drugą w oczodół.

Antoine runął na ziemię z cichym jękiem. Zarejestrowała, że nawet nie próbował się zasłonić... Nie chciał?

– Co wyprawiasz, Annuszka? – wycharczał, padając.

– Bronię się przed likwidacją – sprawnie wyłuskała mu broń i szybko cofnęła się o dwa metry.

– Głupia! Nikt nie chciał cię likwidować. Jesteś za cenna i zbyt perfekcyjna w działaniu. Zresztą przed chwilą to udowodniłaś. A że masz jeszcze drobne braki w wyszkoleniu psychicznym... Popracowalibyśmy nad tym.

– Wyjmij powoli rękę z kieszeni i pokaż, co tam masz... – powiedziała, ignorując jego słowa. Milcząco wyciągnął niewielki pneumatyk ze strzykawką nasadzoną na lufę...

Znała ten sprzęt, stosowany do obezwładniania na odległość dzikich zwierząt, a ostatnio coraz częściej ludzi.

– Chciałem cię jedynie uśpić – tłumaczył. – A ty zepsułaś wszystko. Ale nie przejmuj się, jeszcze nie jest za późno. Mówię serio. Zapomnijmy o tym incydencie. Zastanów się, gdybyśmy naprawdę chcieli cię zabić, nie potrzebowalibyśmy pneumatyka.

– Co w takim razie zrobilibyście ze mną po uśpieniu?
– Wróciłabyś do Ośrodka, na uzupełniające szkolenia. Nie ma w tym twojej winy, że wprowadzono cię do akcji pośpiesznie, w sytuacji awaryjnej, kiedy nie byłaś w pełni gotowa...

Nie chciała słuchać, wołała zaufać odruchom i intuicji.

– Odrzuć od siebie pneumatyk! Dobrze.

– W porządku, skarbie. Przepraszam! Rzeczywiście mogłem ci do razu powiedzieć, że chwilowo cię wycofujemy. Chwilowo – podkreślił. – Poza tym wszystko jest do naprawienia, Annuszka. Nawet to nasze małe nieporozumienie. Zznam, że z moim okiem to był wypadek...

– Lepiej powiedz mi prawdę – kim jestem?

– Co masz na myśli?

– Jeśli nie jestem Anette Laroche, to kim jestem? I skąd wzięło się to niezwykle podobieństwo między nami? Mów!

Podeszła blisko – tak, by widział determinację płonącą w jej źrenicach.

– Masz jeszcze drugie oko, okazała męskość i swoje zasrane życie, Antoine – powiedziała. – Pytam cię po raz ostatni: kim jestem?

– Odcinasz sobie drogę odwrotu. Jeśli się dowiesz, będziesz musiała zginąć.

– I tak zginę, więc przynajmniej chcę wiedzieć. Mów! – Uniosła broń. Jej palec zadrgał na spuście. Zrozumiał, że nie żartuje. Sekundę, może krócej zagryzał usta, potem wybuchnął:

– Doskonale! Więc słuchaj! Jesteś klonem, pieprzonym klonem tej żurnalistki, wypreparowanym z kawałka jej palca, który znaleziono po katastrofie i rozpoznano po pierścionku – wysapał. – Lepiej ci teraz?

– Klonem? – powtórzyła zaskoczona. Słyszała naturalnie o sukcesach radzieckich genetyków, o doświadczeniach prowadzonych na owcach, na małpach... Ale pomysł, żeby ona sama była dziełem takiej manipulacji genetycznej, nie przyszedł jej do głowy. Paradoksalnie uczuła ulgę... – Jestem więc repliką Anette Laroche?

– W najdrobniejszych szczegółach. Poza jej pamięcią i doświadczeniami życiowymi. Tego próbowaliśmy cię nauczyć. Co do duszy nieśmiertelnej nie zabieram głosu.

– Ile naprawdę mam lat? Pięć?

– Trzy. Klony rozwijają się w przyspieszonym tempie, niestety, równie szybko się starzeją. Za rok biologicznie przekroczysz czterdziestkę, za dwa pięćdziesiątkę. Dlatego chciałem ci zapewnić przynajmniej wspaniałe życie.

– prostytutki, morderczynie czy żywej bomby?

– Wydawało mi się, że polubiłaś swój zawód. Byłaś pasjonatką. Czyżbym się mylił? Nie wierzę. Znam cię, Annuszka, i dlatego mówię ci jak przyjaciel, prawie

ojciec, powstrzymaj się, cokolwiek zamierzasz. Nie masz szans w tej grze.

Podniosła pneumatyk ze strzykawką i z bliskiej odległości strzeliła mu prosto w brzuch.

– Mam nadzieję, że był tam wyłącznie środek usypiający!

XXIII

– Do diabła, ona naprawdę jest klonem? Niesamowite! – cmokał Pietrowski, kiedy śmigłowiec wznosił się nad Łukiem Siekierkowskim, biorąc kurs na północ.

– W ciągu ostatnich paru lat nasza genetyka uczyniła ogromne postępy – pysznił się Pugo. – Inna sprawa, że umożliwiliśmy twórczą pracę przy tym i podobnych programach najwybitniejszym uczonym Nowej Europy. Nie muszę cię przekonywać, *moj gatubczyk*, że alternatywa: współpraca i dobrobyt albo bunt i Kołyma stanowi doskonały stymulator energii twórczej u każdego jajogłowca. Przy okazji doskonale pozbawia go dylematów moralnych. Kto wie, czy nasz rychły triumf na świecie nie będzie w znacznej części dziełem właśnie klonów, które dojrzewają w naszych instytucjach. Wyobrażasz sobie sklonowanych przywódców państw, z którymi mamy przejściowe kłopoty? Wystarczy przecież podmiana pierwowzoru na sobowtóra, czasem zaledwie na parę godzin...

– Tylko skąd można zdobyć materiał genetyczny dla takich replikantów? Zdobycie palca prezydenta Chin czy kradzież napletka premiera Zjednoczonego Królestwa to chyba trudniejsze zadanie niż pozyskanie kciuka Anette Laroche?

– Ludzki kod zawarty jest nawet w tych częściach organizmu, o które nikt się specjalnie nie troszczy. Włosy, paznokcie, zęby... Czy tak trudno zaprzyjaźnić się z fryzjerem, stomatologiem lub manikiurzystką nawet najwyższej postawionej osoby? Wybacz, Grisza, ale nie mogę podzielić się z tobą konkretniejszymi szczegółami projektu. Przynajmniej teraz.

Śmigłowiec usiadł na skraju placu Dzierżyńskiego, zaraz za linią kordonu, pomiędzy starym wodozbiorem, od wieków zwanym „Grubą Kaśką”, a wypalonym pałacem Radziwiłłów, mieszczącym za czasów PRL Muzeum Lenina. Helikopter pozostawił za sobą szeroki pas centralnej ulicy, dzielącej dwie zniszczone części śródmieścia. Jednak o tej porze ruch w alei Marszałka Ogarkowa wyraźnie osłabł. Prawie wyłącznie poruszały się po niej zjeżdżające do zajezdni tramwaje, wozy dostawcze i wojskowe ciężarówki. Co kilkaset metrów wznosiły się wieżyczki z gniazdami karabinów maszynowych, strzegące bezpieczeństwa arterii północ-południe przed mętami z ruin.

– Mysz się nie prześlizgnie – tłumaczył Pietrowski. – Wokół ruin Banku, Hipoteki

i dawnego domu Pod Królami Listkow rozstawił swoich ludzi. Na dachach mamy najlepszych snajperów.

– A w tych wieżowcach? – Eurokomisarz wskazał pełne dziur na przestrzał ruiny dawnych bloków mieszkaniowych, czerniejące na tle nieba pomiędzy bankiem a dawnym placem Teatralnym.

– Te budynki w każdej chwili grożą zawaleniem, nawet miejscowe *bradiagi* stronią od nich...

– Co jednak będzie, jeśli ścigani przedostaną się kanałami? Nie przeoczmy ich?

– Przekradanie się kanałami nic im nie pomoże, piwnice, przez które mogą dotrzeć do interesujących ich przewodów, leżą wystarczająco płytko. Jeśli spróbują tej drogi, nasze czujniki termiczne natychmiast wykażą obecność intruzów. A wewnątrz powitają ich odpowiednio przygotowane niespodzianki. Poza tym na stoku dawnej Trasy W-Z, tuż przy zawalonym tunelu czeka oddział saperów. Po całej akcji zawałają piwnice, uniemożliwiając w przyszłości komukolwiek dostęp... A jak będzie trzeba, to jeszcze Pienkałow dojedzie ze swymi toksycznymi cysternami.

– *Prawilno*... Gdzie przewidziałeś stanowisko dowodzenia?

– W sieni dawnego Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

– Miejmy nadzieję, że ten bachor nie pojawił się z modmem, zanim wasi ludzie przybyli na miejsce... – Generał urwał, słysząc ciche piknięcia, dobiegające z podręcznego skanera terenowego. Zaraz na miniaturowym monitorze generała pojawiła się niewielka purpurowa plamka.

– Mamy jednego! – powiedział. – Posuwa się kanałem od strony placu Teatralnego. Proszę – podchodzi do interesujących nas piwnic.

Nagle rozległa się stłumiona detonacja i drobna plamka poczęła szybko przemieszczać się ku górze.

– Co to było?

– Gaz – odparł Pietrowski – silny gaz łzawiący, po paru minutach paraliżujący. Zobaczycie, dywersant zaraz wylezie.

W samej rzeczy. Już po chwili uniosła się pokrywa studzienki odpływowej i w otworze pojawiła się drobna ręka. Ktoś mikry acz zwinny wygramolił się na zewnątrz, kaszląc donośnie. W drugim ręku trzymał zawiniątko.

– To ten szczeniak! Bierzcie go!

Nim jednak któryś z funkcjonariuszy uczynił krok, chłopak poderwał się i jak strzała pobiegł w stronę wieżowców.

– *Agoń!* – zawołał generał. Zapaliły się światła wielkich reflektorów i równocześnie zagrały automaty. Chłopak biegł chwilę zygzakiem, aż trafiony zakręcił się w miejscu i padł na ziemię obok wraku spalonego samochodu... Z dachu domu Pod Królami dobiegło krótkie „uraaa!” Jednak po chwili ujawnił się następny cel. Dwa

metry ponad ziemią z otworu będącego ongiś oknem hali kasowej wynurzyła się szczupła sylwetka w sutannie. Pietrowski nerwowo przełknął ślinę. Nareszcie nieuchwytny antagonista znalazł się w zasięgu jego snajperów. Ksiądz Jerzy zsunął się tymczasem po murze i ruszył w stronę skulonego ciała chłopca, rześcicie oświetlonego przez ogromne reflektory.

– Chcę go mieć żywcem! – krzyknął Pugo.

Za późno! Sekundę wcześniej ruszył zmasowany ostrzał ze wszystkich stron. Kule szatkowały grudy zmarzłego śniegu, bębniły po karoseriach samochodowych wraków. Żadna jednak nie trafiła księdza. Proboszcz *gruzowego rajona* szedł w ogniowej kurzawie, wśród kul gęstych niczym rój pszczeleli. Nieukąszony przez żadną, pochylił się nad chłopcem, przeżegnał go znakiem krzyża, a podjąwszy wypuszczone przez niego zawiniątko, ruszył w stronę pobliskiej studzienki.

– Niedoczekanie! – ryknął Pietrowski i, wyrwawszy z kabury swój nagan, skoczył za księdzem, niebacznym, że sam wystawia się pod kule.

– Wstrzymać ogień! – zawołał Pugo.

– Wstrzymać ogień – powtórzył przez centralkę Listkow.

Takoż kanonada umilkła. Kapłan był już obok studzienki. Wyglądało jednak, że generał będzie szybszy. Ale nie. Ojciec Jerzy uniósł rękę i czekista zamarł. Znieruchomiał wbrew wszystkim prawom logiki, w biegu, na jednej nodze, z wyciągniętą spluwą, wychylony pod ostrym kątem... Jeszcze chwila, a głowa księdza zniknęła pod ziemią. Natychmiast wróciła grawitacja. Pietrowski całą swą długością runął na bruk.

– Za nim, dopadnijcie sukinkota! – wołał *jewrokomissar* do zdezorientowanych funkcjonariuszy.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, po detonacji zainstalowanych ładunków podziemia wypełniały opary gazu, a wezwany pluton chemiczny był dopiero w drodze.

Księdzu najwyraźniej gaz nie przeszkadzał. Czujnik termiczny wychwytywał jego obecność w piwnicach, chociaż odczyt był wyjątkowo słaby.

– Ten człowiek wydziela mniej ciepła niż żaba w stanie letargu! – wołał Listkow.

– Musicie mu przeszkodzić za wszelką cenę – domagał się Pugo. – Czuję, że on tam coś montuje.

Żołnierze ruszyli do akcji. Rzucono do podziemi znaczną liczbę granatów wszelkich rodzajów: ogłuszających, rozpryskowych, zapalających, ale sądząc po ciągle pulsującym światełku, nie zrobiły one na uciekinierze żadnego wrażenia, za to dość skutecznie utrudniły pościg funkcjonariuszom. Tymczasem Pietrowski, mocno potłuczony, dźwignąwszy się wreszcie z ziemi, usiłował uporządkować sytuację. Po dobrej chwili przypomniało sobie o saperach jako rozwiązaniu ostatecznym. Ich wóz pełzał powoli po oblodzonej krzywiźnie, popychany ze skutecznością Syzyfa przez

sołdatów. Ich nogi w zimowych butach ślizgały się po zamrzniętym stoku.

Dopiero po kilku, może kilkunastu minutach rozległ się warkot od strony Wisły.

– Lecą nasi chemicy – ucieszył się Listkow – mają odpowiednie kombinezony, a przede wszystkim doświadczenie sprawdzone przy podobnych sytuacjach.

– Oby! – rzekł ponuro sowiecki hegemon.

Pilot upatrzył sobie na lądowisko wielki, pokryty śniegiem plac naprzeciw teatru, na którym dawno temu mieścił się pałac Jabłonowskich, warszawski ratusz za czasów prezydenta Starzyńskiego. Wymyślił może i dobrze. Ale potężne łopaty wirników wzbily tyle śniegu, że na moment kierujący stracił jakąkolwiek widoczność.

Instynktownie chciał poderwać śmigłowiec, atoli małe tylne śmigiełko zahaczyło o rękojeść miecza warszawskiej Nike, wyprężonej na wysokim cokole. Rozległ się brzęk metalu. Pobawiony stateczności helikopter zakręcił się jak ranny trzmiel i runął na ziemię, prosto na popychany mozolnie wóz saperów.

Ognista kula zmieniła dzień w noc, a potężna detonacja, słyszana podobno w odległym Wilanowie, rozerwała nocną ciszę. Szyby wyleciały nawet w pałacu Mostowskich.

Furda szyby! Wstrząsu nie wytrzymała nadwątlona konstrukcja najbliższego z wieżowców. Z potwornym chrzęstem dom zaczął się walić, zapadać w siebie i już po chwili żelbetowe rumowisko pokryło ulicę Daniłowiczowską, cały placyk i włąz do kanału.

Pugo, uderzony jakimś odpryskiem, ocierał krew z twarzy. Kłął jak moskiewski szewc, ale uspokoił się, gdy Listkow pokazał mu monitor.

– Po kłopocie, *towariszcz komissar!*

Światelko, jeszcze przed chwilą pełgające w podziemiach, zgasło.

CZEŚĆ DRUGA

PRZEDWCZORAJ

1.

Czarny beckerowski zegar wybił ósmą. Głębokie dźwięki dłuższą chwilę kotłowały się po mieszkaniu, krążąc pod gipsowymi stiukami, obijając się o kaflowe piece, by wreszcie, całkiem jak za dawnych spokojnych lat, utonąć w szafach pełnych książek, gromadzonych przez trzy pokolenia Marczyńskich. Za zasłoną kryształowych szybek czerwieniła się zdobiona złoconymi napisami Wielka Historia Powszechna, błękitniały woluminy Wielkiej Literatury, manifestowały skórkowe dostojęstwo tomy Encyklopedii Orgelbranda...

A jednak w zwykłym biciu czasomierza Roman wyczuł jakiś ton niepokoju. Przypominając o zbliżającej się godzinie policyjnej, zegar brutalnie przywoływał go do rzeczywistości. Zagłębiony w swoje eseje, Marczyński stawał się nieobecny, żeglował bezpiecznie ponad ponurym realizmem, przenosząc się ku ukochanym wspomnieniom antyku, Krecie, Eubei, Sycylii, ku słonecznym śródziemnomorskim oazom mądrości i dobrego smaku, nim jeszcze zdruzgotali je najeźdźcy z północy. Jednak nieczęsto zdarzało się, by wibrujące w dębowej skrzynce pręty wyrywały go z raju boskiej Klio tak gwałtownie jak dziś.

– Aż tak późno? – szukając potwierdzenia, rzucił okiem na tiszota połyskującego na jego przegubie.

Było jeszcze później. Stojący zegar spóźniał się trzy minuty. A Zofia nie wracała. Z westchnieniem wstał – duchy Plutarcha i Diodora Sycylijskiego umknęły w cień półek, ukryły się za brązową miniaturę kapitolijną wilczycy, a gospodarz, lekko powłóczęc nogą, skierował się ku balkonowemu oknu, przekreślone na krzyż wąskimi paskami papieru. Pchnął oba szerokie skrzydła. Do mieszkania wdarł się przedwieczorny gwar wielkiego miasta. Dzwonienie tramwaju, daleki warkot zapuszczanego silnika, chrapliwe dźwięki muzyki dochodzące z nieodległych szeregów i narastający łomot podkutych butów maszerującego oddziału. Na widocznym z okna Nowym Zjeździe, opadającym ku kratownicy mostu Kierbedzia, panował ciągle znaczny ruch. Samochody, tramwaje, furmanki sunęły ospale na podobieństwo leniwego, wielobarwnego węża. Ówdzie na motocyklu z koszem przemknął patrol policyjny. Dobiegał kresu powszedni dzień okupowanego miasta. Normalny dzień... Skąd więc pojawił się ów niewytłumaczalny lęk?

Wrócił do biurka, chwilę machinalnie porządkował rękopisy. Równy złożył pięć świeżo zapisanych kartek i wsunął do szarej teczki, opatrzonej napisem: „Dekadencki wdzięk Helleniki”. Potem rozłożył leżący na spodzie kajet i równym kaligraficznym pismem absolwenta klasycznego gimnazjum przeniósł na jego karty sonet, który dość nieoczekiwanie spłynął z jego pióra wczesnym popołudniem. Co go naszło? Ostatnimi czasy wiersze pisywał nadzwyczaj rzadko. Zakończywszy pracę, wziął pokreślony brudnopis, złożył i, przedarłszy, cisnął do kosza. Potem raz jeszcze popatrzył na wiszący na ścianie telefon.

Co się, u licha, dzieje? Jak długo można siedzieć u matki!!!?

Od roku byli z Zosią małżeństwem, ale dla Romana ich miodowy miesiąc jeszcze się nie skończył. Żywił nadzieję, że nie skończy się nigdy. Dwudziestoletnia dziewczyna była najwspanialszym prezentem losu. W dodatku otrzymanym w momencie, kiedy niczego już nie mógł się spodziewać po swoim nieudanym życiu. Dzięki niej przestał pić i wrócił do pisania. Nie dopuszczał myśli, że teraz, kiedy koszmar wojny zbliżał się do nieuchronnego końca, coś mogłoby ich rozdzielić...

Muzyka w megafonie ucichła i przez dobrą chwilę padały chrapliwe słowa oficjalnego komunikatu. Nie zamierzał ich słuchać. Nikt nie miał wątpliwości, że to ostatnie lato szkopów. Podawane z ust do ust wiadomości z Londynu mówiły o sukcesie niedawnego lądowania w Normandii. Również Sowieci ruszyli szerokim frontem na Białorusi. Ich samoloty, które coraz częściej pojawiały się nad Warszawą, ze szczególnym uporem bombardując praski węzeł kolejowy, były tego najlepszym dowodem... Wśród spekulacji najczęściej powtarzało się pytanie, brzmiące nie: czy Sowieci wkroczą, ale: kiedy? Niektórych, zwłaszcza uciekinierów ze Wschodu, świadomych tego, co niedawno stało się w Wilnie lub w 39 roku we Lwowie, perspektywa wejścia bolszewików napawała grozą, większość jednak wierzyła w opiekę Anglii, w potężne Stany Zjednoczone i w polską podziemną armię. Ech, będzie, co będzie, najważniejsze nie dać się głupio zabić.

– Cholera! Obiecywała, że będzie najpóźniej o siódmej. Jeśli coś ją zatrzymało, mogłaby przecież zadzwonić...

Nerwowo okrążył pokój, na moment przystanął przy komódce i krótką chwilę machinalnie bawił się chińskim serwisem z brązu, przestawiał miniaturowe czajniczki i dzbanuszki, przywiezione przez stryja, rzuconego w latach wojen i rewolucji aż do Mandżurii, potem znów powrócił ku oknu. Wychylił się, lustrując uważnie trotuar pełen przechodniów. Ani śladu Zosi! Uniósł głowę, prześlizgnął się wzrokiem po barokowej fasadzie kościoła Świętej Anny i wolno stojącej dzwonnicy, potem przeskoczył ku wieży Zamku Królewskiego, nad którym skąpana w wieczornym lipcowym słońcu łopotała flaga z Hackenkreuzem. Wychyliwszy się mocniej z balkonu, dostrzegł jakieś zamieszanie u wylotu Świętojańskiej, ze Starego Miasta

wyjeżdżały dwie „budy” i kilku esesmanów na motorach. Łapanka? Może nakryli jakiś lokal?

Westchnął ciężko. Każdy dzień przypominał kolejny rzut kośćmi do gry. Rzucasz ty, rzuca śmierć... Nieraz zastanawiał się, jakie właściwie лихо ściągnęło go do Warszawy, mógł spokojnie spędzić okupację u kuzynostwa pod Krakowem, pozostawiając opiekę nad mieszkaniem choćby swemu bratankowi Zbigniewowi. Jednak, gdyby tak uczynił, nie poznałby Zofii. Najpiękniejszych nóg, jakie zdarzyło mu się oglądać... Inna sprawa, po raz pierwszy miał przyjemność podziwiać je z osobliwej perspektywy.

„Kameleon” był ostatnią z knajp, jakie odwiedzili tamtego wieczoru z Teosiem. Planowali szybką kolejkę na pół godziny przed zamknięciem. W końcu z placu Zbawiciela było ledwie parę kroków na Mokotowską, gdzie czekał ich brydż do rana. Królewska gra! Dzięki kartom utrzymywał się jakoś na powierzchni życia... Choć ostatnio coraz częściej tonął. Na własne życzenie. Nie w długach. W wódce. Tego dnia, wchodząc do ulubionej restauracji, ledwie trzymał się na nogach. Wystarczyła drobna nierówność chodnika, biegnącego środkiem lokalu, a potknąwszy się, runął jak długi. Nie poczuł bólu. W większym stopniu zdumiewała go falująca podłoga, ale jeszcze bardziej nogi, smukłe stopy w czółenkach, które zbliżyły się do jego twarzy i zatrzymały. Gdzieś z niebotycznych wyżyn knajpianej stratosfery dobiegł dziewczęcy głos:

– Nic się panu nie stało?

Przy pomocy Teofila stanął na nogi.

– Nic się panu nie stało?

Przez moment wpatrywał się w dziewczynę ogłupiałym wzrokiem, nie zdając sobie nawet sprawy, że z rozciętego czoła cieknie mu krew. Zofia sięgnęła po serwetki.

– Może wezwę lekarza? – zapytała.

– Nie przypuszczam, żeby w moim przypadku mógł pomóc jakikolwiek lekarz, aniołku – wybełkotał.

Wówczas nie wyobrażał sobie nawet, że między nim i młodziutką kelnerką z lokalu na placu Zbawiciela mogłoby dojść do czegokolwiek więcej niż do przelotnej znajomości. W swoim mniemaniu był już człowiekiem starym, wypalonym. Zbliżał się przecież do czterdziestki! Nie mógł konkurować z tymi wspaniałymi młodymi chłopakami z konspiracji, grającymi Hitlerowi na nosie, podczas gdy on spierał się głównie z Plutarchem i Prokopiuszem z Cezarei.

Owszem dawno temu, grubo przed wojną, mógł mieć dziesiątki takich panienek, które wyfrunęły z rodzinnych pieleszy, samodzielnie szukać szczęścia w wielkim mieście – elegancki porucznik lotnictwa, cieszący się opinią jednego z asów przestworzy... Jednak wówczas, w trzecim roku okupacji, nie miał wobec siebie

złudzeń – uważał się za człowieka przegranego, zbędnego... Zofia to zmieniła.

Z impetem pożaru lub epidemii. Mówiąc precyzyjnie, kiedy po raz pierwszy wpatrywał się w nią cokolwiek mętnym wzrokiem, doszło najwyżej do lekkiej emocjonalnej „infekcji”. Na tym etapie prawdopodobnie wyleczalnej. Kiedy nazajutrz z obolałą głową rozmyślał o tym spotkaniu, zauroczenie złożył na karb wypitego alkoholu. Na pewnym etapie pijaństwa każda kobieta wydaje się Gretą Garbo czy Polą Negri. Prawdziwa choroba zaczęła się, gdy ujrzał ją tydzień później na nadwiślańskiej plaży. W błękitnym kostiumie stała na dachu baraczku-przebieralni i rozczesywała długie, kasztanowe włosy.

– Zgorzałem! – zwierzył się Teofilowi.

Zaczął przychodzić do „Kameleona” co wieczór. Nie, żeby pić. Uroda dziewczyny, jej dowcipne, inteligentne odpowiedzi uderzały mu do głowy mocniej niż trunki. Przychodził, by ją obserwować. Nie liczył na wiele. Wedle plotek Zofia była utrzymanką właściciela lokalu, barczystego typu o twarzy kwadratowej jak kostka brukowa... A jednak zdarzył się cud.

Którejś nocy grali w brydża na dwa stoliki. Ze względu na godzinę policyjną „Kameleon” był zamknięty, okna ściśle zasłonięte. Zofia, dzięki wyjątkowej intuicji robiąca z dnia na dzień coraz większe postępy w tej grze, zajmowała miejsce po prawej ręce Romana. W przerwach rozmawiali o kampanii na wschodzie, walkach w getcie i nowych plotkach na temat wywozek na roboty do Niemiec.

– Najgorzej będą mieli młodzi, zdrowi, samotni płci obojga – twierdził jak zwykle dobrze poinformowany mecenas Kiwerski.

– A małżeństw nie będą zabierać? – zapytała Zosia.

– Nie. Przynajmniej na razie.

– No to chyba powinnam wyjść za mąż – uśmiechnęła się dziewczyna. – Tylko kto mnie zechce?

– Ja – powiedział bez namysłu Marczyński.

Utkwiła w nim piękne piwne oczy, w których blask naftowej lampy wywoływał tajemnicze rozbłyski.

– Nie mam posagu.

– Nic nie szkodzi.

– Przerwałam studia po pierwszym roku.

– Można je kontynuować na tajnych kompletach.

– Obawiam się, że nie pochodzę z właściwej sfery, mój ojciec jest skromnym urzędnikiem magistratu...

Roman nie zdołał nic powiedzieć, bo od drugiego stołu podniósł się sam patron, pan Wacio. Nie taił rozbawienia.

– Łap, łap taką okazję, Zocha – zadudnił chrapliwym basem. – Po wojnie pan

Roman to będzie figuura!

– Ale byłby to związek tylko formalny – upewniała się dziewczyna.

– Jeśli pani będzie sobie tego życzyć...

Na półce stało ich ślubne zdjęcie. Zosia z włosami zaczesanymi wysoko ponad czołem przypominała młodzieńczą Katherine Hepburn. On w jako tako dopasowanym garniturze ojca... Ech!

Podszedł do telefonu. Chyba jednak powinien zadzwonić. Powinien! Strasznie nie lubił telefonów do teściowej.

Można powiedzieć, że z panią Kazimierą odczuwali do siebie obustronną antypatię od pierwszego wejrzenia. Konkretnie od tamtego majowego dnia rok temu, kiedy stanął razem z Zofią na progu jej domku na Grochowie. On stremowany jak sztubak, ona zarumieniona jeszcze szaleństwem nocy poślubnej, podczas której formalny związek zmienił się w miłosne upojenie, przyciskała do piersi bukiet bżów.

– Pozwól, mamusiu. To jest Roman, mój mąż – powiedziała.

Mamusia doznała szoku. I chyba nadal z niego nie wyszła. W końcu Roman mógłby bez trudności być jej kolegą szkolnym...

– Niech to diabli! – Dalsze oczekiwanie nie miało sensu. Marczyński wyciągnął rękę ku słuchawce. I znów ją cofnął.

Ktoś biegł po schodach! Nastawił uszu. Nie były to jednak lekkie kroczyki Zofii. Ciężkie podkute buty. Policjant? Poślaniec? Przybysz skręcił w korytarz. Do Pawlickich? Nie, do Nowaków... Dzięki Bogu. Tajemnicą poliszynela było, że Pawliccy w czeluściach swego mieszkania ukrywają Żydów. Wiedzieli o tym wszyscy poza cieciami Marchwiakiem. Ten, gdyby się dowiedział, zapewne bezzwłocznie poinformowałby gestapo. Kanalia! Niech tylko wróci z Londynu rząd, wróci władza polska, a tacy jak Marchwiak zapłacą.

O ile wróci.

Od pewnego czasu robak wątpliwości drażył mózg Romana. Sprzymierzeni dopiero lądowali w Normandii, za to Sowieci byli o rzut papachą... A czego można się spodziewać po Sowietach? Pamiętał wspomnienia Teofila z kampanii 39 roku, zakończonej w poleskich błotach. Niewiele brakowało. Gdyby młodziuteńka sanitariuszka prośbami i łzami nie skłoniła go do zdjęcia dystynkcji i podania się za szeregowca, leżałby jak inni z jego kompanii w lasku katyńskim, a nie rozgrywał szlemiki w kiery... Jedyna pociecha, że po zwycięstwie nad Trzecią Rzeszą karty rozdawać będą Roosevelt i Churchill, a nie dziobaty syn szewca z Tyflisu...

Znów zgrzytnął mechanizm zegara. Wskazówka przesunęła się na wpół do dziewiątej. Z dębowych trzewi dobyło się charakterystyczne chrząknięcie, potem basowy ton... Roman zamarł. Tym razem nie skończyło się na jednym uderzeniu. Raz, dwa, trzy... Kiedy zegar wybił po raz dziewiąty, miał nieomal pewność, co będzie

dalej. Poczł strumyczek zimnego potu i włosy stające dęba.

Dziesięć... jedenaście... dwanaście.

I cisza. Cisza! Zegar milczał, jakby zlodowaciały własnym przestraczem. Jak wóczas w 26., jak w 39... Niewytłumaczalna samowola dwakróć już zwiastowała dramata w jego rodzinie. Katastrofalny lot, śmierć ojca podczas jednego z pierwszych nalotów.

Nabrzmiała jak mydlana bańka ciszę przebił ostry dzwonek telefonu. Roman skoczył ku niemu, omal nie przewracając krzesła.

– Zośka!?

Głos w słuchawce był dźwięczny, inteligentny i wydawał się znajomy.

– Proszę się niczemu nie dziwić, panie Romanie. Jeśli się nie mylę, jest pan w mieszkaniu sam...

– Tak, ale...

– Proszę nie odpowiadać. Dzwonię z bardzo daleka i nie mogę usłyszeć pańskich słów. Choć nie taję, bardzo bym chciał... A zatem. Po pierwsze, cokolwiek się zdarzy, proszę nie odkładać słuchawki. Jeśli przerwie pan połączenie, zapewne nie usłyszymy się nigdy. A od tej rozmowy zależy bardzo wiele. Życie Zosi, pana i wielu, wielu, ludzi – nie ma pan pojęcia, jak wielu.

– O czym pan mówi, gadaj, człowieku?!

Rozmówca jednak nie reagował na jego słowa. Głosem uprzejmym, chociaż zdradzającym znaczne napięcie, tłumaczył, że wprawdzie nigdy nie zetknęli się osobiście, bo nie mogli, on jednak zna Romana doskonale. A może nawet lepiej. Potrafi nawet zacytować z pamięci wiersz, który właśnie dziś ułożył jego rozmówca i zapisał w zeszytzie o ceratowych okładkach. Zaskoczony Marczyński nie przerywał, a jego zdumienie przerodziło się przestracz, gdy nieznajomy zaczął recytować:

*Póki czekamy, póty życie
przesącza naszych chwil kropelki
rózaniec marzeń tak niewielki,
że da się zmieścić w jednej dłoni...
A jeśli głowę bardziej skłanisz
na tę poduszkę
gdzie wokół jej twarzy
jeszcze goreje złota aureola...*

Roman rzucił okiem na brulion leżący na stole. Czyżby był śledzony? Od chwili napisania wiersza nikt nie zaglądał do jego mieszkania. A gdyby nawet zaglądał? W rękopisie zamiast złotej aureoli było „nimbu krąg złocisty”.

Poprawkę wprowadził dopiero przy przepisywaniu, parę minut temu.

Co to oznaczało? Człowiek z telefonu mógł teraz być pewien, że zostanie wysłuchany. Że słuchawka nie zostanie odłożona.

– Zadajesz sobie pewnie pytanie, kim jestem i dlaczego dzwonię? – ciągnął tajemniczy rozmówca. – Weź krzesło i usiądź. Wyjaśnienie zabierze mi trochę czasu. O jedno cię proszę. Postaraj się myśleć jak najbardziej racjonalnie, krytycznie, mimo że to, co usłyszysz, zakrawać będzie na baśń. Zanim jednak się przedstawię, podam ci kilka wiarygodnych dowodów, że nie kłamię. Mogę ci opowiedzieć o skrytce na strychu w domu na Grochowie, gdzie teściowie ukryli rodzinne pamiątki w polepie... Lada dzień zamierzają przeprowadzić się do ciebie na Krakowskie, bo uważają, że walki toczyć się będą na przedpolu praskim, a Warszawa pozostanie miastem otwartym... Biedacy! Jakże okrutnie się pomyła.

Roman potarł zroszone potem czoło. Usiłował wyobrazić sobie rozmówcę. Kto znajdował się po drugiej stronie linii telefonicznej? Jakiś szpicel, szantażysta... a może tylko kawalarz?

– Dostarczę ci jeszcze innych dowodów, iż mówię prawdę i wiem, co się zdarzy. Minęła dziewiąta trzydzieści pięć, za parę sekund na Bednarskiej powinno dojść do strzelaniny... Uchyl proszę okna, rzecz jasna nie odkładając słuchawki.

Kimkolwiek był rozmówca, musiał rzeczywiście być jasnowidzem... Zanim Marczyński wykonał zwrot w kierunku balkonu, z głębi nieodległej przecznicy dobiegła kanonada. Spłoszeni przechodnie natychmiast pochowali się w bramach. Patrol policji, który akurat mijał kolumnę Zygmunta, pośpieszył w kierunku miejsca utarczki.

– Będzie pięć ofiar – szeptał głos w słuchawce. – Dowiesz się jutro z gadzinówki, że zabity został jeden folksdojcz, dwóch naszych i dwóch policjantów... Również jutro otrzymasz informację, że dziś w nocy w egzekucji ulicznej zginie wasz sąsiad Waleński...

– Jesteś jakimś cholernym prorokiem? – usiłował zażartować Roman.

Tamten wprawdzie go nie słyszał, musiał jednak doskonale wiedzieć, jakie słowa cisną mu się na usta, bo rzekł:

– Zastanawiasz się niewątpliwie, kim jestem? Powiem ci. Ale jeszcze raz proszę, pod żadnym pozorem nie odkładaj słuchawki. Jestem twoim wnukiem, synem waszej nienarodzonej jeszcze Madzi i mecenasa Aleksandra Rawskiego... Nie znasz go. I jeśli mnie nie wysłuchasz, spotkacie się jedynie raz, przelotnie, jutro. Nigdy nie będziesz miał okazji poznać go lepiej. Podobnie jak własnej córce... Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, wygląda na pełen odjazd... znaczy, na wariactwo. Nawet ja sam do końca nie mogę w to uwierzyć. Nie mam nawet pewności, że mnie słyszysz. Zakładam, że tak. A poznam po owocach... Jeśli będą... Ale po kolei. Zacznę od personaliów.

Nazywam się Rawski – Szymon Rawski *vel* Simon Ravell, urodzony 22 lipca 1962 roku w Warszawie, w siedemnastą rocznicę ustanowienia w Polsce sowieckiego reżimu. Podwójny doktor – fizyki teoretycznej i nauk biologicznych. Zamieszkały na stałe w San Diego w Kalifornii. Obecnie najprawdopodobniej przebywający w stolicy Awtonomnoj Priwislinskiej Riespubliki.

Marczyński przełknął ślinę. Nie ulegało wątpliwości! Miał do czynienia z jakimś kompletnym wariatem.

– Nie pytaj, jak możliwa jest nasza rozmowa. Długo można by tłumaczyć. Zresztą to nawet nie jest rozmowa, mówi do ciebie mój głos, zarejestrowany na kostce pamięci, podłączonej do modemu, sprzęgniętego z aparaturą transmisyjną. Dzięki dokładnym parametrom sygnał dociera do ciebie za pośrednictwem doskonale namierzonych przewodów telefonicznych. W chwili kiedy do ciebie mówię, jest rok 2001. Przebywam w Warszawie z misją dyplomatyczną. Na stałe, jak mówiłem mieszkam w Ameryce, od 1979 roku jestem emigrantem.

Zakładam, że nie pomyliłem się w datach ani godzinach, że słuchasz mnie w swoim mieszkaniu na Krakowskim Przedmieściu, o ile odebrałeś mój telefon... A więc, jeśli trzymasz w ręku słuchawkę – posłuchaj mnie uważnie. Nie dzwonię bez powodu. Za niecały miesiąc nie będzie tego mieszkania. Za trzy przestanie istnieć Warszawa, jaką znasz. Nie wierzysz? Zapytaj twego bratanka Zbyszka o plan „Burza”, o plan powstania w Warszawie. Powstania, w którym zginie i on, i ty. – Jeśli rozmówca jedynie grał rolę głosu z przyszłości, czynił to na poziomie najwybitniejszych mistrzów sceny: Jaracza, Zelwerowicza, Osterwy... – Zbyszek odwiedzi cię jutro po południu. Razem z nim wpadnie do twego mieszkania młody Aleksander Rawski. Potraktuj go miło, to przecież twój przyszły zięć... Mój ojciec.

– Zięć, przecież ja nie mam dzieci, a sam powiedziałeś, że zginę? – zawołał Roman, ponownie zapominając, że człowiek z telefonu nie może go usłyszeć.

– Zbyszek polegnie na placu Teatralnym, podobnie jak ten wspaniały poeta Krzysztof Kamil Baczyński.

„Nie znam takiego poety” – przemknęło Romanowi.

– Ciebie żołdacy Kamińskiego rozstrzelają w piwnicy Domu Gdańskiego na Krzywym Kole po miesiącu koszmaru na Starówce.

Naraz poczuł, że ma ręce tak spocone, iż słuchawka za chwilę wyslizgnie mu się na podłogę. Jeśli to prawda, to po co ten Szymon mu to mówi... A Zosia? Dlaczego do tej chwili ten człowiek nie powiedział ani słowa o Zosi?!

– Myślisz pewnie o babci Zosi? Uspokój się, przeżyje wojnę. Wprawdzie dziś zgarnęli ją w łapance na Targowej, ale paradoksalnie to właśnie ocali jej życie. Trafi do kobiecego obozu w Ravensbrück, zanim jeszcze główna fala uczestniczek powstania zmieni go w zagęszczone piekło. Da sobie radę! Nawet szkarlatyna nie zagrozi jej

życiu. Ani dziecka.

– Dziecka?

– Pewnie jesteś zaskoczony? Tak. W Ravensbrück urodzi córkę. Moją mamę, Magdalenę... Nie zdążyła ci jeszcze powiedzieć, ale od paru tygodni jest w ciąży...

Usta Marczyńskiego były suche, czuł zawroty głowy. Rozsądek podpowiadał mu, żeby przerwać tę rozmowę, ale nie mógł.

– Czymże jednak są losy moje, twoje i jej! Ważny jest wymiar globalny. Jak ci już powiedziałem, za parę miesięcy przestanie istnieć Warszawa. A wkrótce potem nie będzie niepodległej Polski. Czerwona Armia zajmie Berlin, a od Morza Północnego po Adriatyk zapadnie żelazna kurtyna. Na zawsze. A może dłużej.

Chciał krzyknąć, zarzucić Szymonowi fałsz, mistyfikację. Żadne słowo jednak nie mogło przedostać się przez ściśnięte gardło.

– Naturalnie zadajesz sobie pytanie o cel mojego telefonu. Chciałbyś pewnie zapytać, czy wiedza o przyszłości nie mogłaby uchronić ciebie, rodziny, ba, czy nie dałoby się jakoś wyciągnąć babci z Pawiaka. Być może dałoby się...

– Dzięki Bogu!

– Jednak nie telefonuję do ciebie jako czuły wnuk, żeby ratować skórę dziadka czy stryja Zbyszka. Nie chodzi mi o próbę zmiany paru życiorysów choćby najbardziej ukochanych osób. Mam zamiar namówić cię na rzecz tak szaloną, że aż możliwą. Na zmianę losów świata. Taką zmianę, żebym nie musiał telefonować do ciebie z ruin dwakroć zdruzgotanej stolicy.

– To niemożliwe.

– Jeśli starczy mi czasu, opowiem ci, na czym opieram przekonanie, że jest to możliwe. Nie wiem jednak, ile z mej wypowiedzi do ciebie dotrze. Zacznę więc od najważniejszego. Co zrobić? Jak wrzucić ziarnko piasku w tryby historii, aby zmienić ich bieg? Mam parę planów. We wszystkich ty jesteś postacią kluczową, ty, lotnik...

– Od osiemnastu lat nie siedziałem za sterami!

– Naturalnie wiem, że od osiemnastu lat nie latałeś. Wiem równocześnie, że nie traciłeś kontaktu z tą dyscypliną i oprócz pławienia się w antyku śledzisz pilnie najnowszą wiedzę lotniczą. Prenumerujesz fachową prasę tak krajową, jak zagraniczną. A dzięki przyjaźni z Teofilem Ługowskim znasz wszystkie praktyczne aspekty nowoczesnego lotnictwa. Wiem, że mógłbyś poprowadzić swobodnie tak myśliwiec, jak i bombowiec... Być może będziesz musiał...

Ostry dźwięk sygnału przerwał rozmowę...

Roman parę razy rzucił do słuchawki dość bezsensowne „Halo, halo”, ale odpowiedzią był jedynie świdrujący dźwięk. Odwiesił ją na widełki. Podniósł znowu. Ciągły sygnał. Parę razy powtórzył tę czynność. Bez skutku.

A potem dobiegło do niego tykanie. Skierował zaczerwienioną, pokrytą potem

twarz w stronę zegara. Chodził jak gdyby nigdy nic. Późnił się nadal tylko parę minut. I wskazywał pięć po dziewiątej.

– Czyżbym przeżył sen na jawie?

Nalał sobie kieliszek wiśniówki i wypił jednym haustem.

Znów zadzwonił telefon. Skoczył, przewracając krzesło. Odebrał. W szlochającej kobiecie rozpoznał teściową. Pani Kazia opowiadała chaotycznie o łapance na Pradze. Przed dwoma godzinami Niemcy wygarnęli na Targowej cały tramwaj. Znajoma, która widziała to z okna swego mieszkania, twierdziła, że wśród osób ładowanych do „budy” zauważyła Zofię.

– Mamo, nie rozpaczaj! – powiedział łamiącym się głosem. – Jestem pewien, że nic się jej nie stanie, że przeżyje. – I naraz, wbrew sobie, zadał nurtujące go pytanie: – Czy to prawda, że ona jest... że spodziewa się...?

– Skąd wiesz? – zdziwiła się pani Kazimiera. – Zosia miała ci to powiedzieć pierwszego sierpnia. To miał być prezent na twoje urodziny.

Marczyński nie spał całą noc. Uwięziony przez godzinę policyjną w domu, krążył po mieszkaniu jak lew w klatce, bezradny. Bo co mógł zrobić, próbować z szablą po dziadku zaatakować w pojedynkę siedzibę gestapo? Z drugiej strony ten Szymon powiedział, iż właśnie dzięki tej łapance Zofia przeżyje.

Szymon Rawski. Szaleniec. Mistryfikator czy...? – Setki razy w ciągu tej nocy kierował wzrok w stronę aparatu. Czy podający się za jego wnuka rozmówca zadzwoni. Nie zadzwonił.

Roman wypił do końca całą wiśniówkę, na zmianę płakał, to znów recytował fragmenty „Iliady”. Próbował napisać wiersz. Dotąd każda ucieczka w słowo łagodziła jego cierpienia:

*A strach nad nami...
jest jak dymy
a nasza miłość pachnie śmiercią,
strzały wpisane w słabe rymy
w naszej poezji dziury wiercą...
Nie prosź mnie Zosiu o wiersz, chociaż
obok kolumny żuraw stoi,
Chopina nuta cicho szłocha
zakuta w bezradności zbroi...
I ciesz się, ciesz późny wnuku
z przyszłości złej jak głąb kanatu
Jeśli ideał sięgnął bruku,
może nie było ideału?...*

Ale podarł wszystko, co napisał. Nad ranem zmorzył go sen. Więc usnął z głową wtuloną w „Hellenikę”. Niebo nad Bizancjum stało w płomieniach, lecz nie przyśniła mu się ani jedna strofa, zdolna oddać choć w części jego rozpacz.

XXIV

(dziś)

„Przegrałem wszystko! – Myśl, bardziej dolegliwa niż ból skatowanych tkanek, kołacze się w głowie Rawskiego na podobieństwo szczura wpuszczonego w trzewia chińskiego skazańca. – Wydałem na pewną śmierć Jacka i księdza. Sypnąłem Agnieszkę i Chrisa. Zaraz powiem tym draniom o modemie w Londynie... A Jacek nie mógł zdążyć... Koniec!”

– Hej. Nie śpij, profesorku – wodniste oczy Gadzinowa zbliżają się do jego twarzy. – Mamy jeszcze bardzo dużo pytań.

– Powiedziałem wam wszystko.

– Tak ci się tylko wydaje. Nie masz pojęcia, ile człowiek potrafi sobie przypomnieć, kiedy tylko chce... Nieprawdaż?... Co do cholery? – Obraca się ku nagle otwartym drzwiom i widzi stojącą w nich zjawiskową Anette Laroche z tajemniczym uśmiechem na wydatnych wargach.

– Można na dwa słówka, pułkowniku?

– Nawet pięć! – obleśny uśmiech wypełza na usta politruka. Czyżby ta apetyczna dupeczka nie miała z kim spać? O seksualnych talentach „paryżanek” krążyły po czerezwyczajnie nieprawdopodobne opowieści. Krótkim „zaraz wracam” Gadzinow powstrzymuje oprawców i przechodzi do gabinetu. Pomieszczenie za szybą ziele pustką. Nie zauważa ani kontrolera, ani strażnika.

– Co jest...? – Słowa więzną mu w ustach, dostrzega pod stołem nogi sierżanta, ale w tej samej chwili cios dziewczyny pozbawia go tchu. Jeszcze moment, a związany i zakneblowany leży na zimnej podłodze obok dwójki funkcjonariuszy, nie pojmując, co się właściwie stało. Później długo rozważać będzie, dlaczego właściwie nie został zabity i dojdzie na koniec do wniosku, że „mordercza mamzelka” rozważała możliwość wzięcia go jako zakładnika.

Anette tymczasem nie traci czasu, zabiera broń Gadzinowa, dziewięciostrzałowy pistolet i ostry jak brzytwa kordzik, jaki noszą wszyscy członkowie fanklubu Pawlika Morozowa, potem wyłącza aparaturę rejestrującą. Działa jak automat. Automat, który wie, że nie może zresetować swego programu. I że znalazł się na poziomie, na którym

nie ma już „drugiego życia”. Wchodzi do izby przesłuchań.

Szymon, choć to trudno wyobrażalne, zasnął – śni mu się lesisty brzeg Horse Shoe Bay, malowniczej zatoki pod Vancouver, kolacja w hotelu o kształcie statku na tle zachodzącego słońca... Charkot i jęki likwidowanych oprawców przywracają go do rzeczywistości. Otwiera niechętnie oczy. Jeden z „asystentów” leży na ziemi, drugi trzyma się za gardło, a między palcami tryskają mu fontanny posoki. Anette bez komentarza rozsypuje Szymonowi więzy, zrywa czujniki z jego głowy.

– Dasz radę wstać? – pyta, zauważywszy, że się ocknął. Szymon kiwa głową, jednak oszołomiony nie może wykonać ruchu.

– Co ty robisz, Anette? – bełkoczą opuchnięte wargi.

– To, co mogę – odpowiada. – Nie mam wyboru, Simon, zostałam oszukana i skazana. Jeśli nie ulotnimy się stąd natychmiast, ludzie Pietrowskiego zabiją nas oboje. Podnieś się, proszę.

– A jeśli to jakaś pułapka? – zastanawia się Rawski, powstając bardzo powoli.

Dziewczyna bezbłędnie odgaduje jego myśli:

– Wiem, że nie masz najmniejszego powodu, by mi ufać. Ja również nie ufam sobie. Ale na co chcesz czekać, na powrót Pugo i generała?

Jeszcze chwila, a włożywszy ciepłe szynele Gadzinowa i szefa oprawców, posuwają się pustym chodnikiem w stronę podziemnego parkingu. Anette praktycznie niesie półżywego Szymona. Ileż siły ma ta dziewczyna!

– Jak chcesz się stąd wydostać? – pyta Rawski.

– Jeszcze nie wiem, coś wymyślę. – Przerzuca go na drugie ramię i maszeruje dalej po stromych schodach, ściskając w drugiej ręce odbezpieczoną broń.

– Kim ty właściwie jesteś? – szepcze prawie do jej ucha.

– Sama od paru godzin zadaję sobie to pytanie. Wszystko wskazuje, że klonem twojej dawnej ukochanej. I to w dodatku klonem nie najlepiej zaprogramowanym. Za dużo refleksji, za mało subordynacji, za silny instynkt samozachowawczy. Czekaj, dopnij płaszcz i spróbuj zrobić parę kroków o własnych siłach.

Otuleni w zimowe szynele z oficerskimi dystynkcjami wychodzą na dziedziniec Nowej Cytadeli. Panuje tu niezły rejwach. Wśród pryzm śniegu co chwila nadjeżdżają i wyjeżdżają „suki” (opancerzone żyguli oraz dawne mercedesy, obecnie zwane luxemburgami na cześć słynnej towarzyszki Róży, której imię przyjęły zakłady w Böblingen). Z pobliskiego lądowiska dolatuje ryk lądujących i grzejących silniki śmigłowców. Koło bramy dostrzegają wracającego z miasta luxemburga. Anette wskakuje do szoferki.

– *Abratno!* – woła do kierowcy.

– Ale gdzie rozkaz wyjazdu...? – bełkocze zaskoczony.

Błyskawiczny skok, uderzenie i kierowca ze złamaną podstawą czaszki przestaje

sprawiać jakiegokolwiek kłopoty.

– Ładuj się na trzeciego – woła Laroche do osłupiałego Rawskiego. Chwilę potem są już przy bramie, przegrodzonej solidnym stalowym szlabanem.

– Z rozkazu towarzysza Pugo, otwierajcie! – woła Anette. Błąd! Trzeba było powołać się na Pietrowskiego. Nazwisko *jewrokomissara* nic nie mówi ówkom z wartowni, którzy z wolna kierują się ku luxemburgowi. Broń leniwie dynda na ich piersiach... Martwy kierowca na kolanach Szymona zdaje się ważyć tonę. Tymczasem dziewczyna zauważa, że szlaban wjazdowy uniósł się, aby wpuścić motor z jakimś funkcjonariuszem. Gwałtownie szarpie kierownicą i naciska gaz. Tracony zderzakiem motocyklista wylatuje w powietrze i niknie poza zaspą, ale samochód znajduje się już w bramie. Piszczą blacha karoserii, szorowana przez opuszczający się szlaban.

– *Stoj! Stoj!* – wołają wartownicy.

Ale uciekinierzy są już na zewnątrz. Do wyboru mają szeroką aleję Lenina, biegnącą ku Stegnom, lub skręt w wąską ulicę Bartycką.

– Skręcaj w prawo! – woła Rawski.

Anette reaguje bezbłędnie i robi słusznie. Przynajmniej tutaj nie dogonią ich kule, prujące z wieżyczek Cytadeli. Pędzą opustoszałą ulicą wśród brzydkich segmentów, pobudowanych w latach dziewięćdziesiątych na miejscu dawnego targowiska materiałów budowlanych i zamieszkiwanych dziś głównie przez rodziny wyższych wojskowych. Aż do Wisłostrady nikt ich nie zatrzymuje. Na jednym z zakrętów pozbywają się zwłok szofera. Posterunek na rogu Czerniakowskiej mijają w takim pędzie, że zaskoczeni wartownicy nie są w stanie nawet złożyć się do strzału.

– Gdzie teraz? – pyta Anette.

– Ambasada amerykańska! – to jedyne co przychodzi do głowy Szymonowi. – Skręcaj w prawo.

Jadą więc Wisłostradą, na której splekanych kładkach dla pieszych powiewają wielkie hasła *S Jewrosojuzom Sowietow na wsiegda!*, czy też *Rabotajesz dla Sojuza, rabotajesz dla siebia!* Z radia dobiegają komunikaty wzywające wszystkie jednostki do ścigania ukradzionego radiowozu. Zanim ktoś połapie się i zmieni częstotliwość, mogą wyrobić sobie wcale niezły ogląd sytuacji. Słyszą też meldunki o wielkim wybuchu na Starym Mieście i utracie helikoptera. Przez moment odzywa się sam Pietrowski: „Uciekli, jak to uciekli? *Job' waszu mat'!*”

Potem radio milknie. Tymczasem już na wysokości lodowiska „Torwar” dobiega ich jazgot pogoni. Skręcają i chwilę później wóz pnie się w górę oblodzoną Myśliwiecką.

– Dojedźmy do Alej Ujazdowskich – tłumaczy Rawski. – Tam spróbujemy przebić się przez bramę ambasady.

– Myślisz, że się uda?

– Nie wiem, rok temu podobny manewr udał się grupie czołowych artystów – był między innymi reżyser Wajda, który podpadł kontrowersyjnym filmem o Dzierżyńskim, kompozytor Penderecki i sędziwy aktor Holoubek. Ciężarówką składakiem sforsowali zapory i znaleźli się na terytorium USA.

– I nie wydano ich w ręce władz?

– Nie. Siedzą do dziś na łaskawym chlebie ambasadora, nudzą się i liczą, że może kiedyś przemycą ich do USA w poczcie dyplomatycznej. Stój!

Anette mechanicznie wciska hamulce i wóz dobrą chwilę wiruje na oblodzonej jezdni. Droga jest zablokowana. Na wysokości wypalonych ruin nieodbudowanego Sejmu stoi opancerzony skot z lufami karabinów maszynowych wycelowanymi w ich kierunku. Równocześnie z dołu za nimi dochodzą coraz bliższe wycia nadciągających radiowozów.

– W prawo! – woła Szymon.

Laroche nie pyta, dlaczego. Automatycznie zawija kierownicą aż do oporu. A potem pędzą w dół przysypanymi śniegiem schodami ulicy Górnośląskiej. Ponad nimi grają serie z broni automatycznej. Niecelne. Jazda, przypominająca szaleństwo „górskiej kolejki”, zdaje się trwać bez końca. Jęczy masakrowane podwozie, spadają dekle z kół. Ciągłe jednak jadą. I nadal są żywi. Na dole czeka ich kolejny radiowóz, z którego dopiero gramolą się funkcjonariusze.

– Trzymaj się! – szalona kierowczyni uderza z impetem w bok maszyny. Ta leci jak krążek po lodzie, miażdżąc wysiadających.

W lewo, ulica Rozbrat wydaje się wolna. Niestety, zdobyczny luxemburg goni resztką sił. Stracił większość szyb. Dwie opony przypominają znoszone kapcie. Spod maski unoszą się kłęby pary. Najprawdopodobniej poszła chłodnica i miska olejowa.

Tymczasem od strony północnej na sygnale nadjeżdża jakaś sanitarka, zapewne z pobliskiego szpitala, na widok karambolu zwalnia.

Groząc pistoletem, Laroche wygrania z wnętrza lekarkę, sanitariusza i kierowcę. Potem oddaje serię do wozów staczających się Górnośląską i już po chwili pędzi dalej zdobycznym wehikułem. Cel jest jeden – Dzielnica Ruin. Tylko tam mają jakiegokolwiek szanse zgubić pościg. Zdezorientowani wartownicy pod mostem Pierwomajskim (dawniej Poniatowskiego) nie otwierają ognia, rozdziawiają jedynie usta w zdumieniu, kiedy sanitarka nie zwalnia, lecz wpada na chodnik, mija budki strażnicze, rozrywa siatki ogrodzenia i znika pod wiaduktem.

Zanim ochrona mostowa przebiegnie na drugą stronę, zanim zostaną włączone gigantyczne reflektory, uciekinierów pochłania dobroczynny zmrok ruin dawnego szpitala przy Czerniakowskiej.

– Dobry Boże – szepce do siebie Rawski – i pomyśleć, że czterdzieści lat temu urodziłem się w tym szpitalu.

*

Kurz opadł, odsłaniając przerażający widok betonowego gruzowiska. Mimo zimna Pugo nie kwapił się z odjazdem, jakby do końca nie dowierzał własnym oczom. A przecież wszystko było jasne – dzieciaka szlag trafił, zaś księdza i całe wraże *ustrojstwo* przywaliły gruzy. Dla pewności za niecałą godzinę nadciągające beczkowozy miały zalać całe podziemia silnie toksycznymi substancjami. *Jewrokomissar* z pewnym rozbawieniem obserwował Pietrowskiego. Ten mimo ewidentnego sukcesu wyraźnie nie panował nad nerwami. Zwłaszcza po telefonie z Nowej Cytadeli.

– Uciekli, jak mogli wam uciec? – ryczał do telefonu. A odwróciwszy głowę, zapytał: – Listkow, ile oddziałów specnazu możemy natychmiast rzucić w ruiny na Powiślu?

– Nie operowaliśmy dotąd w nocy – zauważył zaniepokojony major. – Mamy niepisaną umowę z tutejszą żulią, że po godzinie milicyjnej dajemy im wolną rękę.

– Nie gorączkujcie się, Grigoriju Władysławowiczu – moderował komendanta czerezwyczajki Pugo – nie ma najmniejszego powodu, aby sprawę traktować tak ambicjonalnie, *ustrojstwo* zniszczone, *parień* i ten twój pop nie żyją, a zbiegowie nie mają dokąd uciec. Sami mówiliście, że macie w *Skansenie* aż za dużo konfidentów. Zapowiedzcie nagrodę, obstawcie miasto i czekajcie... A potem obaj podelektujemy się, wymierzając dywersantowi i zdrajczyni ludową sprawiedliwość.

Generał oddychał głęboko. Połączył się ze swym drugim zastępcą:

– Pienkałow! Wiem, że już jedziesz, ale przekaż, komu trzeba, od rana mają zacząć odgruzowanie przy Gipotiecznej! Muszę mieć truchło klechy i całe montowane przezeń urządzenie!... Słyszysz mnie? Powtórz. Jeszcze raz... Tfu, ale szmelc. – Wściekły cisnął niesprawną komórkę o bruk i przydeptał ją butem.

– Ależ nie trzeba się tak denerwować, Grisza – w głosie Borysa zabrzmiał ton rozbawienia. – W tej chwili mam na głowie inną sprawę. Nie wiemy, ile informacji zostało przekazane do roku 1944. I co z tym modmem w Londynie. Poza tym nie znamy szczegółów dotyczących akceleratora. Z tego, co wyciągnęliśmy od Ravella, strumień informacji w przeszłość przesyłany jest z Ameryki.

– Nie zdążyliśmy jednak wycisnąć z niego, skąd dokładnie płynie sygnał i kto tym wszystkim zawiaduje?

– Ponieważ Simon uciekł twoim dupkom, jesteśmy zdani na własną inteligencję, przyjacielu. Na szczęście moi ludzie zajmują się tym od rana. Ustalili personalia siostry Simona Ravella – nazywa się Agnes Graham i podobnie jak brat ukończyła fizykę. Zdobyliśmy też dane jej przyjaciela, Chrisa Zemana. I co najważniejsze,

wytypowaliśmy ultranowoczesny ośrodek naukowy pod San Diego, w którym oboje są zatrudnieni. Jest w nim akcelerator, który po przeróbkach mógłby posłużyć ich celom. Aktualnie ośrodek jest pusty z powodu weekendu, ale czyż nie jest to najlepsza pora dla włamywaczy i spiskowców?

– Jak to załatwimy? – w mgnieniu oka Pietrowski zapomniał o innych drugorzędnych problemach. – Uruchomicie naszych amerykańskich przyjaciół?

– Za długo by to trwało, zbyt niepewne. To zadanie dla jednego człowieka. Góra dwóch.

Rozmowę przerwało przybycie pułkownika Pienkałowa, odpowiedzialnego za technikę w Priwislinskiej Czerezwyczajce. Beczkowozy z toksynami były już w drodze.

– Mam dla was, towarzyszu generale, również plany podziemnych instalacji, o które pytaliście – powiedział, rozkładając teczkę w zaimprovizowanym punkcie dowodzenia. Znaleźliśmy jeszcze z tyłu budynku jeden niezasypany właz do podziemi banku.

– Gdzie? – ożywił się generał. Pienkałow wskazał palcem ścieżkę, z której paru żołnierzy skuwało lodową skorupę. – Tak blisko? – ucieszył się Pietrowski i zwracając się do Listkowa, rzekł: – Dajcie mi dwóch ludzi i mocne latarki. Sam sprawdzę, co się stało z tym *ustrojstwem*. Powinniśmy również natrafić na trupa tego klechy.

– Można powiedzieć, generale – wydał wargi Pugo – że rozgrywkę z tym księdzem traktujecie jak coś osobistego?

– Każdemu zleconemu mi przez partię zadaniu oddaję się całym sercem! – odparł Pietrowski. – Pożyczcie mi jeden z waszych radiotelefonów, Listkow. Drugi dajcie towarzyszowi *jewrokomissarowi*. Będziemy w kontakcie.

Dwaj funkcjonariusze odgarnęli złodowaciały śnieg i podważyli pokrywę studzienki. Polczekista łypnął na Pugo, a nie widząc sprzeciwu, nałożył kask, maskę i kiwnąwszy na szperaczy, aby szli za nim, ruszył w stronę podziemi. Poniżej linii ziemi dobył piersiówki i pociągnął tęgi łyk sibir whisky.

– Zaraz się przekonamy, księżulku, czy naprawdę jesteś nieśmiertelny!

„Ciekawy człowiek – pomyślał Pugo, patrząc za znikającym generałem. – Skąd w nim tyle nienawiści? Wystarczyło popracować parę lat w departamencie do walki z Kościołem i już przy każdej okazji świerzbią im ręce, aby dobrać się do urzędników pana Boga”.

(przedwczoraj)

Znów nastał dzień słoneczny, upalny, jak w środku lipca bywa, dyszący letnim znużeniem. W takie dni nie bardzo chce się pracować, walczyć, a jeszcze mniej umierać. Dla Marczyńskiego jednak wyglądał on na kontynuację najkoszarniejszych snów. Rzekomy wnuk nie dzwonił. Za to potwierdziły się jego najgorsze przepowiednie. Strzelanina na Bednarskiej rzeczywiście przyniosła pięć ofiar, nazwisko Waleńskiego pojawiło się na obwieszczeniu o ulicznej egzekucji, a Zosia znajdowała się na Pawiaku... Roman snuł się po apartamencie jak półprzytomny. Z jednej strony uruchomił wszystkie kontakty, aby wyciągnąć żonę, wiedział, że nawet jeśli gestapowcy znaleźli przy niej tajne gazetki, jej dalszy los zależy przede wszystkim od ceny. Równocześnie bał się opuszczać mieszkanie. A może ten Rawski, czy ktokolwiek krył się pod tym nazwiskiem, w końcu zadzwoni?

Prawie cała jego jaźń buntowała się przeciw przyjęciu wersji telefonu z przyszłości, z drugiej strony jakaś jej część zachowywała zdanie odrębne. Po tym, co już usłyszał, musiał wierzyć w następny telefon, żeby nie zwariować.

A jeśli to naprawdę był sygnał z przyszłości, tyle że połączenie zdarzyło się tylko raz? I nigdy nie dowie się, po co dzwonił „późny” wnuk?

Krótko po południu pojawił się Zbyszek. Dokładnie jak to zapowiedział Szymon, towarzyszył mu bardzo młody mężczyzna o inteligentnej, jasnej twarzy i dystygowanych manierach.

– Alek ma niezłe kontakty, a jego kuzynka jeszcze większe – powiedział od progu bratanek konspirator – chyba mogą pomóc nam w wyciągnięciu Zofii.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – powiedział przybyły, głosem dźwięcznym, śmiałym, zdradzającym doskonale wychowanego człowieka czynu – Zbigniew zapomniał przedstawić nas sobie. Nazywam się Rawski. Aleksander Rawski...

Roman zdumiony ponad wszelką miarę omal nie wykrzyknął: „Czekałem na pana!” Ale opanował się. I choć go świerzbiał język, nie powiedział gościowi: „Witaj, zięciu!”, poprzestał na konwencjonalnym:

– Bardzo mi przyjemnie.

Potem, oglądając przybysza ze wszystkich stron w sposób znamienny dla mężczyzny dokonującego oględzin nowego samochodu lub kobiety zajętej taksowaniem rywalki, słuchał jednym uchem o działaniach, jakie proponowali przedsiębrać w sprawie jego żony. Mieli dojście do gestapo, wiedzieli też, do jakiego człowieka zastukać. Pozostawała tylko kwestia pieniędzy. Najlepsze byłoby złoto albo dolary. Marczyński wyjął jeden z grubych albumów dziewiętnastowiecznego malarstwa i za pomocą szczyryka rozpruł grubą okładkę. Wypadła nieduża złota moneta.

– Weźcie to – powiedział. – Aureus Hadriana, II wiek naszej ery. Kiedyś można

było za to kupić konia z rzędem.

– Może ktoś weźmie ten numizmat w zastaw – powiedział Rawski. – Jeśli pan pozwoli, skontaktuję się z *ma chere tante*, Delfiną, szkoda byłoby pozbywać się czegoś równie wspaniałego.

– Życie i zdrowie Zosi nie ma dla mnie ceny! – wyrzucił z siebie.

Wyszli i znów pozostał sam. Ten Rawski wydawał się sympatycznym gościem. Propozycja wykupu wyglądała na rozsądną. Im bliżej końca wojny, tym szumowiny gestapowskie stawały się chciwsze na wszelkie precjoza. Mogło się udać. Chociaż, wnosząc z tego, co mówił telefoniczny „wnuk”, iż Zofia będzie bezpieczniejsza w obozie, może lepiej, żeby się nie udało?

Skleił rozprutą okładkę. Przez następną godzinę myśl jego krążyła po bezpiecznym drugim wieku. Znowu oglądał Rzym u szczytu potęgi. Olbrzymie miasto, pulsujące życiem. Gwarne ulice, ruchliwe fora, tętniące igrzyskami Colosseum... Dwa wieki później za sprawą tych wszystkich Wandalów, Gotów, Longobardów *urbs aeterna* miało stać się kamienną pustynią...

Jak Warszawa?

Zadzwonił telefon. Odebrał. Poznał głos.

– Szymon!

Oczywiście rozmówca nie mógł go usłyszeć. Co gorsza, po paru zdaniach zorientował się, iż mówi dokładnie to samo, co wczoraj. Roman nie potrzebował zbyt wiele czasu, by pojąć, że ma do czynienia nie z żywym człowiekiem, tylko z nagraniem, puszczone mu powtórnie.

Ale co mógł zrobić? Słuchał, trzymając tubkę w pobielających palcach, i zadawał sobie pytanie, czy znów dojdzie do przerwania w tym samym miejscu. Tak dotrwał do słów:

– Wiem, że mógłbyś poprowadzić swobodnie tak myśliwiec jak i bombowiec...

Być może będziesz musiał...

Spięty, czekał na sygnał rozłączenia. Ale nie: tym razem potok słów płynął równą godzinę.

Roman słuchał uważnie, notował daty, nazwiska.

Być może jego rozmówca był szaleńcem, jednak jego plan tak zupełnie szalony nie był. Przynajmniej w teorii. To, że Marczyński nie widział najmniejszych możliwości jego realizacji, to już była zupełnie inna sprawa.

Tymczasem Rawski, skończywszy skrócony wykład na temat świata roku 2001 i etapów jego sowietyzacji, rzekł:

– Powiedziałem ci o moich życiowych doświadczeniach. Jeśli dostosujesz się do moich wskazówek, być może uda ci się zmienić historię drugiej wojny światowej, a w konsekwencji dalszą historię świata... Słyszałeś być może o powiedzonku, że gdyby

Kleopatra miała brzydszy nos, inaczej potoczyłyby się dzieje imperium rzymskiego. Mam pomysł na taką operację plastyczną – chirurgiczne cięcie. Stosunkowo niewielki ruch, który wybije jeden ze zworników historii w jej nadwątłym punkcie i uruchomi efekt dziejowego bilardu.

– Zamieniam się w słuch – mruknął do siebie Roman.

– Poznasz więc Aleksandra Rawskiego. Inteligentnego, młodego człowieka, znakomicie rokującego na przyszłość. Zastanawiasz się pewnie, skąd wiem o tym spotkaniu? Naturalnie z twojego pamiętnika. Oczywiście w pamiętniku nie ma ani słowa o rozmowie, jaką odbywamy... Posłuchaj uważnie. Zadzwońisz do Aleksandra i poprosisz o zorganizowanie spotkania z jego przyszywaną cicią. To nie będzie daleka wyprawa, księżna Delfina ma całkiem przyjemny dworek w okolicach Podkowy Leśnej. Jest osobą uczynną, usposobioną patriotycznie. Na pewno musiałeś o niej słyszeć, być może jednak nie wiesz, że ta dystygowana, cokolwiek ekscentryczna dama jest spokrewniona z praktycznie wszystkimi arystokratycznymi rodami Europy, nie wyłączając rodzin panujących. Nawet hitlerowcy obchodzą się z nią jak z jajkiem. Jeśli uda ci się przekonać ją, by ci pomogła, nasze akcje wzrosną niebywale. Dla tej kobiety nie ma granic ani rzeczy niemożliwych. Przypuszczam, że dzięki jej koneksjom najłatwiej udałoby ci się w parę dni dotrzeć do Londynu, najprawdopodobniej przez neutralną Szwecję. Bądź co bądź, Delfina jest skoligacona także z królewską rodziną Bernadotte. A w Londynie jej nazwisko powinno otworzyć ci wszystkie drzwi. Od dzieciństwa była zaprzyjaźniona z rodziną książąt Marlborough. Z sir Winstonem Churchillem zna się gdzieś od początku wieku... Pewnie zastanawiasz się, jak mógłbyś skłonić ją do pomocy w naszym przedsięwzięciu. Wystarczy, że w nie uwierzy. Zaopatrzę cię w argumenty nie do odparcia. Poza tym, mówiłem ci już, to wyjątkowo dzielna niewiasta i wielka patriotka. Jeśli wspólnie nie zmienicie historii, umrze w łagrze „dla szlachetnie, acz niewłaściwie urodzonych” pod Krasnogorskiem. Teraz bierz ołówek i jeśli dotąd tego nie robiłeś, notuj. Potem nauczysz się tego wszystkiego na pamięć, a notatki zniszczysz.

Marczyński tylko kiwnął głową – wszystkie daty, fakty i nazwiska stenografował od początku rozmowy. Oprócz szczegółów technicznych Rawski opowiedział mu o paru tajemnicach rodzinnych, po czym rzekł:

– Jeszcze jedno, kochany dziadku. Pewnie zadajesz sobie pytanie, dlaczego zwróciłem się do ciebie? To proste, kiedy oskarżony otrzymuje prawo tylko do jednego telefonu, dzwoni tam, gdzie ma szansę, że zostanie zrozumiany, wysłuchany. Nadto w twoim wypadku wiem, kto ten telefon odbierze – mam numer do mieszkania na Krakowskim Przedmieściu, a z twojego diariusza, przechowanego przez babcię, znam godziny, kiedy jesteś w mieszkaniu. Poza tym tyle superlatywów o tobie słyszałem. „Mój dziadek – rzadkie połączenie sprawności ciała i umysłu, świetny pilot,

doskonały poeta, wielki znawca i miłośnik cywilizacji śródziemnomorskiej, skazanej za życia mego pokolenia na ostateczną zagładę...” Znakomity kandydat na zbawcę ludzkości! No, bo jeśli nie ty, to kto? Mam nadzieję, że uda nam się przesłać jeszcze jeden przekaz. Do Londynu. Od osiemnastego lipca codziennie o północy będę dzwonił pod jeden numer na West Endzie, który zaraz ci podyktuję. Aktualnie puste mieszkanie, do wynajęcia, wiem, że wyjdzie z wojny bez szwanku. Jeśli dzięki rekomendacji Delfiny uda ci się ściągnąć tam samego Churchilla albo kogoś z naczelnego dowództwa, natychmiast zorientują się, jakich bezcennych informacji im udzielam.

Interesuje cię pewnie, dlaczego mogę przesłać ograniczoną ilość wiadomości, skoro posiadam technologię przesyłania informacji w przeszłość? No cóż, moje przedsięwzięcie nie jest legalną operacją. W każdym momencie możemy zostać odkryci. Transmisja w przeszłość oznacza ogromny pobór energii elektrycznej. Ktoś w końcu zauważy megawaty zużywane przez rzekomo nieczynny ośrodek pod San Diego. A rząd amerykański – tu nastąpiło krótkie, symptomatyczne westchnienie – nasz rząd jest aż do obrzydzenia lojalny wobec obietnic złożonych Moskwie. Jeśli zorientuje się w naszych nielegalnych działaniach, z pewnością je udaremni. Gdybym miał czas, opowiedziałbym ci dokładniej historię bezprzykładnej rejterady supermocarstwa, poczynawszy od drugiej prezydentury naiwnego jak dziecko Cartera przez dwie żałosne kadencje Teda Kennedy’ego, najmłodszego z braci Johna Fitzgeralda, zamordowanego w 63. w Dallas... Po co ja to mówię, nie mogłeś słyszeć o żadnym z nich! Najtrudniej przychodzi mi mówić o ostatnich latach, składających się na nieustanne pasmo mniejszych i większych kapitulacji aż po pełną zdradę głoszonych przez siebie ideałów. Myślę nie tylko o opuszczeniu sojuszników, ale o niedawnej listopadowej poprawce do Konstytucji, która ostatecznie uczyniła nas bezbronnymi wobec sowieckiej Eurazji. Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze ten telefon 18 lipca do Londynu. Jeśli będziecie czekać pod wskazanym numerem na West Endzie razem z Winstonem Churchillem lub jego emisariuszem, dostaniecie ode mnie dzień po dniu, fakt po fakcie historię świata, którą musicie zmienić – listę szpiegów w brytyjskich służbach specjalnych, analogiczne dane dotyczące amerykańskiego Departamentu Stanu. Podam wam sposoby uniknięcia kradzieży amerykańskiej technologii nuklearnej i wykaz ludzi Moskwy, infiltrujących rzekomo ściśle tajny program „Manhattan”. Przekażę wam też dokładną charakterystykę Stalina i listę jego najważniejszych zbrodni, które dopiero za dwanaście lat, i to w drobnej części, ujawni Chruszczow. Opiszę technikę bolszewickiej propagandy, dzięki której Sowietci opanowywać będą świat. Zestawię listę „użytecznych głupców”, jak określał ich Lenin, czyli lewicowych intelektualistów, którzy skuteczniej od sowieckich czołgów przyczynią się do upadku Zachodu... Podam również szczegóły techniczne, umożliwiające przyspieszenie

rozwoju elektroniki, technik laserowych, podboju kosmosu... Ale o tym później. Wytłumaczę ci teraz, dlatego nie zadzwoniłem do żadnej z alianckich służb specjalnych albo do BBC. Nikt by mi nie uwierzył, a jeśli nawet po jakimś czasie ktoś poszedłby po rozum do głowy, byłoby za późno. Może nie dla świata, ale z pewnością dla ciebie, dla Warszawy, dla Polski...

Niech cię Bóg, w którego niestety nie wierzę, prowadzi, Romanie, mój dziadku, mój bohaterze... Pomyśl, że przypada ci rola współczesnego Aecjusza, ostatniego Rzymianina, który jest w mocy ocalić ukochany świat antyku przed zagładą. A teraz zacznij notować. Co konkretnie trzeba uczynić...

3.

Wysiedli na jednej z tych maleńkich stacyjek, nanizanych na linię wąskotorowej kolejki, i poszli przez labirynt uliczek i ścieżek na skróty między ogrodami, zagajnikami, łąkami i willami skrytymi pośród listowia. Dzień był upalny, cokolwiek duszny. Słońce – wielki, złocisty trzmiel – co rusz pojawiała się między koronami drzew, drocząc się ze spoconymi piechurami. Na tym dalekim przedmieściu, w atmosferze spokoju i wiejskiego rozleniwienia, jakże łatwo było zapomnieć o toczącej się wojnie, o eksterminacji. Przestrzeń dookoła wypełniały świergocące ptaki, małe dziewczynki grające w klasy, letnicy wypoczywający w ogrodach. Wszystkie te elementy składały się na niezwykłą oazę bezpieczeństwa. A przecież gdy tylko wyszli na płachetek łąki, zaraz dostrzegli ciężką, granatową chmurę, unoszącą się znad horyzontu. Od wschodu nadciągała burza.

Pałacyk księżnej Delfiny, czy raczej spora willa utrzymana w stylu umiarkowanie modernistycznym, należał do tych budynków, które dzięki talentom architektów wyglądają na mniejsze, niż są w rzeczywistości. Kiedy jasne ściany budowli ukazały się w perspektywie alejki, Aleksander, nieco zaambarasowany, poprosił Marczyńskiego, by ten był łaskaw poczekać chwilę w pobliskiej altanie.

– W domu – tłumaczył – wielki nieporządek, sporo gości, szczególnie uciekinierów z Kraju Warty, podejrzewam zresztą, że sprawy, jakie zamierza pan omawiać z moją ciocią, są delikatnej natury.

Roman skinął głową i skręcił do altany, obszernej, obrośniętej dzikim winem, mimo upalnego dnia nad wyraz chłodnej. Tam siadł na jednym z szezlongów, zastanawiając się, jakie historie mógłby opowiedzieć ten sprzęt, gdyby nie dyskrecja, właściwa arystokratycznym meblom.

Najpierw usłyszał jazgot maltańczyka, który toczył się po ścieżce, podobny do słodkiej bezy. Potem głos mocny, pozbawiony wszelako tonu irytacji:

– Toffi, *silence!* Cicho, Toffi. Bo pomyślę, że jesteś niegościnna.

Pies dobiegł do Marczyńskiego, ale zamiast zatopić ostre ząbki w jego łydce, z nagłą umilkł, wskoczył mu na kolana i, wysunąwszy różowy języczek, począł dopraszać się pieścizot. Chwilę potem ukazała się pani Delfina, szczupluteńka, drobniutka, dzięki kaskadzie siwych, mocno skręconych włosów osobliwie do swej suczki podobna. Bądź co bądź, również dama maltańska...

– *Monsieur* Marczyński, as przestworzy, jakże mi miło – wołała, podając do ucałowania dłoń szczupłą, dystygowaną, nieco pomarszczoną i pełną plam wątrobianych. – Jestem niestety zbyt wiekowym babsztyłem, by ulegać egzaltacji, ale obie moje młodsze siostry kochały się w panu na zabój.

Zmieszany, bąknął parę konwencjonalnych słów. Tymczasem do altany weszła kolejna postać, młoda dziewczyna, przypominająca świeżo rozkwitłą różę Jerycha, jednak bez naszytej Gwiazdy Dawida, za to z tacą, na której prócz filiżanek znalazły się i czara z kruszonem, i dzbanuszki z kawą oraz śmietanką. Nie zabrakło też kruchych ciasteczek.

– Postaw to na stoliczku, Marysiu – powiedziała księżna, a widząc malujące się w oczach Romana zaskoczenie, dodała wyjaśniająco: – Marysia jest moją chrześnicą, sierotą z głębokiego Południa.

„Marysia” nalała kawy i kruszonu, dygnęła i odeszła, delikatnie kołysząc biodrami, a starsza pani powróciła do tematu.

– Sasza wspominał mi, że chce pan porozmawiać ze mną na osobności w jakiejś sprawie dużej wagi. Zamieniam się w słuch.

Zaczął mówić. O telefonie. O antycypowanych faktach, które potwierdziły się dnia następnego. Opowiadał trochę nieskładnie i chaotycznie, świadom, że nikt o zdrowych zmysłach nie może potraktować jego opowieści serio. Zmieszany był coraz bardziej, zwłaszcza że w każdej dłuższej przerwie swego słowotoku słyszał ze strony starszej pani głębokie „tak”, „rozumiem”, ewentualnie „no oczywiście”. Oprócz tych króciutkich reakcji księżna nawet najmniejszym gestem nie okazała niedowierzania, zniecierpliwienia czy lekceważenia...

Ale co sobie myślała? Zgodnie z instrukcją Szymona postanowił pójść na całość i rzekł:

– Szymon prosił, żebym pani to zaśpiewał. – Tu zanucił melodyjkę *Trois petits chiens dans grand jardin...*

Oczy Delfiny jakby straciły normalną przenikliwość. Przysięgły, że zwilgotniały.

– Skąd zna pan tę piosenkę? – zapytała. – To moja ukochana, dziś całkowicie zapomniana kołysanka z dzieciństwa. Ostatni raz nuciłam ją czterdzieści lat temu...

– Tak. Przed ostatnią schadzka z majorem Gribojedowem, po której ten dzielny oficer lejbgwardii strzelił sobie w łeb.

Donośny brzęk! Dzbanuszek z mlekiem roztrzaskał się o podłogę altany. Twarz księżnej zrobiła się blada... Usta usiłowały łapać powietrze. Potem przymknęła oczy.

– Przepraszam – Roman przykląkł i zaczął zbierać okruchy porcelany. – Serdecznie proszę o wybaczenie, ale Szymon kazał mi to powiedzieć, by panią przekonać, że mówię prawdę...

– Czyta pan w ludzkich myślach!?! – w głosie księżnej brzmiało wzburzenie, pomieszczone z przestrawieniem. – Nie mówiłam o tym nikomu. Nawet księdzu. Nigdy!

– Wiem. Do tej pory nigdy. Niedługo jednak zrobi pani wyjątek. Za niecały miesiąc. Kiedy czwartego sierpnia czuwać będzie pani nad swym kuzynem Aleksandrem Rawskim, ciężko rannym w pierwszych godzinach powstania. Będzie zmieniać mu pani opatrunki, nucąc tę właśnie starą kołysankę, a gdy zapadnie w letarg, sądząc, że nic nie słyszy, wypowiedzi się mu pani z tej przygody w Karlsbadzie, z wszystkich ukradkowych spotkań i z ostatniej rozmowy, w której dała pani Nikołajowi do zrozumienia, że nigdy potomkini hetmanów i wojewodów nie zwiąże się sakramentalnie z oficerem plemienia najeźdźców... Wreszcie zrzuci pani swój bolesny ciężar.

– Prawdę mówiąc z moich grzechów, bez wymieniania konkretnych osób, wypowiadałam się znacznie wcześniej – szepnęła arystokratka, ocierając łzy. – We Włoszech. Na krótko przed wojną. Jest na półwyspie Gargano w osadzie San Giovanni di Rotondo taki maleńki klasztor... Spowiadał mnie tam wychudzony mnich o wielkiej brodzie. Wysłuchał mych grzechów, wybaczył, jakby wiedział o mnie wszystko. Mimo że przecież nie mógł podejrzewać, kim jestem. Chociaż... Niesamowity człowiek. Miał pałające oczy proroka, które prześwieślały każdego na wskroś... Mówi pan, że niedługo zwierzę się Saszy? Może rzeczywiście opowiem mu o tym kiedyś... Dawno pragnęłam otworzyć przed kimś czeluście duszy. Ale żebym opowiadała o tym akurat małemu Rawskiemu... Rozumiem, że Aleksander przeżyje tę wojnę?

– Naturalnie. Szybko powróci do sił i będzie nawet walczyć w ostatnich dniach powstania. Koniec wojny powita w oflagu, a wiele lat potem, po powrocie do kraju, ożeni się z moją córką, która, nawiasem mówiąc, jeszcze się nie urodziła... A jeszcze później, już na emigracji w Ameryce, opowie o tym wszystkim swemu synowi Szymonowi. Jak mówiłem, to właśnie on zatelefonował przedwczoraj do mnie.

Stara dama milczała dłuższą chwilę, po czym jeszcze raz otarła oczy i uśmiechnęła się do Marczyńskiego.

– Sasza ożeni się z pańską córką? Zatem powinniśmy traktować się jak rodzina.

– Będę zaszczycony.

– Proszę zatem opowiedzieć mi wszystko jeszcze raz. Z tego, co zrozumiałam, przedwczoraj pana wnuk, żyjący w 2001 roku, zatelefonował do pańskiego mieszkania, wykorzystując jakiś niezwykle wynalazek i zaproponował, aby z moją

pomocą zmienił pan historię. By Polska nie zginęła, by sowieci nie zapanowały nad światem...

– Właśnie tak!

– Nadal jednak dziwi mnie, dlaczego chce pan dokonać tego w pojedynkę? Mamy Armie Krajową, jest rząd w Londynie...

– Szymon uważał, że im mniej wtajemniczonych, tym lepiej dla sprawy. Zmiana musi być precyzyjna, ale w pierwszym momencie stosunkowo niewielka. Poza tym ja...
– zahała się – nie jestem dla ludzi z konspiracji zbyt wiarygodny.

– Pan?

– Wiele osób się dziwi, dlaczego mając reputację doskonałego oblatywacza, przed kilkunastu laty przeszedłem na rentę inwalidzką...

– Słyszałam, że uległ pan wypadkowi?

– Ale nie jestem kaleką. Mógłbym w Polsce niepodległej bez trudności wykładać w Szkole Orłąt, dzielić się swymi doświadczeniami, a nie żyć jak mól książkowy i babrać się w dziejach antyku.

– Dlaczego więc...?

– Każdy ma swe tajemnice – westchnął ciężko. – Czasem są one dramatyczne, czasem wręcz ocierają się o groteskę. Jeśli idzie o mnie – muszę wyznać – od dawna cierpię za niedopełnioną winę. Można mówić o pechu. Albo raczej o ironii losu. Wszystko zdarzyło się w ciągu zaledwie paru godzin. Tylko że to dłuższa historia.

– Chętnie jej wysłucham – powiedziała starsza pani. – Proponuję jeszcze kruszonu. Orzeźwia, i dopiero przy większej dawce mocno idzie do głowy...

– W środę 12 maja 1926 roku od rana znajdowałem się w hangarze przy lotnisku na Polu Mokotowskim. Wróciłem świeżo z Paryża, gdzie uczestniczyłem w pokazach lotniczych, i nie orientowałem się bliżej w polskich sprawach wewnętrznych. A przecież działa się niedobrze. Wśród mechaników i pilotów panowało duże poruszenie. Mówiono o jakichś dziwnych manewrach wokół Warszawy. O niepokojach w jednostkach po drugiej stronie Wisły. Ktoś opowiadał, że wykryto antypaństwowy spisek żydowsko-bolszewicki. Niektórzy twierdzili, że jest w niego zamieszany sam Marszałek. Inni, że nieznanymi sprawcy ostrzelali willę Piłsudskiego w Sulejówku. Jeden z moich kolegów, który rano odbył lot zwiadowczy w rejon Rembertowa i praskich przepraw mostowych, mówił o sporej koncentracji wojsk po tamtej stronie. Większość lotników nie dawała jednak wiary pogłoskom. Koło trzeciej dowódca zebrał nas w kantynie i odczytał komunikat rządowy, który głosił, iż (pamiętam jak dziś) *szerzona od dłuższego czasu przez spiskowców i burzycieli ładu i porządku zbrodnicza agitacja wśród wojska spowodowała smutne następstwa. Kilka oddziałów wojska z paru powiatów, zebranych w okolicy Rembertowa, podnieconych kłamliwymi pogłoskami i uwiedzionych sfatszowanymi rozkazami, dało się pociągnąć*

do złamania dyscypliny i wypowiedzenia posłuszeństwa Rządowi Rzeczypospolitej...

Dalej była mowa o ogłoszeniu stanu wojennego, a całość kończyła się apelem o wierność dla legalnego rządu.

– Witoso! Doskonale pamiętam zamach majowy w 26. – pokiwała głową księżna.
– Mimo że akurat wtedy przebywałam na Capri...

– Słuchając tych słów, czułem się poruszony, można powiedzieć rozdarty między legalizmem a szacunkiem dla Marszałka, kiedy usłyszałem, iż jestem wzywany po nazwisku. „Poruczniku Marczyński... – Wzywającym mnie był generał Zagórski, jak pani zapewne pamięta, w onym czasie dowódca naszego lotnictwa. – Nie muszę was chyba pytać o lojalność, poruczniku?” – rzekł. „Zawsze zachowam wierność Ojczyźnie i jej prawowitym władzom” – odparłem. Uśmiechnął się i uścisnął mi rękę. „Politycy jak zwykle dramatyzują – powiedział. – Prezydent Wojciechowski niepotrzebnie powrócił ze Spały. Sytuacja na szczęście nie wymknęła się spod kontroli. Uporamy się z tą rebelią w parę godzin, posiłki z Poznania są już w drodze”. Zapewniłem go, że i ja tak myślę. Nie puszczał mojej ręki. „Mam do was prośbę, poruczniku – kontynuował – bądźcie gotowi, niedługo mogę was potrzebować, dostaniecie najlepszą maszynę”. Nie sprecyzował, na czym miało polegać moje zadanie.

Tymczasem wieści z miasta dochodziły coraz bardziej niepokojące. Wyprowadzono z koszar Oficerską Szkołę Piechoty, która miała bronić przeprawy przez Trzeci Most. Mówiono też o ewentualnych negocjacjach między rządem a buntownikami...

Wpół do piątej spotkałem się ponownie z Zagórskim. Generał miał twarz zawziętą, zdesperowaną. „Lecicie – powiedział. – Dokonacie zwiadu. Konkretnych dyspozycji udzieli wam kapitan Kowalski. On będzie dowódcą. Spełniajcie jego polecenia. Polska liczy na was”. Byłem zdumiony rozkazem, dotąd nigdy nie zdarzało się, aby w trakcie lotu rozpoznawczego ktoś dowodził pilotem. Ale rozkaz to rozkaz. Nie znałem dotąd tego „Kowalskiego”. Pojawił się owego popołudnia nie wiedzieć skąd. Miał pospolitą twarz bez wyrazu, blond włosy i przenikliwe niebieskie oczy. Przywitał się ze mną krótko i wsiadł do maszyny, zajmując stanowisko strzelca pokładowego. Zapuściłem silnik i wykołowałem na pas. Pierwszy raz leciałem, nie znając dokładnie trasy lotu. Wzbiliśmy się nad Polem i wedle polecenia „Kowalskiego” poleciliśmy w stronę Wisły. Woda na rzece była umiarkowanie wysoka, drzewa wokół zielone. Spokój. Dopiero nadlatując nad Saską Kępę ujrzałem sporo wojska, samochodów i koni. W poprzek Trzeciego Mostu zbudowano prymitywną barykadę z wozów i furmanek. Na lewym brzegu, od strony Muzeum Narodowego, posuwały się oddziały Szkoły Oficerskiej. Poleciliśmy dalej, ku mostowi Kierbedzia. Tam na podzamczu aż się roilo od studenckich czapek chłopaków z Legii Akademickiej.

„Brzydko to wygląda” – wykrzyknąłem ku Kowalskiemu. Milczał. Gestem nakazał

mi zawrócić i skierować się jeszcze raz ku środkowi Trzeciego Mostu.

„Lećcie jak najniżej – dodał po chwili – jeszcze niżej”.

Most z charakterystycznymi wieżyczkami ogromniał z każdą chwilą. Widziałem dwa zaparkowane samochody osobowe, kordony żołnierzy, wreszcie figurki czołowych postaci dramatu. Rozpoznałem prezydenta Wojciechowskiego, Piłsudskiego, Dreszera, Wieniawę...

„Mam się roztrzaskać o balustradę?” – zawołałem do kapitana. Wykonał gest „w dół!” Przeleciałem pod filarami, nieomal muskając kołami wodę. Nie była to dla mnie pierwszozna. W końcu specjalizowałem się w akrobatyce lotniczej.

„Nawrót!” – ryknął mi w ucho „Kowalski”. Nie wiedziałem, ku czemu zmierza. Pochyliłem jednak maszynę. I w tym momencie przed kadłubem wyprysnęło mi stado mew, widać spłoszonych warkotem. Parę ptaszysk poszatkowało śmigło, kilka roztrzaskało się o osłonę. Naraz poczułem, że lecę w dół. Szarpnąłem wolant. Udało się. Prawie. Jedno ze skrzydeł zahaczyło o wierzchołek nadrzecznej topoli... Pękło. Jeszcze chwila, a runęliśmy w toń Wisły.

– Ale przeżył pan! – wyrwało się Delfinie.

– Jak pani widzi. Ocknąłem się w szpitalu, parę dni po zamachu. Piłsudski był już panem sytuacji. A dla mnie zaczęły się kłopotliwe przesłuchania. Piłsudczykowi nie mieściło się w głowie, iż nie znałem właściwego celu lotu. Tajemniczego kapitana „Kowalskiego” nigdy nie odnaleziono ani żywego, ani martwego. Generał Zagórski uwięziony, później zwolniony, zaginął w tajemniczych okolicznościach. Mnie przeniesiono do rezerwy. Byłem skończony jako żołnierz i jako pilot. I to dla obu stron. Piłsudscy uważali, że uczestniczyłem w misji mającej na celu zgładzenie Marszałka, a endecy, że ją storpedowałem i niczym generał Sosnkowski, rozdarty między posłuszeństwem rozkazowi a własnym sumieniem, wybrałem samobójczą dezercję.

– A jaka jest prawda? Zagórski rzeczywiście kazał zabić Marszałka? Osobiście nigdy nie przepadałam za tym... „Ziukiem”, ale zbrodnia...?

– Nie wiem. Całe lata po tysiącokroć rozważałem wszelkie elementy sytuacji. Czasami myślę, że to mógł być zamach. „Kowalski” dysponował przecież karabinami gotowymi do strzału. A ja sam...? Cóż zrobiłbym, gdyby nie te mewy? Gdyby mój pasażer zaczął strzelać? Nie mam pojęcia.

– Jednym słowem, panie Romanie, już raz miał pan możliwość zmienić historię...

– Ale się nie udało. I chwała Bogu! Dziś myślę, że oznaczałoby to krwawą wojnę domową. Może interwencję wrogów ze wschodu?... Tym razem jednak spróbuję zrobić dokładnie to, co wykoncypował Szymon. Jeśli umożliwi mi pani dotarcie do Sztokholmu, potem do Londynu...

– Mam tylko umożliwić? Wykluczone! Przecież jest oczywiste, że pojedziemy tam

razem.

– Jak to? – popatrzył z najwyższym podziwem na starszą panią.

– Przyda mi się jakaś wycieczka, żebym na stare lata nie zapleśniała w tych prowincjonalnych pieleszach. Poza tym z pana słów wynika, że nie zapowiada się tu najciekawiej. Czuję, że z wrodzonej delikatności oszczędził mi pan opowieści o losie, jaki by mnie spotkał, gdybym tu została, czekając na bolszewików. Proszę dać mi dzień, dwa na podjęcie odpowiednich przygotowań. A teraz może jeszcze kruszonu? Strasznie ze mnie niedobra gospodyni, nie zapytałam nawet, czy zostanie pan na podwieczorku?

Podziękował i wstał. Księżna towarzyszyła mu aż do głównej alei, tam pomachała Aleksandrowi Rawskiemu, który na tarasie zabawiał rozmową jakichś gości.

Przyszły zięć przerwał konwersację i podążył w ich kierunku.

Nim jednak zrównał się z nimi, Delfina, ścisząc głos, powiedziała Romanowi:

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego muszę jechać z panem. Po spowiedzi u tego dziwnego mnicha w San Giovanni di Rotondo, gdy klęczałam przed ołtarzem, odmawiając litanie pokutne, zakonnik wyszedł z konfesjonału i objął mnie. Wtedy ujrzałam, że ręce ma w bandażach, przez które przesącza się krew.

„Bądźmy wdzięczni Najwyższemu za rolę, którą nam wyznacza – powiedział cicho. – Jednym pisane jest cierpienie, innym męczeństwo, innym jeszcze odmiana losów świata”. Czy myśli pan, że odnosiło się to do naszej misji?

4.

Od momentu wstąpienia na służbę do księżnej Delfiny Marczyński znalazł się w świecie całkowicie odmiennym od tego, jaki zdążył poznać w ciągu pięciu lat okupacji. Tak jakby status osobistego sekretarza i byłego administratora dóbr utraconych na wschodzie (dostał świetną kenkartę i kartki żywnościowe na nazwisko Hermanna Rybko, folksdojczka z Litwy) stanowił przepustkę do innego świata. Świata wagonów pierwszej klasy, uprzejmych funkcjonariuszy, podróżnych – kulturalnych Niemców, jak najodleglejszych od pruskiego drylu i esesmańskiego barbarzyństwa; oficerów, z którymi wspaniale rozmawiało się o muzyce Beethovena i teozoficznych aspektach „Fausta” Goethego.

Oczywiście cała ta na poły surrealistyczna ekspedycja wymagała od księżnej szeregu kroków tak przyjemnych, jak nieprzyjemnych, w których Rybko z powodów oczywistych uczestniczyć nie mógł. Do przyjemnych z pewnością należała wizyta u arcybiskupa Sapiehy, który mówił do Delfiny „kuzynko”, z dużym wzruszeniem wspominając lata przeszłe i minione spotkania.

– Miałem dziwny sen – powiedział w pewnej chwili podczas herbatki, którą podjął ją w bibliotece swego krakowskiego pałacu – śniłem oto, że idąc polną drogą, znalazłem odłamaną armatnim wystrzałem wierzbową witkę, wetknąłem ją w ziemię, a w mgnieniu oka wyrosło z niej drzewo potężne, bardziej podobne do dębu niż słowiańskiej iwy. A gdym mu się przypatrywał, spomiędzy gałęzi drzewa wyfrunął gołąb biały, tak wielki, że skrzydła jego zdawały się równocześnie sięgać wschodu i zachodu. Zali potrafisz wytłumaczyć mi ten majak, kuzynko? Podobno znasz się na snach?

– Wybacz, Adamie, ale jako wierna, przynajmniej na starość, córa Kościoła porzuciłam grzeszne upodobania do teozofii, chiromancji czy astrologii... Sądzę jednak, że sen twój zwiastuje nam wszystkim wielką pomyślność. Mimo obecnej mizerii. W słowiańskim gnieździe na twoich oczach zrodzi się biały, królewski ptak... Zaraz, powiedziałaś: orzeł?

– Nie, gołąb.

– W takim razie zapowiada to wiele lat pokoju.

– Da Bóg, dożyjemy innych czasów. Mówisz zatem, czeka nas pomyślność i chcesz mego błogosławieństwa na drogę?

– I dyspensy na rozmowę z generał-gubernatorem Frankiem. Jako uczciwa Polka bez twojej wiedzy i aprobaty nie przekroczę progu Wawelu.

– Sam z nim rozmawiałem całkiem niedawno – arcybiskup pochylił głowę, jakby przygnieciony nagłym ciężarem. – Traktowanie go wyłącznie jak nazistowskiej kanalii byłoby uproszczeniem. Nieszczęsny to człowiek. Zdziwiający pomieszanie pychy i bojaźni. Miłości i nienawiści. W głębi serca wierzy w Boga i naszej Jasnogórskiej Pani oddaje cześć niezwykłą. Jest jednak wiernym sługą reżimu, wykonawcą poleceń Hitlera i jego ludobójczej polityki. Atoli jeśli może pomóc w sprawie, jak twierdzisz, nie prywatnej, lecz publicznej? Trzeba się przemóc i rozmawiać.

– Chodzi o zadanie zlecone mi przez Organizację. Muszę jak najszybciej dotrzeć do Londynu, nie mam jednak czasu korzystać ze zwyczajnych dróg kurierskich...

– Rozumiem i nie chcę znać szczegółów. Wierzę, że ci się powiedzie, kuzynko. Niech cię Bóg prowadzi.

Gospodarz był mężczyzną silnym, tęgim i na swój sposób przystojnym, choć widać było, że jego łysina opanowuje coraz dalsze rubieże, tworząc wydatne zakola nad czołem. Przypominał nieco Duce, którego poznała kiedyś, wieki temu, na pikniku organizowanym w Tivoli przez Eddę Ciano.

„Więc tak wygląda obecny król Polski – pomyślała księżna. – W brunatnym partyjnym mundurze, za to przy biurku ostatniego prezydenta Rzeczypospolitej, korzystający z jego łóżka i jego klozetu”.

Kauzuperda z Karlsruhe nie tał onieśmienia, jakie wywoływała w nim polska

arystokratka. Zresztą – czy tylko polska? Arystokraci są ponadpaństwowi. Delfina jako dziecko siadywała na kolanach kajzera Wilhelma (też jej kuzyna), a raz pokazała język samemu Bismarckowi. Nie dziw więc, że generał-gubernator Frank obiecał poprzeć od ręki wszelkie specjalne udogodnienia dla księżnej i jej „administratora”.

– Sam chętnie odwiedziłbym Sztokholm – powiedział. – To miasto w porównaniu z moim Krakowem może trochę bezbarwne, ale za to bez zaciemnień i bombardowań. Jednak, w zamian za pozytywne załatwienie pani sprawy, księżno, miałbym małe życzenie...

– Słucham, ekscelencjo?

– Żeby Jej Księżęca Wysokość zgodziła się zjeść ze mną, prostaczkim, śniadanie.

Nie mogła odmówić, śniadali więc w pysznej, utrzymanej w pompatycznych brązach komnacie, usytuowanej w narożnej wieży Wawelu, zwanej „Kurzą Stopką”, tam, gdzie niegdyś w czasach króla Zygmunta Augusta dokonywano alchemicznych doświadczeń. Generalny gubernator starał się być szarmancki i – co brzmiało dość groteskowo w obliczu ofensywy sowieckiej i bezpośredniej bliskości Oświęcimia – z zapałem rozprawiał o swym umiłowaniu sztuki, chwalił się nową premierą zespołu opery krakowskiej i planami uczynienia jej dyrektorem samego von Karajana. Księżna przeważnie milczała, marząc, żeby spotkanie to skończyło się jak najszybciej. Frank nie zamierzał jednak kończyć.

Po posiłku zaproponował jej spacer po komnatkach. Idąc wśród renesansowych portali, flamandzkich arrasów i zabytkowych sprzętów, opowiadał o ich dziejach tak ciepło, jakby jego poprzednikami na tym zamku byli nie słowiańscy podludzie, ale stuprocentowi nordycy z metryką podstemplowaną przez samego Himmlera.

Kiedy stanęli w Sali Poselskiej, której strop zdobiły rzeźbione głowy, umieszczone w drewnianych kasetonach, wskazał jedną z nich o zawiązanych ustach.

– Ciekawe, co by nam dziś powiedziała, gdyby usunąć jej opaskę?

– *Heil Hitler!*? – wyrwało się Delfinie.

Nie skomentował. A może nie chciał tego usłyszeć. Dalej wypełniał swoją rolę doskonale zorientowanego przewodnika.

– Tutaj sprawowano sądy w imieniu Rzeczypospolitej. Przy wszelkich konstytucyjnych wadach było to jednak państwo prawa... Państwo prawa – powtórzył w zamyśleniu. – Tej idei poświęciłem całe życie... Być może zbyt często podlegałem iluzjom. Chociaż nadal wierzę w możliwość wbudowania stabilnego prawa w autorytatywne kierowanie państwem, nawet w czasie wojny. Wierzę w możliwość połączenia autorytarnych rządów z niezawisłymi sądami.

„Po co on mi to wszystko mówi? – zastanawiała się Delfina. – Musi być naprawdę źle, skoro decyduje się na taki rachunek sumienia wobec osoby, bądź co bądź, z drugiej strony barykady”.

Wiodąc amfiladą przepysznych sal, doprowadził ją do zachodniego skrzydła i tam, wyjąwszy klucz, otworzył sekretne drzwi, przejście do katedry. Jeden z towarzyszących z dyskretnym dystansem sekretarzy chciał pójść za nimi, ale wielkorządca Generalnej Guberni zamknął mu drzwi przed nosem. Nie życzył sobie żadnej asysty.

– Chwilowo świątynia jest nieczynna, jeśli nie liczyć mszy odprawianych przez dobrego księdza Burgera – rzekł do Delfiny. – I dlatego wydaje mi się, że nie jest to złe miejsce do refleksji.

Księżna milczała, Hans Frank dalej snuł swój zadziwiający monolog. Minęli grobowce Sobieskiego i Sasów, alabastrowy nagrobek królowej Jadwigi ze śpiącym u jej stóp pieskiem i doszli do konfesji, mieszczącej relikwie Stanisława Szczepanowskiego, biskupa, który – jak chce tradycja kościelna – w imię racji moralnych sprzeciwił się tyranii władzy i poniósł śmierć męczeńską.

– Któż w ciągu tysiąca lat nie królował na tym zamku? – monologował generał-gubernator. – I któż nie został z niego wyparty: Mongołowie, Austriacy, Litwini, Rosjanie, Węgrzy... Wprowadzali się i wyprowadzali Szwedzi... A zamek wciąż niewzruszony i dumny wznosi się nad wiecznie młodą Wisłą... Zapewniłem mu priorytet w obronie przeciwlotniczej.

Wreszcie znaleźli się w pobliżu drzwi wejściowych, gdzie w lewym narożniku mieściła się Kaplica Świętokrzyska. Tu stanęli.

– Chciałbym kiedyś jak Veit Stoss, którego genialne dłuto utrwaliło na tym cudownym nagrobku rysy Kazimierza, Jagiellona o władztwie mogącym się równać z cesarskim, móc spoczywać z podobnym spokojem i powiedzieć: „Ja też na miarę swych sił starałem się... starałem...”

Tu umilkł, jakby zdał sobie sprawę z całej niestosowności swej przemowy.

– Mam nadzieję, że Bóg, nasz Najwyższy Sędzia, zważy wszystkie nasze uczynki sprawiedliwie, biorąc pod uwagę czasy i uwarunkowania, w których przyszło nam działać – dorzucił po dłuższej pauzie.

„Boisz się, draniu” – pomyślała księżna.

– Niech mi częstochowska Czarna Madonna będzie świadkiem, że w miarę mych skromnych możliwości próbowałem łagodzić niedole powierzonego mi ludu. Ileż listów napisałem do Himmlera, ileż razy przekonywałem innych – nazwisko Hitlera nie przeszło mi przez usta – że powinniśmy traktować zgoła inaczej ów pilny, dzielny, pracujący naród... Składałem nawet dymisje. Daremnie. Zbyt długo myśleliśmy kategoriami wojny, za mało zastanawialiśmy się nad wizją przyszłej pokojowej Europy. Teorie o eksterminacji czy pełnym zniewoleniu tak dumnego narodu jak Polacy były w istocie poważnym zakłóceniem interesów naszej Wielkiej Ojczyzny, skazanej na przewodzenie we Wspólnym Europejskim Domu, domu dla wszystkich.

– Wszystkich prócz Żydów?

Znów zignorował jej słowa.

– Jesteśmy skazani na siebie – powtórzył cicho. – Może pan Roosevelt wpisywać mnie na czoło listy tak zwanych zbrodniarzy. Ale jeśli nie my, to kto...? Jeśli bolszewicki walec przetoczy się po naszych zwłokach, któż obroni Europę z jej tradycją, religią, wartościami, prawem... Niemcy i Polacy. Jak pod Legnicą, jak pod Wiedniem... Może pani spytać, czemu nie mówiłem tego wcześniej albo czemu teraz nie ogłosimy tego światu? Jak owa głowa wawelska mam zamknięte usta... Ale wiele się jeszcze może zmienić. Pomódlmy się.

Klęknęli więc przed ołtarzem. Hitlerowski paladyn i polska arystokratka. O co naprawdę prosili Pana na Niebiesiech...? Gdy gubernator wreszcie powstał, zdał się Delfinie wiele mniejszy niż w swoim gabinecie. Jeszcze bardziej ściszył głos i patrząc jej w oczy, badał reakcje na swe słowa.

– Mam wielką prośbę, księżno. Chciałbym, aby będąc w Sztokholmie, oddała pani mój list księciu Folke Bernadotte. Proszę się nie obawiać żadnych rewizji, załatwiłem pani status dyplomatyczny, a jeśli nawet... List mój został wprawiony w okładkę tego zabytkowego psalterza, a w dodatku napisałem go sympatycznym atramentem. Podejmie się tej roli pani, dla dobra nas wszystkich...?

„Tyle rzeczy robię dla dobra nas wszystkich, jedna mniej lub więcej” – pomyślała Delfina, a głośno rzekła:

– Postaram się, ekscelencjo!

*

Pociąg do Berlina odchodził dopiero następnego dnia rano, księżna postanowiła więc wykorzystać wolny czas i odwiedzić córkę swojej piastunki, starą pannę, mieszkającą gdzieś w Borku Fałęckim.

– Jest mocno schorowana, na pewno ucieszy się, gdy mnie zobaczy. Naturalnie nie musi pan mi towarzyszyć, panie Romanie.

– Ależ uczynię to z największą przyjemnością.

Wsiedli więc w tramwaj, korzystając dzięki posiadanym papierom z części „nur für Deutsche”. Marczyńskiego mierzyła taka sytuacja, Delfina była jednak zdania, że są sprawy istotniejsze od pustych gestów.

Tramwaj przeleciał szybko przez most na Wiśle i dudniąc, począł posuwać się ubogimi ulicami Podgórze. Naraz gwałtownie zahamował. W polskiej części wagonu parę osób, utraciwszy równowagę, upadło.

– Co tam się dzieje? – zainteresowała się księżna.

– Przed nami kolumna wojskowa... – odparł motorniczy.

– Widzę... Ale też stoi.

– Zdaje się, że był jakiś wypadek – powiedział Marczyński, wychylając się przez drzwi.

– Chodźmy zobaczyć! – Delfina, z niezwykłą dla jej wieku i stanu energią wyszła z tramwaju. Roman podążył za nią, zdziwiony, że arystokratka zachowuje się jak plebejski gap. Przepchnęli się przez ludzki tłumek, nad którym dominował głos niemieckiego oficera.

– Rozejść się, nie tarasować ruchu. Usunąć ciało!

Zaraz dostrzegli leżącego obok torowiska młodego człowieka. Miał przymknięte oczy i cicho jęczał. A może się modlił? Świadkowie twierdzili, że potrafiła go ciężarówka, kiedy wracał z pobliskiej fabryki.

– Do rowu z nim! *Schneller, schneller!* – wołał Niemiec. Już nadbiegali jego podkomendni, gotowi wykonać rozkaz.

– *Halt!* – zabrzmiał ponad ulicą dźwięczny głos księżnej. – *Hen Offizier!* Na miły Bóg, ten człowiek jeszcze żyje...

Płynna niemczyzna i pewność siebie stropiły oficera.

– *Was?* – zapytał.

– Musicie natychmiast załatwić przewiezienie tego nieszczęśnika do szpitala.

– To tylko jakiś Polak... – Niemiec wyraźnie bagatelizował sprawę.

– To człowiek – przerwała mu arystokratka – nasz brat. Brat naszego Boga. – Widząc jednak, że humanitarne argumenty nie robią na Niemcu żadnego wrażenia, dodała. – Dziś rano, na śniadaniu z generał-gubernatorem rozmawialiśmy właśnie o nowej polityce względem autochtonicznej ludności...

Tytuł Franka natychmiast zrobił wrażenie na oficerze.

– *Natiirlich.* Zajmiemy się tym... człowiekiem – Schultz, wezwij karetkę...

Tłum, asystujący rozmowie wydawał się być zdziwiony obrotem zdarzeń. Tymczasem starsza pani uklękła przy leżącym.

– Odwagi, chłopcze, zaraz będziesz w szpitalu.

Na moment młody robotnik otworzył oczy. Miał szeroką twarz podkarpackiego górala i jasne, inteligentne oczy...

– Dziękuję – wyszeptał. – Dajcie znać księciu arcybiskupowi Sapieże, że nic mi nie będzie.

– Arcybiskupowi? A jak się nazywasz, młody człowieku?

Padło krótkie imię i gminne nazwisko.

– Zanotujcie, Rybko – poleciła księżna, podając Romanowi ołówek i wizytówkę Hansa Franka.

Zanotował na odwrocie...

Zabrzmiał sygnał nadjeżdżającej karetki. Tłum zaczął się rozchodzić, w jakiś czas

później ruszył również ich tramwaj.

XXV

(dziś)

Ruiny szpitala nie okazały się dobrym miejscem na kryjówkę dwojga uciekinierów. Wszystkie bardziej przytulne kąty zajęte były przez miejscowych nędzarzy, dzikich i nieufnych. *Poszli won* – było najczęstszym i najłagodniejszym słowem, z jakim się stykali, próbując schronić się przed zimnem. Szymon miał wysoką gorączkę i zaczynał majaczyć. Jego głowa co chwila opadała na ramię Anette, a do jej chłodnego policzka dotykało jego rozpalone czoło.

Na zewnątrz panował ziąb dotkliwy jak na Syberii, potęgowany dodatkowo przez porywy północno-wschodniego wiatru. Przez chwilę zastanawiała się nad wyborem kierunku. Doszła jednak do wniosku, że bliżej Wisły wiatr będzie jeszcze ostrzejszy. Podążyła więc w przeciwną stronę. Dawną ulicę Leona Kruczkowskiego i stok warszawskiej skarpy pokrywały bieda-ogródki, pełne zagród i prymitywnych sadyb, wykonanych z kawałków drzwi, resztek samochodowych karoserii i dawnych płyt chodnikowych. Nigdzie jednak nie można było liczyć na pomoc.

– *Kto wy?* – padało pytanie w odpowiedzi na pukanie do prowizorycznych drzwi.

– *Palaki* – odpowiadała Anette.

– *Uże niet Palakow. Paszli k jebionoj matieri!*

Ledwo trzymający się na nogach Szymon bredził coraz bardziej. Anette wprawdzie nie znała polskiego, jednak niezła znajomość języka rosyjskiego pozwalała na zasadzie podobieństw języków różnych odłamów Słowian zorientować się, że mężczyzna majaczy o jakimś zakazie strzelania, po którym ktoś wstąpił na działo i spojrzał na pole, na którym strzelało dwieście armat...

– Wszystko to nie ma sensu! – powtarzała w myśli. Mimo silnie zaciśniętych powiek łzy zostawiały jasne smugi na jej brudnej twarzy. – On umrze, a mnie zabiją.

– „Zawrzyjcie drzwi od kaplicy i stańcie wokoło truny...” – powiedział naraz.

– O czym ty mówisz?

– Gdzie kościół, tam ksiądz – odparł bez większego związku z poprzednimi mamrotaniami.

Po chwili zorientowała się, że majaczący przed nimi budynek stanowi resztkę jakiegoś dawnego konwentu czy kościoła. Weszli do środka. W wypalonych murach ziały ogromne otwory, sama jednak kaplica, odarta z wszelkich ozdób, była w miarę zaciszna. Ktoś pozabijał okna deskami, na pustej ścianie wymalował czarny krzyż,

przed którym gorzało słabe światełko. Knot w musztardówce zanurzony w brunatnym tłuszczu.

– On tu zaraz przyjdzie! – powtórzył z przekonaniem.

– Kto?

– Ksiądz Jerzy. Udzieli mi rozgrzeszenia. Przeprowadzi na drugą stronę.

– Obawiam się, że i jego złapali...

Ułożyła mężczyznę na dwóch starych ławkach. Wydawał się bezradny jak dziecko. Simon Ravell. Ukochany Anette Laroche. Więc pewnie i jej.

Zapalniczką podpałała strzępy starych gazet, dorzuciła parę suchych gałązek. Pod ścianą zachowały się resztki starego konfesjonału. Sprawnie rozebrała go na części, a potem łamała deszczułki na szczapy ciosami wytrenowanej dłoni.

– Zaraz będzie cieplej – powiedziała Szymonowi.

– Zobaczą dym!

– Sam mówiłeś, że do rana nikt nas nie będzie szukał. Zresztą mało jest dookoła chałupek, z których się kopci?

Prosiła go, by starał się zasnąć. Nie trwoniał resztek sił. Jednak Szymon Rawski odczuwał gorączkową potrzebę mówienia. Chaotycznie, urwanymi zdaniem opowiadał jej o świecie, jaki jest i jaki mógłby być, gdyby mu się udało.

– Rojenia chorego – pomyślała Anette. – Gdyby świat, o jakim mówi Simon, rzeczywiście miał w sobie tyle wewnętrznych sił i wartości, nigdy nie uległby bolszewickiemu najazdowi. Na pewno nie skapitulowałby tak łatwo wobec przemocy. Nie poddałby się tak chętnie. Chyba że była to nieuchronna konieczność, dialektyczna konsekwencja teorii rozwoju. Wiadomo, że przyjemniej byłoby żyć w świecie bez kłamstw, ale jeśli kłamstwo było jedynie zrelatywizowaną formą prawdy...?

Koło pierwszej wydało się jej, że mający wreszcie usnąć, dzięki ognisku zrobiło się w miarę ciepło, tak że mogła nakryć go również swoim płaszczem. Gdy wpatrywała się w płomień, spłynął na nią dziwny spokój. Naraz zdała sobie sprawę, że ma kogoś, kim może się opiekować. Ciekawe doznanie. W trakcie szkoleń w Nanterre, bywało, dostawali pod opiekę kota lub psiaka, zajmowali się nim przez trzy dni, tylko po to, by w odpowiedniej chwili na rozkaz *rukowaditiela* ukreć mu kark. Początkowo nie było to miłe. Później spowszedniało. Zastanawiała się, czy dziś potrafiłaby uczynić coś takiego.

Naraz Rawski zerwał się na równe nogi.

– On tu jest! – zawołał. Było z nim całkiem niedobrze. Oddech miał płytki, świszczący.

– Kto tu jest? – usiłowała ułożyć go na ławce.

– Dziadek. Dziadek Roman...

– Gdzie ty go widzisz?

Wskazał przestrzeń ponad jej ramieniem. Odwróciła się, nikogo – goła ściana z namalowanym krzyżem i knot gorejący w słoiku. Szymon jednak naprawdę musiał kogoś widzieć. Twarz bowiem mu złagodniała, rozpromieniła się.

– Jak to, dziadku? Naprawdę wróciłeś? – szeptał.

Obrócił twarz ku Anette.

– Mówi, że jednak go nie zawiodłem. Że zrobiłem wszystko, co mogłem...

– Znów patrzył ponad nią.

– Nie pocieszaj mnie, dziadku. Mogłem zrobić dużo więcej. Powiedz tylko, czy się nam udało. Powiedz?

Znów krótka pauza. A potem błysk w oku, okrzyk. „Udało się!” I łomot upadającego ciała.

– Simon, kochany, Simon! – Zataszczyła go z powrotem na leże. Całowała bladą twarz, pokrytą potem, szepcząc: – Nie opuszczaj mnie, *chéri*. Proszę, nie teraz!

*

Konstrukcje bankowych piwnic i starych warszawskich kanałów okazały się wytrzymałsze, niż ktokolwiek by przypuszczał. Wyjawszy parę osuwisk, Pietrowski bez większych trudności dotarł do pomieszczeń, które wcześniej penetrowali ludzie Listkowa. Widział puste gilzy ogłuszających petard. Na moment zdjął maskę. Smród jeszcze był wyczuwalny, ale gazy w znacznej mierze zdołały się już ulotnić. Generał postanowił rozdzielić się ze swymi towarzyszami, jednego z funkcjonariuszy skierował w lewo, drugiego w prawo, sam poszedł prosto. Miał w tym swój cel. Gdyby, idąc grupą, natknęli się na jeszcze żywego księdza, musieliby go aresztować, wyprowadzić, przekazać Borysowi. A on chciał policzyć się z klechą osobiście. Dlaczego? Po prostu czuł wewnętrzny mus! Ruszył prosto w stronę, gdzie, jak zapamiętał, czujnik termolokacyjny po raz ostatni sygnalizował obecność żywego człowieka. Szybko natrafił na świeżo wykuty w murze przełaz prowadzący do równoległego korytarzyka. Bez wahania przepchnął się przez otwór tak ciasny, że dobrą chwilę wydawało mu się, iż jest owym biblijnym wielbłądem, przeciskającym się przez ucho igielne. Cholera, przejście, którym z łatwością przedostał się ten smarkacz, było stanowczo nieodpowiednie dla kogoś jego wzrostu i tuszy. Przepychał się jednak dalej. Trud opłacił się, wkrótce dostrzegł w głębi wąskiego tunelu, tuż przy ścianie, zielonkavo połyskujące światło.

– Kurwa! Modem cały czas działa. Trwa transmisja!

Z niemałym wysiłkiem posunął się jeszcze o metr. I to było wszystko. Zrozumiał, że dalej nie da rady. Jednak to jeszcze nie było wielkim kłopotem. Należał do niezłych strzelców, zatem z odległości pięciu kroków rozwali wraz urządzenie jak nic.

Przekręcił się tak, aby prawą ręką zmacać broń. *Job' twaju mat'!* Kabura była otwarta i pusta. Widać w czasie przeciskania się korytarzem zgubił pistolet. Co teraz? Musiał zawrócić.

Oznaczało to jednak dalszą stratę czasu, w trakcie którego setki bezcennych i groźnych informacji szybowaly w przeszłość. Poza tym – jak miał zawrócić...? Cofnąć się? Łatwo powiedzieć. Zaklinowane ciało nie podporządkowało się jego woli. „Ugrzęzłem, niech to szlag!” Przypomniął sobie o posiadanym walkie-talkie. Mały radiotelefon umożliwił dodatkowo bezpośrednią rozmowę z Borysem Pugo... Nacisnął przywoływacz.

*

Czuwający w sieni domu Pod Królami *jewrokomissar* dopił herbatę z termosu podanego przez fertyczną adiutantkę i wytarł usta wierzchem dłoni.

„Pora wracać – pomyślał – zadanie wykonane”.

Dochodzący z zewnątrz hałas świadczył o przybyciu beczkowsów. Od strony dawnej Trasy W-Z nadjechało kilka cystern. Pułkownik Pienkałow lekko zacinającym się głosem zameldował o pełnej gotowości.

– Możemy bezzwłocznie zaczynać zalewanie – oznajmił.

– Chwileczkę – powiedział Pugo, czując na brzuchu wibracje krótkofalówki.

Odszedł w boczny korytarz gmachu i stanąwszy za filarem, wyciągnął radiotelefon. – Tak?

– To kurewstwo ciągle nadaje – chrząkał Pietrowski.

– Przekażnik działa?

– Tak.

– To źle! Możesz go unieszkodliwić?

– Nie mam jak, ugrzęzłem w pieprzonym tunelu. Nie mogę ruszyć się ani wte, ani wewte.

– A twoi ludzie?

– Poszli w różnych kierunkach. Wołam ich, ale chyba mnie nie słyszą. Wyślijcie drugą ekipę, ze sprzętem. Niech mnie stąd wyciągną. Podaję współrzędne.

– Zajmę się tym. *Nie biespakojsia* – mruknął Pugo. Wrócił do sieni. – Słuchajcie, pułkowniku – rzekł do Pienkałowa. – Potraficie mi odpowiedzieć, co się stanie z urządzeniem elektronicznym, które zaleje twój specyfik...?

– Zmieni się w jeden szajs – odparł Pienkałow.

– To właśnie chciałem usłyszeć.

Jewrokomissar wziął z rąk jednego z żołnierzy ręczny megafon i poszedł z nim w kierunku studzienki.

– Uwaga zwiad jeden, zwiad jeden, zarządzam natychmiastową ewakuację, zarządzam natychmiastową ewakuację.

Na spasionym brzuchu *czlena* politbiura znów zawibrował radiotelefon. Czyżby Pietrowski się czymś zdenerwował? Eurokomisarz zlekceważył sygnał. Machnął do Pienkałowa, aby ten podprowadził beczkowitzy i podłączył do cystern kwasoodporne węże z wkładem ceramicznym. Po chwili ze studzienki wyłoniły się głowy wracających funkcjonariuszy.

– Lać – zakomenderował Rosjanin. – Jednak w tym samym momencie dobiegł do nich zdenerwowany Listkow.

– Chwileczkę, przecież tam jest generał.

– Pietrowski? – pokręcił głową Pugo. – Przed chwilą meldował mi, że właśnie kieruje się w stronę *płozczadi Dierżynskowo* i wychodzi studzienką D-8... Lać, każda sekunda jest droga!

*

Pot zalewał oczy Pietrowskiego. Od dobrych paru minut nie mógł poruszyć się ani w przód, ani w tył. Borys Pugo nie odpowiadał na przesyłane impulsy. Wołania grzęzły w podziemnym labiryncie, nie docierając do podkomendnych.

– Dlaczego ja się tak denerwuję? – uspokajał sam siebie generał. – Zaraz mnie stąd wyciągną. Wraże urządzenie to większy problem dla *prawicielstwa* niż dla mnie.

– Potrzebujesz pomocy? – Błada twarz pojawiła się między nim a pulsującym światełkiem modemu.

Znów ten klecha! Żywy i cały! Jak zdołał się tam docisnąć...

– I tak cię dorwę, skubańcu! – warknął w odpowiedzi.

– Chcę ci pomóc – powtórzył ojciec Jerzy. – Wystarczy drobna skrucha, małe westchnienie, wyciągnięcie ręki.

– Spieprzaj, mówię!

– Będę się za ciebie modlić – powiedział kapłan. I znikł w ciemności.

Pietrowski posłał za nim soczystą wiązanekę, a potem znów próbował się poruszyć. Nadal nic. Za to po dobrej chwili posłyszał jakiś dźwięk. Ni to bulgot, ni syk. Wyteżył słuch. Jeszcze moment, a dotarł do niego odrażający smród żrącej cieczy. Naraz pojawił sens słów księdza. Zrozumiał też całą perfidię zdradzieckiego *jewrokomissara*. Pugo postanowił zniszczyć modem, a przy okazji również pozbyć się świadka pożałowania godnego incydentu. Może to nawet najwyższe kierownictwo uznało, że Pietrowski nie sprawdził się na zajmowanym stanowisku. Mimo pewności, że jest zgubiony, zaczął krzyżeć, wzywać pomocy... Rozpaczliwie naciskał włącznik radiotelefonu.

Pierwsza fala dosięgła go od strony butów. Poczłł odór palonej skóry, potem

kwas sięgnął kolan, w mgnieniu oka przepalając sukno spodni i bawełniane kalesony. Zaraz targnął nim żywy ogień.

Potem substancja nadpłynęła korytarzem z przodu. Poczul ogień, ogarniający opuszki palców w wyciągniętej ręce.

– O Boże, o Boże! – zaskowyczał po polsku. – Proszę księdza, na pomoc, ratunku, wybaczenie mi, proszę księdza...

Chociaż straszliwy ogień ogarnął mu już pierś i brodę, i zaczął sięgać ust, Pietrowski ciągle jeszcze żył, ciągle był przytomny. Ostatkiem świadomości zarejestrował, że w okienku radiotelefonu ciągle pali się sygnał „odbiór”. Gdzieś na górze w ciepłej służbowej limuzynie siedział sobie Pugo i słuchał jego wycia. Krzyknął ostatnim wysiłkiem:

– Borys! *Ja idu tiebia w adie!*

Jewrokomissar zarechotał.

– Zabawne! Zaprasza mnie do piekła, w które obaj nie wierzymy. – I dodał do siebie: – Szkoda, że w życiu mało jest tak miłych emocjonujących momentów, jak ten.

XXVI

Na jednej ze słonecznych wysepek archipelagu Florida Keys, przypominającego z okien samolotu garść zielonych malachitów, ciśniętych hojnym ramieniem Przedwiecznego Siewcy w koralowe płycizny Morza Karaibskiego, znajduje się siedlisko, noszące na niektórych mapach miano Hammersmith. (Na innych zwie się Cayo Nino lub w ogóle nie posiada nazwy.) Składa się z jednego domu, nie przypominającego ani kolonialnych bungalów, ani białych pałacyków, charakterystycznych dla zamożnych plantatorów z Południa. Nie jest też żadną aluminiowo-szklaną fantasmagorią współczesnego architekta. Solidna budowla przywodzi raczej na myśl rezydencję z Nowej Anglii, w której do dziś dnia, przynajmniej z pozoru, unosi się duch Ojców Założycieli. Jednak ci nieliczni, którzy przestąpili jej progi, nie wspominali nigdy o duchu, jeśli już, raczej o upiorze.

– Telefon do pana! – powiedział Diego, krępy, ciemnowłosy ochroniarz z zabójczym wąsikiem latynoskiego fryzjera, otwierając rozsuwane drzwi do pogrążonego w mroku pokoju. – Można wejść, *señor*? – Nigdy nie wiedział, czy jego patron śpi, czy czuwa.

Zaskrzypiał elektryczny wózek na kółkach. Z głębi nory wyłoniło się widmo.

Diego pracował dla Hammersmitha ładnych parę lat, zawsze jednak nagłe zjawienie się patrona wywoływało w nim skurcz strachu, pomieszanego z obrzydzeniem. Dziewięćdziesięcioletni staruch był kompletnie łysy, jeśli nie

liczyć rzadkich siwych włosów z tyłu głowy, opadających na kark brudną, paskudną kitką. Twarz bladą, od dawna pozbawioną kontaktu ze słońcem, pokrywały brunatne plamy. Prawie nie miał brwi, a obwisła, pełna dziwnych narośli skóra, przywodząca skojarzenia ze starym indorem, i zepsute zęby dopełniały obrazu spustoszeń, dokonanych przez czas. Tylko zimne, jasnoniebieskie oczy spoglądały młodo, jakby świeżo wydarto je z twarzy człowieka młodszego o dobre siedem dekad.

– Telefon – zaskrzypiał. – Kto?

– Jakiś Borys – odparł Diego. – Nie mówi po hiszpańsku.

– Boria – staruch wykrzywił usta w koślawym uśmiechu. – A czego ten drań jeszcze chce ode mnie?

Powściągając dygot ręki, schwycił słuchawkę, zaciskając na niej mocno swe poczerwiałe pazury. Ponieważ z wnętrza dobywał się wyłącznie bełkotliwy szmer, drugą ręką włączył maszynkę dekodującą, wzrokiem zaś wymiółł Diega z pokoju.

– Kopę lat, towarzyszu Pugo – rzekł.

– Jak zdrowie, Kuzniecowa?

– Źle, czyli dobrze. W moim wieku jedyna sensowna kwestia może brzmieć: „Żyjesz, czy nie żyjesz?”

– Słyszę, że żyjesz... Ciekawe, jak pewne sprawy konserwują człowieka. U nas też Kaganowicz i Mołotow dożyli prawie setki. Przy okazji przyjmij gratulacje od partii i rządu, a prywatnie, ode mnie – dwieście lat.

– Postaram się sprostać waszym życzeniom, czuję jednak, że masz jakiś poważniejszy problem, Boria. Ciekawe, jaki? Władacie praktycznie całym tym gównianym światem... amerykańcy robią przed wami w pory, arabusy się już nie liczą, kitajcy dopiero czekają na swój czas.

– Potrzebujemy cię.

– Od dziesięciu lat jestem na emeryturze. Nie przyjmuję zleceń od żadnej strony. Zaangażujcie kogoś innego.

– To zadanie dla najlepszego. Potrzeba mi kogoś z wielkim stylem. A mówienie o emeryturze w twoim wypadku jest kokieterią. Wiemy o twojej robocie dla Libijczyków i tej drobnej usłudze dla Kolumbii przed pięcioma laty... Wracając do rzeczy, mam nadzieję, że ciągle dysponujesz odpowiednimi ludźmi.

– Odpowiedni ludzie to ilaraz pieniędzy i kontaktów. Mam jedno i drugie.

– Zapłacimy dobrze...

– A po co mi pieniądze, Borys? Za cały majątek świata nie kupię jednej minuty własnej młodości, żaru w łędźwiach czy poczucia siły, gdy kark wroga łamie się w moich rękach. Zrobię to dla przyjemności. Mów tylko, co mam zrobić?

– Otóż jest pewien kłopotliwy ośrodek doświadczalny w Kalifornii...

*

Diego nie podsłuchiwał rozmowy. Wolał nie ryzykować. Jego pan nie lubił być podsłuchiwany, a w gniewie bywał straszny. Doświadczyła tego parę lat temu banda małolatów, usiłująca na dziko biwakować na wysepce pomimo powbijanych przez Diega tablic: „Teren prywatny – wstęp surowo wzbroniony”. Niszczenie tych tablic sprawiało szczeniakom jakąś dziką satysfakcję. Diego cierpliwie wstawiał je za dnia na czterech płazach z czterech stron świata. Rano zawsze znajdował obalone. Złośliwe gnojki! Kiedy wychodził do nich, grożąc strzelbą, odpływali, aby po jakimś czasie powrócić. Ciuciubabka trwała przeszło tydzień. W sobotę Hammersmith kazał udać się Kubańczykowi łodzią do miasta. „Zabaw się – rzekł, wręczając mu tysiąc dolców. – Odwiedź lokale, weź sobie dziewczynę, możesz wdać się w drobną bójkę, oczywiście bez przesady. Dobrze będzie, jeśli cię tam zapamiętają...”

Kiedy wrócił nad ranem, stary jeszcze nie spał, i choć od paru lat nie używał alkoholu, tym razem był na lekkim rauszu. „Uprzątnij teren” – powiedział.

W pół godziny znalazł całą piątkę. Rozproszone po całej wyspie ciała nie miały żadnych ran postrzałowych ani innych obrażeń, wskazujących na użycie tępego narzędzia. Musiano zabić wszystkich gołymi rękami. Jak dokonał tego staruszek, poruszający się z najwyższym trudem, na zawsze pozostanie tajemnicą. Zgodnie z poleceniami szefa Diego zaniósł ciała do jednego z nieczynnych basenów, który Hammersmith kazał napełnić jakąś mieszaniną żrących substancji. Mikstury w jeden dzień uporały się ze zwłokami – potem basen opróżniono do olbrzymiego szamba, a kwasy zneutralizowano przez odpowiednie odczynniki tak, że nikt nie domyśliłby się nawet ich obecności. Płukanie zbiornika wypełniło następne dwa dni z życia Diega. Wcześniej jednak patron polecił mu wziąć łódź intruzów, wypłynąć nią w morze i tam ją zatopić.

– A jak wrócę?

– Wpław. Weź płetwy.

– A rekiny?

– Istnieje małe prawdopodobieństwo, by cię zaatakowały. A poza tym, kiedy przyjmowałem cię na służbę, twierdziłeś, że masz szczęście.

Miał szczęście tego dnia, podobnie jak wówczas, gdy przed piętnastu laty uciekł z Kuby, a także dwa lata później, kiedy ktoś w Miami skontaktował go z Hammersmithem. „Umie gotować, sprzątać i trzymać język za zębami” – brzmiała rekomendacja jednego z silnych ludzi „małej Hawany”. Patronowi to widać wystarczyło.

Tak więc Diego w zasadzie nie podsłuchiwał, ale ponieważ dom był akustyczny, zauważył, że od pewnego czasu z pokoju starego nie dobiegają żadne dźwięki.

Słuchawka jednak nie została odłożona. Ani chybi kontrahent składał precyzyjne zamówienie. Wreszcie na koniec padły dwa dobitnie wypowiedziane słowa: „Będzie załatwione”.

Później dzwoneczek jeszcze raz przywołał Kubańczyka.

– Przyniesź mój laptop – powiedział krótko stary. – I jeszcze jedno: za godzinę helikopter musi być gotowy do drogi.

*

Achmed nie należał do szczególnie doświadczonych pilotów, ledwie dwa miesiące temu ukończył kursy pilotażu w Niemczech i miał wylatanych tylko kilkanaście godzin. Jednak na podstawie lewych papierów, załatwionych w Miami, można było sądzić, że jest asem przestworzy. Trochę lepiej znał się na skokach spadochronowych, a one miały odegrać istotną rolę w zadaniu, czy raczej szczęśliwej fusze, jaką mu zlecono.

Pośrednik oferował mu 50 tysięcy dolarów gotówką za krótką, łatwą akcję i brał na siebie wszelkie koszty. Uprzedził jednak, że nie będzie odpowiadać na żadne pytania dotyczące zleceniodawcy, gdyby ewentualnie Achmed zechciał je zadać. Ale Palestyńczyk nie zechciał. Wiedział, że każdy atak na instalacje bezbożnych gjaurów podoba się Allachowi, i to w połączeniu z niezłym honorarium stanowiło znakomitą motywację. Zresztą nie miał pilotować transkontynentalnego boeinga ani concorde’a. Maszyną wypożyczoną na akcję miał być niewielki, wielofunkcyjny samolot rolniczy, mogący służyć tak do oprysków pól, jak i do walki z pożarami lasów.

Tym razem na ładunek nie składały się ani płynne pestycydy, ani woda, tylko sporo hektolitrów wzbogaconej nitrogliceryny, szczelnie wypełniającej zbiorniki. Pośrednik zapewnił, że podczas startu i lotu możliwość wybuchu jest zerowa, natomiast w zderzeniu z jakąkolwiek przeszkodą efekt powinien przypominać detonację niedużej bomby nuklearnej.

„Po nakierowaniu maszyny na cel, wyskakujesz na spadochronie, a specjalnie zainstalowany autopilot wykona resztę” – brzmiała instrukcja.

Wczesnym rankiem, odmówiwszy poranne modlitwy, udał się do hangaru.

Pośrednik, czarterujący cessnę, musiał być człowiekiem o ogromnej sile przekonywania, ponieważ startowi nie towarzyszyli ni gapie, ni nawet właściciel wypożyczalni awionetek. Może z jakiegoś powodu nie mogli.

Maszyna okazała się prawie nowa, pilotaż łatwy. Mimo porannej mgiełki Achmed wystartował precyzyjnie i natychmiast obrał kurs zapisany w książce lotów. Gdyby pozostał dłużej, zauważyłby niechybnie, jak na tyłach hangaru zatrzymuje się biały pontiac.

– Dobra robota, Ibarra – powiedział kierowca do pośrednika. – Szef chce panu

osobiście podziękować. Pośrednik podszedł do limuzyny, Diego otworzył drzwi. Przez moment Miguelowi Ibarze wydało się, że widzi pysk starego tyranozaura, siedzącego na wózku inwalidzkim, zespolonym z samochodem. Nie zdołał przyjrzeć mu się zbyt dobrze.

– Świetnie robiło się z panem interesy – rzekł uprzejmie Hammersmith i strzelił pośrednikowi prosto między oczy.

Po dwudziestu minutach Achmed wykonał zaplanowaną korektę lotu, ostro zbaczając z kursu. Pewnie zauważą to radary kontroli lotów, ale w tej fazie akcji nie dbał o to. Od ośrodka dzieliły go najwyżej trzy mile. Nikt ani nic nie mogło mu przeszkodzić. Włączył autopilota. Zapaliły się ostrzegawcze światelka radaru, sygnalizujące kurs kolizyjny. Przełączył na nowo załadowany program subordynacyjny. Światelka znów były zielone. Otworzył drzwi kabiny... Pięćset metrów poniżej przesuwała się ziemia.

Miał do wykonania banalnie prosty skok, bez opóźnienia. Abecadło początkujących spadochroniarzy. Achmed wymówił imię Allacha i skoczył. Zaraz poczuł lekkie szarpnięcie i trzepot tkaniny wypełnianej powietrzem. Jednak drugiego, decydującego szarpnięcia nie było, ziemia przybliżała się w zawrotnym pędzie. Wirując bezradnie, zadarł głowę. Spadochron szybował wysoko ponad nim bez żadnego związku z jego uprzężą.

Achmed zaczął wrzeszczeć przeraźliwie, choć wiedział, że się to nie zda na nic.

Co gorsza, nie miał żadnej pewności, czy za chwilę znajdzie się w rajku pełnym hurys, czekających, jak twierdzili mułowie, na ginących za wiarę. Problem polegał na tym, że on, Achmed, ginął za pieniądze.

Niestety, pan Hammersmith, kiedy nie mógł zrobić czegoś sam, okropnie nie lubił pozostawiać świadków.

*

– Myślisz, że się nam udało? – Potwornie zmęczona Agnes Graham popatrzyła na Chrisa, który też ledwie trzymał się na nogach.

– Dostaliśmy sygnał zwrotny, dowodzący, że impuls namierzył modem w Warszawie. Potem nastąpiły jakieś zakłócenia, ale po chwili transmisja nagranych materiału została wznowiona bez przeszkód.

– Co to oznacza?

– Dobowe opóźnienie. Jednak najprawdopodobniej kolejnego dnia o tej samej porze cały przekaz dotrze do mieszkania Romana Marczyńskiego. Znaczący, patrząc z dzisiejszej perspektywy, już dotarł.

– Myślisz, że mój dziadek go wysłuchał? I posłuchał...?

– Nie mam pojęcia. Być może wkrótce się dowiemy.

– Na naszych oczach przemieni się świat.

– Tego nie wiem. Nikt nie przeprowadzał eksperymentu w tej skali. Nie wiem nawet, czy zauważymy transformację.

– Jak to?

– Wedle tego, co twierdził Rossman, będziemy innymi ludźmi w innych miejscach świata, z innymi życiorysami, lub... – tu Zeman zawahał się na moment – lub wcale nas nie będzie. Przecież gdyby nie najazd sowiecki na Czechosłowację w sierpniu 1968, moja mama najprawdopodobniej nigdy nie poznałaby mego ojca.

– Pamiętaj o Rossmanowej teorii korekty. Do spotkania twoich rodziców mogłoby dojść z innego powodu, w całkiem innych okolicznościach.

– Dałby Bóg. Byłoby mi przykro, gdyby skutek eksperymentu miało nas nie być, choć mam nadzieję, że to nie będzie bolało.

– Nie wyobrażam sobie alternatywnego świata bez ciebie.

Ucałowali się i wrócili do roboty. Musieli przeprogramować współrzędne, zamienić datę docelową, godzinę, kierunek i nadać drugie nagranie do Londynu...

Doskonale znali treść godzinnego przekazu. Byli przy Simonie, gdy ten nagrywał posłanie do Churchilla. Głosem wzruszonym, ale spokojnym. Mówił przecież do człowieka, którego Roman musiał już przygotować na to, co miał usłyszeć:

„...Chciałbym, panie premierze, być dobrze zrozumiany. Dałem dowody, że wiem o rzeczach, o których większość pańskich współczesnych nie ma najmniejszego pojęcia. Coventry, enigma – dwie pańskie największe tajemnice są mi znane. Podobnie amerykański program atomowy o nazwie «Manhattan». Znam kulisy Katynia – sowieckiej zbrodni na polskich oficerach, którą boicie się nagłośnić, żeby nie drażnić Stalina... Proszę zatem przynajmniej roboczo założyć, iż rzeczywiście żyję w roku 2001, w świecie po zimnej wojnie, którą Anglia, podobnie jak i cały Zachód, sromotnie przegrały podczas komunistycznego blitzkriegu w 1989 roku. Przegrały wcale nie z powodu słabości militarnej. Bezprzykładną klęskę umożliwił wewnętrzny rozkład tzw. społeczeństw dobrobytu i brak woli oporu. Na klęskę złożyły się całe lata ustępstw, zaniechań, pospolitej zdrady, zwykłej głupoty i niekompetencji pańskich kolegów polityków. Mimo pańskiej przenikliwości, panie premierze, zawartej choćby w przemówieniu, które za parę lat wygłosi pan w Fulton, pomimo krótkiego monopolu na bombę atomową, którą początkowo, w drugiej połowie lat czterdziestych, będą posiadać wyłącznie Stany Zjednoczone, i pomimo planu Marshalla, który w powojennym okresie oddali od Europy Zachodniej widmo komunistycznej rewolucji, pokolenia pańskich następców, krótkowzrocznych kunktatorów, naiwnych zwolenników odprężenia, przekonanych o potędze słów, wierzących w magię podpisywanych umów i traktatów, rok po roku przygotowywały przyszłą klęskę. Nie

zapobiegł jej traktat helsiński w 1975 roku, próbujący miast orężnie zaatakować czerwonych hasłami o «prawach człowieka». Tym bardziej nie mógł uratować Europy szczyt mocarstw w Reykjavíku w roku 1986, który, wbrew woli większości przywódców Zachodu, stał się ich «drugim Monachium». Ostatecznie przekonał Sowietów, że mają do czynienia z mięczakami, gotowymi przełknąć każdą zniewagę i pójść na każde ustępstwo, byleby tylko uratować pokój... Doskonale wiem, co powiedział pan w roku 38, po powrocie Chamberlaina z Monachium: «Mając do wyboru hańbę i wojnę, wybrali hańbę, a wojnę i tak też będą mieli». Niestety, historia uczy tylko tego, że niczego nie uczy. I dlatego dziś dzwonię do pana z prawdziwie orwellowskiego świata. Redaktor Orwell dopiero za parę lat napisze swój «Rok 1984» – radzę natychmiast przeczytać, a najlepiej jeszcze dziś zatrudnić przyszłego autora jako konsultanta Foreign Office. Mój świat składa się z samotnej, zapatrzonej we własny pępek Ameryki, podbitej Europy, spacyfikowanego Bliskiego Wschodu i skomunizowanego Trzeciego Świata.

Jest pan zapewne ciekaw, jak się to wszystko zacznie? Służę szczegółami, chociaż podejrzewam, że pan, panie premierze, już w Teheranie przeczuł, w jaką paskudną grę gra «straszny wujek Joe». Tak, dobrze pan przeczuwa, nie będzie miękkiego, bałkańskiego podbrzusza Europy, wasz «drugi front» nie dotrze przed Sowietami do Berlina, a wbrew wszystkim obietnicom z Teheranu i z Jałty, która was dopiero czeka, od Adriatyku po Nordkap «żelazna kurtyna» przetnie Europę, pozostawiając na pastwę bolszewii narody wielkie i małe, jednako koalicjantów i przeciwników w tej wojnie wojen.

«Żelazna kurtyna» – ładny zwrot, prawda? Wymyśli go pan za dwa lata... A co będzie dalej? Bombę atomową ukradną Stanom Rosjanie, Europa Wschodnia stanie się sowieckim podwórkiem, na które nie pozwolą wam nawet wściubić nosa. Podobnie potoczą się losy Afryki i Azji, z których wycofacie się w ramach szlachetnej dekolonizacji. Wygrać wojnę wspólnie z bandytą, przegrać Imperium, to dość kiepskie dziedzictwo pozostawione dla potomności, panie premierze.

Ale przecież nie musi tak być. Otrzymując ode mnie wiedzę na temat przyszłości, może pan jej zapobiec. Stworzyć alternatywę. Wystarczy wyrwać małe stawidełko, a młyn czasu zacznie się obracać w zupełnie innym kierunku. Jak i kiedy rozpocząć owo dzieło? Dostrzegam taki moment. Za kilka dni dojdzie w Wilczym Szańcu, pruskiej kwaterze Führera, do zamachu na niego... Wódz wyjdzie bez szwanku, ale gdyby nie wyszedł? Można snuć dalsze prognozy – jak potoczyłaby się powojenna historia, gdyby Amerykanie pozostali atomowymi monopolistami? Dlatego przy okazji najbliższej rozmowy z prezydentem Rooseveltem radziłbym zwrócić mu uwagę na szereg naukowców zaangażowanych w program «Manhattan», na Klause Fuchsa, Harry'ego Golda czy w okresie późniejszym na Juliusza i Ethel Rosenbergów. Trzeba

uświadomić mu obecność sowieckich «agentów wpływu» w Departamencie Stanu, w skomunizowanym Hollywood, w mediach... Należy przestrzec go przed rosnącymi wpływami kryptokomunistów w amerykańskiej prasie, radiu i raczkującej dopiero telewizji. To nie żadna obsesja, panie premierze. Bolszewia ma swoich ludzi wszędzie. Sam pan zresztą ma pod boki Kima Philby'ego, człowieka obdarzanego przez pana wielkim zaufaniem, zaprzedanego duszą i ciałem komunie. Przy okazji może pan go zapytać, jak zginął generał Sikorski? Wie sporo na ten temat. Są też i inni – Burgess, Maclean... Ale idźmy dalej. Bogatsi o to, co wam przekażę, możecie nawet w wypadku fiaska zamachu Stauffenberga minimalizować straty. Unikając błędów. Można nie posunąć się «o jeden most za daleko» podczas operacji «Market Garden» pod Arnhem, można uprzedzić zimowe kontrnatarcie Niemców w Ardenach. A jeśli dacie więcej swobody Pattonowi, ten nie wpuści Rosjan do Berlina... Dalej, w latach czterdziestych, Wolny Świat, dysponując przewagą dzięki broni atomowej, będzie miał niepowtarzalną szansę bezkrwawego przemodelowania całego globu. Wystarczy zdecydowany nacisk. Jeśli nawet nie uda się obalić Stalina, bez większej trudności wygnanie go raz na zawsze z Europy Środkowej... Cóż jeszcze, jeżeli jakiś sprawny agent MI 6 (dajmy mu na przykład numer 007), wysłany do Chin, wyeliminuje Mao Tse-tunga – nie będzie rewolucji 49 roku. Pan też, stosując odpowiednią dawkę populizmu, nie musi przegrać wyborów w 45... Wracam do mej głównej koncepcji, panie premierze. Jeśli Hitler zginie 20 lipca, jeśli uda się operacja «Walkiria», stoicie przed ogromną szansą zakończenia wojny na Zachodzie w parę dni. W bliskiej perspektywie oznacza to miliony ocalonych istnień ludzkich, nie tylko żołnierzy obu stron. Myślę o tych wszystkich Żydach, Cyganach, Polakach, Rosjanach, którzy zginą w komorach gazowych i egzekucjach, jeśli wojna potrwa jeszcze rok. Myślę też o mojej Polsce, która w powstaniu warszawskim utraci kwiat swej młodzieży i inteligencji, swoje archiwa, biblioteki, zabytki. Mam nadzieję, że rozumie mnie pan, panie premierze. Wojna jest do wygrania, Stalin do ogrania, a nasz świat do ocalenia...”

Wskutek dźwiękoszczelnych murów ani Agnes, ani Chris nie usłyszeli nadlatującego samolotu. Tylko zmiennik Tima, czarnoskóry Sam, zaskoczony niesamowicie bliskim warkotem silników wyszedł z budki strażnika i z rozdziawionymi ustami śledził przelatujący tuż nad nim samolot, który następnie wbił się w kopułę pawilonu A. Eksplozji Sam już nie usłyszał.

(przedwczoraj)

Jęk syren, słyszalny pomimo grubych ścian rządowego bunkra, obwieszczał początek kolejnego nalotu.

– Panie premierze! Musimy natychmiast zejść na niższy poziom schronu – sekretarz w mundurze majora marynarki wyglądał na przestraszonego.

Winston Churchill pokręcił łusą głową i rzekł z determinacją:

– Poczekamy tutaj, wedle tego młodego człowieka telefon powinien zadzwonić za parę minut. Czy przekierowanie działa prawidłowo?

– Oczywiście, sir. Ktokolwiek połączy się z tamtym numerem na West Endzie, zostanie automatycznie przełączony na ten aparat.

– Dobrze. A tamten dom z telefonem...? – premier odwrócił się do Romana. – Jest pan pewien, że nie zostanie trafiony?

– Ani dziś, ani w trakcie żadnego nalotu aż do końca wojny – podkreślił z mocą Marczyński.

– Zatem czekajmy.

W oczach siedzącej nieco z boku księżnej Delfiny zapalił się szczerzy podziw dla brytyjskiego przywódcy, ze swej strony Roman odczuwał przede wszystkim zdumienie, że idzie mu tak łatwo.

– Pan mi wierzy, panie premierze? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, nie. Musiałbym być absolutnym szaleńcem. Jednak gdyby w tym, co pan mówi, kryła się choć jedna tysięczna prawdy, a ja bym ją zlekceważył, historia nie darowałaby mi tego nigdy. Wie pan zdumiewająco wiele o rzeczach, których zwykłymi metodami dowiedzieć się nie sposób. O maszynach deszyfrujących, o naszym nieszczęsnym Coventry i amerykańskim programie budowy nowej bomby, o którym nawet ja wiem niewiele. Przewidział pan dzisiejszy nalot, a wedle księżnej przed tygodniem podał jej pan precyzyjny w każdym szczególe rozwój wydarzeń na frontach, który się potwierdził... Zgłaszało się do mnie wielu jasnovidzów, autorów cudownych wynalazków, szaleńców, żądnych poklasku. Wszystkich demaskowaliśmy nader łatwo. Pan jednak, a nie mam najmniejszego powodu nie ufać księżnej, niczego nie żąda dla siebie.

– Wykonuję jedynie swój obowiązek...

Gdzieś w pobliżu zerwała się kanonada artylerii przeciwlotniczej, potem dobiegł ryk pikujących maszyn, wreszcie pierwsze, stłumione grubością murów, uderzenia bomb. Eksplozje przybliżały się, to znów oddalały na podobieństwo krążącej burzy.

– Czemu jednak pański rozmówca, jeśli w istocie żyje pół wieku po nas, nie przekazał panu więcej informacji, tylko kazał tutaj oczekiwać na drugi telefon?

– Prawdopodobnie istnieją jakieś ograniczenia czasowe, jeśli idzie o emisję sygnału. Poza tym nie zapominajmy: spiskowcom z roku 2001 przyszło działać w

ekstremalnie trudnych warunkach. Tak w okupowanej Warszawie, jak w uległych wobec Sowietów Stanach Zjednoczonych.

– Przerazająca wizja – powiedziała Delfina.

– I cały ten ciąg niepomyślnych zdarzeń mógłby odwrócić jeden nalot na Wilczy Szaniec w Prusach Wschodnich? – zapytał Churchill.

– Taka jest opinia Szymona. Jak już mówiłem, za trzy dni w kwaterze pod Kętrzyńnem pułkownik von Stauffenberg dokona zamachu na Hitlera, teczka z bombą wybuchnie podczas narady Oberkommando der Wehrmacht. Gdyby ten zamach powiódł się w pełni, druga wojna światowa miałaby zupełnie inny finał...

– Pan jednak, znając przyszłą historię, już wie, że zamach się nie powiódł.

– Przez czysty przypadek. Szymon opowiadał mi, że południową naradę wojenną z udziałem Führera i jego dowódców w ostatniej chwili z bunkra przeniosą do lekkiego baraku należącego do ministra Speera, który eksplozja teczki ze śmiertelnie niebezpiecznym ładunkiem po prostu roznieśli. Gdyby posiedzenie odbywało się tradycyjnie, w betonowym bunkrze, nikt nie wyszedłby z życiem.

– I jeden nalot mógłby to zmienić?

– W wypadku alarmu narada z pewnością odbyłaby się w bunkrze... Poza tym dla pewności można by zbombardować całą kwaterę. Mój wnuk dość szczegółowo opisał mi układ budynków w Wilczym Szańcu, a ja sporządziłem na tej podstawie szkic. Jak pan premier widzi, można by dokonać precyzyjnego bombardowania, dobić bestie, zniszczyć tamtejsze lotnisko i komunikację z Berlinem, gdzie na wiadomość o udanym zamachu na „Wodza” wojskowi spiskowcy bez większego trudu dokonaliby przewrotu...

– Ciekawe – zastanawiał się intensywnie premier. – Wiem coś niecoś o spisku wśród starej niemieckiej arystokracji, nie przypuszczałem jednak, że mógłby dysponować aż tak realną siłą...

– Zgodzisz się jednak, Winstonie, że przy obecnych nastrojach w armii niemieckiej, przegrywającej na wszystkich frontach, istnieje spore prawdopodobieństwo takiego zamachu – wtrąciła księżna. – A pan Roman nie sugeruje czegoś szczególnie wielkiego...

– Tak, mam zaryzykować jedynie wysłanie samobójczej eskadry. Niestety nie dysponuję samolotami o odpowiednim zasięgu, które mogłyby wrócić po ukończeniu zadania. Musiałyby lądować w Rosji, a tam kto wie, jak ich załogi kazałby potraktować Stalin. Zwłaszcza wobec perspektywy zerwania Wielkiej Koalicji.

– Czymże jest jedna eskadra wobec tak ogromnej stawki?

– Wiem. Wyobraźni mi nie brakuje. I gdybym mógł się jakoś upewnić, że pańska opowieść nie jest tylko genialną konfabulacją... Zresztą sam pan, jak mówi, nie ma stuprocentowej pewności. Wszystko przecież opiera się na rzekomym telefonie z

przyszłości, co zakrawa na czystą fantazję... Osobiście znam Wellsa, a ten, podobnie jak Einstein, twierdzi, że realne podróże w czasie są niemożliwe.

Potężna bomba upadła gdzieś w sąsiedztwie Whitehallu i wstrząs dało się odczuć nawet w rządowym bunkrze. Na moment przygasło światło i posypał się tynk.

Churchill popatrzył na zegarek.

– Najwyższy czas, by ten wasz Rawski zadzwonił – powiedział. – Czy pański wnuk jest człowiekiem punktualnym?

Marczyński milczał. Nie znał przecież swojego wnuka.

W pół godziny potem premier był już mocno zniecierpliwiony. Wypalił kolejne cygaro i wstał z fotela.

– Coś się musiało stać – powiedziała księżna.

– Nie u nas – mruknął Churchill. – Linia jest ciągle sprawna. Przykro mi, ale nie będę mógł poświęcić wam więcej czasu. Naturalnie telefon pozostanie pod naszą kontrolą. Przekaz, jeśli nastąpi, zostanie nagrany... Chociaż – popatrzył surowo na Marczyńskiego – wątpię, czy do tego dojdzie. Wielka szkoda. A teraz dziękuję państwu. Musicie zrozumieć, że w tej sytuacji, dla zrealizowania tego nawet interesującego mirażu nie mogę ryzykować życia ludzi, maszyn...

– Rozumiem – westchnęła Delfina.

Anglik wyglądał na zmęczonego nieprzyjemną sytuacją. Chyba pragnął już tylko jak najszybciej zakończyć kłopotliwe spotkanie. Ku zadowoleniu adiutanta ruszył ku drzwiom.

– Panie premierze! – w zapadłej ciszy głos Marczyńskiego zabrzmiał zdecydowanie, może nazbyt kategorycznie.

– Słucham? – dość niechętnie odwrócił się Churchill.

– Znalazłem chyba jedno dość prawdopodobne wytłumaczenie braku tego telefonu.

– To znaczy?

– Musiało się nam udać.

– Proszę mówić jaśniej – ręka premiera puściła klamkę, zawrócił do biurka i sięgnął po cygaro.

– Przecież sam fakt naszego spotkania, którego powinno nie być, stanowi zmianę w przebiegu historii. Podobnie księżna i ja nie powinniśmy być teraz w Londynie...

– I cóż z tego?

– Szymon mówił mi, że jedna nawet niewielka zmiana pociąga następne, a te narastają lawinowo. A jeśli tak, w roku 2001 może być całkiem inny świat, w którym nie ma okupowanej przez Sowieców Europy, nie ma ośrodka w Ameryce, skąd stymulowano połączenie. A wynalazek, który umożliwia kontakt ponad oceanem czasu, prawdopodobnie nie został nigdy dokonany... Tym bardziej że ludzie z

początku XXI wieku nie mają powodu, aby alarmowo telefonować w przeszłość.

– Ciekawa hipoteza. Ale tylko hipoteza. To prawda, spotkaliśmy się, ale w żaden sposób nie zmieniliśmy historii. I raczej nie zmienimy... – Znow ujął klamkę.

– Zmieniliśmy – Marczyński podniósł głos. – Już przez sam fakt, że tutaj jesteśmy, choć być nie powinniśmy. Ja nie zginę w powstaniu, a księżna w sowieckim łagrze... Nie jest jeszcze za późno, aby przystąpić do realizacji ograniczonej wersji planu mego wnuka. Jeśli tylko pozwoli mi pan, panie premierze...

– Na co miałbym pozwolić? – Churchill bardzo uważnie przyglądał się Marczyńskiemu.

– Do realizacji przedsięwzięcia nie potrzeba całej eskadry. Wystarczy jedna sprawna maszyna i jeden pilot. Ja sam.

– Roman był arcyinstruktorem pilotażu – wsparła go księżna.

– Ale podobno nie latał pan przez prawie ćwierć wieku. W dodatku jest pan inwalidą.

– Poradzę sobie! Wystarczy mi jeden dzień intensywnego treningu. I bombowiec dalekiego zasięgu, w którym zamiast bomb można zainstalować dodatkowy bak paliwa.

– Co jednak chciałby pan zrobić. Zwłaszcza bez bomb?

– Polecieć nad Wilczy Szaniec, tak aby 20 lipca około dwunastej w południe znaleźć się nad kwaterą Hitlera...

– Rozumiem... – widać było, że Churchill całkiem poważnie zastanawia się nad propozycją. – Mówi pan: jeden bombowiec, jeden pilot...? Jednak potrzebowałby pan jeszcze znacznej eskorty myśliwców...

– Nie potrzebuję. Nadlecę od strony Bałtyku. Nisko nad ziemią. Nikt nie spodziewa się nalotu z tamtej strony. Wystarczy, że się pojawię, przelecę nad Wilczym Szańcem... Naradę z pewnością przeniosą do pomieszczenia o grubych murach. Plan Stauffenberga się powiedzie...

– A pan?

– Spróbuję zawrócić. Jak nie starczy mi paliwa na powrót, wyskoczę gdzieś na terenie neutralnej Szwecji.

Churchill nie mówił nic dłuższą chwilę. Potem zaśmiał się.

– Typowy Polak, typowy Polak! Sam jeden chce ocalić świat! – Zaśmiał się jeszcze raz, po czym dodał już poważnie: – Rozważę pańską propozycję. Muszę jeszcze przekonać parę osób do tej szaleńczej imprezy. W każdym razie dziś wypocznijcie, a jutro... Na wszelki wypadek bądźcie gotowi do treningu...

Zadzwoił telefon.

Instynktownie skoczyli ku słuchawce, sekretarz przełączył na głośnik. Niestety, prócz trzasków dobiegała z niego głucha, przerażająca cisza.

CZEŚĆ TRZECIA

WCZORAJ

A

*Spoza gór i rzek,
wyszliliśmy na brzeg,
czy stąd niedaleko już
do płaczących wierzb, malowanych wzgórz...*

Piaszczystą drogą, wiodącą wśród dojrzewających kłosów, maszerowała harcerska drużyna, wyśpiewując jedną z tych dziarskich pieśni, których Aleksander Rawski nienawidził równie głęboko, jak wszystkiego, co go otaczało: zmarnowanych lat, spieprzonego życia, samotności kawalerskich wieczorów i poranków...

– Co ja tutaj robię? – zastanawiał się przedwcześnie postarzały mężczyzna, stojąc z marynarką przerzuconą przez ramię i wpatrując się z niedużego pomostu w toń jeziora Lubień, stanowiącego, jak twierdzi historia, grób niejednego krzyżackiego rycerza lub europejskiego najemnika, poległego w wielkiej batalii, którą Niemcy zwykli nazywać bitwą pod Tannenbergiem, gdzie w istocie miała miejsce, a której Polacy nadawali uparcie miano od miejscowości, pod którą mieścił się obóz Wielkiego Mistrza – Grunwaldu. – Co ja tu robię?

Pytanie było naturalnie retoryczne: jako sezonowy wychowawca młodzieży jeszcze do wczoraj uczestniczyć miał w zlocie grunwaldzkim, wielkim PRL-owskim święcie dla upamiętnienia triumfu zjednoczonej Słowiańszczyzny (z aktywnym udziałem pułków smoleńskich) nad teutońską butą, wspartą siłami całego ówczesnego NATO.

W tej chwili jednak już nie uczestniczył. Wakacyjna fucha, która powinna była uzupełnić jego skromne fundusze i zapewnić wypoczynek na świeżym powietrzu, rozwiązała się jak dym za sprawą drobnutkiej blondyneczki o wąskim nosku i jeszcze węższych wargach, nazywanej przez intuicyjnie bezwzględna młodzież „Larwą”. Istotnie, jasnowłosa polonistka miała coś w sobie z białego pędraka, uwielbiającego się gnieździć w zepsutym mięsie. Miał okazję oglądać sporo takich okazów podczas ekshumacji...

Druhna szczepowa miała nosek drobny, lecz ruchliwy i bardzo czujnie

wywąchiwała nim wszelką nieprawomyślność, podobnie jak różowe uszka doskonale przydawały się jej do podsłuchiwania dyskusji, jakie prowadził z młodzieżą podczas ciszy nocnej. Opowiadał im wówczas o konspiracji, o wojnie i o świecie znajdującym się za żelazną kurtyną. Aleksander lubił samorzutnie uzupełniać braki w oficjalnej oświacie, a podczas rekonesansowego wypadu na pola grunwaldzkiej bitwy pokazał będącym pod jego opieką małodatom zdewastowaną mogiłę niemieckich żołnierzy z pierwszej wojny, mówiąc:

– Niemcy dali tu takiego łupnia Ruskim, że aż się kurzyło!

Naturalnie „Larwa” doniosła o owych nadprogramowych zajęciach komendantowi zgrupowania. Ten wezwał Rawskiego na rozmowę i w krótkich żołnierskich słowach podziękował mu za dalszą współpracę. Obiecał jednak nie sporządzać z incydentu służbowej notatki ani raportować gdzieś wyżej.

– Wcale nie jest mi przyjemnie występować w tej roli – zwierzył się na koniec, ścisząc głos. – Sam walczyłem w powstaniu na Mokotowie, ale wie pan...

– Wiem!

Żółty wiślany piach, wioski słomiany dach – doleciał śpiew kolejnych zastępów młodzieży, ale zaraz zmiotło go echo dochodzące zza lasu: *Ten pierwszy marsz ma dziwną moc...*

– *Cóż za dziwaczne pieśni poplątanie!* – powiedział naraz cichy głos. – *Pieśń kościuszkowców od Berlinga i „Marsz Mokotowa”...*

Aleksander rozejrzał się dookoła. Nikogo jednak nie zauważył. Złudzenie jakieś, czy jak? Ostatni maruderzy znikli za wzgórzem, na drodze nie widać było żywego ducha. Pochylił się nad wodą i naraz zdało mu się, że widzi obok swojej twarzy blade lico, pokryte gęstym siwym zarostem... Wielkie nieba, trup!?

Zaszeleściły krzaki. Odwrócił się gwałtownie, aż grudy gliny uderzyły w taflę i zmały ją. Nikogo. Również, gdy woda uspokoiła się, stwierdził, iż nie ma pod powierzchnią niczyich zwłok, tylko muł, szlam... jakaś stara butelka, słowem – musiał ulec wzrokowemu omamowi. Kto wie, może dopadł go udar słoneczny, w końcu dość długo maszerował z odkrytą głową, a lipiec 1960 roku był upalny... Przywłókł się tu jednak, nie mogąc odmówić sobie obejrzenia przemarszu jego drużyny, jego chłopców z „granatowej szesnastki”. Zastanawiał się, czy chociaż jedno z ziaren prawdy, które pospiesznie wrzucał w ich umysły, kiedykolwiek zakiełkuje, i w jakiej postaci?

„Nie tak to wszystko miało być” – zabrzmiało znów cicho. Ledwie słyszalnie.

– Znam ten głos, ale skąd?

Przez moment wydało mu się, że mroczny cień przemknął wśród falujących trzcinn.

– Jest tam kto? – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Ktoś jednak najwyraźniej tam był: słyszał kroki, szmer rozchylnych traw. Pobiegnął za nimi, krętą ścieżką wzdłuż brzegu, nie przejmując się

wodą wlewającą się do butów. Tymczasem niebo pociemniało jakoś, wiatr się zerwał. Szła letnia burza? Tylko skąd, nigdzie ani ćwierć chmury?

Przyśpieszył kroku. Potem już biegł. Trzciny chłostały go po twarzy. Odczuwał strach, napięcie, gorąco dziwne, lodowatym mrozem podszyte. Serce to?

Wtem grom straszliwy rozdarł niebiosa. Chociaż – czy był to grom? Może bardziej chwilowe rozdzielenie światła od ciemności. Zatrzęsła się ziemia. A Rawski, poderwany niby skoczek narciarski, wzleciał w powietrze. Dobrą chwilę frunął w ciszy doskonałej, po czym padł twarzą w błoto...

B

– Na miłość boską, panie mecenasie, co się panu stało?

Aleksander uniósł głowę. Czyjeś ręce pomagały mu wstać. Nieduży mężczyzna o szczupłej twarzy z wąsikami postawił go na nogi, po czym zaczął otrzepywać jego przyodziewek.

– Powinien pan uważać, schodząc ze ścieżki. Mnóstwo tu rozmaitych wykrotów, resztek starych transzei, jeszcze z 44 roku. Robimy, co możemy, ale teren duży, więc ta część parku jest jeszcze ciągle nieuporządkowana. A przed paru dniami ktoś podobno widział nawet żmiję... Nic pan sobie przypadkiem nie złamał?

Aleksander zamrugał oczami, nie dowierzając temu, co widzi. Trzciny zniknęły, podobnie jezioro, natomiast ziemia, z której powstał, okazała się piaszczystym pagórkem. Dookoła wznosiły się dumne sosny. Spoza nich dobiegały dźwięki jazzowej kapeli.

– Pozwoliłem sobie pójść poszukać pana. Nie wracał pan długo. W towarzystwie zaczęli się już niepokoić – powiedział nieduży, zdejmując mu z ramion resztki igliwia – a ta młoda aktoreczka postanowiła wracać bez pana.

– Jaka aktoreczka?

– No... Pani Basia Kwiatkowska.

Puścił te słowa mimo uszu, więcej uwagi poświęcając swemu strojowi, który wprowadził go w nie mniejsze zdumienie niż otaczający pejzaż. Podczas chwilowej zapaści ktoś musiał go przebrać. Obecnie miał na sobie drogi letni garnitur, białe w delikatne prążki, w którym przypominał bardziej gangstera z amerykańskich filmów niż biednego pólkatowca z Klubu Rzemiosła. Co to za maskarada?

Poszli ścieżką, aby po kilkudziesięciu metrach przekroczyć wał piaszczystej moreny. Po drugiej stronie pagórka wznosił się piękny zajazd w stylu polskim, z mansardowym dachem krytym gontem i malowniczymi tarasami, opadającymi w stronę owalnego basenu, nad którym pod parasolami bawiło się liczne, wesołe towarzystwo.

Aleksandrowi cisnęło się na usta pytanie, gdzie się znajduje. Ale jakoś nie potrafił się zdobyć, by je wyartykułować.

Zresztą zaraz ujrzał kolorowy szyld nad wejściem: „U Delmaka – Zajazd Artystyczny”. Nic mu to nie mówiło. Dopiero przy ogrodowym wejściu na ganek stanął jak wryty na widok barwnego afisza, reklamującego „Letni Kabaret – Nowe Qui Pro Quo”.

„Coś tu jest nie w porządku” – pomyślał, oglądając fotografię artystów mających wystąpić w programie: Marian Hemar sąsiadował z Adolfem Dymszą, a Hanka Ordonówna z Ireną Kwiatkowską, przy fortepianie miał zasiąść Jerzy Petersburski, całość zaś zapowiadać Fryderyk Jarosy i Zenon Wiktorczyk...

– Cóż za niesmaczny chwyt reklamowy – mruknął do siebie – artyści PRL i emigranci z Londyniszczu mieliby wystąpić razem w jednym programie? I w dodatku podpierając się zdjęciem Ordonki, która nie żyje od lat?

– Prosimy do nas, mecenasie – z tarasu dobiegły go przyjazne głosy... Uniósł głowę.

„Ja chyba zwariowałem” – przemknęło mu i znowu poczuł zawrót głowy. Bez większego trudu poznał siedzące na rattanowych fotelikach towarzystwo, czy raczej zgromadzenie widm. Obok jak zwykle senatorsko wyglądającego Iwaszkiewicza rozsiadł się drobny, elegancki Lechoń. Ten sam Lechoń, który przed czterema laty samobójczym skokiem w Nowym Jorku położył kres swej emigracyjnej egzystencji. Fotel dalej znany antyimperialistyczny karykaturzysta Jerzy Zaruba sympatycznie przekomarzał się z „paryżaninem” Józefem Czapskim. A po drugiej stronie stolika? Obok pełnego swady Antoniego Słonimskiego siedział żywy i uśmiechnięty jego kompan ze Skamandra, współtwórca niezliczonych skeczy i szopek – Julian Tuwim. Czyste szaleństwo! Przecież Tuwim zmarł jeszcze w 1953. Rawski ponownie rzucił okiem na afisz kabaretu – jak byk stała tam data 15 lipca 1960. Gdzie więc wylądował, w zaświatach czy na planie filmowym? A może jedynie śnił...?

– Chodź tu, Sasza – zawołał na widok Rawskiego Tuwim. – Jako prawnik najlepiej rozstrzygniesz nasz spór z Antonim. Twierdzi on, że Witek Gombrowicz tylko dlatego nie przyjął ofiarowanego mu przez naród pałacu w Radziejowicach, gdyż ciągle liczy na apartament na Wawelu.

– Przesadny to optymizm w sytuacji, kiedy nacjonałiści wszelkiej maści atakują Wicia za kosmopolityzm – powiedział siedzący obok Czesława Miłosza mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w czarnym swetrze, z brodą typową dla poety-kontestatora.

– Ależ Krzysztofie Kamilu, od czasu kiedy Józio Mackiewicz został marszałkiem Senatu, niczemu w tym kraju nie należy się dziwić – powiedział Iwaszkiewicz i jeszcze raz zwrócił się do Rawskiego: – No, siadaj z nami Saszka, niestety, twoją ulubioną

sałatkę z homarów zjadł ten nienasycony Baczyński.

Aleksander już, już zamierzał się przysiąść, kiedy ponownie ujrzał upiora. Twarz widziana w wodzie pojawiła się tym razem nad jałowcowym żywopłotem tuż nad głową Lechonia. Posepny staruch, nie przestając wpatrywać się w Rawskiego, powoli zaczął przesuwać się w kierunku żywopłotowej pergoli. Było w nim coś przerażającego i znajomego zarazem. Najdziwniejsze, że nikt z biesiadników w ogóle go nie zauważał.

– Zaraz, dokąd pan idzie, mecenasie? – Miłosz zauważył rejteradę prawnika.

– Przepraszam, za chwilę wrócę... – Aleksander szybko zbiegł po schodkach w stronę baru, skrytego w cienistej altanie, jakby stojący tam „nieduży z wąsikiem” mógł udzielić mu pomocy. Powróciły poprzednie zawroty głowy i dreszcze. Jednak gdy się odwrócił, po widmie nie było nawet śladu. Kolejny omam?

– Źle się pan czuje, a może mogę coś zaproponować? – ożywił się na jego widok „nieduży”. – Odrobinę koniaku albo wódeczkę z coca-colą...?

Zgodził się na wódeczkę i po chwili pił rozcieńczonego drinka o nieznanym dotąd smaku... Już pierwszy łyk alkoholu przyniósł natychmiastową ulgę. Dygot minął.

– Szkoda, że pani Basia nie zaczekała na pana, ale tak już jest z kobietami – gospodarz wydawał się dosyć gadatliwy. – Czasem mam wrażenie, że w celu ochrony wszyscy mężczyźni powinni odziewać się w półpancerze praktyczne.

Dziwaczny termin obudził Rawskiego z zamyślenia.

– Bardzo przepraszam, czy my się dobrze znamy? – spytał. – Przez ten upał mam ogromne problemy z pamięcią. Nie rozpoznaję ludzi.

Zapytany lekko się zmieszał.

– Widujemy się przynajmniej raz w tygodniu – rzekł – ale staram się nie rzucać w oczy, kiedy nie jestem potrzebny. Na wakacje zaangażowałem się tu w charakterze swego *maître d'hôtel*... Ale poza tym widywaliśmy się już nieraz na premierach, wernisażach... Trochę pisuję do prasy i dla kabaretów.

– To interesujące – wykazał życzliwą ciekawość Aleksander.

– Ale jakie trudne! Człowiek, nawet tak zdolny jak ja, ma dziś ogromne trudności, aby się przebić. Wszędzie królują wielcy, utytułowani i dobrze urodzeni. Mamy nadprodukcję geniuszów, w związku z tym decyduje potęga układów. Jeden mój przyjaciel, Jeremi – spiker radiowy, też zapoznany twórca – mawia przy takich okazjach, że żyjemy w jednym wielkim teatrze absurdu.

– Nietrudno się zgodzić z tą opinią, panie...

– Pardon, rozumiem, że moje skromne nazwisko nie utrzymało się w pańskiej pamięci – *maître* wykonał komiczny ukłon – Mrozek, Sławomir Mrozek.

– Autor „Tanga”? – instynktownie zareagował Rawski.

Wąsiki niespełnionego literata drgnęły.

– Tanga? – wydawał się nieco zaskoczony. – Nigdy nie napisałem utworu pod takim tytułem. Owszem, naszkicowałem kiedyś jednoaktówkę „Walczyk”, ale w Ateneum nie kupili, a Teatr Mały akurat splajtował.

Aleksander zamówił jeszcze jednego drinka i pociągnął kierownika lokalu głębiej w cień ażurowego dachu, uginającego się pod ciężarem dojrzewających winogron.

– Czy nie ma pan wrażenia, że coś ostatnio się stało? – zapytał. – Osobiście czuję się tak, jakby nic nie było na swoim miejscu.

– Ależ, proszę pana, codziennie odnoszę takie wrażenie – uśmiechnął się *maître*. – Z tym, że nic z tego nie wynika. Przynajmniej dla mnie. Pozostaje tylko marzyć, że pewnego dnia objawi się jakiś agent literacki rodem z amerykańskiej bajki lub wielki mecenas sztuki...

Czując, że to ostatnie zdanie zostało skierowane pod jego adresem, Aleksander ujął młodego autora pod ramię.

– Sądzi pan, że mógłbym coś dla pana zrobić...?

– Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł podrzucić panu do biura parę moich opowiadań, od pewnego czasu noszę się z wydaniem własnym sumptem zbiorku...

– Chętnie przeczytam – machinalnie sięgnął do kieszonki i ku swemu zaskoczeniu wyjął stamtąd wizytówkę – dziś jednak powinienem już lecieć.

– Wezwać taksówkę czy nasz kierowca ma podrzucić pana do stacji metra?

– Metra? – zdziwił się prawnik, ale szybko dodał: – Tak, naturalnie, pojedę metrem.

Zaraz zajechał piękny chevrolet cabrio, prowadzony przez okrągłogętego chłopaka w liberii, którego śniada cera i wystające kości policzkowe wskazywały na pochodzenie tatarskie, może kaukaskie.

– Sergo, zawieziesz pana mecenasa na stację Wawer!

Rawski sięgnął do kieszeni, mając nadzieję, że znajdzie tam jakiś portfel i zdoła uregulować rachunek, ale Mrozek tylko uniósł ręce.

– Ależ nie trzeba. Przecież ma pan u nas otwarte konto.

Kabriolet ruszył leśną alejką, która rychło zmieniła się w cienistą uliczkę, z obu stron otoczoną pysznymi rezydencjami i starymi, ale pięknie zakonserwowanymi drewniakami w stylu nadświdrzańskim.

W trakcie drogi mecenas skrupulatnie przetrząsnął kieszenie. Znalazł w nich jakieś klucze, książeczkę czekową Banku Krajowego „Korona”, prawo jazdy na własne nazwisko oraz kilkanaście dziwnych banknotów z Chrobrym, królową Jadwigą, Batorym... Nie wiedział nawet, czy dużo to, czy mało. Na koniec jeszcze raz przyjrzał się wizytówce:

„Kancelaria Adwokacka – Rawski, Smith i Lasalle – Hilton Tower Plaza 9303, Warszawa, Nalewki 13”. No, nieźle!

Jego precyzyjny prawniczy umysł wzdragał się przed wiarą w cuda. Jak jednak miał interpretować to, co widział? Ową literacką biesiadę widm, Anin niczym z prospektu turystycznego, tę ulicę bardziej pasującą do Szwajcarii niż do zapyziałego podwarszawskiego przedmieścia...? Czy mógł być to sen na jawie? A jeśli nie był to sen – to co?

Stacja Wawer okazała się lekkim szklanym pawilonem w kształcie pękatej przezroczystej ryby. Zewsząd otaczało ją mnóstwo małych sklepików i kiosków z gazetami. Natychmiast nabył „Gazetę Warszawską” i polskie wydanie magazynu „Time”.

W kasie zapytał o Hilton Tower Plaza.

– Przesiadka na Wschodniej – odparła dziewczyna, uczesana w piękny, złocisty koński ogon. – Proszę zapamiętać: linia C. Wsiądzie pan na trzecim przystanku, licząc od Dworca Wileńskiego.

Sprawdził to na kolorowym schemacie. Wileński, Zoo, Stare Miasto, plac Churchilla... Zapamiętał.

Po krótkiej chwili oczekiwania w wykopie, oddzielnym od willowych dzielnic dźwiękoszczelnymi ścianami, nadjechał krótki skład schludnych czerwono-zielonych wagoników – teraz, wczesnym popołudniem, prawie pusty.

„Drzwi się zamykają, następna stacja Goławek” – zabrzmiał srebrzysty głosik.

Rozwinął gazetę. Przez całą pierwszą kolumnę biegł tytuł: „Kryzys związany z konfliktem pomiędzy frakcjami parlamentarnymi Pużaka i Mikołajczyka zażegnany. Na swoim ostatnim przedwakacyjnym posiedzeniu parlament Rzeczypospolitej w obecności prezydenta Władysława Andersa przyjął desygnację Jana Nowaka-Jeziorańskiego na premiera RP...” Poniżej anonsowano obszerny reportaż z frontu dalekowschodniego. Po raz kolejny wojskom Republiki Syberyjskiej udało się wyprzeć Japończyków z Irkucka. Rawski z najwyższym zdumieniem przyglądał włosy, które nie wiedzieć czemu wydały mu się wyjątkowo gęste i obfite. Obróciwszy gazetę, zerknął na ostatnią stronę. Czerwieniała tam radosna wiadomość: Staszek Królak zwyciężał na kolejnym etapie kolarskiego Tour de France!

W moim świecie mógł wygrać najwyższy Wyścig Pokoju. Do diaska – co to wszystko miało oznaczać?

A potem znów go zobaczył i usłyszał. Od strony elektrowozu w jego stronę posuwał się kulawy osobnik w złachmanionej lotniczej kurtce, potrząsający blaszaną puszką, w której kołatały się jakieś moniaki. Na piersi nosił tabliczkę: „Co łaska na ofiarę wilczego kapitalizmu”. Zwyczajny żebrak! Prawnik uśmiechnął się. Co za głupota, bał się jakiegoś... Łaskawie sięgnął do kieszeni, zamierzając rzucić mu jakiś datek, kiedy nagle pojawił się konduktor z osiłkiem w bluzie z napisem „Służba Ochrony Kolei” i błyskawicznie zagrodzili drogę biedakowi. Rawski zamierzał

zaprotestować, ale powstrzymała go jakaś niewiasta w czerni.

– Pozwolić im żebrać, andrusować, zanieczyszczać wagony, a wszyscy znajdziemy się w sytuacji tych za Zbruczem – gderała.

Żebzak zresztą nie wymagał specjalnej interwencji. Pełnym godności gestem powstrzymał mundurowych i dumnie o własnych siłach wysiadł na Olszynie Grochowskiej. Potem jednak nieomal przywarł twarzą do szyby wagonu, jego usta poruszały się na podobieństwo rybiego pyska, wypluwając bezgłośnie słowa: „Może być inaczej, może być”. I znów mecenas doznał dotknięcia zimnego łąpska strachu.

Tymczasem pejzaż za oknem upodobił się do tego, jaki Aleksander znał do wczoraj. Mijali fabryki, lokomotywnie, górki rozrządowe, jakieś baraki. Ta okolica nie przypominała żadnych dekoracji, chociaż kiedy przemknęli wiaduktem ponad szeroką autostradą przecinającą Pragę, znów poczuł się jak w krainie iluzji. Tymczasem z wysokości nasypu otworzyła się przez moment szeroka panorama Warszawy, niebo kłuło kilkanaście drapaczy chmur wielokroć wyższych niż przedwojenny Prudential, jednocześnie zadziwił brak w tym towarzystwie charakterystycznej sylwetki Pałacu Kultury. Paskudnej bo paskudnej, ale zadomowionej w pejzażu od lat.

Nowy Dworzec Wschodni leżał w środku olbrzymiego kompleksu handlowego, ciągnącego się na wielu kondygnacjach od ulicy Zamoyskiego po Radzymińską. Wzdłuż całej ulicy Brzeskiej i dalej, aż do Dworca Wileńskiego, biegł ruchomy chodnik z częstymi wyjściami, wiodącymi do licznych hal targowych.

W tym szerokim tunelu obok ruchomego chodnika najbardziej zaskoczyła Aleksandra mnogość cudzoziemców i kramów z azjatycką tandetą. Sprzedający bakalie Ormianin sąsiadował z brodatym Uzbekiem, zachwalającym łamaną polszczyzną swe dywany, tuż obok z tureckiego bistra zalatywało smażoną baraniną, a dwie dość jaskrawo umalowane „mołodycie” ofiarowały drewniane matroszki, dając wzrokiem i gestami do zrozumienia, iż nie jest to jedyny towar, jakim kupczą.

Skąd się to tu wszystko wzięło, na miłość Boską?

Jeszcze raz sprawdził datę w gazecie. Jak byk stał tam rok 1960. Nie przespał epoki, nie podróżował w przyszłość ani w przeszłość! Co więc mu się mogło przydarzyć? Nikt z tłumu podążającego ruchomymi chodnikami czy kręcącego się wokół podziemnych bistro, sklepów i salonów gier nie sprawiał wrażenia dopiero co obudzonego w nowej rzeczywistości.

Zaskoczenie było zatem wyłącznie jego udziałem. Dlaczego właśnie on? Naraz zdjął go strach, że może właśnie dopiero teraz się przebudził, a całe dotychczasowe życie, lub przynajmniej jego poważny wycinek, był snem. Tylko czy powinien tego żałować?

Idąc za żółtymi strzałkami, odnalazł peron linii C (Targówek – Bemowo). Ledwie

po minucie oczekiwania nadjechały sympatyczne, wygodne wagoniki.

(„A tyle lat władza przekonywała, że budowa metra w Warszawie jest niemożliwa, nieopłacalna i niepotrzebna”.) Wsiadł na stacji Plac Churchilla i na kolorowym planie sytuacyjnym oprócz kierunków – Synagoga, Arsenał, Pałac Mostowskich, Hotel Saski – znalazł wskazówkę, po której stronie ma szukać kompleksu Hilton Tower Plaza. Zielone strzałki wyprowadziły go wprost na pasaż Nalewki, którym skierował się na zachód.

Sklepy były tu znacznie wykwintniejsze niż na Pradze, a służby porządkowe dbały, by nie kręcili się bezdomni ani pokątni handlarze. Jednak w pewnym momencie w witrynie sklepu z futrami ujrzał odległą postać utykającego żebraka, który widząc, że Rawski się odwraca, uskoczył za filar.

– Węszy za mną, czy jak? A może powinienem z nim porozmawiać? Tylu tu policjantów i strażników, więc chyba nic mi nie grozi. Zawrócił zatem, lecz kiedy okrążył filar, żebrak już zniknął.

Aleksander wzruszył ramionami i poprzez automatycznie rozsuwane drzwi wszedł do podziemi gmachu Hiltona. Tam wmieszał się w tłumek zgęstniały przy wejściu do wind. Liczebnie przeważała w nim wycieczka młodzieży w mundurkach z tarczami ozdobionymi „lajkonikiem” – dorodni chłopcy, dziewczyny jak malowanie, acz skromne i spokojne jakieś – krakusiki w stolicy. „Jadę z nimi” – pomyślał i bez wahania dołączył do grupy. Przewodniczka, smągła i czarnobrewa, zaciągająca z lekka śpiewnym akcentem kresowianki, przedstawiała podstawowe informacje przed wyruszeniem na taras widokowy.

– Jak wiecie – mówiła – znajdujemy się na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej, jedynej części Warszawy w pełni zrównanej z ziemią przez niemieckiego okupanta po powstaniu w kwietniu 1943 roku. Opowiadałam wam o tym podczas zwiedzania synagogi na Tłomackiem. Już pod koniec roku 1944 prezydent Stefan Starzyński zaraz po swym powrocie z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen postanowił, że właśnie ten teren stanie się centrum Nowej Warszawy. Dziś powiedzielibyśmy: warszawskim *downtown*. Wkrótce rząd powołał specjalnego pełnomocnika do spraw odbudowy i przebudowy – ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego.

– Wicepremiera Kwiatkowskiego? – wtrącił się nastolatek w drucianych okularkach, na oko dziesięciodioptryowych. – Tego, którego dzisiaj ludowcy i populiści atakują podczas każdej demonstracji, wołając: „Pan Kwiatkowski musi odejść”?

– Tego samego. Jednak wówczas, świeżo po skończonej wojnie, panował nastrój powszechnej zgody, zapału i odbudowy. Nadto od 1947 roku dołączyło poczucie, że mamy historyczną szansę stać się regionalnym mocarstwem.

„Dlaczego od 1947?” – miał ochotę zapytać Rawski, jednak komenda: „Uwaga,

wysiadamy!”, skłoniła go, by ruszył w ślad za wycieczką.

Nakryty szklaną kopułą taras, mocno nasłoneczniony, a zarazem chłodny dzięki doskonale działającej klimatyzacji, stanowił fantastyczny punkt widokowy. Widać było stąd całe miasto od Młocin po Wilanów i od zielonego grzebienia Puszczy Kampinoskiej po lasy Anina i Starej Miłosny. Wprawdzie powietrze rozrzedzone od popołudniowego upału drżało nieco, jednak widoczność była całkiem niezła.

Przewodniczka opowiedziała najpierw o *downtown*, położonym na terenach dawnego getta. Dominowały tu wśród wieżowców, oprócz Hiltona, w którym się znajdowali, 115-piętrowy gmach General Motors Tower im. prezydenta McCarthy’ego, rywalizujący o prymat pierwszeństwa z nie mniejszą, pokrytą jeszcze pajęczyną rusztowań owalną wieżą Manhattan Chase Bank czy też usadowioną bliżej pałacu Mostowskich i utrzymaną w manierze neobaroku przysadzistą bryłą Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Lithuania”. Rawski na moment przymknął oczy i przypomniał sobie obraz tej dzielnicy przed laty, gęsto zabudowanych uliczek, pełnej strzałów i ognia. Przypomniał sobie dni, kiedy płonęło getto, Armia Krajowa podejmowała rozpaczliwe próby pomocy, przerzucając tyle broni, ile się da, a opodal muru kręciła się karuzela dla hołoty. Z dalszych wspomnień przypominał sobie jedynie morze gruzów, które tylekroć przemierzał w czasach powojennych, jadąc tramwajem trasą N-S do kuzynostwa na Żoliborz.

W dalszej kolejności wykład, którego słuchał jednym uchem, dotyczył widocznej w dali Cytadeli i poddawanego intensywnej renowacji zespołu Starego Miasta.

O wiele bardziej zafrapowało go analizowanie zmian. Czym ta Warszawa różniła się od tej, w której przeżył swój wiek męski – wiek klęski? Obok wysokościowców Muranowa i zachowanej w większości secesyjnej zabudowy z przełomu wieków w Śródmieściu, szczególnie przykuwały jego wzrok śmiałe rozwiązania komunikacyjne.

Podziwiał ośmiopasmową autostradę, biegnącą dawną ulicą Marchlewskiego – dziś generała Sosnkowskiego – i wielopiętrowy węzeł z nową trasą W-Z (aktualnie Solidarności Międzynarodowej), która zniknęła w tunelu już na wysokości gmachu Sądów na Lesznie, by wynurzyć się dopiero nad Wisłą i połączyć z zachowanym wiaduktem Panzera, spływającym Nowym Zjazdem z placu Zamkowego. Doliczył się co najmniej czterech nowych mostów, a na horyzoncie zauważył krąg miejskiej obwodnicy. Momentami czuł się, jakby frunął nad miastem, będącym syntezą nowoczesności i międzywojnia, bez najmniejszych śladów PRL... Miłe to było wrażenie!

Naraz jednak poczuł znów dziwne łomotanie w piersi, zimny pot na twarzy i karku, wreszcie szept cichy, być może dochodzący z środka głowy: „Może tak być, naprawdę może tak być!”

Przez chwilę stał z przymkniętymi oczyma, gorączkowo łapiąc powietrze.

– Czy coś się panu stało? – zagadnęła go po angielsku hebanowa Murzynka z przewodnikiem Pascala w ręku, najwyraźniej amerykańska turystka.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

Zorientował się, że szkolna wycieczka gdzieś odpłynęła. Zdumiewający świat za szybą nie uległ jednak najmniejszej zmianie. Z obawą, ale i z nadzieją postanowił zajrzeć do swojej kancelarii, anonsowanej na wizytówce. Może tam przypomni sobie wszystko i odzyska jaką taką równowagę.

Siedem pięter niżej korytarz, wyłożony dębową okładziną, doprowadził go do oszklonych drzwi z fantazyjnym napisem „Kancelaria Adwokacka – Rawski, Smith i Lasalle”. – Zadzwoił.

Natychmiast pojawiła się śliczna dziewczyna, smukła jak topola, której rysy zdradzały domieszkę krwi kaukaskiej.

– Wrócił pan? – zapytała melodyjnie i w mgnieniu oka jej zdumienie przeszło w stan łagodnej adoracji, a może i czegoś więcej. Nie miał pojęcia, co wypadało zrobić – podać jej rękę, czy cmoknąć w policzek?

Dziewczyna rozwiązała jego problemy szybciej, niż myślał. Przez sekretariat, w którym siedziała druga, nieco starsza sekretarka i młody, postawny asystent o gęstych brwiach, wprowadziła go do gabinetu umeblowanego starymi szafami gdańskimi i ozdobionego portretami paru słynniejszych Rawskich, które przecież co do jednego spleoneły w ich mieszkaniu w sierpniu 1944.

Zamknawszy drzwi od wewnątrz, przyłgnęła do niego gwałtownie, cała drżąca. Jej usta pochwyliły jego wargi i na moment zwarli się w upajającym pocałunku.

Była fascynująca, młoda i smaczna. Rawski, choć zadowolony – któżby w takiej sytuacji nie był – nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Czy coś nie tak? – zapytała, zauważając natychmiast odmienność zachowania pryncypała. – Coś się stało? Miałeś zostać w Aninie do niedzieli.

– Przypomniało mi się parę spraw – skłamał niezbyt udatnie. – Poza tym te upały, trochę źle się czuję.

– Zadzwoń do doktora Ranowicza... A może... – tu otworzyła drzwi pokoju rekreacyjnego. – Może wykąpiesz się, a potem zrobię ci masaż?

– Nie, nie. Dziękuję. Zostaw mnie na chwilę samego – odpowiedział, starając się zachować spokój.

Drzwi zamknęły się. Podeszedł do biurka, pięknego biedermeierowskiego sprzętu, bogato rzeźbionego, wspartego na nóżkach w kształcie lwich łap, i szybko zlustrował jego wyposażenie. W oczy rzucał się brak zdjęcia żony, opodal lampy stał jedynie portrecik rodziców z lat trzydziestych, co wskazywało, że również w TYM świecie Rawski nie jest żonaty, a może, co równie prawdopodobne – rozwiedziony...

Nie wiedząc nic o swoim aktualnym statusie, skazany był na dedukcję.

Usiadł w fotelu i dłuższą chwilę wpatrywał się w biurko, w telefon, w papiery, gruby terminarz. Obok na srebrnej paterze leżało kilkanaście zaproszeń: Piknik Kawalerów Maltańskich, Letnia Feta Dobroczyzna u prezydenta Rzeczypospolitej w Spale, konferencja Towarzystwa „Prawnicy bez Granic” w Hawanie na Kubie... Przekartkował w terminarzu ostatnie miesiące, maj i czerwiec – spotkania, wizyty, procesy. Sprawy, o których nie miał pojęcia. Ludzie, których nigdy by nie rozpoznał... I pojawiające się, przeważnie pod koniec dziennych notatek, opatrzone zazwyczaj kropkami lub wykrzyknikami imię „Basia”.

Ale widniały tam, i to dość często, inne imiona. A cały czas, przynajmniej dwa razy w tygodniu, utrzymywało się w lewym górnym rogu „N”, obwiedzione kółeczkiem.

– Nataszka – powiedział naraz sam do siebie. – Naturalnie, sekretarka ma na imię Natasza.

Przez ułamek sekundy, chwilę krótszą niż mgnienie, zablokowana pamięć uchyliła się na podobieństwo kurtyny czy raczej kłębowiska chmur na burzliwym niebie. W naglej wizji ujrzał chudą, nieforemną i śmiertelnie przerażoną dziewczynkę, siedmio-, może ośmioletnią, zbierającą łupy ziemniaczane na śmietniku opodal obozu dla uchodźców pod ukraińskim Czarnobyłem. Z brudnej twarzy pod skołtunionymi włosami wyzierały ogromne oczy, w których przestkach mieszał się z wyczekiwaniem, co może spotkać ją, sierotę, ze strony oficera Polskiej Misji Rozjemczej...

Jak dawno mogło mieć to miejsce? Przed dwunastu laty, może przed dziesięciu?

Rozległo się pukanie. Śliczna twarz sekretarki ponownie pojawiła się w drzwiach.

– Przynieśli chińszczyznę z „Kantonu” – zje pan obiad? – zapytała.

– Dziękuję, może później.

Postanowił wziąć kąpiel, mając nadzieję, że gorąca woda i aromatyczna piana uspokoją jego rozedrgane nerwy. Rozbierając się, podszedł do lustra. Wydał się sobie znacznie młodszy, bardziej umięśniony, zmniejszył się brzuszek, prawie zupełnie znikły zakola dotąd z roku na rok powiększającej się łysiny. Jednak niewątpliwie było to jego ciało: pieprzyk na policzku, mała blizna na brodzie – pamiątka po chłopięcej zabawie w kapitana Blooda... Ale dalej... Cholera! Dotknął piersi. Skóra wszędzie była gładka, ani śladu po zdradzieckim strzale snajpera w czwartym dniu powstania, który o milimetry chybił serce. Natomiast z boku... Skąd wzięła się ta szeroka, paskudna blizna na żebrach? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Spróbował się odprężyć i wszedł do wanny. Kiedy przymknął oczy, wypłynęły obrazy nie przynależące do żadnych znanych wspomnień. Jakaś noc bezksiężycowa, reflektory, strzelanina... Potężne zastrzyki adrenaliny. Powstanie? Nie, to nie było powstanie. Ujrzał las pełen pożółkłych liści, domki drewniane, brudne, bez szyb, wzdęte trupy końskie i maszerujące kolumny jeńców w czapkach z czerwonymi

gwiazdami... Niektóre z nich zostały pozrywane.

– Co się ze mną dzieje?

Na półce w nogach wanny stał telewizor znacznie większy niż toporny „Belweder” z jego kawalerki. Włączył go. Na pierwszym kanale szedł dla dzieci „Klub Myszki Miki” Disneya, na drugim dwie blondynki bliźniaczki reklamowały proszki do prania, trzeci był po ukraińsku... Ciekawe!

Wrócił do gabinetu i skierował się ku biblioteczce. Dłuższą chwilę szukał w niej encyklopedii lub przynajmniej informatora mogącego powiedzieć coś więcej o świecie, w jakim się znalazł. Niestety, stały tam jedynie kodeksy, orzeczenia Sądu Najwyższego, parę kolorowych albumów, dwa herbarze i książka telefoniczna. Wtem, mimo zamkniętych drzwi, doszedł go jakiś rejwach z sekretariatu.

– Powiedziała już, pana mecenasa dzisiaj nie ma! – tłumaczyła podniesionym głosem Nataszka, a wspierał ją tubalnym basem asystent.

– Głupią ze mnie robicie, czy jak? – irytowała się jakaś starsza, sądząc po głosie, kobieta. – Przecież widziałam, jak pan Rawski wchodzi do biura!

– Ale dzisiaj nikogo nie przyjmuje. Może znajdziemy jakiś termin w przyszłym tygodniu.

Aleksander otworzył drzwi.

– O co chodzi? – zapytał.

– To znowu ja. – Niemłoda już, niska niewiasta o wyrazistych rysach, zwróciła się w jego stronę. – W panu moja ostatnia nadzieja, panie mecenasie... – nerwowo obracała w rękach staromodną torebkę, jakby nie wiedziała, co z nią uczynić. – Mój mąż odsiedział już prawie piętnaście lat. Jest schorowany, bliski załamania nerwowego. Najjaśniejsza Rzeczpospolita powinna okazać mu swoją wielkoduszność. Tyłu innych sądzonych przez Trybunał Narodowy dawno wyszło na wolność.

Rawski westchnął i spojrział w stronę swego asystenta. Ten złapał w lot intencje pryncypała.

– Nie jesteśmy cudotwórcami, szanowna pani – powiedział i dorzucił jakby dla potwierdzenia owego sformułowania – oczywiście.

– Ale nie znacie nawet szczegółów mojej sprawy?

– Znamy je doskonale z pani pism oraz z prasy – asystent niechętnie wyciągnął z szafy skoroszyt pełen listów i wycinków. – Nic się tu nie da zrobić, ustawodawca stwierdził wyraźnie, i potwierdzają to ostatnie orzeczenia w sprawie grupy Wasilewskiej-Berlinga: o warunkowe zwolnienie można się ubiegać dopiero po połowie odbytej kary.

– Ale Władysław jest poważnie chory...

– Naprawdę pani współczujemy. Proszę jednak nie zapominać, że podczas pierwszej rozprawy prowadzonej przez sędziego Stypułkowskiego skazano pani

małżonka na karę śmierci. Zarzuty były doskonale udokumentowane – udział i współtworzenie przestępczej organizacji, kolaboracja z wrogiem zewnętrznym, planowanie ustanowienia w kraju antynarodowego reżimu, inspiracja skrytobójczych mordów we własnych szeregach. Na szczęście dla pani męża w porę przyszedł był akt łaski i karę śmierci zamieniono na dożywocie, potem po amnestii z okazji X-lecia na wniosek ministra Fieldorfa karę skrócono do 40 lat... W tej sytuacji o warunkowe zwolnienie będziemy mogli wystąpić po odbyciu połowy kary, *ergo* najwcześniej za pięć lat.

– Można zobaczyć te akta? – odezwał się Aleksander. – Asystent zamilkł, a kobieta wysupłała z torebki zwój papierów. Rawskiemu wystarczyło jedno spojrzenie. Jego potencjalny klient nazywał się Władysław Gomułka i w świecie, w którym żył do dziś rana, był wszechwładnym pierwszym sekretarzem PZPR, partii rządzącej Polską Rzeczpospolitą Ludową.

– Nie mogę niczego obiecać – rzekł łagodnie i odwrócił się do asystenta. – Chyba jednak należałoby zbadać wszystkie precedensy, również w państwach ościennych, w Czechach, Bułgarii. Na Węgrzech i w Rumunii, jak pani wie, wyroki śmierci zostały wykonane... („Skąd, do cholery, o tym wiem?”) I proszę się w tej sprawie kontaktować z kolegą, z kolegą... Utkwił wzrok w identyfikatorze swego asystenta – z kolegą Janem Olszewskim...

Pożegnawszy Zofię Gomułkową, wrócił do gabinetu, odnalazł barek i nalał sobie setkę wódki. Golnął bez popijania.

Podszedł do biblioteczki i otworzył boczną szafkę; leżało tam kilka pudełek z taśmą filmową. Na jednej zauważył naklejkę. „Prawdziwy koniec Wielkiej Wojny”. Przez chwilę szukał projektora.

– Możesz mi to uruchomić? – zapytał, wezwawszy Nataszkę.

Z jej spojrzenia wyczytał, że normalnie on sam musiał obsługiwać maszynę.

– Chce pan jeszcze raz obejrzeć ten stary montaż? – zapytała zdziwiona. – Oglądaliśmy to tyle razy.

– Muszę coś sprawdzić i proszę mi nie przeszkadzać – powiedział sucho.

Bez słowa zasunęła rolety i puściła projektor w ruch. Czekwała chwilę, jakby pewna, że poprosi, aby oglądali film wspólnie. Nie poprosił, więc wyszła.

C

Najpierw pojawił się Winston Churchill. Jego zatrzymana w stop-klatce, rozpromieniona twarz wypełniała cały ekran. Równocześnie niewidzialna ręka nakreśliła śmiałymi czerwonymi literami, przypominającymi sylwetki maszerujących

ludzi, napis: „KULISY HISTORII NAJNOWSZEJ”. Poniżej nieco mniejszymi literkami wyświetliła się informacja, iż „Film powstał na zamówienie Ministerstwa Oświecenia Publicznego”. Czołówkę podsumowało zagadkowe motto, wyjęte, jak się miało okazać, z przemówienia Churchilla: „Nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele jednemu człowiekowi”.

Szeroki plan Trafalgar Square przecięła szybka przebitka na grupkę polskich kombatantów, skupionych wokół kolumny Nelsona. Galeria twarzy młodych i starszych, ze szramami blizn bitewnych, spalonych słońcem pustyni, wysmaganych wiatrami norweskich fiordów, ówdzie ozdobionych wąsem zadziornym. Rozmaitość uniformów była ogromna, od rogatywek po francuskie kepi czy berety spadochroniarzy. Nagle kamera, umieszczona gdzieś wysoko, może na pokładzie śmigłowca, ruszyła. Omiotła szerokim łukiem wiwatujący tłum na placu, gwałtownie najechała na zniszczony gmach Parlamentu i otulone jeszcze zabezpieczającymi szalunkami mury opactwa westminsterskiego, a potem wróciła ku trybunie i znów centrum jej zainteresowania stał się brytyjski premier, przemawiający na historycznym placu do rozentuzjasmowanych rzesz londyńczyków:

„Rodacy! – mówił. – Ta wojna, najstraszliwsza z wojen w Europie, dobiegła kresu. Upływa miesiąc od pamiętnego 20 lipca, dnia, w którym grupa najlepszych synów Niemiec dokonała zamachu na zbrodniarza wszech czasów – Adolfa Hitlera! Zamachu uwieńczonego powodzeniem”.

Teraz pojawiły się zdjęcia lotnicze Wilczego Szańca, a później betonowego bunkra, który stał się grobem Führera, Keitla, Jodla i reszty hitlerowskiego sztabu. Przemówienie premiera Wielkiej Brytanii zastąpił tekst wypowiedziany głosem męskim i wyjątkowo radiogenicznym przez polskiego komentatora:

„Teczka, podłożona przez pułkownika, późniejszego generała von Stauffenberga, spełniła swoje zadanie. Zwłaszcza że sprzysiężenie, które zespoliło arystokratów z Krzyżowej i przeciwne szaleństwu wojny totalnej duchowieństwo z realistycznie nastawioną częścią Wehrmachtu, wspartego kadrami Abwehry, dowodzonej przez admirała Canarisa, dokonało w Berlinie antyfaszystowskiego przewrotu”.

Głos uzupełnił natychmiast obrazek wojskowego posterunku przed Reichstagem, który płynnie przeszedł w film przedstawiający wojskowych sanitariuszy, wynoszących z pokrytego siatką maskowniczą bunkra szczątki ciał w workach i układających je na stołach wśród mazurskich sosen.

„Jak zgodnie twierdzi wielu historyków, śmierć Hitlera i jego paladynów nie musiała oznaczać automatycznie sukcesu Nowych Niemiec i końca faszystowskiego koszmaru. W samym Berlinie powodzenie operacji «Walkiria», zaczętej dość ślamazarnie, przez dobrych kilka godzin wisiało na włosku. Tym bardziej, że w stolicy Rzeszy pozostawał najinteligentniejszy z nazistowskich przywódców, doktor Joseph

Goebbels – mistrz propagandy, żywiący niezachwiane przekonanie, że jeszcze raz jego oręż kłamstwa zdoła powstrzymać nieuchronny bieg wydarzeń. Oddajmy głos naocznemu uczestnikowi tych dramatycznych godzin i dni”.

Teraz akcja przeniosła się do studia architektonicznego, pełnego modeli nigdy niezbudowanych gmachów i rzeźb, obrazujących germańską tężyźnię. Za biurkiem siedział dystyngowany dżentelmen, przemawiający ze swadą, jakby chodziło o przebieg nowego konkursu urbanistycznego. Na dole ekranu ukazał się podpis: Albert Speer.

– Można rzec – przypadek rozdzielił role – zaczął spokojnie były minister uzbrojenia i amunicji, a zarazem szef Organizacji Todta. – Owego dnia generał pułkownik Fromm zaprosił mnie w imieniu swego szefa, von Stauffenberga, na obiad w siedzibie Ministerstwa Wojny. Odmówiłem, mając wcześniejsze zaproszenie doktora Goebbelsa do wygłoszenia referatu, dotyczącego wzmożonego wysiłku zbrojeniowego w tej fazie wojny. Wykład rozpocząłem o godzinie jedenastej w reprezentacyjnej sali Ministerstwa Propagandy. Po jego wygłoszeniu, nie mając jeszcze pojęcia o zamachu pod Kętrzynem, Goebbels zabrał mnie i ministra gospodarki Waltera Funka do swego gabinetu...

Dalszą sekwencję przedstawiono metodą paradokumentalną. W rolach hitlerowskich prominentów występowali doskonale dobrani aktorzy.

Na tle starannie odtworzonego gabinetu Speer, młodszy i szczuplejszy niż prawdziwy, opowiadał swym kolegom o posunięciach, mających zwiększyć możliwości mobilizacyjne kraju, gdy naraz zachrypiał mały głośnik, stojący na biurku Goebbelsa.

„Kwatera Główna wzywa pilnie pana ministra. Przy telefonie doktor Dietrich”.

Szef propagandy zmarszczył brwi.

– Proszę przełączyć na mój gabinet – rzekł. Szybko podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. – Doktor Dietrich? Tak. Tu Goebbels... Co? Zamach na Führera... Gdzie? W bunkrze. Przecież mieli obradować w baraku Speera? A Führer...?

Słuchał milcząco. Następnie opadł ciężko na fotel, kadr zwęził się do jego rozlatanych oczu. Potem chwilę uwagi poświęcono twarzom Speera i Funka, spoglądających na siebie z niedowierzaniem. Jednak przerażenie Goebbelsa trwało bardzo krótko. Opanował się i tylko lekko przyspieszony głos oraz krótkie, urywane frazy mogły świadczyć o jego emocjach:

– Zajmę się wszystkim. Nikomu ani słowa! Powiedzcie, co z innymi...? Tak, tak. Dobrze. Czy macie jakieś podejrzenia? Rozumiem. Oczywiście... Jak tylko będzie to możliwe, chciałbym porozmawiać z Reichsführerem. Poza tym należy przerwać wszelkie inne połączenia. Tak, z frontem też!

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do swoich gości.

– Adolf Hitler został ciężko ranny w pańskim baraku, Speer – rzekł.

Na czole ministra pojawiły się grube krople potu.

– Żyje? – zapytał Funk.

Doktor Goebbels nie udzielił odpowiedzi.

– Himmler sądzi, że musiał dokonać tego któryś z cudzoziemskich robotników Organizacji Todta, pracujących tam ostatnio – rzekł, patrząc gdzieś ponad ich głowami.

– Pytam, czy Führer żyje? – powtórzył Funk.

– Führer będzie żył wiecznie! – odparł po dłuższej pauzie wielki manipulator. – Mamy mnóstwo do zrobienia, panowie. Przede wszystkim nie możemy dopuścić do wybuchu paniki w mieście czy rozprzężenia w siłach zbrojnych. Himmler i Göring dolecą do Berlina tak szybko, jak tylko będą mogli. W nocy zrobimy spotkanie kierownictwa, u mnie. Do tego czasu ani słowa nikomu. Jeśli pojawią się jakieś plotki, twardo utrzymujemy, że Führer został ranny...

– Wyszedłem z pustką w głowie – kontynuował swoją narrację Speer. – Nie miałem pojęcia, co robić. Byłem zawsze lojalny wobec Hitlera, skoro jednak nie żył...? Roztrzęsiony, udałem się na Bendlerstrasse, do Ministerstwa Wojny.

Generał Fromm już wiedział o zamachu. Wiedział też, że się udał. Jednak wahał się z rozpoczęciem operacji „Walkiria” na pełną skalę. Przekonywałem go, że albo należy poniechać wszelkich działań, albo skorzystać z szansy, jaką był fakt, że Goebbels jeszcze nie podejrzewa istnienia rozległego spisku. Na szczęście wkrótce przyleciał do stolicy Stauffenberg i od tego momentu operacja zyskała prawdziwego przywódcę.

Wypowiedź ministra ilustrowały migawki dokumentalne, przedstawiające jednorękiego pułkownika na naradzie wyższych oficerów.

– O 17.00 znów zadzwonił do mnie Goebbels, wzywając do swego pałacu, położonego na południe od Bramy Brandenburskiej... Wahałem się, moje opowiedzenie się po stronie spiskowców z każdą minutą stawało się coraz bardziej oczywiste.

„Jedź – poradził mi Stauffenberg – przynajmniej dowiemy się, co knuje...”

Doktor Joseph Goebbels przypominał osaczonego drapieżcę, świadomego zbliżającej się nagonki.

– Mamy pucz w mieście!!! – wrzeszczał – Wehrmacht wbija mi nóż w plecy, ci dranie rozpowszechniają kłamliwe wiadomości o śmierci Führera! Ale to jeszcze nie koniec. Nie koniec!

– Obawiam się, że sytuacja jest więcej niż trudna, jesteśmy otoczeni przez oddziały buntowników – wskazał na okno Speer. Z ulicy dobiegał stukot butów, warczały przelatujące motocykle. Goebbels najpierw ostrożnie wyjrzał zza firanki, chwilę

obserwował oddziały w pełnym rynsztunku, maszerujące ulicą w małych, gotowych do walki grupach, potem cofnął się i zaśmiał histerycznie.

– Masz pojęcie, że ci durnie do tej pory nie wykorzystali radiostacji, mimo że od dłuższego czasu znajduje się w ich rękach? Cóż za dziecinada! Cóż za nieudolność. Gdy pomyślę, co ja bym zrobił na ich miejscu... – Tu podniósł słuchawkę. – Słyszysz? Nawet telefonów mi nie odcięli. – Z pogardą odrzucił ją na widełki. – Zapłaca za swą głupotę.

– Zapłaca? – w głosie Speera zabrzmiało zdumienie.

– Pewnie, że zapłaca, Albercie. Za pół godziny sytuacja się odwróci. Nasz nieśmiertelny Führer przemówi do narodu.

– Führer? Przecież on...

Kuternoga ponownie zachichotał:

– Znów nie doceniasz mnie, przyjacielu. A ja przewidziałem każdą ewentualność i na wszystko mam swoje sposoby. Moi technicy zmontują ze starych wystąpień całkiem aktualne przemówienie. Zaręczam ci, zabrzmie zupełnie jak nowe. Wkrótce zjawi się tu Otto Skorzeny ze swymi komandosami, zajmiemy radiostację i nadamy na cały kraj wystąpienie Führera z Kwatery Głównej na temat nieudanego zbrodniczego zamachu. I będzie po wszystkim. Rozumiesz?

Oślupiały Speer kiwnął głową.

– A jak nie... – Z okrągłego pudełeczka, leżącego między papierami, Goebbels wyjął kilka pigulek i schował je do kieszeni. – To na wszelki wypadek. Może chcesz trochę dla siebie? Nie chcesz? Decyzja należy do ciebie.

Minister cofnął się, ale doktor Joseph podążył za nim.

– Nie bój się, te proszki nie będą nam potrzebne. Do pokonania mamy drobiazg – musimy przekonać do naszych racji majora Remera, dowódcę batalionu ochraniającego dzielnicę rządową. Trzeba zrobić to możliwie szybko, zanim dotrze tu brygada pancerna pułkownika Bollbrinkera. Posuwa się w stronę centrum. I Bóg raczy wiedzieć, po czyjej stronie opowie się generał Guderian...

Major Remer zjawił się po paru minutach w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy. Pozostawił ich za progiem, sam zaś wkroczył do gabinetu ministra propagandy.

– Jesteście panowie aresztowani – oznajmił z pewnym zakłopotaniem obu dygnitarzom.

Goebbels nie wyglądał na wstrząśniętego tym faktem.

– Pan chyba nie wie, co robi, majorze – rzekł spokojnie. – Pan, narodowy socjalista z wieloletnim partyjnym stażem.

– Wykonuję rozkazy moich dowódców – padła zdecydowana odpowiedź służbisty.

– Pańskim najwyższym przełożonym jest Führer.

– Führer nie żyje.

– Bzdura! – zaśmiał się Goebbels – bezpodstawna plotka, kolportowana przez zdrajców i defetystów. Zaledwie parę minut temu rozmawiałem z naszym Wodzem. Już wie, że wąska klika generałów rozpoczęła pucz woskowy! Podłość. Największa podłość w historii!

Gdyby Remer spojrział w tym momencie na Speera, bluff propagandzisty straciłby moc. Ale oficer jak urzeczony wpatrywał się wyłącznie w Goebbelsa. Słuchał o historycznej chwili i olbrzymiej odpowiedzialności wobec historii, jaką on, dzielny niemiecki oficer, dźwiga na swych młodych barkach. Kto obserwowałby teraz Remera i śledził zmiany, zachodzące na jego twarzy, mógłby być pewien: Goebbels już wygrał!

Ale ministrowi było jeszcze mało. Nie przestając hipnotyzować Remera wzrokiem, uniósł słuchawkę telefoniczną i rzucił:

– Proszę mnie połączyć z Führerem i przełączyć rozmowę na głośnik.

Jeszcze chwila, a ze skrzynki popłynął trochę słaby, ale pełen charakterystycznej pewności siebie głos Adolfa Hitlera.

– Wierzmy, że obejmując kierownictwo akcji obronnej w Berlinie, wykonacie swój patriotyczny obowiązek, majorze Remer, co ja mówię, od dziś pułkownika Remer!

Oficer wyprężył się jak struna i w przerwach między płynącymi z głośnika zdaniem recytował:

– Tak jest, *mein Führer!* Tak jest, rozkaz... tak jest, zajmę się wszystkim...

Kiedy pięć minut później cofał się ku wyjściu, był zupełnie innym człowiekiem: pozdrowił obu ministrów faszystowskim uniesieniem prawicy i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Goebbels zatarł ręce:

– Jak widzisz, pierwszą potyczkę mamy wygraną – kolej na następną.

– Ale jak to było możliwe? – wykrztusił Speer. – Słyszałem, że spiskowcy przerwali w końcu nasze łącza z Kwaterą Główną.

– Ależ przerwali, naturalnie, że przerwali, drogi Albercie, ale po co mi łącza z Prusami. Führer mówił przecież z sąsiedniego pokoju.

To mówiąc, otworzył małe, prawie niewidoczne drzwi w głębi i przeprowadził Speera krótkim korytarzykiem do małego pokoiku bez okien. Przy mikrofonie siedział tam nieduży, bardzo wychudzony mężczyzna w niedopasowanym ubraniu, o zdecydowanie semickim wyglądzie. Pilnowało go dwóch esesmanów.

– To zawodowy parodysta, jak twierdzi Göring – najlepszy w swym fachu, jeszcze przed wojną wysłałem go do Dachau, ale całkiem niedawno doszedłem do wniosku, że może nam się przydać, więc ściągnąłem go do Berlina.

Film, choć dokumentalny, skonstruowano zgodnie z najlepszymi zasadami

suspensu. Bezpośrednio po scenie z dublerem w gabinecie ministra propagandy zjawił się, w nieodłącznym skórzanym płaszczu, sam legendarny Otto Skorzeny, niedawny wybawca Benita Mussoliniego.

– Dobrze, że jesteś – zaczął bez wstępu kuternoga. – Przechodzimy do kontrofensywy, zajmujemy radio i nadajemy przygotowane przemówienie Führera. Natychmiast.

– Führer nie żyje – powiedział beznamiętnie komandos.

– Ciebie też próbowali oszukać ci łajdacy?!

– Przyleciałem wprost z Kwatery – odpowiedział sucho. – Widziałem na własne oczy efekt wybuchu, w bunkrze doszło do kompletnej jatki – wszyscy zginęli. To koniec, panie ministrze.

– I co z tego, że coś pan widział! – głos Goebbelsa przeszedł niemal w falset. – Prawdą jest w tym państwie to, co ja ogłaszam za prawdę!!!

– Do dziś – odparł spokojnie Skorzeny.

Jego chłód zaniepokoił ministra propagandy. Pochylił się nad biurkiem, usiłując wygrzebać coś z szuflady. Nie wiedzieć skąd w ręku Skorzenego pojawił się nóż. Prawie nie celując, cisnął go z niebywałą wprawą. Kord trafił wprost w chudą szyję Goebbelsa. Krzyk uwiązał mu w gardle, ręce usiłowały chwycić się biurka. Z charkotem padł na pyszny dywan, obficie bluzgając krwią.

Speer, przekonany, że teraz przyjdzie kolej na niego, uniósł ręce i cofnął się do ściany. Skorzeny jednak tylko wyszarpnął nóż, wytarł go i schował równie tajemniczo, jak dobył.

– Dlaczego, Herr Skorzeny? – wykrztusił architekt III Rzeszy. – Pan, najwierniejszy z wiernych...?

– Dla Niemiec. Zresztą sam pan widział, doktor pierwszy sięgnął po broń. Myśli pan, że ta zasada obowiązuje tylko w amerykańskich westernach? A poza tym, panie ministrze, zawodowcy wiedzą, kiedy należy zakończyć przegraną grę.

Do pokoju wpadli komandosi i wycelowali broń w Speera. W całym gmachu rozbrzmiewała kanonada.

– Pozwólcie mi odejść – słaby uśmiech zagościł na ustach zabójcy. – Pan minister opowiedział się właśnie po słusznej stronie, nade wszystko jest on artystą w swoim fachu. Jak ja.

Opowieść Alberta Speera kończyła sekwencja cichego pogrzebu „geniusza propagandy”. Obok żony Magdy wzięła w nim udział liczna gromadka dzieci Goebbelsa, którym zmiana historii oszczędziła śmierci z rąk własnego ojca rok później w bunkrach Kancelarii Rzeszy.

Znów zabrzmiał głos komentatora, ilustrowany obrazami ówczesnych kronik.

„Po ogłoszeniu przez niemieckie radio wiadomości o udanym zamachu wydarzenia

nabrały lawinowego przyspieszenia. Aresztowani zostali najważniejsi berlińscy zausznicy Hitlera, przejęto krajową sieć łączności, a pułkownik, a właściwie znów jedynie major Remer ponownie przeszedł na stronę spiskowców. Tego dnia zamachowcom wyjątkowo sprzyjało szczęście. Około 21.30 obrona przeciwlotnicza lotniska Tempelhof zestrzeliła podchodzący do lądowania samolot, którym Himmler i Göring śpieszyli do stolicy, pragnąc osobiście położyć kres rebelii”.

Obraz wraku samolotu dopalającego się na krańcu pasa startowego, przełamane skrzydło ze swastyką.

„W ciągu nocy centrum spisku, zlokalizowane w Ministerstwie Wojny przy Bendlerstrasse, przejęło pełnię kontroli nad miastem. Wydzielona grupa żandarmerii wojskowej wraz z weteranami skrzykniętymi przez Canarisa uderzyła na siedzibę gestapo. Równocześnie rozgorzał krótkotrwały bój wokół Kancelarii Rzeszy”.

Spoza Bramy Brandenburskiej wyłoniły się czołgi – doskonale zapamiętane przez Aleksandra „Tygrysy” i „Pantery”. Dziwne uczucie widzieć, jak karabiny maszynowe stalowych nosorożców plują ogniem nie w stronę powstańczych barykad, ale sieką po oknach siedziby hitlerowskiego rządu.

„Pojedyncze ogniska oporu kapitulowały coraz szybciej w miarę jak za spiskowcami opowiadali się legendarni przywódcy armii – Rommel, von Rundstedt, Kesselring... O świcie 21 lipca zdumieni mieszkańcy Tysiącletniej Rzeszy dowiedzieli się o powstaniu nowego rządu, kierowanego przez kanclerza Carla Goerdelera, który ogłosił jednostronne zaprzestanie działań bojowych na froncie zachodnim. Decyzja uzyskała aprobatę większości czołowych szefów sił zbrojnych”.

Miasto, nocą wyglądające jak wymarłe, naraz ożyło. Podnieceni berlińczycy gromadzili się przed ulicznymi głośnikami, formowały się kolejki pod punktami sprzedaży nadzwyczajnych wydań gazet. Tuż po wystąpieniu nowego kanclerza, na falach Deutsche Rundfunk retransmitowano przemówienie Churchilla, z symultanicznym przekładem na niemiecki.

Na ekranie ponownie pojawił się sir Winston, uchwycony w trakcie nagrywania przemówienia w studio BBC. Potem puszczono obszerne fragmenty jego wystąpienia, przycinane na niemo reakcjami zwykłych ludzi i fotografiami z dotychczasowych pól bitewnych. Premier Wielkiej Brytanii, nie oglądając się na Roosevelta, obiecywał Niemcom pokój pod warunkiem powrotu do granic sprzed roku 1938 i natychmiastowego wstrzymania eksterminacji Żydów, dając do zrozumienia, że możliwe będzie współdziałanie obu państw w obliczu niebezpieczeństw, grożących całej Europie. Żadne sformułowanie w rodzaju „czerwona zaraza” nie padło, ale słuchacze doskonale wiedzieli, o co chodzi. Następnie w milionach niemieckich domów zabrzmiał głos uwolnionego z więzienia w Moabie przywódcy antyhitlerowskiej konspiracji, Helmuta von Moltke. Nagranie dźwiękowe ilustrowała

wyłącznie fotografia wybitnego arystokraty.

„Rodacy! – mówił von Moltke – koszmar wojny skończył się. Potrzebujemy każdej pary rąk, każdego serca, każdej głowy, aby wyrwać ze śmiertelnej pułapki naród i uratować go przed totalnym unicestwieniem”.

Cały ekran wypełniły zdjęcia radosnych tłumów berlińczyków, maszerujących Kurfürsterdammem, gromadzących się wokół Kolumny Zwycięstwa, na koniec przelewających się pod Bramą Brandenburską w kierunku Unter den Linden. Kamera pokazała gmach Reichstagu i znieruchomiła przy jego frontonie, z którego przy powszechnym aplauzie zrywano faszystowskie emblematy.

Rawski znów poczuł narastający ból głowy.

– A ja? Gdzie ja wtedy byłem? Nic z tego nie widziałem? Nie przeżywałem zwycięstwa?

A może film był jedynie ekranizacją jakiejś fantastyczno-naukowej opowieści?

Film mógł być, ale czym w takim razie była rzeczywistość otaczającej go Warszawy roku 1960? Snem?

Narrator tymczasem opowiadał o dalszych efektach przewrotu. Działy się rzeczy naprawdę zadziwiające. Część prominentnych dygnitarzy nazistowskich – Joachim von Ribbentrop, von Papen, Baldur von Schirach i Grossadmiral Dönitz pośpiesznie ofiarowała swe usługi nowemu kierownictwu. Zaledwie w kilku odosobnionych miejscach elitarne formacje SS i gestapo próbowały stawiać opór.

Rolę kolejnego komentatora przejął generał Leopold Okulicki, aktualny szef Sztabu Głównego Sił Zbrojnych. Za jego plecami pojawiła się mapa Europy Wschodniej, na której dzięki tylnej projekcji śledzić można było zdarzenia w tej części teatru wojennego.

– Wystarczyło dwa dni, aby objawiły się Nowe Niemcy – mówił generał. – Jednak mimo ogłoszonego na Zachodzie rozejmu na pozostałych frontach wojna trwała. W dniu 20 lipca, nie wiedząc nic o historycznym zwrocie w Berlinie, gigantyczne siły Frontu Białoruskiego przełamały na całej długości linię Bugu i skierowały się ku Wiśle.

Na mapie potężne, pogrubiające się z każdą chwilą czerwone strzałki wlały się na tereny Lubelszczyzny i Podlasia, płynąc ku Warszawie.

– Wyglądało, że po zamachu pod Kętrzynem ofensywa sowiecka nabiera jeszcze przyspieszenia. Tym bardziej że poczynając od 21, kiedy rozeszły się wiadomości o śmierci Hitlera, w szeregach niemieckich nastąpiła prawdziwa panika, masowo porzucano broń, sprzęt i uciekano jak najdalej od pola walki, myśląc wyłącznie o uratowaniu życia. Nic nie wskazywało, żeby zmianie uległa perfidna strategia Stalina wobec Polski. Zgodnie z wcześniejszym planem, w Chełmie 22 lipca ogłoszono tzw. Manifest PKWN. Jednak już powołanie rządu „lubelskiego” w Moskwie okazało się niemożliwe do wykonania. Wycofał swe nazwisko Andrzej Witos, przepadł gdzieś

Drobner, a przewidziany na premiera Osóbka-Morawski schronił się w kwaterze delegacji amerykańskiej, która 23 lipca przybyła do Moskwy.

Na moment cały ekran wypełniło zdjęcie anonimowego mężczyzny w czapce, z tobołkiem na plecach, który zrywał z muru tekst „Manifestu”.

– Do dowództwa Armii Krajowej poczęły napływać zdumiewające sygnały ze strony niemieckiej. Większość dowódców przyjmowała je z niedowierzaniem i nieufnością, ja jednak, przebywając w kraju dopiero drugi miesiąc i mając doświadczenia tak okupacji hitlerowskiej, jak stalinowskiej, przekonałem „Bora”, aby potraktował je poważnie i bez uprzedzeń. Jeszcze 22 lipca generał gubernator Frank na spotkaniu, zorganizowanym z własnej inicjatywy z księciem Adamem Sapiehą i członkami RGO, zaproponował natychmiastowe rozmowy z kierownictwem Polski Podziemnej, którym mógłby przewodniczyć arcybiskup Krakowa jako regent czy raczej interrex...

23 lipca stary Kraków miał swój dzień triumfu. Dzięki amatorskiemu nagraniu, dokonanemu przez niemieckiego oficera, utrwalone zostały najistotniejsze momenty tamtych godzin – Wawel i polskie flagi wciągane na maszty, procesja dziękczynna wychodząca z kościoła Mariackiego i podążająca ulicą Grodzką, wieczorny gigantyczny wiec na Rynku Głównym, połączony z nabożeństwem, na którym kazanie wygłosił kardynał Sapieha. Jego przemówienie zachowało się również, nagrane przez polskich inżynierów, dotąd specjalizujących się w radiowym sabotażu.

„Niezbadane są ścieżki Opatrzności Bożej – powiedział książę Kościoła. – Oto, zda się w momencie największej opresji, sam naród niemiecki znalazł w sobie dość siły, aby przeciwstawić się trawiącemu go złu i skierować swych przywódców w stronę dobra, w stronę pokoju. Da Bóg, a umilkną także działa i po naszej wschodniej stronie, jeśli ci, co władają nieogarnionymi terenami i niezliczonymi ludami, z łaski Matki Przenajświętszej znajdą w sobie moc wewnętrzną, aby wrócić do Boga, do prawa, do cywilizacji. Żywię wielką nadzieję, iż bliski jest dzień, w którym o swe prawa upomną się także wszystkie małe i zapomniane narody, a cierpieniom i bezprawiu położony będzie kres.

Albowiem zawsze jest możliwe znajdowanie porozumienia w imię Chrystusa. Jeszcze dziś wysłannicy Episkopatu i Rady Głównej Opiekuńczej obejmą pieczę nad Koncentrazionlager Auschwitz i podobnymi tragicznymi miejscami na obszarze dotąd okupowanym, ratując tych wszystkich, którzy przeżyli, i powściągając chęć natychmiastowego odwetu. Jestem przekonany, że sprawiedliwość wszystkim winnym dokonanych zbrodni wymierzą niezawisłe sądy, a zwłaszcza Najwyższy Sędzia. Mam zapewnienie pana Franka o uwolnieniu wszystkich więźniów, rozwiązaniu takich formacji, jak gestapo i SS – tu zerwały się wielkie brawa, ale hierarcha zgasił je uniesieniem ręki – zostaną też powołane wspólne komisje – Porządkowa i Wojskowa.

Wiem, że zaprowadzenie pokoju nie przyjdzie łatwo. Albowiem dzieli nas ocean wylanej krwi i łez. Jednak jako syn umęczonego Narodu w obliczu dziesiątek nowych zagrożeń apeluję dziś do wszystkich wiernych o rozwagę, wstrzeźliwość i umiar... Byśmy nie zaprzepaścili tej odzyskiwanej wolności. – Zawiesił głos, ale nikt nie zaklaskał, toteż ciągnął dalej: – Rany są głębokie i bolesne, atoli żywię nadzieję, a nawet pewność, iż nadejdzie dzień, kiedy z największym nawet wrogiem wymienimy znak pokoju, mówiąc: «Przebaczamy i prosimy o przebaczenie»...

Przez moment na wielkim placu zapadła cisza. Zaraz jednak grupa księży i zakonnic, stojąca obok ołtarza, zaintonowała „Boże coś Polskę” i śpiew, zrazu słaby, zaczął rosnać, wnet ogarnął plac i całe miasto, splótł się z biciem dzwonów, szybując wyżej od krakowskich gołębi. Potem mignęło historyczne zdjęcie z zamkniętej mszy w kaplicy na Zamku, zrobione przez fotografa z konsulatu włoskiego, które obiegło wkrótce świat: Hans Frank na klęczkach, całujący pierścień arcybiskupi.

– Jeszcze tej nocy na kolejnym roboczym spotkaniu w Krakowie, w którym miałem możliwość uczestniczyć – opowiadał Okulicki, znany lepiej pod okupacyjnym pseudonimem „Niedźwiadek” – podjęto decyzję o natychmiastowym przekazaniu cywilnej władzy w byłej Generalnej Guberni Delegaturze Rządu Rzeczypospolitej oraz o możliwie szybkiej ewakuacji niemieckich cywilów i ich rodzin z jej obszaru. Nazajutrz w warszawskim Belwederze odbyła się narada dowódcy Armii Krajowej Bora-Komorowskiego z generałem von dem Bach Zelewskim, mianowanym poprzedniego dnia przez Stauffenberga komendantem Festung Warschau. Dotyczyła ona pokojowego przekazania władzy w Warszawie Polakom, wycofania niemieckich sił policyjnych z miasta i współdziałania jednostek wojskowych na linii frontu. Jednostki pancerne, w tym dywizja „Hermann Göring”, miały przygotować obronę praskiego przedpola przed nadciągającymi Sowietami. Dla uspokojenia nastrojów jeszcze tej nocy aresztowano najbardziej zniechęconych przywódców lokalnego gestapo, oprawców z Szucha i Pawiaka, i aby uniknąć samosądów, ewakuowano ich do Rzeszy. Świadomi powagi sytuacji na froncie wschodnim, nie sprzeciwialiśmy się tym działaniom. Jednocześnie otworzono bramy Pawiaka, Gęsiówki, więzienia mokotowskiego...

Aleksander Rawski przymknął oczy, po czym otworzył je na powrót i znów zamknął. Nadal śledził film, ale momentami miał wrażenie, że jednak był tam osobiście, wśród radosnych warszawiaków, że wywieszał flagę na balkonie swego mieszkania w Alejach Jerozolimskich, a potem ruszył z tłumami mieszkańców w stronę placu Zamkowego. Na rogu Chmielnej uliczna orkiestra grała „Pierwszą Brygadę” i nową pieśń upowszechnioną ostatnio przez audycje BBC w języku polskim: „Czerwone maki na Monte Cassino”.

– Nazajutrz, 25 – odezwał się charakterystyczny głos Okulickiego – odbyła się wielka defilada naszych oddziałów na placu Piłsudskiego, zakończona mszą polową. Czy można wyobrazić sobie większą satysfakcję po pięciu latach wojny, niż owo triumfalne wyjście z podziemia naszej wspaniałej młodzieży?

Defilowali więc chłopcy z „Baszty” i „Chrobrego”, „Zośki” i „Parasola”, i z dziesiątków innych zgrupowań i batalionów, przygotowanych do rozpoczęcia planu „Burza”. Mimo udostępnienia przez Niemców mundurów z przedwojennych jeszcze zapasów, większość maszerowała w cywilnych ubraniach z opaskami i naszywkami, prezentując pełen asortyment uzbrojenia, od zdobycznych pistoletów po sklecone domowym sposobem samopały i broń myśliwską. Szli przed Grobem Nieznanego Żołnierza, nieświadomi bitew i klęsk, których właśnie im oszczędzono. Prężyli się przed trybuną, z której pozdrawiali ich Bór-Komorowski i Okulicki, i Pełczyński, świeżo przybyły z Londynu marszałek Montgomery, i delegat Rządu na Kraj Jankowski, i biskupi... Bach Zelewskiego, który najwyraźniej stchórzył, reprezentował jakiś niższej szarży oficer Wehrmachtu, bardzo spłoszony. Orkiestra, część w przedwojennych frakach, część w mniej obowiązujących strojach, grała „Warszawiankę”... Dokładnie o godzinie szesnastej zagrzmiął hymn. „Jeszcze Polska”. Plac zamarł. Stanął ruch na innych ulicach Warszawy. Ten moment zilustrowały dziesiątki zdjęć, przesuwających się jak w fotoplastykonie. Jeden z operatorów, usadowiony najprawdopodobniej na dachu Hotelu Europejskiego, próbował objąć całość zgromadzenia, to morze zadartych głów, wypełniających cały plac, dokonywał zbliżeń na poszczególne twarze, te radosne i te ze wzruszenia zapłakane... A potem, było to chyba dzieło późniejszego montażu, kamera jakby uniosła się ponad Starówką, kolumną i Zamkiem, poszybowała ku nadwiślańskim łąkom po drugiej stronie Wisły i uchwyciła bociana, wolno szybującego ponad mazowiecką równiną...

Rawski uzmysłowił sobie, że płacze bezgłośnie, a łzy leją się niepowstrzymanymi strumieniami, i że byłby gotów pół życia oddać, żeby przeżyć raz jeszcze podobne uniesienie.

Sceny podniosłe uzupełniały migawki ze zdarzeń mniej pompatycznych, z punktów „dobrowolnej” rejestracji folksdojczów celem reedukacji... Z demontażu niemieckich napisów i tabliczek z nazwami ulic. Wnet na Dworcu Głównym pojawił się pierwszy pociąg z polskimi oficerami, wracającymi z oflagów, rozładowywany na Warszawie Zachodniej. Równocześnie w tymczasowych punktach werbunkowych kłębiły się tłumy ochotników do nowej armii...

Na stos rzucimy wnet nasz życia los, na stos, na stos!

– W tych gorących dniach lipcowych – kontynuował Okulicki – spora część z ujawnionych oddziałów AK zajęła się przeciwdziałaniem spontanicznym wystąpieniom przeciw Niemcom, próbom ich rozbrajania czy fizycznej likwidacji, do czego zachęcała

podziemna komunistyczna Armia Ludowa. Większość formowań poczęła zawiązkę przyszłych frontowych dywizji. Działaliśmy pod wzmożoną presją czasu, wojska Stalina minęły Siedlce i Łuków, zbliżając się do Warszawy. Niewykluczone, że ciągle nie dotarła do nich wiadomość o wstrzymaniu działań na Zachodzie ani o śmierci Hitlera. Może zresztą wielka armia toczyła się siłą bezwładu. Wiedzieliśmy, że wśród wojsk sowieckich znajdują się formacje złożone z polskich żołnierzy. Niestety, dowodzone przez renegatów. Na mocy porozumienia od 25 samoloty niemieckie poniechały zrzucania bomb na te oddziały, poprzestając na ulotkach.

Na reprodukcji Rawski mógł przeczytać:

Bracia Polacy! Żołnierze! Hitler nie żyje. Nowy antyfaszystowski rząd niemiecki uznaje suwerenność Rzeczypospolitej Polskiej w jej przedwojennych granicach i w porozumieniu ze Sprzymierzonymi udziela niezbędnych gwarancji w obliczu bolszewickiej nawały...

Znów zabrzmiała piosenka: *Żółty wiślany piach, wioski słomiany dach...* – Tym razem ilustrowała proces, jaki rozpoczął się 2 lutego 1946 roku w Lublinie.

Na ławie oskarżonych zasiedli członkowie kolaboracyjnej organizacji o nazwie „Związek Patriotów Polskich”: Wanda Wasilewska, Zygmunt Berling, Jakub Berman i odpowiadający z wolnej stopy Włodzimierz Sokorski, dyżurny „świadek koronny” w większości rozpraw. Do filmu włączono fragment zeznań Michała Roli-Żymierskiego, występującego w tej części procesu jako świadek.

Pytał prokurator:

– Kto konkretnie w lipcu 1944 roku wydał rozkaz strzelania do żołnierzy polskich, przeprawiających się przez Wisłę pod Otwockiem i na przyczółku wareckim? Kto podpisał rozkaz mordy na trzech tysiącach oficerów II Armii, dopiero formowanej na Wołyniu?

– Mnie tam nie było – w głosie zdegradowanego generała brzmiała panika. – To przyszło z samej góry, z Moskwy, nie mogłem nic zrobić, u nas za wszystko odpowiadali Jaroszewicz z Popławskim! Zresztą następnego dnia i oni zostali zdjęci ze swych stanowisk, a kontrolę nad wszystkim przejęli Rokossowski i Sierow. Jaroszewicza, z tego, co wiem, wkrótce potem zlikwidowano...

– Zachowały się jednak pańskie podpisy...

– Sfałszowane! Sfałszowane! Dowództwo utraciło całkowicie kontrolę nad rozwojem sytuacji, kiedy całe pułki ruszyły wbrew rozkazom swych dowódców w kierunku pozycji wroga, a Niemcy zdjęli ostrzał. Jedyne grupy radzieckiego zwiadu i jednostki NKWD usiłowały ich powstrzymać. Nasi odpowiedzieli ogniem. Sercem byłem ze swoimi żołnierzami, zwłaszcza kiedy w trakcie przeprawy pod Magnuszewem zdezerterowała cała Brygada Pancerna imienia Bohaterów Westerplatte. Sowietci rzucili na nią lotnictwo i uratowało ich jedynie pojawienie się

niemieckiej eskadry, przerzuconej z zachodu...

– Mówi pan, że sercem był ze swoimi żołnierzami? – przerwał prokurator. – Może w takim razie opisz pan postawę dowódców polskich oddziałów w tych dniach?

– Podoficerowie i część niższych oficerów stanęła na czele zbuntowanych jednostek, starsi rangą albo uciekli...

– Albo?

– Zostali zabici.

*

Zmienił się motyw muzyczny, ekran wypełniła panorama powojennej Moskwy. Wśród prymitywnych bud i ruder dominował wypalony Kreml ze zdruzgotaną wieżą Spasską i poczerniałymi od ognia kopułami cerkwi Wasyla Błażennego.

Komentator, przystojny mężczyzna o urodzie filmowego amanta, z mikrofonem w rękę stał o parę kroków od rumowiska, będącego kiedyś Mauzoleum Lenina.

– Wydarzenia lipcowe zaskoczyły Stalina – mówił niskim, spokojnym głosem zawodowego aktora. – Nieliczni ocaleli świadkowie wypadków, mających miejsce w Moskwie tamtego lata, twierdzą, że bezpośrednio po proklamacji Churchilla o jednostronnym rozejmie, nocą z 21 na 22 lipca Iosif Dżugaszwili wpadł w pijacki amok, godny jego ojca, tyfińskiego szewca, potem zaś pogrążył się w apatii i przez całe trzy dni nawet najbliżsi nie mieli z nim żadnego kontaktu.

Błyskawiczna zmiana planu. Skwer imienia La Fayette'a przed Białym Domem w Waszyngtonie. Na ławeczce korpulentny łysiejący osobnik w okularach, uchodzący za najbardziej kompetentnego świadka tamtych dni. Podpis: „Ławrientij Beria, były członek kierownictwa radzieckiego, aktualnie konsultant National Intelligence Authority”.

Rawski poczuł dreszcz: w jego świecie Beria uznawany był za złego ducha Stalina i potępiany często ostrzej niż jego mocodawca.

– Pełna odpowiedzialność za dalszy bieg zdarzeń spada na ówczesnego szefa państwa i partii, Iosifa Wissarionowicza – rozpoczął swą relację wieloletni szef NKWD. – Przez trzy dni Poskriebyszew i Własik uniemożliwiali naszemu kierownictwu jakiegokolwiek porozumienie z towarzyszem Stalinem. Można śmiało powiedzieć, że przez szaleństwo Iosifa Wissarionowicza straciliśmy trzy bezcenne dni, w trakcie których premier Churchill zdołał przybyć do Waszyngtonu i ostatecznie przekonać do swej idei rozejmu i zawieszenia działań na zachodnim froncie – dotąd kategorycznie przeciwnego tej koncepcji Roosevelta. Niewątpliwie o zmianie stanowiska amerykańskiego prezydenta, dotąd lojalnego wobec Stalina i niezmiennie stojącego na stanowisku bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, zdecydowała długa

nocna rozmowa w cztery oczy, po której nastąpiło kilkanaście nieoczekiwanych dymisji w Sekretariacie Stanu i Ministerstwie Obrony. Wymieciono stamtąd wszystkich naszych najlepszych ludzi, a 25 lipca doszło do wymiany depeš między kanclerzem Goerdelerem a Franklinem Delano Rooseveltem. Rozejm na Zachodzie stał się faktem. Kesselring w ciągu miesiąca miał ewakuować się z Włoch. Bez jednego strzału rozsypało się państwo Vichy... Aresztowano premiera Laval'a i marszałka Petaina. Natomiast Związek Radziecki pozostał osamotniony wobec wroga i sprzymierzonych z nim Polaczków. Gdy 25 o północy udało się wreszcie zebrać Biuro Polityczne i spotkać ze Stalinem, na przejęcie inicjatywy było już za późno. Masowe dezercje Polaków skomplikowały sytuację w centralnej części frontu. Uaktywniła się lokalna partyzantka na zapleczu, na Wołyniu i Podolu podniosła głowę Ukraińska Powstańcza Armia... A Niemcy, dotąd uciekający w rozsypce, rozpoczęli przegrupowywanie sił na linii Wisły i Narwi, gotując się do kontrnatarcia. Jak łatwo można przewidzieć, w bój przeciw nam zamierzano rzucić również oddziały własowców i Łotyszów, Ukraińców i Tatarów. Przez okrągłą dobę rozgłosnie Londynu i Berlina dudniły na jedną nutę: „Wolność uciemiężonym narodom”. Nasza nocna narada na Kremlu przypominała pandemonium. Przy samym wejściu do sal kremlofskich powitał nas trup Bolesława Bieruta, przewidywanego na szefa *Polskiej Narodnej Rzespubliki*, którego Dżugaszwili kazał powiesić, czyniąc winnym za „polską zdradę”.

(Kolejna rekonstrukcja zdarzeń zainscenizowana z udziałem aktorów.) Twarz Stalina była szara, obrzmiała, a ospowate dzioby przypominały cętki drapieżnej bestii. Wyglądało, że w ciągu ostatnich dni przybyło mu siwych włosów. Gniewnymi pomrukami witał członków kierownictwa i zaproszonych generałów. Sala na Kremlu zdawała się bardziej mroczna niż zwykle, okna były ściśle zasłonięte i paliły się tylko nieliczne światła. Żukow z oczami wbitymi w stół ogólnikowo omówił sytuację na froncie, Beria w telegraficznym skrócie przedstawił stan bezpieczeństwa wewnętrznego państwa, oceniając go jako zadowalający. Potem Mołotow nieco trzęsącym się głosem odczytał depešę kanclerza Goerdelera z propozycją zawieszenia broni, oraz noty Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, zawierające zaproszenie do przyszłych rokowań pokojowych z rządem niemieckim pod warunkiem natychmiastowego przerwania działań zbrojnych i wycofania wszystkich wojsk radzieckich na granice sprzed 17 września 1939 roku. W trakcie tych słów dłoń dyktatora tak mocno zaciskała się na fajce, że wydawało się, iż lada moment drewno puści sok.

Kiedy Mołotow dotarł do miejsca, w którym Roosevelt i Churchill mówili o odnowionej Lidze Narodów jako ciele, które będzie zajmować się ochroną praw człowieka i obywatela na całym świecie, Stalin przerwał.

– Dość!

Zapadła przerażająca cisza. Można było odnieść wrażenie, że członkowie bolszewickiego areopagu przestali oddychać.

– Co robimy w tej sytuacji? – zapytał towarzysz „Koba” i potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Ponieważ nikt się nie kwapił, cybuchem fajki wskazał swego ministra spraw zagranicznych. – Zawsze masz tyle pomysłów, Wiaczesław.

Mołotow poderwał się jak uczeń wezwany do tablicy:

– Jeśli mogę coś sugerować, towarzyszu Stalin, to spokojną, powściągliwą reakcją na amerykańską zdradę. Nie znamy argumentów tego wieprza Churchilla, którymi skłonił jankesów do zerwania koalicji, ale możemy wywrzeć na USA wszechstronny nacisk. Mamy ponadto szereg sposobów oddziaływania na tamtejszą opinię publiczną, która nigdy nie zaakceptuje oczywistego wiarołomstwa swych oślizgłych przywódców, albowiem...

– Tylko to potrafisz zaproponować Stalinowi? – przerwał mu generalissimus. – Granie na zwłokę? Dyplomatyczną rejteradę...?

– Wyłącznie jako jeden z politycznych instrumentów...

– Nie! – huknął pięścią w stół Stalin. – W tej chwili czas pracuje na naszą niekorzyść. I nie da się zmienić sytuacji przy pomocy żydowskich kruczków, godnych Trockiego, Wiaczesławie!

Ludowy komisarz spraw zagranicznych zbladł, a Stalin powiódł wzrokiem po sali i mówił dalej, wyrzucając z siebie słowa jak kawałki przezutego mięsa.

– Zostaliśmy zdradzeni, towarzysze, a zdradę, jak mawiają u nas na Kaukazie, wypala się gorącym żelazem. Do kości! Rejterada?! Proponujecie zgniłe negocjacje w chwili, gdy nasze zwycięskie armie wkraczają do Europy Środkowej? Przedwczoraj wzięliśmy Lublin. Od Berlina dzieli nas mniej niż tysiąc kilometrów i nic, żadne watahy zbuntowanych Polaczków, nie mogą powstrzymać płomienia światowej rewolucji, który poniesiemy do Berlina, Paryża i Nowego Jorku, szybciej, niż to planowaliśmy. Wielki Lenin, w tysiącokrotnie trudniejszej sytuacji, osaczony przez „białych”, Polaków, Anglików i eserów, nie zawahał się. Kazał walczyć! I Stalin się nie zawaha. Mówicie: *Polaki, Czechi, Rumyny* podnoszą głowy. Zetniemy je. A jeśli zajdzie potrzeba, dla dobra ludzkości wymieciemy z tej części świata wszystkie te zbędne, swarliwe ludy międzymorza.

– Hitler już tego próbował – mruknął półgębkiem Chruszczow.

Dyktator zauważył ruch jego warg.

– Chcesz coś powiedzieć, Nikita? – zapytał. – Coś śmiesznego? *Nu, dawaj*, pośmiejmy się wszyscy!

Łysina pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Ukrainy, doskonałego w odgrywaniu wioskowego głupka, spurpurowiała.

– Zgadzam się w pełni z opinią towarzysza Stalina – rzekł. – Zemsta być musi. Zwłaszcza na Polaczkach. Ale i towarzysz Mołotow trochę racji ma. Powiadają na Ukrainie: „Jak sobaka nie zaszczeka, tym mocniej ugryzie”. Sytuacja na froncie trudna. Mamy dziś nadmiernie wydłużone linie komunikacyjne. Natychmiastowa ofensywa może nie zdołać przeskoczyć Wisły, a sama konfrontacja z Polakami... – poskrobał się po głowie. – Z Polakami, jak często mawiał towarzysz Stalin, zawsze mieliśmy problemy. Dziś proletariats Zachodu znęcono pokojem. Ja myślę tak: a niech się nacieszy tą kłamliwą iluzją, niech ma czas przejrzeć wiarołomstwo panów Churchillów i Rooseveltów, niech oburzy się na ich paktowanie z faszystami. Na odbudowywanie rękami hitlerowców jaśniepańskiej *Polszy*, tego, jak słusznie stwierdził towarzysz Mołotow, „bękartu traktatu wersalskiego”, a wtedy my...

– *Małczy!* – wrzasnął Stalin i nie panując dłużej nad sobą, cisnął karafką w Chruszczowa, chybiając o cal. – Rozumu w was tyle, co w dzbanku z kwasem. Jak by mnie zabrakło, wybraliby was jak ślepe kocięta, co, Ławrientij?

– Jak ślepe kocięta – powtórzył machinalnie Beria, cały czas notując coś w kajecie.

– Jest czas czekania i czas działania! Dziś czasu na czekanie nie ma. Jeśli Amerykanie urządzą Europę po swojemu, jeśli sypną swymi burżujskimi pieniędzmi, jeśli ograniczą działalność naszych kompartii, a my zatrzymamy nasze bohaterские armie na linii Wisły, zginiemy. Bardzo szybko znajdziemy się w Rosji wypchniętej z Europy, w Rosji ograniczonej do rozmiarów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. A czy nasza armia jest zmęczona? – Tu zwrócił się do marszałka Woroszyłowa. – Kliment, powiedz im, co o tym myślisz.

– Nasza pełna woli zwycięstwa armia idzie niepowstrzymanie naprzód – odpowiedział zagadnięty mechanicznie, jako że elokwencja nie należała do najsilniejszych stron tego dowódcy.

– A ty Żukow, *marszał*? – Stalin przechylił się w drugą stronę. – Odczytałeś swoje i milczysz. Jakąż to knujesz zdradę?

– Ja? – Żukow poderwał się na równe nogi.

– Mów prawdę? Też chcesz rozpadu *Sowieckowo Sajuz*a, śmierci *matuszki Rassii*? Chcesz oddać wrogom ojczyznę aż po Wołgę, a może po Ural?

Żukow nie wyglądał na przerażonego. Odpowiadał spokojnie, z godnością, jak człowiek, który już nieraz zaglądał śmierci w oczy.

– Jestem w każdej chwili gotów oddać życie za ojczyznę, ale – spojrzał głęboko Stalinowi w oczy – ale tylko za nią.

Znów zapadła cisza. Ktoś nerwowo zakasłał. Pochylony nad notatkami Beria zdawał się oddawać jedynie pracy, Mikojan nerwowo przyglądał wąsy. Kalinin bezradnie rozglądał się to w prawo, to w lewo, otwierając co pewien czas usta tylko po to, by zaraz bez słowa je zamknąć.

Stalin wolno ruszył w stronę marszałka. Głowy odwracały się za nim, ale dyskretnie, bez przesadnej ciekawości... Wielu z obecnych marzyło, żeby być w tej chwili możliwie daleko, w Gagrze albo Kisłowodsku... Dżugaszwili jednak zaskoczył wszystkich. Naraz uśmiechnął się szeroko i ucisnął marszałka.

– Żukow *gieroj!* – zawołał – mówi szczerze i po bolszewicku. Prawdziwy z niego *drug i sawietskij czetawiek!* Takich nam trzeba. Powinniśmy uczyć się od niego, towarzysze.

Zgromadzeni zaklaskali.

– Potem – opowiadał Beria, nie ruszając się z ławeczki przed Białym Domem – jeszcze dłuższą chwilę Stalin obsypywał pochlebstwami marszałków, stawiając ich za wzór cywilom w Biurze Politycznym, ale ja za tą zasłoną czułem krew, egzekucje, zemstę, kolejną czystkę... Nie myliłem się. Wezwał mnie nazajutrz po południu... Miał gotowe listy przeznaczonych do aresztowania członków kierownictwa. Mojego nazwiska oczywiście tam nie było, ale wiedziałem, że to kwestia czasu. Wykonam całą brudną zleconą mi robotę, a potem zapłacę za jego szaleństwa. Czyż inaczej potraktował mych poprzedników, swych najzaufańszych komisarzy – Jagodę, Jeżowa...? Nie wyjawiał mi, jak zamierzał przeprowadzić czystkę. Miałem jedynie roztoczyć nadzór nad członkami kierownictwa, uniemożliwić wzajemne kontakty... Nic nie wiedziałem o jego planach wobec armii. Jednak doszły mnie słuchy, że jakiś plan realizuje za mymi plecami Poskriebyszew, który skumał się z generałem Iwanem Sierowem.

Pod koniec rozmowy Wódz, jowialny i przyjacielski jak za najlepszych czasów, oznajmił mi, że zmierza zwołać naradę najważniejszych dowódców wojskowych i przedstawić im nową strategię wojenną. W naradzie tej mieli uczestniczyć, koniecznie, jak dwakroć podkreślił, Żukow, Koniew, Rokossowski...

Mierkułow dosłownie za pięć dwunasta wytropił, na czym polegał ten realizowany bez naszej wiedzy szatański plan. Narada miała odbyć się 1 sierpnia w pociągu pancernym na magistrali Moskwa-Brześć. W ostatniej chwili zamiast zapowiadanego Stalina mieli (w zastępstwie głównodowodzącego) pojawić się na spotkaniu Chruszczow i Woroszyłow. Na wysokości Nieświeża cały odcinek torów został zaminowany. Odpowiedzialnością za śmierć tuzów naszej generalicji i całej delegacji Politbiura zamierzano obciążyć „polsko-niemieckich faszystowskich dywersantów”. Stalin liczył zapewne, że nowa ekipa dowódców Armii Czerwonej wykona bez szemrania jego najszaleńsze pomysły z atakiem na niedawnych koalicjantów włącznie.

– Beria, choćby ze względu na własne bezpieczeństwo, nie mógł do tego dopuścić! – przystojny komentator zajął stanowisko przy szosie prowadzącej z Moskwy do osiedla prominentów w Kuncewie. – Nie ostrzegł niestety zagrożonych

marszałków i generałów, bo nie mógł. Nie dysponował łącznością wojskową. A po linii NKWD? Nie wiedział, którzy z jego zaufanych współpracowników pracują równocześnie dla Poskriebyszewa. Mógł jedynie spróbować dyskretnie uprzedzić Chruszczowa.

Tu narrację znów przejął Ławrientij Beria.

– Początkowo Nikita Siergiejewicz nie uwierzył mi. „Prowokacja! – wołał – zatelefonuję do Stalina!” Ale powoli olej napłynął do jego twardej, chłopskiej głowy. Znał doskonale „metody pracy partyjnej” kochanego Koby, sam przecież wypłynął w trakcie wielkich czystek. Zresztą w tej fazie nie wymagałem od niego wiele. Jedyne, co miał zrobić, to zatrzymać pociąg sztabowy przed zaminowanym odcinkiem i czekać na wiadomości...

Beria mimo licznych indagacji dziennikarzy nigdy nie sprecyzował, jakie to miały być wiadomości. Co najwyżej dawał do zrozumienia, że planował czasową izolację Josifa Wissarionowicza. Historycy, przy braku jakichkolwiek źródeł, skazani są na domysły. Mówi się, że Beria miał poza oficjalnymi strukturami mały, prywatny oddział dywersji, złożony z najgorszych kaukaskich szumowin, gotowych wykonać każdy rozkaz...

W dokument znów wpleciono fabularyzowane obrazy.

Wyświetliła się data – noc z 31 lipca na 1 sierpnia, bliżej świtu. Księżycowa poświata wycinała z mroku dachy i drzewa wokół willi w Kuncewie. Kilkanaście ciemnych, zamaskowanych postaci posuwało się pustymi uliczkami. Precyzyjne kocie ruchy, porozumiewanie się za pomocą gestów.

Komentator z pierwszego planu wyjaśnił półgłosem, że komandosów uprzedzono, kto ma być celem akcji likwidacyjnej – sobowtór towarzysza Stalina. Zbuntowany pionek na żołdzie antypaństwowej klikki, spisku zawiązanego przez Mołotowa, Żdanowa i Kalinina.

Akcja toczyła się sprawnie. Przecięto przewody łączności, bez trudu pokonano ogrodzenie. Psy otruto wcześniej. Obiekt okazał się słabiej pilnowany, niż można było przypuszczać. Ciche jęki, krótka szamotanina i suchy, przypominający stęknienia szcęk tłumików były jedynymi dźwiękami, mącącymi ciszę nocy. Dopiero we wnętrzu willi rozgorzał zacięty bój. Wierny Własicz nie spał i mimo zaskoczenia poderwał ludzi z ochrony. Nie mieli jednak szans z mordercami Berii. Komandosi dopadli budynku i rozbijając okna, cisnęli do wnętrza granaty...

Stalin, wyrwany z pierwszego snu, nie próbował się bronić. W kalesonach i podkoszulku powstał z łóżka i półprzytomny kołysał się na miękkich nogach. Kopnięte drzwi pokoju otwały się i trzech komandosów wymierzyło automaty w pierś dyktatora. Sekundę wpatrywali się w siebie z niedowierzaniem.

– Ludzie, na miłość boską! Litości! – zawołał „Soso”...

*

– Mam podstawy sądzić – powiedział Beria tonem księgowego, składającego bilans kwartalny, że śmierć towarzysza Stalina była samobójstwem. Orientując się, że będzie aresztowany i sądzony, sam wymierzył sobie sprawiedliwość. Niestety wskutek starcia z ochroną willi nie przeżył nikt z grupy wyznaczonej do internowania. Z ogłoszeniem wiadomości o śmierci ukochanego przywódcy postanowiłem poczekać do chwili, aż Chruszczow dotrze do dowódców naszej armii i ostrzeże ich przed pewną zgubą. Niestety nie zdążył. Jego samolot wskutek porannych mgieł roztrzaskał się, podchodząc do lądowania w Mińsku. Sam Nikita Siergiejewicz przeżył wprawdzie katastrofę, ale nieprzytomny, następny tydzień spędził w szpitalu wojskowym. Kretyn Woroszyłow, nie informując mnie o tym, co się stało z Chruszczowem, dał rozkaz odjazdu pociągu – nie miał pojęcia o przygotowywanym zamachu, znał tylko fałszywą wersję, że Stalin oczekiwać będzie w Nieświeżu. Upływały bezcenne godziny, ja bezskutecznie usiłowałem sprawdzić, co się dzieje z Nikitą Siergiejewiczem. Około dwunastej, zdenerwowany brakiem jakichkolwiek wiadomości, kazałem aresztować ludzi Sierowa i połączyłem się bezpośrednio ze sztabem Żukowa, próbując skłonić ich do zatrzymania pociągu. Nie ufali mi. Nie wierzyli, że Stalin może nie żyć.

W chwili detonacji, o godzinie 12.34, nieprzypadkowo tuż obok na torze mijankowym znalazł się skład kilkudziesięciu cystern z benzyną lotniczą... Zachowane zdjęcia z lotu ptaka zarejestrowały przerażający obraz katastrofy. Lokomotywa, odrzucona siłą eksplozji daleko w pole, zachowała się stosunkowo w niezłym stanie, jednak wagony, a szczególnie salonka, przypominały poskręcany, wypalony szkielet dinozaura. Jednego dnia Związek Sowiecki został pozbawiony i wodza, i większości naczelnego dowództwa... Myślę, że Pan Świata – Chrystus Pantokrator ostatecznie odwrócił się od nas.

Film wypełniły fragmenty kronik, rejestrujące wydarzenia owego lata i jesieni. Towarzyszyła im wiązanka starych radzieckich melodii rewolucyjnych. Sytuacja w Rosji komplikowała się z każdym dniem. Powstały różne ośrodki władzy, rozpętała się krwawa rywalizacja Chruszczowa z Budionnym o przywództwo.

Wrześniowa bitwa nad Bugiem przesądziła losy wojny na froncie wschodnim. Klin pancerny, rzucony przez połączone dowództwo niemiecko-polskie, zdominowane przez generalski tandem Władysław Anders – Heinz Guderian, przypominał uderzenie znad Wieprza w czasie pamiętnej bitwy warszawskiej 1920 roku. Wielki niemiecki rewanż za bitwę pod Kurskiem zakończył typowo polski atak na bagnety.

– To tu – mówił komentator, stojąc na odrestaurowanych schodach przed barokową fasadą Liceum Krzemienieckiego – tu, w Krzemieńcu, w dniu 7 listopada, w

samą rocznicę rewolucji październikowej, został zawarty rozejm. Rozdzierane walkami o władzę mocarstwo nie mogło stawić skutecznego oporu.

Podpisy składano w auli szkoły. Rząd RP reprezentował minister August Zaleski, a niemiecki MSZ niedawny szef Abwehry, admirał Canaris. Za stronę radziecką akt parafował jeden z ostatnich niedobitków bolszewickiego kierownictwa, Anastas Mikojan. W ceremonii brał udział jako obserwator przywódca Frontu Wyzwolenia Ukrainy (dawnej Ukraińskiej Powstańczej Armii) – Stepan Bandera.

Zmęczonemu Rawskiemu pojaśniało w głowie. Oczywiste stały się przyczyny obecnej kondycji Polski. Teraz, kiedy wiedział już, w jakim kraju żyje, rozważał, czy nie odłożyć dalszej projekcji na później. Zwyciężyła jednak ciekawość.

Pełne dramatyzmu obrazy ukazywały następne etapy kompletnego rozkładu władzy sowieckiej – buntury głodowe ogarnęły jesienią Moskwę i Leningrad.

Aleksander rusofilem nigdy nie był, ale widząc ogrom cierpień narodu rosyjskiego, zastanawiał się, czy nawet przy uznaniu, że lud w dużym stopniu odpowiada za szaleństwa swych despotów, kara nie była zbyt wysoka. Czasami filmowe sceny wyglądały na powtórkę z petersburskiej „krwawej niedzieli” lub buntu kronsztadzkiego. W dniu Bożego Narodzenia na prospekcie Gorkiego w Moskwie wzniesiono barykady. Plac Czerwony stał się terenem walki, przechodząc z rąk do rąk, podczas gdy nad głowami walczących płonął Kreml.

Obserwatorom wydawało się, że grudniowy przewrót generała Moskalkeni, wspierającego grupę „umiarkowanych pragmatyków” zgrupowanych wokół premiera Malenkowa, i próba opanowania anarchii za pomocą wprowadzenia stanu wojennego wpłynę na uporządkowanie sytuacji wewnętrznej w Rosji. Nic mylniejszego. Nastrojów nie uspokoiły aresztowania komunistycznej „starej gwardii”, za kraty trafili szefowie NKWD i prokurator Andriej Wyszyński. Ławrientij Beria wolał nie czekać na proces przed ludowym sądem – wybrał noworoczną ucieczkę do Estonii w bagażniku samochodu amerykańskiego ambasadora. Zresztą po paru dniach doszło do krwawego kontrzamachu Nikity Chruszczowa. Opanowana została Moskwa, a legalny rząd ewakuował się do Niżnego Nowgorodu. Ponieważ za Malenkowem opowiedziały się niezniszczone wojną wielkie zauralskie ośrodki przemysłowe, a za Chruszczowem trzon armii, rywalizacja doprowadziła do wybuchu drugiej wojny domowej. Jej przebieg, oprócz dokumentalnych filmów i zdjęć (niejedno spośród nich godne było World Press Photo), ilustrowały wielkie nagłówki gazet, nadając nerwowo, przyspieszony rytm kolejnym aktom dramatu.

„Gazeta Warszawska”, 20 stycznia 1945: *W ogarniętym powstaniem Kijowie garnizon wypowiada posłuszeństwo swemu dowódcy, generałowi Leonidowi I. Breżniewowi i przechodzi na stronę Ukraińskiej Powstańczej Armii.*

25 stycznia, „Le Monde”: *Rewolucja na Zakaukaziu!*
„Times”, 19 lutego 1945: *Faktyczny rozpad ZSRR. Malenkov prezydentem Samodzielnej Republiki Syberyjskiej.*
„Le Figaro”, 1 marca: *Czy pierwsze demokratyczne wybory w Rosji powstrzymają Nową Wielką Smutę?*
15 marca, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”: *Siły narodowe w natarciu. Założona przez dysydentów z WKP(b) Partia Ojczyźniana jak burza podąża ku władzy.*
21 marca, „Basler Zeitung”: *Rosja wybrała – dwugłowy orzeł i trójkolorowy sztandar.*
12 kwietnia, „L’Humanité”: *Karierowicze Wozniesieńscy po objęciu stanowisk prezydenta (Nikołaj) i premiera (Aleksiej) Republiki Rosyjskiej delegalizują partię komunistyczną.*
13 kwietnia, „Punch”. Rysunek satyryczny: *Odkręcanie głowy z pomnika Stalina, przykręcanie – cara Mikołaja.*
„Washington Post”, 9 maja 1945: *Rosja uznaje niepodległość państw powstałych po rozpadzie ZSRR. Uroczyste posiedzenie odnowionej Ligi Narodów w San Francisco. Delegaci większości głosów odrzucają projekt delegacji francuskiej, aby zmienić nazwę na Organizacja Narodów Zjednoczonych...*
Przed pomnikiem Mickiewicza w Warszawie słynny poeta rewolucyjny Władysław Broniewski w rozwianym płaszczu deklamuje swój wiersz zgromadzonym wokół studentom.

*Umierają imperia.
Nikt
nie żałuje padłych tyranów,
lud roboczy walczy o byt
bez nadziei, bez szans i bez planów...
Zgasły piec Magnitogorska,
Bunt się wzmaga, słuszny, ludowy,
Posiekano już trupa z wosku,
werdykt dziejów –
jak strzał w tył głowy.
Patrz córeczko,
ile jest zdrowsza,
choć wrzodami grobów wciąż krwawi,
nasza święta gleba Mazowska,
gdy nie wzeszła na niej nienawiść.
Za to wszystko, choć mi niełatwo*

*(tyłem lat szedł za złudną muzyką)
kłaniam w pas się, po polsku, czapkę
Bogu, Swoim i Sojusznikom.
Już upiory przegnano do Azji,
Wołyń polskim zakwita wojskiem.
My z krwi, potu, myśli i stali
dom budujemy – Polskę.*

D

Skończyła się pierwsza taśma. Celuloidowa końcówka dobrą chwilę trzepotała jeszcze na wirującym kole projektora, zanim Rawski zdobył się, by wstać.

– Dlaczego ja tego wszystkiego nie pamiętam? – jęknął.

Nalał sobie sporą porcję alkoholu i przepłukał wysuszone gardło. Zastanawiał się, dlaczego ten drugi Rawski, renomowany mecenas, przechowywał w swoim biurze film dokumentalny. Z powodu jakichś sentymentów? Pokazywał go zagranicznym partnerom? A może był to materiał służący intelektualnemu rozwojowi sekretarki, cudnej postsowieckiej Galatei, do jej przemiany z biednej, azjatyckiej sieroty w wykształconą Europejkę?

„Drugi Rawski”... – zniecka poraziła go myśl, że być może ma gdzieś tu sobowtóra, że tylko zaplątał się do tego alternatywnego świata i za chwilę otworzą się drzwi, i stanie w nich „ten prawdziwy”. Co wówczas?

Poruszyła się klamka. Na tle świetlistego prostokąta stanęła smukła postać.

– Kto tam? – zawołał.

– Natasza. – Dziewczyna zapaliła boczne kinkiety i podeszła bliżej. Jej sarnie oczy przepełniał niepokój. – Czy coś się wam nie stało? – pytała zawieszona między formułą „pan” a poufałym „ty”.

Wzruszył ramionami.

– Nic mi się nie stało.

– Było parę telefonów. Dzwoniła ta... – głos jej na chwilę zadrżał – ...aktorka, panna Kwiatkowska. Powiedziałam jej, że jest pan bardzo zajęty.

– Dobrze zrobiłaś. Czy coś jeszcze?

– Mecenas Olszewski i pani Jadwiga już wyszli. O której godzinie mamy... ma pan zamiar skończyć pracę?

– Nie przejmuj się mną, Nataszko. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Możesz już iść do domu – zostaw mi klucze od biura... – Widząc, jak śliczne usta wyginają się w smutną podkówkę, odczuł żal. A nawet drobną zazdrość. „Ten drugi

Rawski to nie lada szczęściarz!” – Przepraszam cię za moje dzisiejsze humory – powiedział miękko.

Podeszła bliżej i utkwiała w nim oczy. Zmieszany poczuł, jakby znalazł się sam na sam z żywą aparaturą rentgenowską.

– Czy coś się stało? – zapytała. – Jesteś taki... inny?

– Nie wiem – odparł szczerze – może rzeczywiście jestem inny. Momentami czuję się jak człowiek obudzony z długiego snu, który wie, że śnił, ale nie może sobie nic przypomnieć...

– Umówię cię z doktorem Ranowiczem. Ostrzegał cię tyle razy, że jeśli nadal będziesz się tak przepracowywał, grozi ci wylew.

– Niech ci będzie, a teraz idź do domu...

– Zobaczymy się później?

Stała przed nim z rozchyłonymi ustami i błyszczącymi oczyma, ponętna prostą seksualnością. Sterczące sutki rysowały się wyraźnie pod jasną bluzką...

„A właściwie – dlaczego nie poszaleć na cudze konto?” – przemknęło mu. Był urodzonym kobieciarzem, tylko szare życie w PRL skazało go na kobiety drugiego gatunku. A Nataszka...

– Przyjdę, zrobię ci kolację i...

I znów całowali się szaleńczo... Jej dłonie zaczęły rozpinać mu koszulę, chwilę walczyły z paskiem spodni... zachwycony zanurzył dłonie pod jej koszulkę. I wtedy zadzwonił telefon.

– Na pewno nic ważnego – szepnęła – zadzwoni później.

Zawahał się, ale odebrał. Może to dzwonił „drugi Rawski” i zaraz wszystko się wyjaśni. Ale w słuchawce zabrzmiał rozszczebiotany głos kobiety-dziecka.

– To ja. A ty ciągle w biurze! Przepracowujesz się, mecenasku. A może znów doksztalcasz tę twoją kaukaską nimfę? Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy zamówiłeś stolik na dachu w „Adrii”... Podobno brakuje miejsc. Ma dziś grać sam Louis Armstrong...

Oczy Nataszki, która przycupnęła na fotelu obok projektora, wyrażały cierpienie i błaganie. Biedactwo. Swoją drogą ten drugi Rawski musiał być kawałem niezłego łajdaka i snoba, jeśli przedkładał gwiazdkę filmową nad swą uroczą wychowankę... Z drugiej strony pamiętał Basię Kwiatkowską z filmu „Ewa chce spać”. Jeśli w tej rzeczywistości była tak samo świeża i dziewczęca...?

– Czuję się trochę przemęczony, chciałbym dziś odpocząć – powiedział.

– Jak chcesz, ale chyba pamiętasz, że pojutrze wyjeżdżamy do Włoch.

– My?!!!

– Jesteś kompletnie nieprzytomny. Zapominasz o najważniejszych sprawach, gubisz mi się w Aninie. Mówiłam ci: Vittorio kręci sceny z ogrodów pałacowych w

Cinecittá, a potem plenery na Capri. Zobaczysz, jak doskonale zagram tę Akte... Oczywiście z moimi warunkami powinni mnie obsadzić w roli Eunice, ale De Sica wolał tę okropną Brigitte Bardot. Przecież sam chciałeś ze mną pojechać, zazdrośniku.

– Tak, oczywiście, pamiętam – powiedział bez większego przekonania. – Zdzwonimy się jutro – i odłożył słuchawkę.

Rozpromieniona Nataszka przypadła do niego, wołając wesoło:

– Po co jechać do Włoch, tam tylko kryzysy i strajki, w IKC pisali, że to nowe „Quo vadis” zapowiada się na chałę. Sama przyrządę ci pyszny półmisek *frutti di mare*. Zaraz skoczę do Hali Mirowskiej – kupię małże, kalmary, homara, krewetki... mają świeżutkie dostawy prosto z Grecji...

Pomyślał o karpach, w jego świecie rzucanych na rynek raz do roku, po czym przesłał jej pocałunek na odległość i założył drugą taśmę.

Jacek Woszczerowicz recytował wiersz Jana Lechonia „Po powrocie”. Podkładu dostarczały wariacje muzyczne na motywach chopinowskich, ilustracji – poleskie błota i szczyty Tatr, kormorany z jezior na Mazurach i jurajskie skałki pod Olkuszem, wileńska Ostra Brama i Wysoki Zamek we Lwowie...

*Wracają filomaci z łagrów, promieniści,
na zgliszcza świeżą runią nadziei porośłe.
I podnoszą się ciała z katafalków liści,
Bo mamy tego lata znowu polską wiosnę.
Polski sierpniu, zrodzony z nadziei studzwonnych,
wrześniu, gdy ptak odfrunąć nie chce, lecz przylata,
kiedy łuny na niebie mają twarz Madonny,
a ty zdajesz się dany nam z innego świata...*

Być może autorzy filmu nadużywali patosu i symboli – czy jednak opisując najnowszą historię, mogli pominąć Władysława Andersa na białym koniu, wjeżdżającego na Rynek Krakowski? A może pielgrzymkę dziękczynną Piusa XII do Polski i modlitwę pontifexa przed oświęcimską bramą z napisem „Arbeit macht frei”? Albo publiczną egzekucję w Łodzi najkrwawszych hersztów komunistycznych band – Moczara i Korczyńskiego?

Czy mogli też zapomnieć o legendarnej kampanii na Wschodzie, gdzie każdy kadr oglądało się z walącym sercem: korpus generała Maczka zajmujący Lwów, brawurowy desant dywizji spadochronowej generała Sosabowskiego w oblężonym Wilnie? A te budujące obrazy powrotów – ludzie na dachach wagonów, wracający ze Wschodu i Zachodu, wypełnione potokami żołnierzy-tułaczy okrętowe trapy w porcie gdyńskim...

Rychło jednak muzyka przeszła w drażniące tremolo. Niebo uległo zachmurzeniu. Nowy wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, recytowany przez młodzieńczego Gustawa Holoubka, nosił tytuł „Przyszłość”:

*Jej nieśliśmy naszą młodość,
nasze życie, naszą śmierć,
naszą krew zmieszaną z wodą
i rozpaczy naszej czerw.
Złote żyłki dni przegranych,
niespisanych wierszy łom,
jak rój wróbli pierzchłe plany,
nasze życie i nasz zgon.
Słońce wzeszło, już zaranek
koronkowy pachnie bez.
Nic na zawsze nie jest dane –
ani życie, ani kres.*

Druga część zapowiadała się równie fascynująco, a przecież Aleksander coraz bardziej odczuwał zmęczenie, pewnie przez ten upał, natłok wrażeń, absurdalność sytuacji. Ciężła głowa, opadały powieki, a własne myśli mieszały się z oglądanym dziełem.

E

Był w Berlinie... Tak, w Berlinie. Doskonale poznawał kolumnę Zwycięstwa, mimo porannej szarówki doskonale widoczną ponad wierzchołkami żółknących drzew.

„Już jesień – pomyślał. – Co ja robię jesienią w sercu Niemiec?”

Zorientował się, że klęczy w wilgotnej trawie, na jednej ręce ma mokrą od rosy rękawiczkę, a na piersi dynda lorneta z wmontowanym małym aparatem fotograficznym.

– Głupi sen!

Odwrócił głowę w prawo i zobaczył wojskowe buty, dalej nogi i ciało w cywilnym ubraniu, twarz bladą z wybałuszonymi oczami i małą dziurką pośrodku czoła.

Alek Rawski wiele śmierci w życiu widział, dlatego nie miał wątpliwości – ten człowiek był martwy. Kto go zabił? On sam? Kilkanaście centymetrów od jego ręki leżał wojskowy pistolet typu parabellum z nakręconym tłumikiem. Poczł świeży zapach prochu.

– Zabiłem człowieka. Dobry Boże! Jakiegoś cywila na skraju Tiergarten...

Usiłował wstać. Zabolało w boku. Pomacał i poczuł między palcami krew. Potem znalazł bagnet. Ozdobny bagnet wyższego funkcjonariusza SS. Niczego nie rozumiał. Czyżby poruszał się po coraz bardziej nieprawdopodobnych piętrach snu? Czy jednak we śnie można umrzeć z powodu wykrwawienia?

Potem usłyszał stukot, miarowy przyspieszony stukot. Na czworakach podpełzł w stronę, z której dobiegał hałas, i rozgarnął liście. Aparat znalazł dokładnie tam, gdzie go upuścił opodal zamaskowanego szybu wentylacyjnego – przenośny licznik Geigera-Müllera. Leżał wśród opadłych liści, stukając jak oszalały.

I wtedy Rawski wszystko sobie przypomniał.

*

– Pojedźcie do Niemiec, kapitanie – dowódca Wywiadu Wojskowego RP, generał Tadeusz Pełczyński, wyciągnął do Aleksandra pudełko cygar znakomitej marki Monte Christo.

– Specjalizowałem się dotąd w zagadnieniach wschodnich – odparł Rawski, sięgając po jedno z nich.

– Wiem. Ten kierunek jednak staje się dla nas drugorzędny. – Pełczyński wrócił za biurko, stając na tle mapy uwzględniającej już zmiany granic na Wschodzie. – Orientuje się pan, co dzieje się w Niemczech?

Wskazał leżącą na stole „Gazetę Warszawską” z 11 września 1946 roku. Na pierwszej stronie, pod zdjęciem premiera Francji, Andre Malraux, bił w oczy tytuł jego dramatycznego wystąpienia: „Uwaga, Niemcy!”

– W czasie kiedy pomagał pan braciom Ukraińcom tworzyć własne państwo, sytuacja trochę się nam skomplikowała – powiedział generał. – Naiwna wiara naszych europejskich sojuszników, że sami Niemcy dokonają głębokiej denazyfikacji, niestety okazała się płonna. Nazizm wrósł w dusze i umysły głęboko i nie mogło go sflukać jedno letnie uniesienie. Recydywa była łatwa do przewidzenia. Przecież, mówiąc szczerze, nie naruszono struktur ani kadr hitlerowskiego państwa. Zaś armie koalicji antyfaszystowskiej pozostały poza terenami Rzeszy.

Rawski wiedział, że jego szef nie mówi nic odkrywczego. Z radia i lektury prasy wiedział o radykalizacji nastrojów zachodniego sąsiada. Powojenna stagnacja, brak zagranicznych kredytów, żądania ogromnych reparacji, artykułowane przez kraje poszkodowane przez Trzecią Rzeszę, wzmagaly w Niemcach poczucie krzywdy.

Ogromny strumień imigrantów, reichs- i folksdojczów oraz wszelkiej maści kolaborantów, spływający z całej Europy, tylko pogarszał sytuację ekonomiczną.

Zima roku 1944 była trudna. Przednówek 1945 – tragiczny. Bezrobocie po

demobilizacji znacznej części armii sięgnęło 30 procent. Mnożyły się protesty, a na murach znów pojawiły się swastyki i napisy „Jude raus!”

– Bogu należy dziękować, że rozejm z Rosją został zawarty tak szybko – powiedział Pełczyński. – Gdyby stan wojny na wschodzie potrwał aż do wiosny 45 roku, nigdy nie pozbylibyśmy się z naszych ziem Wehrmachtu.

– Wiem – powiedział Rawski – wycofanie się dywizji pancernych z Małopolski Wschodniej zawdzięczamy wyłącznie rycerskiemu słowu, danemu przez feldmarszałka Guderiana.

– Dowództwo niemieckie nie składa się niestety z samych Guderianów. Jedyne demonstracją zbrojną wymusiliśmy na nich zwrot Poznania i Bydgoszczy, na Górnym Śląsku praktycznie nie widać końca obustronnej walki podjazdowej. Nadal nie możemy odzyskać Gdańska, a nasze władztwo nad Bałtykiem ogranicza się do Gdyni i kawałka Helu. A reparacje? Minister Canaris przy każdej okazji odpowiada niezmiennie: „Poczekajmy do traktatu pokojowego”.

– Negocjacje od dwóch lat drepczą w miejscu.

– Kochani Amerykanie! – zmarszczył brwi Pełczyński. – Po zwycięstwie nad Japonią ogarnęła ich prawdziwa euforia. Przekonanie, że pozostali jedynym światowym mocarstwem, spowodowało nawrót izolacjonizmu. A prezydent Dewey – westchnął – ten facet potrafi jedynie powtarzać, że świat ma dosyć wojen, a USA nie ma zamiaru odgrywać roli światowego żandarma. Na pytania w sprawie odradzania się militarnej potęgi Niemiec odpowiada, że problem Niemiec jest wewnętrznym problemem europejskim.

Rawskiemu nie pozostało nic innego, jak zgodzić się ze zdaniem szefa.

Stanowisko Amerykanów od lipcowego przełomu na Zachodzie nie podobało się Polakom. Wojska Eisenhowera w ciągu trzech miesięcy od zawarcia rozejmu zostały w przeważającej części ewakuowane z kontynentu. A po listopadowych wyborach, w których republikański nowojorczyk Thomas E. Dewey pobił kandydata demokratów Harry'ego Trumana (zmęczony i ciężko chory Roosevelt nie zdecydował się kandydować po raz czwarty, wkrótce zresztą zmarł w Warm Springs, jak twierdzą dobrze poinformowani, w objęciach swej ostatniej kochanki), nastroje izolacjonistyczne jeszcze się wzmożyły. Ostatni, ograniczony kontyngent generała Pattona opuścił Europę w styczniu 1945. Zresztą dla USA druga wojna światowa skończyła się dopiero w maju roku 1945, kiedy inspirowany przez cesarza przewrót generała Mori Takeshi odsunął od władzy „partię wojny”. Wcześniej Amerykanie wykrwawiali się na Okinawie, ponosili ciężkie straty w górzystych regionach Hokkaido, w Mandżurii i wokół Władywostoku, który po desancie Japończyków i pogromie bezsilnych wojsk rosyjskich musieli odbijać amerykańscy marines.

– Nie zaprosiłem was jednak na rozmowy o polityce światowej – rzekł generał –

choć zadanie, które zamierzam wam powierzyć, będzie z nią nierozzerwalnie związane. Wasze papiery są już przygotowane. Oficjalnie przejdziecie do cywila – powiedział Pełczyński. – W naszej ambasadzie na Unter den Linden potrzebny jest radca prawny.

– Bez praktyki, po tajnych kursach zakończonych jedynie eksternistycznym egzaminem?

– Niedoświadczenie rekompensują inne pańskie walory – uśmiechnął się Pełczyński. Potrzebujemy tam człowieka zdolnego dokonywać analiz i wyciągać wnioski. Poza tym – doskonale znacie język...

– Jest tylko jeden problem...

– Wiem, utworzyliście fundację zajmującą się sierotami ze Wschodu. Jej sprawy przejmie wasz dotychczasowy zastępca – nadzór nad sierocińcami, łączenie rodzin, adopcje w rodzinach zastępczych...

Zacisnął usta. Nie chciał uchodzić za przesadnie sentymentalnego. W gruncie rzeczy chodziło mu o jedno dziecko, maleńką Nataszę z Czarnobyli, jedyną ocalałą z transportu umierających na tyfus. Dziewczynka, przypominająca zaszczute zwierzę, przywiązała się do niego w czasie ewakuacji i transportu, nie odstępowała na krok, wymogła, żeby ją odwiedzał. Kiedy ostatni raz widział Nataszę w Otwocku, zapytała wręcz, czy mógłby ją adoptować. Nie mógł. Prawo nie zezwalało na adopcje kawalerom. Żenić się nie zamierzał. Mógł tylko prosić swą kuzynkę Delfinę, która właśnie wróciła z Londynu, aby miała ją na oku i wspomagała dom dziecka...

– Rozumiem, że nie zgłasza pan przeszkód? – zapytał Pełczyński.

– Chciałbym jednak wiedzieć, na czym miałyby polegać moje zadanie.

– Mieć oczy szeroko otwarte. I sprawdzić pewne doniesienia...

Pięć dni potem znalazł się w Berlinie.

Dość łagodnie potraktowane przez wojnę miasto na pierwszy rzut oka żyło normalnym życiem wielkiej metropolii. Nie czuło się szczególnych oznak kryzysu. Górowała raczej wiara w szybkie odrodzenie niemieckiego ducha.

Ogromnym powodzeniem cieszyła się szczególnie tania rozrywka: kina, zawody sportowe, tancredy. Na ulicach co dnia pokazywało się więcej kobiet w ciąży. Demografia odreagowywała wojenną zapaść. A równocześnie starczyło zajrzeć do kabaretu, wpaść do piwiarni, aby natrafić na coś, co poznany w międzynarodowym klubie dziennikarza redaktor Karl Frahm – sympatyczny korespondent jednej z norweskich gazet – nazwał „przeklętym widmem Weimaru”. Ale Karl był socjalistą, manifestującym aktywnie antyfaszystowskie poglądy, więc może stąd brała się pewna skłonność do przesady.

Jednak nie tylko on żywił obawy – premier Wielkiej Brytanii na spotkaniu ze studentami uniwersytetu Columbia wyraził się całkiem dosadnie: „Smok zmienił skórę, ale tylko ukrył na chwilę parę, dobywając się ze swoich paszczy”.

Któregoś dnia z grupą dziennikarzy Rawski wybrał się do kabaretu, działającego w piwniczce niedaleko Potsdamer Platz. Gwiazdą wieczoru był nieduży komik, niekryjący swych preferencji homoseksualista, który wychodził na scenę w kosmatym futrze ogromnego gryzonia i śpiewając, dokonywał kompletnego striptizu. Przy czym za każdym obrotem jego ostro wymalowana, anielska blond buźka zmieniała się w znajomą twarz schizoidalnego bruneta.

*Ja jestem mały szczurek,
Włochaty mam kapturek.
Dbam tylko, by mieć serek,
Dom, żonkę i spacerek,
Lecz jeśli ktoś mi zagra marsza,
To coś mi w główce się pogarsza,
Wyrasta grzywka,
Rośnie szczeka
Wąsik czernieje i się zgęszcza,
Do góry łapka w pieśni wtór,
A wszyscy w koło:
Sieg heil, szczur!*

Po czym kompletnie nagi zbiegał ze scenki, zegnany burzą braw. Powtarzało się to co wieczór aż do dnia, kiedy zmasakrowane ciało komika wyłowiono z kanału Szprewy obok Wyspy Muzeów.

Przygotowując się do swej misji, Rawski przestudiował dokładnie zarys historii ostatnich miesięcy, układających się w niepokojącą całość.

Jeszcze w czasie gwiazdki 1944 przebywający wśród żołnierzy w Prusach Wschodnich wiceminister obrony, Grossadmiral Karl Dönitz, pozwolił sobie na interesującą wypowiedź:

„Tu jesteśmy i pozostaniemy po wsze czasy – mówił na zakończenie kuligu wśród płonących pochodni nad brzegiem jeziora Śniardwy. – Koniec wojny był przejawem wielkości narodu niemieckiego i jego geniuszu. Ale winien zapamiętać to każdy człowiek na tej planecie: Niemcy nie zostały pokonane. Ustąpiliśmy dla dobra światowego pokoju, ale żaden obcy żołnierz nie ma prawa postawić nogi na niemieckiej ziemi!”

Kanclerz Goerdeler bezzwłocznie zdymisjonował Dönitza, wchodząc tym samym w ostry konflikt ze znaczną częścią swego zaplecza. Zresztą zaplecze to słabło. W noc noworoczną na atak serca umarł von Moltke. Dwa miesiące później w tajemniczej katastrofie lotniczej w Alpach zginął prawdziwy demiurg Nowych Niemiec, generał

von Stauffenberg. Kanclerz Goerdeler utrzymał się aż do wyborów z czerwca 1945, kiedy zgodnie z własną zapowiedzią władzę winien był przejąć nowy rząd. Niestety, mimo wysiłków Konrada Adenauera, chrześcijańska demokracja nie stała się dominującą siłą w krajobrazie Nowych Niemiec, liczne partyjki socjaldemokratyczne pozostawały skłócone i zajęte tropieniem we własnych szeregach komunistycznych agentów. Natomiast w marcu 1945 roku na szerszym forum objawiła się NAP – Narodowa Partia Pracy Baldura von Schiracha (nazywana przez prasę „partią demokratycznego nazizmu”).

Na wiecach w Monachium, w Norymberdze, we Frankfurcie były szef Hitlerjugend powtarzał właściwie to samo:

– Niemcy muszą być wielkie. Niemcy muszą przewodzić Nowej Europie.

Oczywiście, jeśli się da, pokojowo!

W czerwcowych wyborach roku 1945 na Narodową Partię Pracy zagłosowało 33 procent obywateli Niemiec. Dzięki międzypartyjnym ustaleniom kanclerzem został „bezpartyjny” admirał Karl Dönitz, oficjalnie opowiadający się za kontynuacją powojennego kursu. Reforma walutowa, obniżenie podatków przy równoczesnym ograniczaniu przepisów dotyczących prawa pracy sprawiły, że z początkiem 1946 roku gospodarka ruszyła z miejsca. Nie minęły dwa lata od zakończenia wojny, a znów dymiły wszystkie kominy w Zagłębiu Ruhry i działały ze wzmożoną energią taśmy produkcyjne w fabrykach samolotów i samochodów.

Tymczasem młody radca polskiej ambasady z łatwością nawiązywał liczne kontakty, w ciągu miesiąca poznał mnóstwo dziennikarzy, artystów i dyplomatów. Naturalnie czuł, że jest obserwowany przez tutejszy kontrwywiad i dlatego odczekał miesiąc, zanim przeszedł do zasadniczej fazy swej misji.

Dopiero w połowie października udał się do Getyngi, spotkać się z naukowcem, posługującym się pseudonimem „Stern”. Autem prowadzonym przez pana Wolfganga, szofera jednego z dalekich kuzynów ciotki Delfiny, jechał czynnym pasem intensywnie odbudowywanej autostrady, czytając najświeższe gazety. Wstrząsnęły nim ostatnie doniesienia z Wiednia. Referendum w sprawie niepodległości Austrii wykazało, że kraj ten nie pragnie samodzielności i woli iść z Berlinem na dobre i na złe. Oczywiście swoje zrobiła kampania, w ciągu zaledwie paru dni napisy „3 x Ja” pojawiły się na tysiącach murów, a w radiu zapanował nastrój histerycznego uniesienia. I stało się. Europie nie pozostało nic innego, jak się z tym pogodzić.

Inną informacją dnia była odmowa sądenia w Niemczech Rudolfa Hessa. „Niech osądzi go Międzynarodowy Trybunał w Hadze” – głosiło oświadczenie ministerstwa sprawiedliwości. Równocześnie jednak kanclerz Dönitz, przemawiający w Kongresie USA podczas „wizyty przyjaźni i pojednania”, czynił gesty i wypowiadał słowa, mogące podobać się światowej opinii publicznej. Krytykując spontaniczne wystąpienia

antysemickie, do których dochodziło w Niemczech, całym sercem popierał ideę organizacji państwa Izrael na obszarze Palestyny. Wezwał też do powrotu na ojczyznę takie osobistości, jak Albert Einstein czy Marlena Dietrich. Wystąpienie swoje zakończył słowami:

„Historię świata piszą wielkie narody i wielcy ludzie. Dzięki nim trwa nieprzerwany postęp. A narody są jak ludzie. Jedne tworzą bliższą rodzinę, inne dalszą. Amerykanie i Niemcy posiadają wspólne wspaniałe korzenie – wspólnych dziadków, pragermańskie źródła, doświadczenia zreformowanej wiary i wspólne umiłowanie demokracji. Demokratyczna Ameryka i demokratyczne Niemcy. Dwie komory jednego światowego serca! Wspólnie odpowiedzialne za ład świata, za przyszłość, za pokój!”

„Stern”, uczeń Einsteina i asystent Wernera Heisenberga, na miejsce spotkania wyznaczył mały, pusty o tej porze kościółek na Starym Mieście.

– Jestem obserwowany, ale nie dość czujnie – powiedział Aleksandrowi. – Kogo w końcu może interesować emerytowany naukowiec na bocznym torze.

Rawski też był przekonany, że zmylił pogonie, oficjalnie bawił w majątku margrabiów von T., a podróż z Wolfgangiem odbywał w przebraniu starej kobiety.

„Stern” w najmniejszym stopniu nie przypominał Żyda, przeciwnie – wyglądał jak laboratoryjny ekstrakt aryjskości: jasne włosy, niebieskie oczy, prosty nos... Czy tłumaczyło to, dlaczego spokojnie przeżył lata wojny i mógł prowadzić prace naukowe?

– Byłem im potrzebny, bardzo potrzebny – zwierzył się Rawskiemu. – Wybitnych fachowców od podstawowych zagadnień fizyki mieli w istocie kilku, a ludzi, zdolnych podjąć wyzwanie budowy niemieckiej bomby atomowej, ledwie paru.

– I pracował pan dla nich?

– Musiałem, zakładnikiem była moja rodzina, przebywająca w Terezynie. Ale – dodał szybko, usprawiedliwiającym tonem – nie śpieszyłem się.

– Wiem, że jest pan w posiadaniu cennych informacji.

– Moją główną informacją jest brak informacji – powiedział naukowiec. – Pół roku temu zwolniono mnie z pracy w zreformowanym berlińskim Instytucie Fizyki. Już wcześniej nie wszedłem w skład „grupy ekspertów”, powołanej przez Ministerstwo Obrony. Wkrótce potem paru moich kolegów, zaproszonych do tego programu, zniknęło.

– Zaginęli?

– Bynajmniej, utrzymują z rodzinami kontakt korespondencyjny. Jednak adres miejsca ich pobytu pozostaje nieujawniony, a listy wyraźnie są cenzurowane i przepisywane na standardowych kartkach papieru...

– Wniosek?

– Dla mnie jest oczywisty. Jeśli Ministerstwo Obrony mobilizuje trust mózgów, trzyma ich w ukryciu, a wyklucza z prac człowieka, uznanego za element niepewny, z pewnością nie chodzi o badania sposobów walki z promieniotwórczymi skażeniami czy wykorzystanie materiałów rozszczepialnych w diagnostyce medycznej...

Jak na razie „Stern” nie powiedział żadnej rewelacji. O tajnym niemieckim programie atomowym Aleksander wiedział już od czasu pierwszej rozmowy z Pełczyńskim. Od paru miesięcy polski wywiad gromadził informacje, układające się w logiczną i przerażającą całość. Składały się na nią wzmożone zakupy rudy uranowej w Południowej Afryce, dokonywane za pośrednictwem podstawionych firm ze Szwecji, Szwajcarii i Argentyny. W każdej jednak z tych firm dominował kapitał niemiecki. Dodatkowo niepokoił fakt powołania w sierpniu 1946 wydzielonej jednostki badawczej, podległej bezpośrednio Urzędowi Kanclerskiemu, na której czele stanął profesor von Braun... Właściwie generał Wehrner von Braun. Twórca V-1 i prototypu V-2. Parę źródeł wskazywało, że właśnie von Braun skupił w swych rękach całość niemieckiego programu atomowego. Mogło to oznaczać, że trwają zaawansowane prace nie tylko nad samą bombą, ale również nad środkami jej przenoszenia.

– Musimy otrzymać bardziej konkretne informacje. Ile czasu, pańskim zdaniem, może potrzebować zespół von Brauna do wyprodukowania bomby atomowej?

– Rok, może pół roku – powiedział naukowiec – z tego, co wiem, prace były dość zaawansowane. Możliwe zresztą, że już ją mają.

– Pozostaje druga kwestia: gdzie zlokalizowano centrum badawcze, gdzie mogą powstawać prototypowe rakiety?

– Nie mam pojęcia.

– Rozumiem jednak, że może spróbować pan się dowiedzieć. Proszę podać swoją cenę!

„Stern” uśmiechnął się.

– Szybko przystępujesz do rzeczy, młody człowieku – rzekł. – A cena? Chciałbym wyjechać. Czeka na mnie katedra na uniwersytecie w Hajfie. Tam też chciałbym pozostawić kiedyś moje kości. W Niemczech nic mnie nie trzyma poza tajną opieką nowego gestapo. Moja Annemarie zmarła trzy miesiące temu, dzieci rozjechały się po świecie.

– Kiedy będzie pan gotów do wyjazdu?

– Natychmiast.

– W takim razie kiedy będzie pan mógł zasięgać języka?

– Być może profilaktycznie już zasięgnąłem.

Brawurowa operacja przypominała najlepsze z akcji Otto Skorzenego. Na podstawowe elementy akcji złożyły się fałszywy samolot sanitarny, który zabrał naukowca z łączki za miastem, pozorowany atak na bank w Getyndze i radiowe

zakłócenia w łączności lotniczej, które na dwie godziny dotknęły środkowoniemiecki obszar działania Luftwaffe. Przydała się również życzliwość rządu Czech, umożliwiająca lądowanie sanitarki na lotnisku pod Karlovymi Varami.

Informacje „Sterna” wraz z innymi danymi, zebranymi przez polski wywiad, pozwoliły zlokalizować parę miejsc, w których znajdować się mogło centrum von Brauna. Bezpośrednio podlegało mu kilkanaście zakładów doświadczalnych. Wszystkie umieszczono na terenach gęsto zaludnionych. Przeważnie wśród zabudowy mieszkalnej. Organizatorzy przedsięwzięcia doskonale znali psychikę swych przeciwników. Humanitaryzm, jakim kierowali się przywódcy czołowych państw Zachodu, i wrażliwość opinii publicznej na akcje, w których może ucierpieć ludność cywilna, zabezpieczały przed ewentualnością prewencyjnych bombardowań...

Właśnie konieczność ostatecznej weryfikacji śmiertelnych urządzeń sprowadziła Rawskiego do parku Tiergarten. Było to jedno z bardziej prawdopodobnych miejsc usadowienia centrali von Brauna. Za czasów hitlerowskich działała tam podziemna fabryka broni, podobno zatopiona wodami Szprewy podczas alianckich nalotów na Berlin w czerwcu 44. Obecnie niedaleko owego punktu znajdowały się jakieś niewielkie, kontrolowane przez Ministerstwo Obrony zakłady, oficjalnie produkujące maski gazowe. Była tam jednak osłonięta rampa kolejowa, a sam wstęp na teren graniczył z niepodobieństwem.

Wieczorem 20 października Aleksander długo słuchał Londynu. Na falach BBC transmitowano spotkanie, jakie w Oksfordzie miał ze studentami nauk politycznych doktor Hans Frank, aktualny wykładowca prawa międzynarodowego w Princeton University – ongiś jeden z hitlerowskich hierarchów, obecnie najżagorzalszy krytyk postfasyzmu.

„Można zaryzykować paradoksalne twierdzenie, że nieszczęściem Niemiec stało się pokojowe zakończenie dyktatury – mówił – że kraj został tylko częściowo pobity, a nie podbity. Nazizm jest bowiem rakiem, którego zamach 20 lipca pozbawił jedynie części tkanek. Oczywiście – zaprzestano tropienia Żydów i rozpoczęto przywracanie mienia ocalałym z Holocaustu (každorazowo w trybie indywidualnych procesów cywilnych), zamknięto obozy koncentracyjne, odsunięto także najbardziej skompromitowanych przywódców w rodzaju Ribbentropa czy Bormanna. Aresztowano też wielu oprawców z gestapo i rozwiązano tę zbrodniczą strukturę. Nie odważono się jednak na otwarte uznanie NSDAP czy SS w całości za organizacje zbrodnicze. Podobnie wstrzymano się z uznaniem ustawodawstwa Trzeciej Rzeszy za nieważne od samego początku kanclerstwa Hitlera. Zawieszono jedynie bardziej kontrowersyjne akty (choćby osławione ustawy norymberskie). W efekcie szumnie reklamowana weryfikacja kadr służb specjalnych czy byłej SS okazała się więcej niż pobieżna, praktycznie nie tknięto struktur Wehrmachtu. Nie zlustrowano korpusu

urzędniczego. Poza wszelką oceną pozostało sądownictwo. Najszybciej przebiegło przywracanie akademickich katedr naukowcom, usuniętym po 1933 roku, ale ilu ich było... Zaś rozwiązana NSDAP błyskawicznie odrodziła się w nowej, przefarbowanej postaci. Najgorsze, że nie doszło do wielkiej, oczyszczającej debaty publicznej na temat korzeni i pozostałości nazizmu. Uznano je za swoistą «hańbę domową», a śmieci wmieciono pod dywan. Hurranaziści na niecały rok przyczaili się jak zajęc w brudzie, by przy pierwszej okazji podnieść głowę. Boję się o Niemcy, proszę państwa, bardzo boję się o Niemcy!”

– I kto to mówi?! – skomentował Aleksander, wyłączając radio.

Na rekonesans postanowił wybrać się wczesnym rankiem, w porze, o której klasa robotnicza z niemiecką punktualnością wyruszała do pracy. Zadanie miał niełatwe. Czuł, że jest inwigilowany coraz dokładniej, a zaciskająca się wokół niego sieć staje się coraz bardziej ścisła. Po ucieczce „Sterna” cały aparat bezpieczeństwa musiał wzmóc czujność.

Około piątej, nie zapalając światła, opuścił mieszkanie. Wszedł na strych, potem na dach, sunąc między kominami i facjatami, dotarł do klapy w stropie budynku po przeciwnej stronie kwartału. Zszedł na przypominające studnię podwórko. Miał zawczasu dorobione klucze od bramy, a w wynajętej komórce przechowywał rower. Przed wyjściem ubrał się jak typowy śpieszący do roboty proletariusz. Miał wszystkie odpowiednie dokumenty, książeczkę pracy, w której figurował jako „pracownik zieleni miejskiej”, a nawet doskonale podrobioną legitymację partyjną NAP-u. Ekwipunku dopełniały pistolet i licznik Geigera, ukryte pod drugim śniadaniem i ciepłym swetrem w starej, sfatygowanej teczce. Nikt go nie ścigał, mijając jeden z posterunków w pobliżu Reichstagu instynktownie zwolnił, ale policjant tylko machnął ręką: „Jechać dalej”. Rower pozostawił w zaroślach w pobliżu Szprewy. Dalej ruszył pieszo. Zdaniem „Sterna” podziemny obiekt doświadczalny powinien posiadać szyby wentylacyjne, a przy nich odpowiednio czuła aparatura powinna odnotować wzmożone promieniowanie. Jak do tej pory nie zauważył, żeby ktokolwiek obserwował jego eskapadę. Po jakimś czasie doszedł do wysokiego ogrodzenia. Ostrzegawcze napisy mówiły, że jest to miejsce poboru wody pitnej, a wejście nieupoważnionych będzie karane. Znalazł furteczkę. Wprawdzie zamkniętą na kłódkę, ale dysponował uniwersalnymi wytrychami.

Poszedł dalej.

– *Halt! Ausweis bitte!*

Odwrócił się i ujrzał cywila w płaszczu i wojskowych butach. Strażnik? Stern mówił, że na powierzchni nie powinno być strażników, bo ci mogli tylko niepotrzebnie zwracać uwagę. A jednak... Alek sięgnął po teczkę. Cywil podszedł szparko do niego, jednak nie zamierzał oglądać żadnych dokumentów. W ostatniej chwili Aleksander

odskoczył. Ostrze bagnetu przejechało mu po żebrach, nie sięgając serca. Morderca zaklął cicho, chciał ponowić cios, ale potknął się o jakiś korzeń. To wystarczyło Rawskiemu: wydobył broń, strzelił...

Z oderwanych rękawów koszuli zrobił opatrunek, aby choć częściowo powstrzymać upływ krwi, potem naciągnął sweter. Dygotał z zimna, mimo że jak na październik poranek należał do stosunkowo ciepłych. W każdej chwili spodziewał się przybycia policji. Park jednak był cichy, senny. Świadom, że wiele ryzykuje, wrócił do pozostawionego roweru. Zaraz obok dostrzegł drugi, należący zapewne do trupa. Czyżby inwigilował go tylko jeden agent? A może były to rutynowe działania? Uważano go za polskiego szpiega, ale zlekceważono, nie przypuszczając nawet, że znalazł się najbliżej największej tajemnicy państwowej. W końcu operacja wywiezienia „Sterna” poszła na konto Czechów. Pod bzdurnym powodem wydalono z ich ambasady pięciu dyplomatów. Jeden z nich, trzeba trafić, poprzedniego dnia bawił w Getyndze! Rawski próbował pocieszać się myślą, że decyzję o jego likwidacji agent podjął nagle, na własną rękę, nie meldując nikomu. Ani przy zwłokach, ani przy rowerze nie znalazł radia.

Skręcając się z bólu, dotarł do bulwaru i dowlóknął się do budki telefonicznej.

Wykręcił numer mieszkania kontaktowego, w którym powinien dyżurować porucznik Nowaczek. Nikt nie odpowiadał, po trzech dzwonek odezwał się tylko dziwny trzask. Odłożył słuchawkę. Czuł narastającą panikę i ogrom osamotnienia w obcym mieście. Nagle przypomniał mu się ten norweski dziennikarz, Karl Frahm. Przypadkowo zapamiętał jego bardzo łatwy telefon, ciąg liczb pierwszych. Musiał komuś zaufać.

Frahm nie zadawał zbędnych pytań. Przysłał jakąś dziewczynę imieniem Liza. I ta zabrała Aleksandra z bulwaru. Wcześniej utopił w Szprewie licznik Geigera i pistolet.

Jak się okazało, Frahm miał mnóstwo przyjaciół. Jeden założył Polakowi opatrunek, drugi udzielił mu gościny w swej willi w Köpenick, jeszcze inny zadbał o usunięcie z parku zwłok i rowerów.

Nie został nawet najmniejszy ślad, że ktokolwiek odkrył podziemne centrum.

– Przyjaciele naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi – scharakteryzował swoje podejście do sprawy Karl. – My też walczymy o inne Niemcy.

To, że Rawski ocalał, dowodziło jego nieprawdopodobnego szczęścia. Tej nocy rozbito polską siatkę w Berlinie. Zginęła czwórka agentów. Nowaczek, Antkowiak, Klara Bayer, Sztompke... Rzecznik krypto za wszystkie „pożałowania godnie incydenty” obciążył odpowiedzialnością niezidentyfikowanych bandytów. Tak czy owak, Aleksander był w Niemczech spalony. Mimo statusu dyplomatycznego ujawnienie się groziło utratą życia. Frahm, szczęśliwy posiadacz podwójnego obywatelstwa, zaproponował wyjazd na jego norweskim paszporcie.

– Sadzę, że wymiana zdjęcia nie sprawi wam przykrości. Ja za parę dni zgłoszę kradzież dokumentów.

Rawski z ciekawości otworzył paszport, chcąc dowiedzieć się, jak się nazywa w Norwegii jego przyjaciel. I dowiedział się: Willy Brandt.

Z okazji Święta Niepodległości wieczorem 11 listopada 1946 roku spotkali się na Zamku w Warszawie zaproszeni goście – prezydent Francji Charles de Gaulle, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Joseph McCarthy i ekspremier Zjednoczonego Królestwa Winston Churchill. W roli gospodarzy obok prezydenta Edwarda Raczyńskiego występował premier Władysław Anders i prymas Hlond. Wśród wielu zaproszonych znakomitości zauważono szefa polskiego wywiadu zagranicznego, generała Tadeusza Pełczyńskiego, dotąd rzadko biorącego udział w podobnych imprezach. Niewielu wie o drugim, tajnym spotkaniu, odbytym po północy, w którym obok zagranicznych gości udział wzięli tylko Anders i Pełczyński. Jako szef grupy ekspertów pojawił się tam również Aleksander Rawski.

Anders nie owijał sprawy w bawełnę.

– Rząd kanclerza Dönitza znajduje się o krok od uzyskania broni atomowej, dysponuje również techniką raketową, umożliwiającą przenoszenie środków zagłady.

Stwierdzenie to wywołało konsternację gości. Szczególnie zaskoczony był wiceprezydent McCarthy. Były senator z Wisconsin, należący, w przeciwieństwie do Deweya, do prawego skrzydła Partii Republikańskiej, miał mgliste pojęcie nawet o amerykańskim programie atomowym. De Gaulle również wyraził zdziwienie, zauważając, że przecież w wielostronnych porozumieniach rozejmowych rząd Niemiec zobowiązał się poniechać jakichkolwiek badań nad technikami raketowymi.

– Proszę zatem posłuchać najnowszych doniesień z Berlina. – Pełczyński poprosił Rawskiego o zabranie głosu. Ten krótko scharakteryzował sytuację. Posługując się mapą, wskazał lokalizacje podległych von Braunowi obiektów.

– Udało nam się potwierdzić, że na terenie dawnego więzienia w Spandau powstał zakład produkcji rakiet... Podziemne reaktory, zajmujące się uzyskiwaniem wzbogaconego uranu, zlokalizowano pod parkiem Tiergarten, inne laboratoria znajdują się w rejonie Alexanderplatz, wreszcie same wyrzutnie ukryto w rejonie Wyspy Muzeów.

– Jestem pod wrażeniem operatywności waszych służb – powiedział Winston Churchill. – Jako polityczny emeryt nie dysponuję aktualnymi informacjami, ale nie przypuszczam, żeby nasze MI 6 dysponowało podobnymi danymi.

– Możemy mówić o szczęściu – uśmiechnął się Anders. – W 44 wskutek grudniowej rewolty w Moskwie sporo akt NKWD, sowieckiego wywiadu i kontrwywiadu znalazło się na wolnym rynku. Niektóre kupiliśmy. Przejęliśmy też

sporo bolszewickich agentów na terenie Niemiec...

– A co z agentami w USA? – zainteresował się McCarthy.

– Nie mówmy o szczegółach operacyjnych. Powiedzmy: wiemy coś niecoś z pierwszej ręki o badaniach prowadzonych w Los Alamos przez grupę Fermiego i Oppenheimera, których celem miało być wyprodukowanie późną wiosną 1945 roku nowej bomby o niewiarygodnej sile rażenia. Wskutek karygodnych zaniechań administracji prezydenta Deweya dziś, w półtora roku od pierwotnego terminu, nie przeprowadzono nawet jednej próbnej eksplozji.

– Zapewne prezydent Dewey uznał, że w obliczu rozpadu ZSRR i kapitulacji Japonii tak śmiertcionośna broń nie będzie światu potrzebna – powiedział Churchill. – Wiem, że w tej sprawie zwrócili się do niego intelektualiści na czele z Einsteinem...

– Za to kanclerz Karl Dönitz nie interesuje się niczyją opinią poza własną.

– Natychmiast po powrocie poinformuję o tym wszystkim naszego prezydenta – powiedział wstrząśnięty informacjami McCarthy.

– Biorąc pod uwagę, że fascynacja Deweya Grossadmiralem Dönitzem przewyższa nieodwzajemnione uczucia Franklina Delano wobec Stalina, czy jest pan pewien, że odniesie to jakikolwiek skutek? – zapytał Anders.

Wkrótce po owym tajnym spotkaniu Aleksander Rawski opuścił Polskę. Nawet Pełczyński nie był w stanie zabezpieczyć go przed zemstą ludzi Dönitza. Pod zmienionym nazwiskiem wyjechał do Australii, później zamieszkał w Nowej Zelandii, wreszcie w latach 50. przeniósł się do Paryża, gdzie został współnikiem międzynarodowej firmy adwokackiej mecenasów Smitha i Lasalle'a. Warszawskie biuro otworzył dopiero po ośmiu latach. Przez ten czas Nataszka pozostawała pod dyskretną opieką księżnej Delfiny. Ukończyła z wyróżnieniem pensję, prowadzoną przez siostry felicjanki w Marysinie Wawerskim, stając się pod każdym względem damą... Oczywiście pisywała do mecenasa listy, on rewanżował się pocztówkami i prezentami na Boże Narodzenie, jednak w wyobraźni Rawskiego pozostawała ciągle biednym sowieckim dzieckiem.

Z błędu wyprowadziło go dopiero spotkanie na lotnisku Okęcie. Czekwała na niego przy fontannie w gmachu ogromnej hali przylotów. W pierwszej chwili zdało mu się, że wyszła naprzeciw królewna ze wschodnich bajek, w drugiej poczuł ogromną dumę, że aktualny status dziewczyny jest w dużej mierze jego zasługą, a w trzeciej... że być może brak pokrewieństwa między nimi to fantastyczne zrządzenie losu.

– Natasza! – zawołał, otwierając ramiona jak dziecko na reklamie Polskich Linii Lotniczych. I się ocknął...

Warczał projektor. Film o najnowszych dziejach Polski i świata jeszcze się nie skończył.

Czwarty czwartek listopada. Dzień Dziękczynienia. Atlanta. Tłumy mieszkańców Georgii, zgromadzone wzdłuż Peachtree Avenue, witają prezydenta Deweya, dokonującego roboczego objazdu kraju. Jego hasło „Pokój i gospodarka” budzi spontaniczne poparcie. Orkiestry murzyńskie grają ragtime’y, tłum cheerleaderek tworzy radosny, falujący szpaler. Stojąc w otwartej limuzynie, prezydent pozdrawia obywateli. W planie ma wizytę w Savannah, gdzie będzie uczestniczył w ceremonii wodowania transatlantyka dla niemieckiego armatora. Transatlantyk ma nosić nazwę „Schleswig-Holstein”.

Sypie się confetti, unoszą kolorowe baloniki. Na wprost w centralnym punkcie skweru wznosi się gigantyczna rzeźba indyka, wykonana z papier mache. Indyk jest naturalnym bohaterem dnia, choć zdaniem Deweya z dzioba za bardzo przypomina drapieżnego ptaka. Prezydent zatrzymuje na nim swój wzrok. Indyk otwiera lewe oko...

W ogólnym hałasie nikt nie usłyszał strzału. Ochrona zauważyła dopiero grymas na twarzy Deweya, a zaraz potem purpurową różę, wykwitającą na jego piersi. Było po wszystkim.

Komisji śledczej udało się ustalić, że sprawcą zamachu był jeden człowiek, posługujący się pseudonimem „Martel”. Wszystkie inne dane okazywały się sprzeczne. Wedle jednych zamachowiec był Kreolem z Nowego Orleanu, wedle drugich błękitnookim mieszkańcem kanadyjskiego Quebecu, w trzeciej wersji Murzynem z Martyniki.

Nigdy nie został złapany. Nie znaleziono jednak dowodów, że ktokolwiek inny uczestniczył w spisku na życie prezydenta. Sugestie prasy brukowej, że związany był ze środowiskiem uchodźców z Francji – kolaborantów Vichy, nie znalazły potwierdzenia.

– Rzadko kiedy jeden czyn szaleńca w tak istotny sposób mógł przyspieszyć bieg dalszej historii – opowiadał kolejny komentator z filmu, wieloletni ambasador Polski w Waszyngtonie, późniejszy premier Jan Nowak-Jeziorański, komentując po latach awans McCarthy’ego, wybranego zresztą w 1948 roku na kolejną kadencję. – Tragedia ta wzmocniła niewątpliwie w amerykańskich elitach wolę obrony podstawowych wartości cywilizacji Zachodu, umożliwiając powstanie Drugiej Wielkiej Koalicji. 10 marca 1947 roku w Wersalu spotkali się nowy prezydent USA Joseph McCarthy, prezydent Francji generał Charles de Gaulle i powołany ponownie mimo sędziwego wieku na stanowisko Pierwszego Lorda Admiralicji, osobisty wysłannik Jego Królewskiej Mości Jerzego VI, Winston Churchill. W rozmowach uczestniczył również premier Rzeczypospolitej Polskiej, marszałek Władysław Anders. Spotkanie poświęcone było omówieniu nowego ładu w powojennej Europie i przyspieszeniu

traktatu pokojowego. Nowe Niemcy reprezentował minister spraw zagranicznych, admirał Wilhelm Canaris, który jednak opuścił konferencję już po pierwszej turze rozmów, twierdząc:

– Każda próba rzucenia Niemiec na kolana oznacza polityczne szaleństwo.

Powiem krótko – negocjacje tak, kapitulacja nie!

Historia nabrała przyśpieszenia. W swoim słynnym wystąpieniu radiowym 10 kwietnia Charles de Gaulle powiedział:

– Przyszła Europa wymaga zgody i spokoju, a nie resentymentów i nienawiści. Przywódcy niemieccy, którzy objęli władzę po zamachu 20 lipca 1944 roku, a następnie potwierdzili swój mandat w wolnych wyborach, zobowiązali się do rezygnacji z imperialnych zakusów, do gruntownej denazyfikacji, zadośćuczynienia krzywd, osądzenia zbrodniarzy wojennych. Czy Nowe Niemcy niecałe trzy lata po wojnie wywiązują się z tych zobowiązań? Z niepokojem obserwujemy militaryzację gospodarki, odmowę inspekcji międzynarodowych, szaleństwa bojówek „Schirachjugend”... Francuzi, pomóżcie mi!

Kanclerz Dönitz nie pozostał mu dłużny. Przemawiając 17 kwietnia do słuchaczy Akademii Marynarki Wojennej w Szczecinie, stwierdził:

– Niemcy są wielkie, suwerenne i świadome własnej godności. Takimi też pozostaną. Biada tym, którzy spróbują to zmienić i upokorzyć nasz naród!

W niecały tydzień później, 23 kwietnia, na forum Izby Gmin zagrzemiał jak stary lew Winston Churchill:

– Społeczeństwa wolnego świata domagają się jednoznacznej odpowiedzi od rządu Niemiec. Czy w warunkach europejskiej stabilizacji dalsza rozbudowa potencjału militarnego nie oznacza przygotowań do wojny?

1 maja podczas rozpoczętego w Weronie procesu hierarchów faszystowskich zabrał głos Benito Mussolini:

– Oni wam jeszcze pokażą! – wołał. – Nie wiecie, na co stać Niemcy. To potomkowie dzikich Wandalów, Ostrogotów i Longobardów, którzy zniszczyli Rzym!

5 maja na forum Ligi Narodów w Genewie prezydent McCarthy postawił kropkę nad i:

– Żądamy szybkiej międzynarodowej kontroli na całym terytorium Niemiec.

– To ultimatum czy szczekanie buldoga? – zapytał już nazajutrz Baldur von Schirach na wiecu w Hali Ludowej w Breslau.

– Tak, to ultimatum – odpowiedział mu McCarthy, zabierając gościnnie głos 7 maja w londyńskiej Izbie Lordów.

Ripostą von Schiracha miała być wielka manifestacja. Na 13 maja zwołał powszechny zlot weteranów SS i SA oraz kadr partyjnych do Berlina. Świat miał zobaczyć jedność Niemiec. A naród własną siłą! Eksperci nie mieli wątpliwości:

„berliński marsz” miał wymusić rozwiązanie parlamentu i przejście przez Dönitza pełni władzy.

Sekwencję coraz szybszych i krótszych komunikatów zakończyła datowana na 10 maja informacja obserwatorium astronomicznego w Papeete – stolicy Oceanii Francuskiej, zacytowana następnie jako ciekawostka przez większość wielkich prasowych agencji:

„O godzinie 11.59 około 400 kilometrów na południe od Tahiti zaobserwowano gigantyczny błysk, a następnie powstanie olbrzymiej chmury w kształcie grzyba, która przysłoniła niebo. Niezwykłemu zjawisku towarzyszyły wstrząsy sejsmiczne, rejestrowane nawet w nowozelandzkim Auckland, w Honolulu na Hawajach i odległej peruwiańskiej Limie. W rejonie katastrofy pojawiły się nieprzebrane ilości martwych ryb, a na okolicznych wyspach stwierdzono intensywne opady deszczu. Według wstępnych ocen naukowców mieliśmy do czynienia z upadkiem wielkiego meteorytu. Inni eksperci łączą to zjawisko ze wzmożoną aktywnością sejsmiczną, towarzyszącą być może wybuchowi nowego, podmorskiego wulkanu. W tym kontekście warto zauważyć, że do wstrząsów w podobnej skali doszło przed paru miesiącami na terenach amerykańskiego Południowego Zachodu. Brak wiadomości o ofiarach śmiertelnych wśród ludzi. We wspomnianym rejonie Pacyfiku nie stwierdzono w tym czasie obecności żadnych jednostek pływających poza dwoma oceanograficznymi statkami z Niemiec”.

Nie potraktowali tego wydarzenia jak ciekawostki czołowi przywódcy wolnego świata, którzy 11 maja 1947 roku spotkali się na pokładzie lotniskowca „Franklin D. Roosevelt”, który właśnie wpłynął na wody Morza Północnego. Fragment ówczesnej kroniki pokazywał wnętrze salonu oficerskiego, zasłonięte okna i czwórkę mężczyzn – McCarthy’ego, Churchilla, de Gaulle’a i Andersa, rozmawiających bez pośrednictwa tłumaczy, adiutantów, stenografów...

O czym dyskutowali? Można się domyślać, że Anders przypominał propozycję Piłsudskiego z 1933 roku – pomysł wojny prewencyjnej, kiedy hitlerowskie państwo dopiero raczkowało...

W roku 1952 odniosła duży sukces sztuka telewizyjna amerykańskiego dramaturga Arthura Millera „Zatopić transatlantyk”, ukazująca dylematy dowództwa łodzi podwodnej, rozważającego atak na wycieczkowy transatlantyk „Walhalla”, pełen urlopowiczów, przewożący w swej ładowni prototyp śmiertelnej broni bakteryjnej i grupę gotowych na wszystko terrorystów-anarchistów.

Alegoryczność dramatu była dla widzów oczywista, pod postaciami – komandora, ministra, pierwszego oficera czy eksperta bez trudu można rozpoznać czołowych aktorów światowego dramatu. Fragment tego spektaklu wszedł w skład historycznego filmu, oglądanego przez Rawskiego.

Komandor (ucharakteryzowany na McCarthy'ego) nie miał wątpliwości: Trzeba uniemożliwić dotarcie tego ładunku na kontynent, a przy okazji raz na zawsze skończyć z tymi sukinsynami, pragnącymi szantażować nim świat!

Minister (Churchill): Zgadzam się z opinią komandora. Co nie zmienia faktu, że będzie to zbrodnia z premedytacją. Zginie mnóstwo niewinnych ludzi.

Ekspert (Anders): Ile istnień ludzkich kosztować może epidemia, jeśli ładunek dotrze do lądu? Dziś zbrodniarze dysponują tylko jednym pojemnikiem, który znajduje się w ładowni. Pomyślmy, czym mogą dysponować jutro? A za rok?...

Pierwszy oficer (de Gaulle): Zastanawiam się, czy rozsądniejsza część załogi w ogóle zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie wiedzą o naszej akcji i o naszych torpedach. A gdyby wiedzieli? Czy nie byłoby możliwe podjęcie jakiejś akcji od wewnątrz? Przecież gdyby samozwańczego dowódcę odsunąć od steru... Statek mógłby jeszcze zawrócić, zatopić śmiertelny ładunek na środku oceanu...

Ekspert: Mamy na to bardzo niewiele czasu. Pojutrze „Walhalla” przybija do wyspy. Prawdopodobnie opuści ją profesor i większość bandziorów.

Pozostanie sam ładunek i nie zdający sobie sprawy z niczego wycieczkowicze.

Komandor: Jednak chyba rzeczywiście powinniśmy spróbować. (Zwracając się do pierwszego oficera): Podejmiesz się tego zadania, Charles?

Generał de Gaulle, podobnie jak pierwszy oficer w sztuce Millera, podjął się rozmowy „ostatniej szansy”. Jego partnerem miał być minister Canaris, który, mimo słabnącej pozycji, ciągle pozostawał szefem niemieckiej dyplomacji.

Nie zahamowało to naturalnie przygotowań do operacji „Cios w serce”. Z Berlina „na znak protestu przeciw neohitlerowskiej hecy” ewakuowano do Lipska i Magdeburga cały międzynarodowy personel dyplomatyczny.

Równocześnie kierownictwo opozycyjnego Frontu Antyfaszystowskiego, łączącego chadeków, socjalistów, konserwatystów i liberałów, ogłosiło „Rodzinny protest” – masową kontrademonstrację w Poczdamie, na której, jak głosiła odezwa, winien stawić się każdy Niemiec, zwolennik wolności i pokoju – mężczyźni i kobiety, a nawet starcy i dzieci. Wszyscy! Hasło końcowe: „To sprawa naszego honoru i instynktu samozachowawczego, kwestia życia i śmierci”, wskazywało, że przynajmniej kilka osób w kierownictwie opozycji zdawało sobie sprawę z rzeczywistego zagrożenia. Może zresztą alianci dopuścili do jakiegoś kontrolowanego przecieku.

Dönitz natomiast zlekceważył zarówno protesty opozycji, jak ostrzeżenia płynące z zagranicy. Manewry alianckie uznawał jedynie za „walkę nerwów”, próbującą niezdarnie przeszkodzić ogólnoniemieckiej konsolidacji. Czym bowiem mogła zagrozić mu „nowa koalicja”, nawet jeśli rozgryzła jego atomowe plany: nalotem dywanowym? Luftwaffe panowała w powietrzu. Akcją dywersyjną? Kontrwywiad twierdził, że nie ma takich zagrożeń. Atakiem wojsk lądowych? Czyich – czeskich? Belgijskich?

Zdaniem ekspertów berlińskie centrum mogło czuć się bezpieczne.

Planując odbudowę Trzeciej Rzeszy, potrzebował zespolenia narodu. Czuł presję czasu. Atomowy finisz był tuż-tuż. A potem w warunkach nuklearnego monopolu mógłby podyktować swoje warunki Europie i światu.

Czy mógł być tego monopolu pewien? Siatka szpiegowska z USA nie sygnalizowała żadnych poważnych niebezpieczeństw. Dwóch najważniejszych agentów w Waszyngtonie donosiło o fiasku programu „Manhattan”. Nikt w Niemczech nie wiedział, że po zdemaskowaniu obaj zostali przewerbowani przez amerykańskie tajne służby.

Mimo wszystko Canaris przybył do Strasburga. De Gaulle gotów był zagrać w otwarte karty. Powiedzieć mu prawdę, wskazując alternatywę: albo pełne rozbrojenie pod kontrolą międzynarodową, albo „Mały chłopiec”, „Tłusty Joe” czy „Różowa świnka” spadną na Niemcy. Rozmowa w cztery oczy w strasburskim ratuszu trwała wyjątkowo krótko, niespełna kwadrans. W czternastej minucie spotkania wezwano karetkę reanimacyjną. Były szef Abwehry doznał rozległego udaru serca. Dziesięć minut później lekarze stwierdzili jego zgon. O godzinie 24 czasu Greenwich Churchill zadzwonił pod prywatny numer kanclerza Dönitza w dzielnicy Charlottenburg. Kanclerz i Wódz (jak nieoficjalnie coraz częściej lubił się tytułować Dönitz) nie odbierał telefonu... Rano kanałami dyplomatycznymi zaproponował ewentualne rozmowy w dalszym terminie.

Wydarzenia 13 maja nie pozostawiły po sobie żadnych zdjęć ani filmów. Toteż twórcy polskiego dokumentu posłużyli się scenami skopiowanymi, za zgodą MGM, z hollywoodzkiego supergiganta, pochodzącego 1951 roku, a zatytułowanego „Berlin, godzina 0”. Z Gary Cooperem w roli Dönitza i Laureen Bacall jako Ewą Braun. Baldura von Schiracha zagrał James Stewart, który specjalnie do tej roli przytył piętnaście kilo, a olbrzymią replikę Unter den Linden, Bramy Brandenburskiej, Reichstagu i Alei Nowych Niemiec uznano za największą dekorację w historii kina.

Końcowe sceny filmu rozpoczynała rozległa panorama miasta z lotu ptaka. Stworzenie trzyminutowej iluzji miasta ogarniętego amokiem wymagało wybudowania kilkudziesięciometrowej makiety i zaangażowania mnóstwa animatorów, wypożyczonych z wytwórni Walta Disneya. Wspomniana panorama ukazywała najistotniejszy element – poza ścisłym centrum i główną promenadą miasto wyglądało jak opustoszałe, większość berlińczyków posłuchała antyfaszystowskiego apelu i udała się do Poczdamu. Obliczano, że wezwania opozycji posłuchało około dwóch milionów Niemców.

Następne ujęcia rozgrywały się już w studyjnych dekoracjach. Na całej długości Unter den Linden i Siegesallee zgromadziły się tłumy. Zwolnieni z więzień oprawcy, weterani SS, starzy członkowie partii i demagodzy nowego chowu spływali grupkami,

koncentrując się wokół znaków bojowych, sztandarów i transparentów, takich jak „Kristallnacht”. Z głośników znów rozbrzmiewała do niedawna zakazana „Horst Wessel Lied” i podobne pieśni „z dawnych, dobrych lat”. Oprócz hitlerowskich hierarchów, wśród których brylowali Bormann i Ribbentrop, wychynęli z ukrycia również mniej znani bohaterowie Tysiącletniej Rzeszy. Komendant Oświęcimia Hess, Adolf Eichmann, były szef gestapo Müller, pojawili się w pierwszym szeregu starej gwardii, obsypywani kwiatami przez oszalałych sympatyków. Wśród nich znalazła się nowa deputowana NAP, wybrana w wyborach uzupełniających w okręgu Berchtesgaden, jasnowłosa Ewa Braun.

Ponieważ Dönitz wyznaczył sobie rolę jedynie arbitra, przyjmującego defiladę z trybuny ustawionej pomiędzy Reichstgiem a Bramą Brandenburską, rolę wodzireja przejął Baldur von Schirach.

„Dziś do nas należą Niemcy, a jutro cały świat!” – wołał, składając raport kanclerzowi i nazywając go najlepszym następcą Führera. „Jeśli Ojczyzna tego zażąda, naszych wrogów wytępimy jak insekty!”

„Heil Schirach, heil Schirach!” – wyły tłumy.

Na zegarze z wieży berlińskiego Rathausu – punkt dwunasta. Salut z armat nad brzegiem Szprewy daje sygnał parady. Szeroką promenadą w stronę Kolumny Zwycięstwa ruszają poczty sztandarowe – prowadzi je sam Schirach wraz z feldmarszałkami von Rundstedtem i wielkim przegrany spod Stalingradu, von Paulusem. Za nim postępują weterani SS i SA, zwolnieni z więzień komendanci obozów koncentracyjnych. Kadra NSDAP – Bormann, Kaltenbrunner, Ribbentrop, Seyss-Inquart. Idą mordercy Skorzenego, kaci od Heydricha i Müllera, współpracownicy Goebbelsa, weterani gestapo, kripo, Allgemeine SS, bohaterowie Waffen SS, strażnicy z Totenkopferbande oraz aparaczczyki z Sicherheitsdienst... Zaraz za nimi na rydwanie, w stroju Walkirii, jedzie Ewa, obok niej dwuipółletni Adolf Pogrobowiec, owoc ostatniego pobytu Führera w Berchtesgaden, a może tylko dzieło genetycznych zabiegów zespołu doktora Morella. Dönitz unosi rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Skoro naród sobie tego życzy, Trzecia Rzesza będzie wskrzeszona.

Kolejne sekwencje filmu przecinane są widokiem wskazówek ratuszowego zegara.

O godzinie 12.12 szef Abwehry, Schellenberg, odwołuje kanclerza z trybuny. Jest silnie wzburzony. Grossadmiral z uśmiechem odrzuca wiązanek kwiatów, którą ciśnięto z tłumy na trybunę, i schodzi do niewielkiego pomieszczenia pod podium.

– Mam wiadomość najwyższej wagi – wąskie usta Schellenberga drżą. – Obcy samolot naruszył naszą przestrzeń powietrzną i kieruje się w stronę Berlina.

– Wysłać myśliwce i zestrzelić! – cedzi krótko Dönitz.

– Obawiam się, że to niewykonalne, panie kanclerzu.

– *Warum?*

– Nie mieliśmy dotąd do czynienia z podobną maszyną. To najwyraźniej prototypowy odrzutowiec nowej generacji, którego produkcję, według danych naszego wywiadu, Amerykanie mieli rozpocząć dopiero za dwa lata...

– Tak czy owak, zmuscie maszynę do lądowania albo zestrzelcie.

– Będziemy próbować, mój zastępca rozmawia już z dowództwem Luftwaffe i dowództwem obrony przeciwlotniczej. Jednak obca maszyna porusza się z szybkością przekraczającą prędkość dźwięku, około 1900 kilometrów na godzinę. Znajduje się na pułapie 11 tysięcy metrów...

– A nasze naddźwiękowe messerschmitty?

– Są w bazach pod Königsbergiem, Breslau, Frankfurtem. Podrywamy je w powietrze, ale nie mają najmniejszych szans zdążyć.

– Trudno. Przeżyjemy jakoś to upokorzenie... Zaszkozić specjalnie nam nie może. Co najwyżej sfotografuje naszą defiladę...

– Nie sądzę, aby był to samolot szpiegowski, panie kanclerzu. Według raportu z Bremerhaven poniżej kadłuba maszyny zaobserwowano podwieszony ładunek, przypominający dużą bombę.

– Jedną bombę? – twarz Dönitza kamienieje. – Jesteście pewni? Jedną?

Do pomieszczenia wchodzi kilku oficerów. Kanclerz błyskawicznie rozdziela zadania. Wicekanclerz ma natychmiast przerwać defiladę, ogłosić alarm lotniczy i wezwać ludzi, aby udali się do tuneli metra. Inny ma porozumieć się z von Braunem. Jeśli to możliwe, niech ucieka tunelami na zachód. Trzeba zabezpieczyć pozostałe prototypowe rakiety w bazie w górach Harzu.

– To niemożliwe – odpowiada Schellenberg. – Są ciągle tu, w Berlinie!

Nad miastem wzbija się jęk syren.

Twarze ludzi z brunatnego tłumu wyrażają zdumienie, niedowierzanie, konsternację. Apele z głośników zostają jednak przyjęte ze zrozumieniem. Policja zaczyna kierować ludzi w stronę metra. Kolumny oczekujące na przemarsz na Unter den Linden zachowują się zgodnie z poleceniami. W gorszej sytuacji znajduje się czoło pochodu, maszerujące aleją Zwycięstwa. Wokół nich jest jedynie nie dający żadnej osłony park. Poczty zawracają, ale zdezorientowana kolumna weteranów nadal napiera do przodu. Dodatkowym zaczynem bałaganu staje się trybuna honorowa, wiadomości przekazywane z ust do ust sprawiają, że promineneci wpadają w panikę, na wyścigi pragnąc znaleźć schronienie w bunkrach pod Reichstagem lub Kancelarią Rzeszy. Łącznik na motorze zabiera Schiracha, inny oficer ochrony ściąga z rydwanu Ewę Braun.

Konie rżą i ponoszą...

„Ogłaszam alarm dla miasta Berlina, zdradzieccy jankesi bez wypowiedzenia wojny postanowili zbombardować bezbronne miasto” – rozbrzmiewa z głośników.

Tłumy pragną jak najszybciej opuścić aleje. Przedostać się na drugą stronę Bramy Brandenburskiej. Tysiące ludzi napierają na siebie, narasta wrzawa, wrzaski paniki mieszają się z jękami tratowanych. Rozpada się narodowosocjalistyczna dekoracja, uciekający aktywiści depczą własne chorągwie... W którymś momencie Ewa Braun znika pod powierzchnią spanikowanej gawiedzi. Mały Adolf wczołguje się pod trybunę. Zakrywa twarz rączkami.

Baldur von Schirach nie ma zamiaru chronić się w żadnym z bunkrów, w momencie, w którym dociera do niego informacja, co może czekać miasto, opuszczony przez własną obstawę samotnie przebija się pod prąd tłumów w kierunku zaułka, gdzie czeka jego opancerzony mercedes. Opuścić Berlin to lepsze niż schron. Nieprzyjemną niespodziankę sprawiają mu dwie młode aktywistki, niosące stratowane dziecko. Zastąpiwszy mu drogę do samochodu, domagają się, by zawiózł malca do szpitala.

– *Raus!* – woła, a gdy to nie skutkuje, strzela do młodej dziewczyny w mundurku. Strzela i do drugiej, mającej czelność wołać: „Dlaczego uciekasz, tchórze?!” – Kretynki, przecież nie robi tego dla siebie, tylko dla Niemiec.

Jak wichur przebiega alejkami parkowymi, przecina puste zoo wśród popłochu zwierząt, przeczuwających tragedię. „Kierunek Poczdam” – powtarza kierowcy, dziwnie pewien, że tam będzie bezpieczny. Niestety zaraz za Dworcem Zoo zaczyna się gigantyczny korek. Mercedes jak szarżujący bawół posuwa się chodnikami, taranując uciekających ludzi. Grzęźnie, zablokowany przez tramwaj, który zderzył się z ciężarówką na skrzyżowaniu Kant- i Leibnitzstrasse. Cofając się wśród przekleństw Schiracha, ścina latarnię i zderza się z rozpedzonym autobusem, należącym do orkiestry w strojach tyrolskich...

W tym samym czasie Dönitz z trudem wspina się na opustoszałą trybunę pod czarnym orłem. Jest sam, jeśli nie liczyć martwych i konających. Jak dowódca tonącej łodzi podwodnej omiata wzrokiem przestrzeń wokół. Twarz ma kamienną, nieprzeniknioną. Nie zamierza nigdzie uciekać. Wie, że jeśli Amerykanom się uda, jakakolwiek ucieczka nie ma sensu. Była bitwa, on ją przegrał. Zapala papierosa, rozpina swój paradny płaszcz admirański i wpatrzony w bezchmurne niebo nad Berlinem – czeka.

Następną sekwencję wypełniają nagrania, pochodzące z amatorskich kamer wielu uczestników Poczdamskiego Pikniku. Pokazują one olbrzymie rzesze berlińczyków, zgromadzone na trawnikach, w parkowych alejkach i wokół jezior, a także na dziedzińcach pałacowych od Cecilienhofu po Sans Souci. Tu i ówdzie widać niemieckie chorągiewki, pozbawione jednak nadużywanego przez administrację Dönitza drapieżnego orła. Wśród plakatów dominują wymowne hasła „Nazi Halt!” i

„Nigdy więcej wojny!” z przełamaną swastyką. Mimo poważnych apeli wśród zgromadzonych przeważa nastrój pikniku. Nie brakuje piwa, kiełbasek, słodkiej waty... Około 12.35 w tle, oprócz gwaru tłumów, głosów mówców i dźwięków wielkiej berlińskiej orkiestry symfonicznej, koncertującej pod pałacem Fryderyka Wielkiego, pojawia się odległa, narastająca z każdą chwilą, kanonada baterii przeciwlotniczych. Czyżby na wiwat? Za długo, zbyt nieskładnie. Nagranie ze zbiorów pewnego amatora rejestruje rosnące zaniepokojenie zebranych. Widać coraz liczniejsze głowy, odwracające się w stronę miasta. Ludzie, niczym w trakcie kolarskiego finiszu, powstają z miejsc. Niewyraźne ujęcie nadlatującego samolotu. Stop-klatka! W laboratorium filmowym dokonano maksymalnego zbliżenia obiektu, toteż daje się zauważyć pod kadłubem niewielką plamkę bomby. Potem kamera uchwyciła niezwykle błysk. Zaraz po nim słup ognia i dymu nad centrum Berlina. I wielki, niemy płacz.

Traktat pokojowy podpisano 1 września 1947 roku w Poczdamie. Wcześniej siły sprzymierzonych zajęły całe Niemcy, rzadko natrafiając na zdecydowany opór. Silniejsze walki trwały tylko jakiś czas na pograniczu wschodnim, w trakcie zajmowania przez Polskę Wrocławia, Opola i Królewca, które przyznano Rzeczypospolitej jako wojenną rekompensatę. Poza wspomnianymi wyjątkami Niemcy, zdruzgotane psychicznie atomowym uderzeniem, skapitulowały.

Decyzją sprzymierzonych dokonano restauracji dawnych królestw i księstw, tworzących przed Bismarckiem Rzeszę Niemiecką, Otto Habsburg proklamowany regentem Austrii powrócił do Wiednia...

Film zamykała klamra – kolejny wiec na Times Square. Był 3 września. I znów przemawiał świeżo przybyły z Poczdamu Churchill.

„Z przekonaniem mogę powiedzieć, że świat bez wojen, o którym marzyliśmy, jest dziś bardziej realny niż kiedykolwiek przedtem, koalicja mocarstw zadba, aby pokój pozostał dobrem wszystkich następnych pokoleń. Broń nuklearna, mam nadzieję, już nigdy nie zostanie użyta. Wedle zapewnienia prezydenta Stanów Zjednoczonych nadzór nad nią zostanie przekazany w ręce Stałej Rady Bezpieczeństwa Ligi Narodów. Utworzą ją trzej dawni koalicjanci: Stany Zjednoczone, Francja i Zjednoczone Królestwo oraz zwycięska Rzeczpospolita Polska, która otrzyma wszelkie środki tak, aby stać się mocarstwem regionalnym, strażnikiem pokoju w tej do niedawna tak niestabilnej części Europy, pomiędzy rozczłonkowanymi Niemcami a wstrząsanymi agonialnymi drgawkami resztkami sowieckiego imperium. Chcielibyśmy, aby kiedyś w owej radzie świata znalazły się też demokratyczne Chiny, dziś zmagające się z komunistycznym zagrożeniem, i przejściowo okupowana przez USA Japonia. Także Rosja, jeśli uda się jej przewyciężyć nową Wielką Smutę i wejść do rodziny państw w pełni cywilizowanych”.

Przez moment widać było wielką flagę z białym orłem, powiewającą na szczycie kolumny Nelsona.

„Wszystkim tym, którzy dziwią się awansowi Warszawy do rangi jednej z czterech stolic świata, odpowiadam: Polska to nie tylko pierwsza bohaterska ofiara najstraszliwszej z wojen, lecz również jeden z jej głównych triumfatorów. Nie ma wystarczająco mocnych słów, aby wyrazić szacunek i podziw dla tego narodu, skazanego nie tak dawno na śmierć. By wyrazić wdzięczność dla wszystkich jego córek i synów. A zwłaszcza dla jednego człowieka, dotąd nie znanego nikomu poza mną, dla Romana Marczyńskiego. Polskiego pilota, który 20 lipca 1944 nieuzbrojonym samolotem dokonał pozorowanego ataku na hitlerowski Wilczy Szaniec, odmieniając losy świata. Badania specjalistów i zeznania świadków wykazały, że gdyby narada niemieckiego sztabu w tamto pamiętne południe odbyła się, jak planowano, w tzw. baraku Speera, ocalałby prawdopodobnie Hitler i większość Oberkommando der Wehrmacht. Plan «Walkiria» ległby w gruzach, antyfaszystowski ruch uległby zagładzie, a historia świata mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej... Tymczasem po sygnale o zbliżającym się samolocie naradę przeniesiono do podziemnego bunkra, tam też zostawił Stauffenberg swoją teczkę... Niestety bohaterski pilot nie powrócił z tej akcji. – Tu Churchill podniósł głos i rzekł z naciskiem: – Gdziekolwiek jesteś, Romanie Marczyński, żywy czy martwy, cały świat oddaje ci hołd... «Nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele jednemu człowiekowi... »”

Pojawiły się napisy.

„Scenariusz: Władysław Pobóg-Malinowski i Jerzy Stefan Stawiński

Muzyka – Stefan Kisielewski

Reżyseria: Andrzej Munk i Andrzej Wajda. Czytał Jan Nowak-Jeziorański i Andrzej Łapicki. Produkcja Wojskowa Wytwórnia Filmowa «Polska Zbrojna»
Warszawa 1953”

Film skończył się, a mecenas Rawski nadal siedział, milcząc, niezdolny nawet wstać, by zatrzymać projektor i podnieść rolety.

Poznał przeszłość. Poznał swój w niej udział – nie do końca pewien, czy śnił o niej, czy ją oglądał. Może zresztą i jedno, i drugie.

Ale czy to była „jego” przeszłość? Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że nawet własne przeżycia oglądał jak przez szybę. Bo jeśli one były prawdą, co miał myśleć o dramatycznych dniach powstania warszawskiego, tych wszystkich latach przeżytych w PRL, o więzieniu, późniejszej szarej egzystencji radcy prawnego w Klubie Rzemiosła i o kobietach, które spotykał? Nie było ich? Wolałby, gdyby ich nie było. Nataszka znaczyła dla niego znacznie więcej niż księgowa Wandzia. Tyle że wspomnienia lat przeżytych w Polsce Ludowej wydawały się tak konkretne, składne, natomiast te

drugie przypominały snopy światła rozdzierające mrok, pojedyncze kartki wyrwane z notesu. A najbardziej – obejrzany film, przeczytaną książkę. Czyżby były nieautentyczne? Gdzie bowiem podziela się reszta jego życia? Szesnaście lat aktywności? Wiek męski, wiek kłeski? Prawdopodobne miłości i rozczarowania, słynne procesy...? Nic! Nie potrafił nawet przypomnieć sobie seksu z Nataszką. Otaczała go próżnia doskonała. Ale biurko, za którym siedział, opuszczone zasłony w oknach, zapach owoców leżących na srebrnej paterze, to przecież nie mogła być fikcja. Wstał.

Energicznym szarpnięciem rozsunał story. Przez moment łudził się, że zobaczy szare, smutne miasto o zmierzchu, z rzadka tylko oświetlone latarniami ulicznymi. Nic z tego. Poraziła go feeria świetlna. Orgia neonów, pulsujące reklamy. Świetliste strumienie aut w kanionach ulic. Olbrzymia butelka coca-coli na dachu wieżowca „Lithuanii” i animowany Lewiatan na gmachu Towarzystwa Przemysłu i Handlu. To wszystko miał być sen?

A jeśli nie był? Z tyłu kalendarza na rok 1960 znalazł mapę współczesnej Rzeczypospolitej z przyległościami. Wedle niej Królewiec należał obecnie do Polski, dalej granica z LEŁ-em (domyślił się po dłuższej chwili, że chodzi o federację Litwy, Estonii i Łotwy) przebiegała wzdłuż Pregoły, dzieląc dawne Prusy Wschodnie na dwie części. Nie bez satysfakcji zauważył, iż Wilno znajdowało w granicach Rzeczypospolitej, podobnie jak Grodno, Nowogródek czy Lida. Inaczej miała się rzecz z Wołyniem i Podolem. Przy Polsce ze stanu posiadania przed wrześniem 1939 pozostał jedynie Lwów, Stryj, Drohobycz i Borysław... Jeszcze ciekawiej przedstawiała się za to granica zachodnia. Biegła linią Nysy Kłodzkiej (tak, jak według znanych mu prac historycznych domagał się Churchill), dalej wzdłuż Odry, zatrzymując po polskiej stronie Opole i Wrocław, natomiast Legnitz, Grünberg, Landsberg i Stettin pozostały w rękach zachodnich sąsiadów. Na samej górze – Zalew Szczeciński czopował od północy dziwny twór, określany WMW-Ś – Wolne Miasta Wolin Świnoujście, zaś całe zachodnie Pomorze, aż po Łebę, nosiło nazwę Pomorskiego Terytorium Powierniczego.

Im dalej na zachód, tym zaskoczenie rosło. W tej nowej Europie w ogóle nie istniały Niemcy – zamiast nich znajdowało się kilka państw, noszących rozmaite miana: Królestwo Bawarii, Federacja Badenii-Wirtembergii, Księstwo Hesji, Księstwo Saskie czy Republika Brandenburska. Na mapie nie odnalazł Berlina! Między Poczdamem a Köpenick ział obwiedziony pętlą autostrad zamalowany na zielono obszar, oznaczony „Terytorium Wojskowe Ligi Narodów”.

A europejski Wschód? ZSRR zniknął z mapy jak bańka mydlana, pozostawiając wolną Ukrainę, Białoruś i Federację Państw Nadbałtyckich, widać było jeszcze wyemancypowany Krym i skrawki Republiki Moskiewskiej oraz Tatarskiego Chanatu

Kazania... Dalej mapa nie sięgała.

Trudno o lepsze potwierdzenie realności tego świata. Tylko gdzie podział się ten drugi? Albo pierwszy. A on sam należał do którego? Do obu...?

Nie mogąc poradzić sobie z mętlikiem myśli, postanowił wyjść z biura, ruszyć w miasto, posłuchać jego rytmu, chłonać zmiany, rozmawiać z ludźmi. Pozbyć się choć na chwilę dławiącej go pustki. Tylko dokąd miał iść? Nie wiedział nawet, gdzie mieszka.

Ten akurat problem rozwiązał szybko, zaglądając do książki telefonicznej. Znalazł bez trudności numer i adres – telefon miał tylko jedną cyfrę więcej niż przed wojną, a sam adres? Rawski Aleksander, plac Napoleona... Jak przed powstaniem. Całkiem niedaleko.

Postanowił wracać do domu na piechotę. Po drodze planował zahaczyć o Stare Miasto, przejść się Traktem Królewskim...

Z początku doskonale oznakowany labirynt tuneli i pasaży wyprowadził go na ulicę Długą, zaraz za Arsenalem. Dzień jeszcze nie do końca przegrał z nocą, ale już wszędzie rozbłyskały neony rozlicznych kawiarenek i klubów. Zagłębił się w płataninę znajomych uliczek – Długa, Miodowa, Freta...

Gdyby nie reklamy, odnowione mury, nowe okna i anteny telewizyjne, mógłby przypuszczać, iż cofnęło go do międzywojnia. Starówka różniła się od powojennej rekonstrukcji, która nim upływ czasu nie dodał domom patyny, upodabniała ją do teatralnej dekoracji. Zachowano większość wewnętrznych oficyn, nie brakowało kontrastów budynków zasobnych i zaniedbanych, toteż obok lśniących czystością turystycznych traktów zdarzały się zaniedbane zaułki, brukowane kocimi łbami, a nawet drewnianą kostką. Wyzierała z nich bieda, pachniało tanim grzechem, a może nawet zbrodnią. W odróżnieniu od ruchliwego, epatującego nowoczesnością *downtown* panował tu nastrój inny, spowolniony, bardziej dekadentki. Kobiety sprawiały wrażenie krzykliwiej umalowanych, mężczyźni zachowywali się bardziej prostacko. Podziemnym pasażem pokonał Nowy Zjazd i znalazł się na mariensztackim skwerku, wśród świeżo odnowionych domów, stojących ponad tunelem przelotowej trasy Wschód-Zachód, nazwanej, jak zapamiętał z planu miasta, aleją Solidarności Międzynarodowej. Czuł pod stopami wibrację setek mknących aut. Ruch, mimo wieczornej pory, był parokroć większy niż w socjalistycznej stolicy w godzinach szczytu, jednak na tym placu było spokojnie, wręcz sennie. Nieliczne samochody wydawały się drzemać, zaparkowane przy chodnikach. Idąc w górę Bednarską, zauważył dziwną mnogość witryn z podejrzanie zamalowanymi szybami, upstrzonymi przez dwuznaczne gwiazdki, serduszka... Młodzi, bezczelni mężczyźni o rozłożystych barach hałaśliwie zachwalali wieczorne programy, nazywane z cudzoziemską „peepshowami”. Nie znał tego terminu. Wyszedł na Krakowskie parę kroków od

mieszkania Romana Marczyńskiego. Odwiedził je na krótko w sprawie uwolnienia jego żony Zofii. Potem już się nie widzieli, podobno słynny lotnik zginął w powstaniu. Żona przeżyła wojnę, ale jakoś nigdy się nie spotkali. Marczyński, bohater gloryfikowany przez Churchilla – przez moment Aleksander spoglądał w stronę balkonowego okna. Ciekawe, kto teraz mieszka w jego mieszkaniu?

Środkiem Krakowskiego Przedmieścia jak przed wojną ciągnął się zadrzewiony skwer. Poszedł jego skrajem, oglądając ciągnące się po drugiej stronie ulicy witryny sklepów, lokali, hotelików. Na stopniach pomnika Mickiewicza dostrzegł grupę młodzieży, raczej stadko dość niechlujnych wyrostków i podfruwajek o skołtunionych włosach, w kolorowych koszulach i wąskich spodniach. Wydawali się apatyczni, jakby zapadnięci w siebie. Postanowił ominąć ich szerokim łukiem. Jednak zauważono go, od grupy oderwała się dziewczyna, prawie dziecko, piękne, choć bardzo blade, o profilu wyostrzonym przedwczesną dorosłością. Pod bawełnianą, nie sięgającą pępka bluzką rysowały się ledwie pączkujące piersi. Szczególnie niesamowicie prezentowały się jej oczy, ciemne, zda się w ogóle pozbawione białek. Wyszczrzyła do Aleksandra łopатовate zęby i zapytała:

– Walnąć ci bloł-dzioba, oldku? Dyszka z Dziadkiem i poszybujesz do paradajzu.

Cokolwiek miało to oznaczać, odmówił taktownie, zauważając mimo woli ślady licznych nakłuc na cienkiej jak pęd tropikalnego pnącza ręce. Narkomanka! Dziewczyna brzydtko zakłęta i spowolnionym krokiem dołączyła do kompanii. Aleksander poczuł nieprzyjemne ukłucie smutku. Krótki spacer upewnił go, że nie znalazł się jednak w świecie absolutnie doskonałym. Pomimo panującego dobrobytu, mimo statusu mocarstwa, nie oszczędzały go cywilizacyjne patologie. Przechodząc obok fasady kościoła Wizytek, zwrócił uwagę na dużą klepsydre. Przystanął i przeczytał:

„Magda Marczyńska 1944-1960, żyła lat 16...

Pograżona w głębokim żalu Zofia”

Wielki Boże! Czyżby była to córka Romana, lotnika-bohatera?

– Przedawkowała – usłyszał obok siebie cichy szept. – Każdemu może się zdarzyć.

Rawski odwrócił się. Włóczęga-kuternoga w zniszczonej lotniczej kurtce stał o krok od niego...

– Daj mi spokój, człowieku! – Przyśpieszył kroku z zamiarem przejścia na drugą stronę Krakowskiego, na trotuar pełen przechodniów. Uniemożliwiła mu to kawalkada limuzyn, mknących w stronę hotelu Bristol. Żebrak dogonił go, zagroził drogę, wyciągając ręce.

Aleksander chciał go odepchnąć, jednak jego dłonie przecięły powietrze. Przez moment zastanawiał się, czy cała postać nie rozwieje się w dym. Jednak kaleka nie miał tego zamiaru. Uparcie szedł za nim do rogu Trębackiej.

– Nie poznajesz mnie... Naprawdę nie poznajesz? – powtarzał. – Co z tobą, Sasza! Lipiec wtedy, pod Podkową Leśną, był prawie tak upalny jak teraz...

Olśnienie! Naraz Rawski ujrzał tego samego mężczyznę młodszym, zadbanym wręcz po dandysowsku, o oczach śmiało spoglądających na świat.

– Marczyński – wykrztusił – ty jesteś Roman Marczyński?

Energiczne kiwnięcie głową.

– Ale skąd tu się wziąłeś... I dlaczego w takim stanie? Szuka cię cały świat. Twoje imię noszą dziesiątki europejskich ulic i placów, statki i uczelnie...

– Sam siebie też szukam. Ale ciągle mi się nie udaje. Niestety, chyba nie żyję... Od 20 lipca 44, od chwili, gdy dorwały nas messerschmitty...

– Co za pomysł, przecież cię widzę! Słyszę.

– To niczego nie tłumaczy. Niewykluczone, że doszło do jakiegoś zakłócenia w czasoprzestrzeni. Jakiegoś przebicia między alternatywnymi wersjami historii. W jednym świecie jest mnie za dużo, w drugim za mało...

– W takim razie może przynajmniej wyjaśnisz mi, kim ja jestem w tym świecie, alternatywą samego siebie?

– Być może. Ale nie licz, że cokolwiek ci wytłumaczę. Dzieją się tak dziwne rzeczy. Czy wiesz, że w rejonie kościoła świętego Krzyża pojawia się pewien ksiądz? Po raz pierwszy widziałem go przed 47.

– A inni ludzie? Istnieją naprawdę?

– Wiem tylko, że jedni mnie widzą, inni tylko słyszą. Ale większość w ogóle nie zauważa, jak Zosia, jak Magda... – Głos mu się załamał. – Moja biedna córeczka!

Aleksander zadrżał, przypomniał sobie klepsydrę. Głos Marczyńskiego zrobił się jeszcze chrapliwszy.

– Wiem za to, co znaczy naprawdę cierpieć. Być obok nich przez te wszystkie lata i nie móc nic zrobić, zapobiec, pomóc, dać choćby znak... Zofia robiła oszałamiającą karierę. Pani senator. Minister oświecenia publicznego. Europejka Roku 1959! A nasza córeczka miała wszystko, o czym można zamarzyć – najlepsze niańki, prywatni nauczyciele, renomowane szkoły... Doskonała recepta na samotność i bunt. Wreszcie upadek i – jak mówią młodzi degeneraci – „o jeden strzał za daleko...” – Wskazał ręką na grupkę narkomanów, zastygłych jak kamienne muzy u stóp wieszczka. – Im również nie potrafię pomóc. Nikomu nie mogę pomóc... Masz pojęcie, co to znaczy po szesnastu latach czyścica zostać strąconym w ósmy krąg piekieł?

– Jednak dokonałeś niewyobrażalnie wielkiej rzeczy. Zmieniłeś kierunek biegu historii... Uratowałeś świat!

– Nie wiem już, czy czegokolwiek dokonałem. Czy można złożyć na jednej szali miliony ocalonych istnień, szczęśliwszych życiorysów, choć nigdy nie uda mi się zapomnieć tragedii Berlina... a na drugiej jedno małe życie? Rozumiesz Aleksandrze,

Magdalena nigdy nie poznała swego ojca, w wieku czternastu lat zaczęła się narkotyzować, rok później uciekać z domu, puszczać się w zakazanych norach z obleśnymi pedofilami. Na moich oczach. A teraz nie żyje. Mój Boże, gdybym mógł to wszystko cofnąć?

– A gdybyś naprawdę mógł? To co zrobiłbyś? Nie poleciałbyś do Wilczego Szańca?

– Nie wiem sam. Mogło być inaczej. Miało być inaczej! Powinna była zostać twoją żoną.

– Kto?

– Magda.

– Twoja córka, to dziecko?

– Tak! W świecie bez korekty za rok byłaby twoją żoną, matką Szymka, mojego wnuka... – tu oparł się o mur jakiegoś pałacu i począł uderzać weń pięściami. – Boże, bądź miłościwy, ale jak ja Cię, Wszchemocny, nienawidzę!

Rawski nie był w stanie wymówić ani słowa. Serce zdawało się rozsadzać mu klatkę piersiową, głowę ścisnęła zimna stalowa obręcz. Tymczasem Marczyński, porzuciwszy bluźnierstwa, zaczął szeptać jak opętany:

– Wracaj do siebie, Aleksandrze, przechodniu spóźniony, wracaj, wracaj! Nic tu po tobie...

Mecenas poczuł dziwną wibrację. Sylwetka Marczyńskiego zrobiła się jeszcze przezroczystsza, wręcz mglista. Przetarł oczy, jednak to samo działo się z widoczną przed nimi fasadą pałacu Saskiego i sąsiadującego z nim pałacu Brühla. Budynek drżały jak obraz fatamorgany, rozplływały się. Wystające ponad nimi wieżowce *downtown* zaczęły się zapadać, na podobieństwo gigantycznych rzeźb ze śniegu, zaskoczonych nagłym nadejściem odwilży. Jeszcze chwila, a rozkołysały się gwiazdy na niebie. Wszystko jak w niemym kinie lub na filmie, w którym wyłączono fonie.

– Roman, co to znaczy, Roman? – zawołał Rawski, próbując utrzymać równowagę na falujących płytach chodnikowych. Marczyński jednak przepadł, podobnie jak pałace, wieżowce i konny pomnik księcia Józefa. Zamiast tego, ponad słabo oświetlonymi domami i parkiem, zobaczył blask księżycy, odbijający się w ostrzu iglicy Pałacu Kultury, wbijającej się w niebo coraz wyżej i wyżej.

– *Może potajemnie kochasz, a po nocach tęsknie szlochasz...* – z leśnej przesieki wyłonił się kolejny zastęp młodzieży, maszerujący w stronę pól grunwaldzkich manifestować w imię patriotyzmu i socjalizmu przed delegacją Partii i rządu.

Aleksander Rawski podniósł się, ociekając wodą, z trudem łapiąc oddech. Mrużył nieprzywykłe do światła oczy. Niczego nie pamiętał. Gdzie był? Jak się tu znalazł? Słońce stało w zenicie. Pachniały łąny w oczekiwaniu żniw... Próbując zetrzeć błoto,

oblepiające mu twarz, pomyślał z przestachem, co by było – gdyby utopił się w tych szuwarach. Nic by nie było.

Czuł się jak wędrowiec, który powrócił z dalekiej, wyczerpującej podróży. Gdzie i dokąd? Nie pamiętał. Nerwowo rozglądał się za marynarką. Pal sześć paczkę sportów i te dwie setki, jakie mu zostały, ale brak powrotnego biletu i dowodu osobistego oznaczał komplikacje. Zastanawiał się, co zrobi. Wróci stopem... Ale co dalej? Znow będzie pożyczać pieniądze od krewnych, żeby przetrwać do pierwszego. Miejmy nadzieję, że donos „Larwy” nie dotrze do Klubu Rzemiosła. A od września trzeba będzie rozejrzeć się za jakimś dodatkowym zajęciem. Z tłumaczeniami artykułów dla „Dookoła świata” nic nie wyszło, jakimś instynktem redaktorzy wyczuli w nim „wroga klasowego”, mógłby jednak spróbować wziąć się za korepetycje. Nie są to wielkie pieniądze, ale przynajmniej z ręki do ręki... Cholera, gdzie ja podziałem tę marynarkę?

Wiatr przywiał cichy głos znad wody.

„Nie tak to wszystko miało być, nie tak”.

Jakiś rybak o zniszczonej, czerwonej twarzy, zarzuciwszy wędkę wśród trzciny, czekał na wielką rybę.

– Do mnie pan mówi? – zapytał Rawski.

„Nie, ja tak sam do siebie, sam do siebie”.

– Proszę pana! Czy to nie pańskie...

Odwrócił się. Tuż za nim stała smukła jasnowłosa harcerka. W rękę trzymała starą marynarkę Aleksandra...

– Leżała na skraju ścieżki...

Ich spojrzenia spotkały się. Dziewczyna była dorodna, wesoła i miała w twarzy – przysięgłby – coś dziwnie znajomego. Tylko co...?

– Chodź Magda, nie podrywaj starych facetów – zawołała jedna z koleżanek.

Dziewczyna machnęła mu ręką na pożegnanie, dołączyła do zastępu i już jej nie było, tylko wiatr od strony jeziora Lubień, w którego odmętach spali pospołu Krzyżacy, Litwini i amatorzy niestrzeżonych kąpielisk, niósł coraz słabsze, choć ciągle rozpoznawalne: *Tę piosenkę, tę jedyną, śpiewam dla ciebie, dziewczyno!*

6.

(przedwczoraj)

Wystartował przed świtem z małego lotniska niedaleko Aberdeen. Nad Szkocją leżały gęste mgły i prócz anonimowego oficerka z Londynu ze specjalnymi pełnomocnictwami premiera nikt nie asystował startowi bombowca. Próżno szukać by

wzmianki o misji specjalnej w jakichkolwiek dziennikach lotów. Nawet Churchill pominął ją w pamiętnikach. Dwa silniki mosquito, każdy o mocy ponad tysiąc trzystu KM, pracowały równo. Dodatkowe baki zapewniały, jak twierdzili technicy, zasięg ponad trzech tysięcy kilometrów. Marczyński domagał się jeszcze jedynej modyfikacji maszyny de Havillanda, chciał polskiej szachownicy na skrzydłach. Winston uważał jednak, że byłaby to zbyt cenna demonstracja: samolot oznakowany jako maszyna Luftwaffe mógł łatwiej przedrzeć się w głąb nieprzyjacielskiego terytorium. Dopiero na kwadrans przed końcem lotu miały zostać mechanicznie usunięte znaki niemieckie, ujawniając symbole RAF. Roman musiał ustąpić również w drugiej kwestii, co do której Churchill pozostał nieubłagany. W locie miał mu towarzyszyć drugi pilot.

– Musicie mieć wsparcie, a w najgorszym wypadku zmiennika przy sterach, zaręczam – major Smith jest doskonałym fachowcem.

– Czy jest równie pewnym kandydatem na samobójcę? – zapytał Polak.

– To znakomity specjalista od zadań trudnych i niewykonalnych, który wychodził cały ze znacznie gorszych opresji.

Major Smith przynajmniej nie okazał się gadatliwy, przywitał się skinieniem głowy i mocnym uściśnięciem ręki. Nosił płomiennorudy zarost, zakrywający niemal całą twarz, (rzecz niezbyt typowa u lotników), włosy miał tej samej barwy, gęsto skręcone jak u irlandzkiego baranka. Tylko oczy były błękitne, zimne.

Mosquito szybko osiągnął pułap jedenastu tysięcy metrów, nieosiągalny dla większości ówczesnych bombowców. Wziął kurs na Morze Północne i cieśniny duńskie. Lecąc na tej wysokości ujawniał się wprawdzie nieprzyjacielskim obserwatorom, należało jednak wątpić, czy myśliwce niemieckie, zajęte walką z kolejną falą alianckich nalotów na Zagłębie Ruhry, Bremę i Hamburg, wypuszczą się sprawdzać, co to za samotny obiekt latający. Na wysokim pułapie przeleciał ponad Skagerrakiem i osiągnął wybrzeże neutralnej Szwecji, a po przecięciu półwyspu, nad Bałtykiem, obniżył lot tak dalece, że znalazł się na wysokości ledwie stu metrów i trzymając ten poziom, skierował się w stronę wybrzeża Prus Wschodnich.

Podczas całego lotu partner Romana ani razu nie odezwał się z własnej inicjatywy. Chociaż mówić umiał – wykonywał polecenia, dokonywał odczytu wskaźników i odpowiadał na pytania. Jednak na te niezwiązane bezpośrednio z lotem – wymijająco.

– Dawno pan major w służbie?

– Dawno!

Najwyraźniej nie interesował go cel podróży ani jej dalsze implikacje. Losy świata zdawały się go obchodzić dużo mniej niż oblodzenie skrzydeł czy wskaźnik zużycia paliwa. Nie palił, nie pił, nie żuł gumy. „Automat albo prawnuk Fileasa Fogga? – rzekł sobie w duchu Marczyński i poniechał prób konwersacji. – Gdybym wiedział, że tak będzie, wziąłbym sobie do kabiny świnkę morską – pomyślał – podobnie gadatliwą, ale

o ileż bardziej towarzyską!”

Z drugiej strony nie wybrał się przecież na pogaduszki. A obecność drugiej osoby w kabinie wpływała mimo wszystko uspokajająco.

Wkrótce na horyzoncie pojawiła się dwubarwna, zielonożółcista kreska Mierzei Wiślanej.

– Niżej, jeszcze niżej! – zawołał naraz Smith. – Polak bez słowa zastosował się do polecenia. Mosquito leciał tuż nad wodą, tak że nieomal muskał kadłubem zmarszczki fal.

Brzeg wydawał się cichy, spokojny i niezamieszkanym. Dotykając wierzchołków sosen, przemknęli ponad cieniutkim pasemkiem ładu i znów znaleźli się nad wodą.

– Jeszcze niżej! Tak, tak... Wystarczy.

Dopiero teraz dotarło do Romana, że jego towarzysz przemawia po polsku.

Naraz przypomniał sobie, w jakich okolicznościach słyszał już ten głos.

– „Kowalski”?

– *Maybe, sir...* Choć, wyznam, wolę nazwisko Smith, a właściwie Hammersmith.

– Byłem przekonany, że nie żyjesz. Co tu właściwie robisz?

– Jak pan widzi, realizuję wyznaczone zadanie.

– Ale kim u diabła jesteś?

– Zawodowcem!

– W takim razie mam nadzieję, że odpowiesz mi na kilka pytań, które nurtują mnie od 1926 roku.

– Gdy nadejdzie sposobna chwila, być może pogadamy.

Gdy od Wilczego Szańca dzieliło ich nie więcej niż dziesięć kilometrów, Marczyński zgodnie z planem, przy pomocy specjalnego urządzenia odrzucił niemieckie symbole i poderwał maszynę na wysokość mniej więcej kilometra. Był już zbyt blisko, aby ktokolwiek zdołał wysłać przeciw niemu myśliwce i wystarczająco daleko, aby w Gierłozie zdążono ogłosić alarm przeciwlotniczy. Wyglądało jednak, że jak do tej pory nikt nie zwrócił na nich uwagi. Bardzo dziwne. Cały czas jego towarzysz, Smith-Kowalski (w razie potrzeby mógł również używać nazwiska Martel lub Kuzniecowa), pochylony nad radiostacją, szperał po zakresach fal, podsłuchując na częstotliwościach używanych przez niemieckich lotników, jednak i tam nikt ich nie wywoływał. Ciekawe! Już wcześniej, mimo znaków Luftwaffe, inteligentny oficer winien był odróżnić mosquito od dorniera czy heinkla. Tymczasem Roman, posługując się brytyjską „sztabówką”, odnalazł miasto Rastenburg. Dalej musiał ufać wyłącznie opisowi Szymona, który w pierwszej licealnej zwiedzał Kętrzyn i Gierłoż z wycieczką szkolną. Lecieli więc prosto na wschód wzdłuż linii kolejowej, a gdy minęli groblę, przepoławiającą niewielkie jezioro, poczuł dreszcz emocji i ściśnięcie gardła. Kilometr dzielił go od kwatery Hitlera... Dochodziła za kwadrans dwunasta.

– *Bloody bastard!* – zaklął „Smith”, jakby rozczarowany. – A gdzie artyleria przeciwlotnicza szkopów – wszyscy śpią...?

Sunęli ponad lasem gęstym jak futro bobra. Parę razy wydało się Marczyńskiemu, że widzi fragmenty jakichś dachów, dróg, potem jednak znów ziemia nikła w jednostajnym oceanie zieloności. Z każdą minutą ogarniało go coraz większe zdziwienie.

– Co to znaczy? Zlekceważyli nas...? Nie ogłoszono alarmu? A może jest już po zamachu i nikt nie ma głowy do spoglądania w niebo?

Las się skończył, znów byli nad polami, w oddali połyskiwał wielki, nieregularny kompleks wód jeziora Mamry. Niżej, po krętej drodze, obsadzonej drzewami, posuwał się konwój kilku wojskowych ciężarówek.

– Zejdźmy niżej, przygrzeję do nich z działka pokładowego – powiedział „Kowalski”. – To ich z pewnością obudzi. Potem zawrócimy i spróbujemy jeszcze raz przelecieć nad kwaterą...

– Proponujesz absolutne szaleństwo!

– To pan postanowił bawić się w demiurga dziejów, nie ja. A jeśli tak, trzeba improwizować! Zawrócimy, a następnie polecimy jak najniżej ponad drzewami. Opowiadał pan, że zna z grubsza położenie baraku Speera, w którym odbywa się hitlerowska narada; jeśli artyleria nam nie przeszkodzi, może uda się wypatrzeć ten obiekt i staranować go. Mamy w baku sporo benzyny... I jeszcze małą bombkę w luku bagażowym.

– Słowem – proponujesz nam samobójstwo w pięknym stylu?

– Pan może wysiąść w każdej chwili. Ja zadanie wykonam.

„Kim jest ten Smith-Kowalski? Aniołem czy diabłem?” – zastanawiał się Roman, wprowadzając maszynę w szeroki skręt.

– Przekleństwo! – krzyknął naraz pasażer. – Mamy szkopów z prawej strony!

W samej rzeczy spomiędzy chmur wyłoniły się dwa messerschmitty, odcinając im drogę odwrotu. W słuchawkach zabrzmiał gardłowy głos, żądający podania, kim są i czego tu szukają?

Południowy upał zbliżał się do zenitu. Żywiczny zapach lasu, pomieszany z zapachem jałowca i wrzosu, działał rozleniwiająco. Wszystko wskazywało, że tu na wieży obserwacyjnej, pomiędzy niebem a ziemią jedyną żywą czuwającą istotą, jeśli nie liczyć wielkich złocistych trzmieli czy świerszczy, grających w dojrzewającym zbożu, jest w tej godzinie on, dziewiętnastoletni Rudi Wonschik z Hindenburga, przez Polaków nazywanego Zabrzem.

Hans i Zygryfd pochrapywali w cieniu schronu, Karl, który od zawsze cierpiał na żołądek, przed kwadransem oddalił się do kibla i Rudi był pewien, że nie pojawi się przed upływem pół godziny. Zresztą chorowity Bawarczyk nie był mu do niczego

potrzebny. Ile osób miało wpatrywać się w puste niebo? W ostatnich dniach we wszystkich placówkach, chroniących Szaniec podwójnym pierścieniem, dokonano głębokiej reorganizacji, większość stanowisk obserwacyjnych przeniesiono na wschód. Miało to zapewne związek ze zbliżaniem się frontu, chociaż samoloty Armii Radzieckiej pojawiały się w okolicy rzadko, nie wykazując większego zainteresowania leśnymi ostępami Prus. I jak w tej sytuacji stróże nieba mieli zachować czujność?

Rudi nalał sobie kawy, a właściwie paskudnej namiastki, która oryginał przypominała najwyżej kolorem, i rzucił okiem na nieboskłon. Wszędzie spokój. Natychmiast odpłynął myślami ku hałdom Oberschlesien, do swojej ostatniej randki z Hedwig. Gdy byli sami, nazywał ją Jadźką...

Wtedy w maju, gdy skończyli się kochać, dziewczyna cała we łzach i pyle węglowym błagała go, aby przysiągł, że to już ostatni rok wojny, że wróci żywy i że się pobiorą. Przysiągł na medalik Matki Boskiej Piekarskiej. Każdy by tak postąpił na jego miejscu! Zwłaszcza nie mając na nic wpływu.

Samolot usłyszał dużo wcześniej, nim go zobaczył. Szedł nisko nad lasem – zapewne dlatego nie zameldował o nim dotąd żaden obserwator ze wzgórz na północy. Jednak paręset metrów przed ich stanowiskiem pilot z rykiem silników poderwał maszynę pionowo do góry. Zalśniły na skrzydłach znaki RAF-u. *Donnerwetter!* Wróg. Owszem, zdarzało mu się widzieć własne maszyny opatrzone obcymi znakami, powracające z lotów szpiegowskich, ale taki lot zawsze był uprzednio zgłoszony. I nigdy nie były to bombowce... Tym razem jednak samolot wyskoczył jak diabeł z pudełka. Poza tym ten nie kierował się wcale w stronę lotniska. Lecił wprost na Szaniec.

Dowództwo nie powiedziało im nigdy wprost, czego chronią. Ale Wonschik głupi nie był, a wśród przekazywanych szeptem pogłosek powtarzało się, że wewnątrz matecznika zamieszkują sam wielki marszałek Göring, pozbawiony ludzkich cech Himmler i kuternoga Goebbels, a może i sam Führer...

Rudi dobrych parę sekund czekał na pojawienie się następnych bombowców. Ale nie, mosquito albo znacznie wysforował się przed szyk, albo – co niewiarygodne – dotarł tu sam.

Czyżby samobójca? – w mgnieniu oka przemknęła mu przez mózg opowieść z jednego ze szkoleń o japońskich pilotach, mających wkrótce ruszyć w bój w misjach samobójczych...

Parę centymetrów od jego palców znajdowały się przyciski alarmowe, telefon do sztabu. Wszystko zależało od niego. Mógł postawić na nogi całą obronę przeciwlotniczą, ostrzec Szaniec, by jego załoga mogła udać się do schronów... Wyciągnął rękę. Zawisła nad czerwonym przyciskiem.

Kimkolwiek był wrogi lotnik, desperatem czy straceńcem, miał spore szanse, że

jego bomby jakimś cudem trafią do celu... I co wówczas?

Może wojna, w opinii wielu dawno przegrana, potrwa krócej. A on, Wonschik, dotrzyma przysięgi złożonej Jadźce. Wróci do Hindenburga cały i zdrowy.

A sąd wojenny? W końcu nie był na posterunku sam. Odpowiedzialność się rozłoży... Rozejrzał się niepewnie. Nie licząc pochrapujących kumpli – nikogo. Samolot zniknął już za horyzontem. Okoliczne baterie artyleryjskie milczały. Rudi cofnął ręce od pulpitu, potem złożył je i zaczął się modlić. Po śląsku.

XXVII

(dziś)

Dotkliwy ziąb obudził Anette Laroche. Kompletnie zgrabiła, nie czuła nosa ani policzków. Ognisko zgasło, a przez liczne otwory wiatr ponawiewał sporo śniegu, którego płatki, unoszone powietrznymi prądami, wirowały po małej kaplicy w słabym świetle zimowego poranka.

Półprzytomna, rozcierała zgrabiłe ręce, potem skierowała wzrok na Szymona. Rawski leżał na ławie, przykryty dwoma szynelami. Płatki śniegu, opadające na jego twarz, nie topniały. Oczy, wpatrzone gdzieś w górę, pozostawały nieruchome, lecz spokojne, jakby w ostatniej chwili świadomości widziały coś niezwykłego, pięknego, dobrego.

– Simon! – krzyknęła. Dopadła do niego, usiłowała poruszać, masować. Daremnie. Leżał sztywny, chłodny jak posąg. Wnosząc po stężeniu pośmiertnym, musiał nie żyć już od paru godzin. Rozejrzała się bezradnie dookoła, jakby poszukując owego księdza cudotwórcy, któremu tak ufał Ravell. Ani śladu czyjejkolwiek obecności! Zgasł nawet płomyk zaimprovizowanej lampki przed krzyżem. W słabym świetle dnia widać było tylko zagryzmołone wulgaryzmami mury i mnogość skamieniałych fekaliów pod ścianami. Wielki napis „fak ju” ostatecznie przywrócił ją do rzeczywistości.

Nie wolno jej było się rozkleić. Płakać ani rozpaczać. Nie teraz! Włączywszy wyuczone odruchy, zaczęła działać jak automat. Natarła sobie twarz śniegiem aż do bólu i stanęła na głowie, aby krew napłynęła szybciej do palców rąk. Potem przystąpiła do regularnych ćwiczeń. Tak, jak nauczył ją Lesort. Coraz szybciej, coraz szybciej. Potem rozpałała ognisko. Rozebrała się do naga i umyła śniegiem. Uprała bieliznę, rozwiesiła ją nad ogniem i ćwiczyła dalej. Coraz bardziej rozgrzana, coraz silniejsza. Kobieta-maszyna! Klon jak dzwon!

Nie uszło jej uwagi, że skrzypnęły drzwi – do wnętrza weszło dwóch szperaczy,

zbrojnych w kałasznikowy. Z wybałuszonymi oczyma patrzyli to na trupa, to na zgrabną nagą dziewczynę, tańczącą wokół ogniska.

– *Smatrj, Wania, krasawica kakaja!*

– *Bieri jejo!* – rzekł drugi, odkładając broń – *Poigrajem.*

Umarli, zanim zdążyli pojąć, że umierają. Wania z grdyką przetrąconą ciosem bosej stopy, drugi, nieznany z imienia, z oczyma wbitymi w głąb czaszki paluszkami stworzonymi, jak beztrosko mógł mniemać, wyłącznie do gry *na rajale*.

– Dla ciebie, Simon – szepnęła Anette. – Już tylko to jedno mogę dla ciebie zrobić, zanim zginę!

Naraz poczuła się lekka, wolna i świadoma, co chce zrobić. Jak wykorzystała swoje umiejętności. Ogień zemsty ogarniał ją całą, pompując adrenalinę i dostarczając niezwyklej, straceńczej rozkoszy. Ubrała się starannie, zabrała szynel mniejszego ze szperaczy, naznaczony dystynkcjami sierżanta. Śmierdział. Trudno. Smród był immanentną cechą świata, w którym przyszło jej walczyć. Zaraz potem dobiegł ją z dworu głos oficera, nawołującego podkomendnych. Ukryła się za drzwiami, a gdy wszedł do kaplicy, kantem dłoni przetrąciła mu kark.

Zorientowała się, że pozostał jeszcze czwarty, kierowca, czekający w lekkim wozie terenowym z brezentową kabiną. Postanowiła zejść go od tyłu. Gdy na widok jej wykrzywionej wściekłością twarzy, zaczął nieskładnie wydłubywać broń z kabury, użyła noża. Potem odgruzowaną Tamką (*milicyonnaja daroga*) zjechała ku Wiśle. Staranowała posterunek u wylotu na Wisłostradę. Niepotrzebnie zaalarmowała wroga? Nie szkodzi. I tak dowiedzieliby się o jej istnieniu. Zresztą niech wiedzą, że nadciąga. Czuła się wyprana z wszelkich uczuć, nade wszystko ze strachu, pewna, że nie ma nic do stracenia. Życie? Jakie życie? Być może mieli w zapasie pięć takich samych klonów.

Po moście sezonowym, zerwanym przez ubiegłoroczną powódź, pozostały jedynie resztki filarów. Błyskawicznie podjęła decyzję. Wisłostradę uda im się łatwo zablokować, ale rzekę? W zawrotnym tempie zjechała po stromiźnie nad sam brzeg, znalazła jakąś rampę, używaną zapewne przez ciężarówki, odbierające piach od pogłębiarek lub przeciwnie – uprzątające śnieg z ulic do Wisły. Delikatnie wjechała na lód, zastanawiając się, czy wytrzyma ciężar samochodu. Wytrzymał. „Lud w tym systemie wszystko wytrzyma” – przypomniało się jej powiedzonko jakiegoś Polaka. Kola nieco buksowały na zamrożonej tafli, toteż rozpędzała się powoli. Z każdym jednak metrem nabierała prędkości.

Śmignęła pod mostem Poniatowskiego zaskoczona, że jeszcze jej nie gonią. Z Łazienkowskim mogło być gorzej, na dwóch zrekonstruowanych przęsłach od strony centrum dostrzegła biegnących żołnierzy. Skierowała się jak najbliżej wybrzeża Saskiej Kępy.

Strzelali. Raczej niecelnie. Kule siekły lód, parę z nich smyrgnęło po karoserii, nie czyniąc jednak żadnej krzywdy ani jej, ani wehikułowi.

Szara sylwetka Nowej Cytadeli stawiała się coraz bliższa, choć znów zaczął padać śnieg. Naraz zobaczyła, jak z wielkim impetem nadjeżdżają od strony Wału Miedzeszyńskiego dwa samochody opancerzone, wyposażone w działka szybkostrzelne...

– Idioci – przemknęło jej – a zaopatrzyliście się przynajmniej w peryskopy?

Jak było do przewidzenia, lód nie wytrzymał i pierwsza maszyna zapadła się, znikając w nurtach lodowatej rzeki. Druga usiłowała hamować, ktoś wyskoczył wierzchem, ale zawrócić skota już się nie udało, pojazd nie utrzymał się na pochyłości i podzielił losy pierwszego.

Wyminęła szerokim łukiem miejsce katastrofy. Mózg pracował intensywnie.

Jak dostać się do twierdzy? Nie łudziła się, że da radę wjechać gazikiem na centralny dziedziniec. Pomysł olśnił ją, kiedy kątem oka dostrzegła leżące na tylnym siedzeniu zimowe kombinezony maskujące. Przyciągnęła jeden z nich, gdy wykonywała efektowny zygzak między dwoma zadrzewionymi kępami, na moment stając się niewidoczna dla ścigających ją rzeką, jak i obserwujących pościg z pokrytego zmarzłym śniegiem brzegu. Zablokowała pedał gazu w pozycji na maksimum, wciskając między niego a kierownicę jeden ze zdobycznych karabinów, niejako przy okazji usztywniła samą kierownicę, potem wyskoczyła szczupakiem w nawianą przez wiatr wydymę śnieżną. Wóz pędził dalej a ona przekoziołkowała, niktąc w gigantycznej zaspie. Tam naciągnęła kombinezon. Śnieg padał coraz większy, gęstszy...

Naraz, gdzieś z góry rozległ się warkot śmigłowca. Nadlatywał od strony Nowej Cytadeli. Sowiecom wyraźnie znudziła się dotychczasowa forma pościgu. Na otwartej przestrzeni samochód nie miał przed helikopterem żadnych szans ucieczki. Tym bardziej że ścigający zrezygnowali z prób zatrzymania zbiega żywego. Od boku maszyny oderwało się niewielkie ogniste cygaro. W mgnieniu oka rakietą, zlokalizowawszy gorący silnik, dopędziła samochód. Eksplozja rozsypała szczątki gazika po całej rzece.

Anette liczyła, że załoga śmigłowca postąpi zgodnie z procedurą. I nie przeliczyła się. Helikopter, zamiast odlecieć, zatoczył półkole i usiadł na lodzie pomiędzy zaspą a wrakiem samochodu. Załoga musiała potwierdzić w stu procentach śmierć ściganej. Laroche wyobraziła sobie satysfakcję Borysa Pugo, rozpartego w gabinecie Pietrowskiego, popijającego jego drinki, zaciągającego się jego cygarem. „Ostatnia przeciwniczka wyeliminowana!”

– Dorwę cię, draniu! – syknęła do siebie. – Chciałeś mieć superklona, zobaczysz, co potrafi superklon!

Wiatr zerwał się porywisty, ale wiał w plecy, dodawał więc sił i dodatkowo wzbijał

kurzawę śnieżną, maskującą jej poczynania. Trzepoczące łopaty wirnika również ułatwiały jej zadanie. Czołgając się wśród zadymki, była prawie niewidoczna. Ze śmigłowca tymczasem wysiadło trzech żołnierzy, pozostawiając w kabinie przy sterach jedynie pilota. Mężczyźni, walcząc z przeciwnym wiatrem, dotarli do płonących resztek...

Biała sylwetka oderwała się od ziemi i szybko wślizgnęła do kabiny. Pilot poczuł dotknięcie ostrza noża na gardle i usłyszał krótkie polecenie: „Startuj. Zakręć w prawo”. Zagrał silnik, zwiększając obroty. Płozy oderwały się od lodowej powierzchni.

Buszujący przy samochodowym wraku żołnierze odwrócili się gwałtownie. Anette знаła ten typ maszyny. Potrafiła również obsługiwać sprzężone karabiny maszynowe. Prześladowcy, przecięci seriami, padli na lodową pokrywę jak szmaciane lalki.

– Do Cytadeli – nóż dziewczyny na szyi pilota nie cofnął się nawet o milimetr.

– *Charaszo.*

Śmigłowiec uniósł się, pozostawiając w dole pobojuwisko. Śnieżycą tymczasem stała się tak gęsta, że ktokolwiek śledził akcję z brzegu, musiał stracić ich z oczu.

„Szczęście mi sprzyja” – pomyślała.

Zagdała radio. Poznała głos *jewrokomissara.*

– Sokół 3! Co się u was dzieje? Meldujcie, Swietłow.

Laroché szeptem podyktowała tekst odpowiedzi. Pilot, młody brunecik z Leningradu, okazał się pojętym uczniem.

– *Wsio w pariadkie, wsie miortwy, wazwraszczajem damoj* – wyrecytował.

Zgodnie z jej poleceniem doleciał nad Cytadelę i zawisł nad lądowiskiem.

Ponieważ obiecała go oszczędzić, nad wyraz chętnie objaśniał przeznaczenie poszczególnych budowli. Wreszcie wskazał na znajdujący się w głębi gmach Awtonomnowo Komissariata Biezopasnosti i osobisty gabinet generała Pietrowskiego tuż obok rozświetlonych okien sali konferencyjnej.

Anette kazała mu przełączyć sterowanie na stanowisko drugiego pilota. Siadając obok niego, zablokowała stery wysokości. Cofnęła nóż.

– Wysiadasz – powiedziała – ja dotrzymuję słowa.

Zawahał się, ale wzrok dziewczyny i błyszcząca klinga stanowiły propozycję nie do odparcia. Otworzył drzwiczki i wyskoczył, starając się trafić w pryzmę śniegu.

Anette uniosła śmigłowiec i skierowała go wolno ku tarasowi przy sali konferencyjnej. Wściekłe głosy w słuchawkach prawie rozerwały jej bębrenki.

– *Wazwraszczajsia! Zaprieszczonnaja zona. Wnimanije!*

– *Dam ja wam zaprieszczonnuju zonu!* – mruknęła przez zęby. Na pulpicie ciągle płonęła lampka, dowodząca gotowości do startu drugiej rakiety. Na szkoleniach przerabiała i takie zadania.

Na celowniku poprzez panoramiczne okno widziała tłum generałów i

pułkowników, wezwanych zapewne na jakąś odprawę. Wszyscy zerwali się z miejsc, obserwując maszynę, zmierzającą prosto w ich stronę. Ktoś z dziedzica oddawał w jej kierunku ostrzegawcze strzały.

– Strzelaj zdrowo!

Maszyna była kuloodporna. Charakterystyczne szarpnięcie dowodziło, że odpalona rakietą oderwała się od śmigłowca. W ułamku sekundy pokonała przestrzeń nad tarasem i znikła w czeluści sali konferencyjnej.

Eksplozja targnęła całą Cytadelą... Anette posadziła śmigłowiec na tarasie i przez pozbawiony szyb otwór wskoczyła do środka.

W każdej innej sytuacji obraz jatki zapewne wstrząsnąłby nią mocno. Teraz absorbowało ją wyłącznie jedno. Gdzie jest Pugo?

– Gdzie jest ten tłusty szczur!

Przebiegła korytarz. Musiała przypominać prawdziwą erynię, gdyż dwóch ochroniarzy wołało rzucić się do ucieczki i skoziłkować po schodach niż stawić jej opór. Podmuch eksplozji wyrwał drzwi z apartamentu Pietrowskiego. Śmiertelnie przestraszona sekretarka bezmyślnie usiłowała zbierać poniewierające się na dywanie kwiaty.

– Pod ścianę – wrzasnęła do niej Laroche. – Gdzie Pugo?

Bielsza od swej bluzki funkcjonariuszka głową – ręce trzymała uniesione do góry – wskazała drzwi w głębi.

Anette podbiegła ku nim. Sama odczuwała też chyba efekt eksplozji, wszystkie kształty wydawały się jej rozkołysane, barwy i kontury nieostre.

Pchnęła drzwi i wołając: *Ruki wwierch, Pugo!* – wskoczyła do środka.

Pokój był jednak pusty.

Na biurku leżał nagan *jewrokomissara*. W powietrzu unosił się zauważalny zapach prochu. Czyżby stary drań zdecydował się na samobójstwo? Gdzie jednak ciało, krew? *Jewrokomissar* zniknął.

Gabinet zresztą też wyglądał osobliwie. Dziwnie wydłużony, wydawał się nie mieć ścian ani stropu. Nie minęła sekunda, a Laroche zdała sobie sprawę, że tego gabinetu w ogóle nie ma. Po drugiej sekundzie zrozumiała, że jej również nie ma.

7.

(niezbyt dawno)

Kuszykający mężczyzna szedł powoli ulicą Grodzką. Zastanawiał się, czy o czymś nie zapomniał. Chyba nie. Oddał co do jednej książki w wypożyczalni na Jana.

Uregulował rachunki za światło, gaz i telewizję. Nie zapomniał o karcianym długu u pana Dobrudzkiego. Wielkie szczęście, że Flisowie obiecali zająć się Gromem. Alzatzczyk jakby przeczuwał, co się stanie, stracił apetyt, przestał nawet entuzjasmować się ulubionymi spacerami na Plantach... Przejdzie mu!

Właściwie bardzo mało zostało do zrobienia. Podczas ostatniej wizyty w Warszawie obejrzał sobie wszystkie sentymentalne miejsca. Był na Krakowskim Przedmieściu, pod swoim starym mieszkaniem, zjadł nawet obiad po sąsiedzku w stołówce u Literatów, później ponad godzinę na Królewskiej oglądał przez siatkę, odgradzającą szkolne boisko od jezdni, jak doskonale wysportowany Szymek gra w koszykówkę z rówieśnikami.

Parę razy spacerował w pobliżu domu Zofii. Oglądał zapalające się i gasnące światła w oknie. Raz nawet stał tuż za nią w kościele na placu Szembeka. Nie miał odwagi się ujawnić. Nawet teraz. Za dużo musiałby powiedzieć, tłumaczyć, kłamać. Tym bardziej że gdyby w końcu zmuszono go do wyjawienia prawdy, miałyby same złe wiadomości.

Przegrał. Zawiódł Szymka, księżnę, Churchilla, zawiódł rodaków i Bóg wie kogo jeszcze. Co gorsza, choć głowił się nad tym od lat, nie wiedział, gdzie popełniony został błąd. Jeśli został popełniony? Może nigdy nie było szans? Jaka rolę w całej sprawie odegrał „Smith-Kowalski”? I dlaczego owego dnia w Wilczym Szańcu nie podniesiono alarmu? Nie przeniesiono narady do bunkra...? Na poprawkę proponowaną przez „Smitha” nie starczyło czasu. Niemieckie myśliwce nie pozwoliły im ani zawrócić, ani uciec, po prostu bez ostrzeżenia otworzyły ogień. „Kowalski” ze swoimi karabinami maszynowymi niewiele mógł zdziałać, choć próbował odgryzać się dzielnie. Roman, jak każdy pilot na jego miejscu, usiłował uciec w chmury, wcześniej jednak oberwał, przednią szybę pokryła pajęczyna pęknięć, stery przestały działać, a kabinę wypełnił swąd i dym. Jeszcze chwila, a maszyna stanęła w ogniu.

– Skaczemy! – wrzasnął do Kowalskiego.

„Smith” nie odpowiadał. Wisiał bezwładny z rękami zaciśniętymi na karabinie. Nie żył, a może znów udawał. Nie mógł go jednak zostawić. Eksperymentalny mosquito, którym leciał, zaopatrzony był jednak w katapulty. Najnowszy wynalazek dopiero za pół roku miał znaleźć się na wyposażeniu niemieckich heinkli, a w RAF-ie masowe ich wprowadzenie planowane było najwcześniej na rok 1946. Jednak ten egzemplarz miał owe wyrzutnie. Marczyński nigdy nie widział tego urządzenia w działaniu. Na szczęście wiedział, co robić. Samolot płonął, ciągnąc za sobą długi warkocz czarnego dymu. Roman otworzył kabinę, a następnie nacisnął wyzwalacze – materiał wybuchowy wyrzucił obu ponad samolot. Na moment stracił przytomność. Ocknął się, chłodzony podmuchem wiatru.

Spadochron kołysał się ponad lasem, a Roman czekał na śmiercionośną serię z

karabinów. Messerschmitty jednak zniknęły. Nie widział też nigdzie fotela swego tajemniczego partnera. Może jego spadochron się nie otworzył?

Po kilku minutach opadł na bagnistą łączkę. Odciał linki i ukląkł, dziękując Bogu. Przeżył.

Po kilku dniach tułaczki po lasach udało mu się przedostać na teren Kurpiów i trafić do oddziału partyzanckiego koło Łomży. Tam dowiedział się o niepowodzeniu zamachu na Hitlera. Na wszelki wypadek, przedstawiając się, podał zmyślane nazwisko: „Marek Romanowski” i fałszywy życiorys kaprała, uciekiniera ze stalagu.

Oddziałek mozolnie przebijał się, dążąc ku walczącej Warszawie. Nie dotarł do celu. Po dwóch tygodniach wędrówki ogarnęła ich Armia Czerwona. Kapral Romanowski nie był na żadnej liście wrogów ludu, miał niestety wygląd inteligencki i wyrażał się po pańsku, czym zwrócił uwagę młodego żulika z Białegostoku, towarzyszącego enkawudzistom w charakterze tłumacza i pomagiera. Intuicja bezpieczniaka nie wystarczyła, aby wysłać podejrzanego *pod stienku*, ale zapewniła mu dłuższy wyjazd do chłodnej strefy klimatycznej. Karczował tajgę, pracował w kopalni w Workucie. By nie zwariować, recytował sam sobie „Iliadę”, „Odyseję” albo Owidiuszową „Ars amandi”... Nocami jednak za nic nie chciał mu się śnić antyk, tylko cudowne przedwojenne jedzenie, jedzenie, słońce, kwitnące sady i kobiety.

Wrócił do Polski po Październiku, wiosną 1957. Lewe świadectwo maturalne, zakupione na jakimś bazarze, umożliwiło mu otrzymanie posady świetlicowego w Nowej Hucie. Pozwoliło mu również zaliczyć się do grupy „robotników piszących”. Zadebiutował w gazecie zakładowej, z czasem jego publikacje pojawiły się w „Życiu Literackim”, w „Przekroju”. Zarówno Eile, jak i Machejek przypisywali sobie wyłączną zasługę odkrycia tego zdolnego samouka. Obaj z różnych powodów. W inteligenckim „Przekroju” mógł stanowić przykład zdrowego nurtu i awansu społecznego, w „Życiu” służył za dowód, że nie studia wyższe (te konsekwentnie zatajał) umożliwiają otrzymanie przepustki do wyższej kultury.

Pomalutku, bardzo ostrożnie, wrócił do swych antycznych pasji, realizując je zrazu w felietonach z cyklu „Już starożytni Rzymianie”, później w artykułach do miesięcznika „Mówią wieki”.

Od polityki stronił, do żadnej koterii nie należał. Nie wadził więc ani kombatantom, ani partyzantom, ani partyjnym rewizjonistom. Na salonach uczeni doceniano jego styl i smak. W partii uważano za niegroźnego dłubacza w przeszłości.

Pozostał wierny Krakowowi. Naturalnie serce ciągnęło go do stolicy. Jednak o meldunku warszawskim nie miał nawet co marzyć. Tak więc mieszkał sobie w socjalistycznym blokowisku, pisywał o antyku. I żył z dnia na dzień.

Nikt nie domyślał się trawiącej go udreki.

Nie było dnia, żeby nie zastanawiał się, co powinien zrobić ze swą znajomością

przyszłych dziejów świata. I wciąż nie znajdował odpowiedzi. Historia toczyła się nieuchronnie wedle ponurego scenariusza, jaki w zarysach przedstawił mu Szymon.

Miał świadomość, że nie wolno mu poprzestać na biernej obserwacji. Cóż jednak mógł uczynić? Zatkać palcem dziurę w tamie można, nawet w Holandii, jedynie w pierwszym momencie, kiedy jest jeszcze małą dziureczką, gdy jednak tama już pęknie, niepodobniestwem jest odwrócić powódź w pojedynkę. Może gdyby wiedział więcej o nadchodzącej historii, gdyby miał pełną wiedzę Szymona, mógłby zabawić się w jakiegoś anonimowego Nostradamusa lub choćby Klimuszkę. Niestety znał jedynie parę zdarzeń, i to głównie z ostatnich scen czarnego scenariusza.

Jedyny człowiek, któremu mógłby w pełni zaufać, arcybiskup Adam Sapieha, zmarł przed sześciu laty. Księżna Delfina od wojny mieszkała w Londynie. Jeszcze w 1957 napisał do niej lakoniczny list. Jednak przesyłka wróciła z dopiskiem „adresat nieznanym”. Później dowiedział się, że od dłuższego czasu stara arystokratka przebywa w zakładzie dla nerwowo chorych.

Próba ostrożnego zwierzenia się koledze z Biblioteki Jagiellońskiej (gdzie dostał w końcu etat), byłemu żołnierzowi AK, sprawiła, że ten uznał Romana za wariata czy nawet, co gorsza, prowokatora i odsunął się od niego. Najbardziej jednak dokuczała mu samotność. Świadomość, że przez wszystkie te smutne lata miał w Warszawie rodzinę: żonę, córkę, z czasem zięcia – Aleksandra Rawskiego, wreszcie wnuki, nie przynosiła ukojenia. Nie mógł się do nich zbliżyć, a oni pozostawali w nieświadomości, przekonani, że nie żyje. Wcześniejsze lęki, związane z ujawnieniem, przerodziły się z czasem w starczy upór. Może zawinił przypadek? Natychmiast po powrocie z zesłania odszukał Zosię i, nie uprzedzając nikogo, udał się do jej domu z bukietem kwiatów... Otworzył mu jakiś zwalisty typ w podkoszulku.

– Pan do kogo?

Uciekł z pękniętym sercem, przekonany, że ukochana ułożyła sobie nowe życie.

Po paru latach dowiedział się, że to był tylko sublokator. I to krótkoterminowy. Jednak nie podejmował dalszych prób nawiązania kontaktu. Uznał, że nie powinien burzyć ich spokoju. Jeszcze w latach czterdziestych księżna Delfina poinformowała rodzinę Zosi, że nie wrócił z misji bojowej. Zawiodły poszukiwania za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Został sądownie uznany za zmarłego. W rodzinnym grobowcu na Powązkach pojawiła się tabliczka z jego nazwiskiem, bez daty śmierci. I tak miało zostać. Jedyne, co mu pozostało, to śledzenie z dystansu życia swych ukochanych. Ukradkowo przeżywał ślub Magdy, narodziny Szymka, Agnieszki... Partycypował w ich małych radościach i niewielkich kłopotach. Kiedy Szymkowi ukradziono rower, kupił identyczny i podrzucił mu na klatkę schodową. Gdy zachorował Aleksander, ściągnął ze Szwajcarii drogie lekarstwo i przepłacił lekarza, by ten utrzymywał, że lek pochodzi z jego prywatnych zapasów... W 67 mała Agnieszka zapadła na paskudną

szkarlatynę. Dowiedziawszy się, że w związku z komplikacjami płucnymi przewieziono ją do szpitala, wziął urlop i przyjechał do Warszawy. Nie żałując pieniędzy, załatwił z personelem, że mógł czuwać na szpitalnym korytarzu, niedaleko od jej łóżka...

Zapewne owa rola anioła stróża zapewniłaby mu odrobinę szczęścia, gdyby nie świadomość nieuchronnej katastrofy, czekającej wszystkich bez wyjątku.

„Powiedzmy: ujawnię się – myślał, po raz kolejny jadąc ekspresem do Warszawy. – Tylko skomplikuje im życie, a sam natychmiast wpadnę w pętlę kłamstw. Przecież nie mogę powiedzieć im, co czeka nasz kraj, Europę...”

Pozostawała jedynie słaba szansa: spróbować kontaktu z sędziwym Winstonem Churchillem, przez czas krótki ponownie premierem Zjednoczonego Królestwa. Jednak co mógłby mu zaproponować?

– Za mało wiem, za mało wiem...!

Mimo tych wątpliwości, rozpamiętując po wielekroć wszelkie dotyczące przyszłości szczegóły z telefonicznego monologu Szymona, znalazł parę punktów dowodzących, że przewidywania Ravella się sprawdziły, i zdobył się na list do wiekowego premiera. Wysłał go za pośrednictwem znajomej z Uniwersytetu, wyjeżdżającej do rodziny na Zachód. W swoim piśmie zrelacjonował przebieg nieudanej wyprawy do Kętrzyna, a także dalsze przypadki swego żywota. Nie bardzo liczył na odpowiedź. Ku ogromnemu zdumieniu w jakiś miesiąc później kurier brytyjskiego konsulatu dostarczył mu przesyłkę.

W krótkim liście Churchill odpowiadał mu grzecznie, zastrzegając się, że nie może nic uczynić w sprawie jego przestroóg, nie posiadając choćby minimalnych dowodów na racjonalność złowróbnych wizji.

Ubolewam, że pański wypad nad Wilczy Szaniec nie przyniosła zamierzonego efektu. Lata potwierdziły prawdziwość wielu pańskich prognoz, dotyczących świata po drugiej wojnie. Dziś zdecydowanie mniej krytycznie odnoszę się do pańskiej opowieści o telefonach z przyszłości. Niestety, jestem bardzo starym człowiekiem, pozbawionym władzy, o niewielkich możliwościach. Być może jednak udałoby mi się zainteresować sprawą Amerykanów. Musiałbym mieć jednak mocne argumenty. Choć jedną konkretną wiadomość, dotyczącą przyszłości, która mogłaby po jakimś niedługim czasie zostać zweryfikowana przez życie.

W dopisku asystent premiera zaproponował system dalszych kontaktów za pośrednictwem prywatnego numeru domowego attache brytyjskiej ambasady.

Proszę korzystać wyłącznie z automatów ulicznych – głosił dopisek. Niestety, Marczyński nie dysponował żadną taką „konkretną wiadomością”, z jaką mógłby zadzwonić do „ciotki Winnie”, jak prosił tytułować się Churchill.

Przez parę lat nie miał powodu, żeby dzwonić. Dopiero kiedy John Fitzgerald

Kennedy został prezydentem USA, Roman przypomniał sobie, że przecież zna to nazwisko i że Szymon wspomniał w swym przesłaniu o morderstwie młodego prezydenta USA. Tylko kiedy i gdzie miało to nastąpić...? Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć.

Dopiero jesienią 1963 roku, przeglądając w Klubie Międzynarodowej Książki prasę amerykańską, znalazł notatkę o harmonogramie podróży prezydenta po zachodnich stanach. Nazwa jednej z miejscowości przykuła jego wzrok. Dallas! Pełnej pewności nie miał, ale postanowił obstarwić fuksa. Z ulicznego automatu wykręcił zapamiętany numer.

– Proszę przekazać ciotce Winnie, że J.F.K. zostanie zabity w Dallas 22 lub 23 listopada – wyszeptał konfidencjonalnie.

Churchill natychmiast przekazał tę wiadomość Amerykanom, ci jednak odpowiedzieli, że podobnych gróźb otrzymują kilka dziennie, domagali się więcej informacji o źródle informacji.

Późnym wieczorem 22, kiedy podobnie jak większość Polaków siedział przed swym kupionym na raty „szmaragdem”, przytłoczony ciężarem komunikatu o tragedii w Dallas, zadzwonił telefon. „Ciotka Winnie serdecznie zaprasza pana do siebie, jak najszybciej” – powiedział męski głos o wyraźnie cudzoziemskim akcencie.

Czyżby w Zjednoczonym Królestwie wyobrażano sobie, że Polak, chcąc odwiedzić Londyn, mógł po prostu wyciągnąć z szuflady paszport i kupić bilet?

Roman (a właściwie Marek Romanowski) nie należał do uprzywilejowanej nomenklatury partyjnej. Nie był też znanym sportowcem ani dyspozycyjnym dziennikarzem. W dodatku obciążała go łagiernicza przeszłość, toteż starania o paszport podjął z ogromną ostrożnością. Postanowił wybrać najbezpieczniejszy wariant wyjazdu. Zapisał się na wycieczkę „Orbisu” „Londyn w tydzień”. Za pierwszym razem trafił na listę rezerwową, jednak nie miał szczęścia i nie pojechał z braku miejsc. Za drugim podejściem dostał zwyczajną odmowę paszportu. Bez uzasadnienia.

Nie zamierzał łatwo rezygnować, napisał odwołanie do MSW, otrzymał poparcie władz Biblioteki, krakowskiego oddziału ZLP, do podania dołączył doskonałe opinie z Wydawnictwa Literackiego, w którym „Dekadencki wdzięk Helleniki” porównywano z dziełami Parandowskiego i Kosidowskiego. W komplecie dokumentów znalazło się nawet krótkie poparcie samego Machejka. Wszystko razem poskutkowało na tyle, że poproszono go na rozmowę do Warszawy, do ponurego gmachu przy ulicy Koszykowej.

Udający urzędnika biura paszportowego oficer Służby Bezpieczeństwa, młody, energiczny i bardzo pewien siebie trzydziestolatek o nadnaturalnie uniesionej lewej brwi, czym przypominał nieco niesławnej pamięci marszałka Rokossowskiego,

najpierw poczęstował go kawą i wygłosił panegiryczną opinię o „Dekadenckim wdzięku” (dzieło to musiał najwyraźniej przeczytać), ale kiedy Roman nabrał przekonania, że jego sprawa jest na najlepszej drodze, zwięziwszy wargi, rzucił jakby od niechcienia:

– A tak naprawdę po co pan się tam wybiera, panie Romanowski?

Roman spocił się w mgnieniu oka. Nie umiał kłamać. Dukał więc coś o British Museum, o pewnych niedostępnych u nas dokumentach i inskrypcjach, potrzebnych mu do dalszej działalności eseistycznej...

– Ja naturalnie panu wierzę, ale każdy ma swoich szefów. Byłoby wysoce niewskazane, gdyby postanowił pan udzielić paru wywiadów, czy zaczął się zwierzać ze swoich nieprzyjemnych łagiernicznych wspomnień w Domu Polskim.

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

– A jeśli przyjaciele poproszą? Gorączkowo zaprzeczał, że ma w kręgach emigracyjnych jakichkolwiek przyjaciół, a nawet bliskich znajomych. Oficer jednak był lepiej poinformowany od niego.

– Przesadza pan ze swą skromnością, panie Marku, księżna Delfina chyba zalicza się do pańskich przyjaciółek? Pisywał pan przecież do niej liściki.

– Tylko jeden. I to wyłącznie kurtuazyjny, po moim powrocie do Polski, zawiadomiłem, że jestem żywy i zdrowy. Poznałem ją przelotnie podczas wojny, nie kontynuowałem znajomości... Zresztą słyszałem, że biedaczka przebywa teraz w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, więc spotkanie byłoby niemożliwe.

– Już nie, już nie przebywa, panie Marku. Nie jestem najlepszego zdania o zachodniej psychiatrii, jednak nawet tam odnotowano ostatnio pewien postęp. Księżna znów prowadzi swój reakcyjny salonik w Chelsea.

– Po pańskim ostrzeżeniu na pewno nie będę jego ozdobą. Zresztą w napiętym programie wycieczki nie znalazłbym nawet na to czasu. A poza tym – lekko podniósł głos – sugerowanie mi, że mógłbym wchodzić w jakieś konszachty z wrogami Polski Ludowej mnie po prostu obraża!

– Ależ niech pan się nie denerwuje! – Rokossowskopodobny esbek uśmiechnął się przymilnie. – Nikt nie zamierza panu niczego imputować. Przeciwnie. Mamy do pana ogromne zaufanie. Więcej powiem, nie widzimy powodu, żeby wybierając się do Londynu na naukową kwerendę, wiązał się pan z jakąś orbisowską wycieczką. A co to – nie ma wyjazdów indywidualnych? Stypendiów twórczych? Wystarczy, jeśli ZLP zwróci się do Ministerstwa Kultury... A my z naszej strony zrobimy wszystko, żeby przyspieszyć sprawę.

– Jestem wdzięczny, ale... – w głowie Marczyńskiego brzęczał ostrzegawczy dzwoneczek – chciałbym dowiedzieć się, czego oczekujecie w zamian. Zobowiązania o zachowaniu dystansu do emigracyjnych środowisk?

– Ależ przeciwnie! Powinien pan się spotkać z księżną i poznać jej towarzystwo. Tym bardziej że przyjmą was tam z otwartymi ramionami jako „ofiara systemu”, z długim stażem „u białych niedźwiedzi”... Poznacie mnóstwo ciekawych ludzi, zorientujecie się, kto z młodej emigracji wpadł w ich orbitę, kto podtrzymuje kontakty ze starym krajem...

– Proponuje mi pan, żebym został donosicielem? – zapytał, z trudem panując nad sobą.

Ubek aż podskoczył.

– W żadnym wypadku. To nie byłaby stosowna propozycja dla człowieka pańskiego formatu. Myślałem raczej o małej przysłudze za przysługę. Przyjacielska wymiana uprzejmości. Dzięki nam mielibyście stały paszport służbowy, podróżowalibyście po świecie, a w zamian zrewanżowalibyście się nam czasem jakąś drobną konsultacją. Nie, żeby komukolwiek zaszkodzić. Wręcz przeciwnie! Za granicą przebywa mnóstwo wspaniałych Polaków, którzy mogliby przydać się Ludowej Ojczyźnie, a że niektórzy zbłądzili, mają trudności z odnalezieniem swej busoli...? Mój Boże – któż z nas jest bez winy?

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedział po dłuższym namyśle.

– To kwestia zasad? – domyślił się oficer.

– Raczej charakteru. Widzi pan, ja jestem straszna papla.

– Co?

– Nie umiem utrzymać języka za zębami, zwłaszcza po alkoholu. Powiedzmy, zobowiązę się do współpracy, a potem gdzieś przy wódeczce pochwalę się tym...

Oficer specjalnie nie naciskał. Zdawał się być przygotowany na taki obrót sprawy. Dał swoją wizytówkę, na wszelki wypadek.

– Nie musiałby pan wcale fatygować się do Warszawy, jest tyle pięknych kawiarni w Grodzie Kraka...

O paszporcie rzecz jasna nie było mowy. Kiedy na odchodnym zapytał *pro forma*: „A co z moją wycieczką?”, usłyszał: „Odpowiedź otrzyma pan w trybie urzędowym”.

Odmowa współpracy przysłała mu łatwo, lecz spokój nie zagościł w jego duszy. Marczyński odchorował swoją decyzję. Wielokrotnie zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Mógł podjąć z ubecją jakąś grę. Zgodzić się dla dobra sprawy.

Chodziło przecież o jedno, żeby go wypuścili. W Londynie zrobiliby, co chciał. W najgorszym razie mógłby odmówić powrotu. Ludzie Churchilla na pewno nie pozwoliliby mu zginąć. Tymczasem panowie z MSW poczekali, aż skruszeje, i ponowili propozycję. Tym razem oficer, którego ze względu na podniesioną lewą brew przezywał w swych myślach Roko (na cześć nieodżałowanego marszałka Rokossowskiego), spotkał się z nim w Jamie Michalikowej. W rozluźnionej atmosferze rozmawiali o wszystkim i o niczym, o współczesnej sztuce, o życiu... Po piątej lampce

koniaku ubek otworzył się zupełnie:

– Myśli pan, że ja to wszystko robię z powodu ideologicznych bredni? Całe życie chciałem być inżynierem maszyn cyfrowych, a nie inżynierem dusz. Robię to, bo mi płacą. Mam żonę, dzieci... pokażę panu zdjęcia. Tak naprawdę to lubię łowić ryby i książki historyczne. Tylko to jest ważne.

Marczyński milczał, słuchał. Po zamknięciu lokalu wyszli na Floriańską. „Roko”, podśpiewując „Marsz, marsz Polonia”, koniecznie chciał wsiąść w dorożkę (jak Gałczyński!), ale Roman wyperswadował mu ten zamiar.

– Lepiej odprowadzę cię na dworzec, Czesiu. (Gdzieś w międzyczasie wypili bruderszaft.)

Na plantach Czesio wziął go pod pachę i począł szeptać mu do ucha („niech mnie wypierdola za to, co gadam, ale cię mistrzu lubię”) własny pogląd na sprawę:

– Nikogo nie obchodzi twój wyjazd do Londyniszcza, Mareczku. To rytuał. Rytuał! Napiszesz, co ci ślina na język przyniesie, nikomu nie zaszkodziś, my to ciepiemy na dno szuflady... Myślisz, że ktoś w ogóle to czyta?! No, daj pyska, mordo!

Marczyńskiemu nawet nie przyszło do głowy, że Mefistofeles swe najlepsze interesy załatwiał po pijaku.

10 stycznia 1965 roku, po własnoręcznym podpisaniu zobowiązania o współpracy, dostał wreszcie cienką zieloną książeczkę z orłem. Przepustkę do wolności.

14 znalazł się w Londynie. Piegowata dziewczyna, która przy wyjściu z lotniska pociągnęła go do taksówki, poinformowała, że ma zarezerwowany i opłacony hotel nieopodal Charing Cross, wręczyła mu też karteczkę z numerem telefonu. Jak się okazało – prywatnego numeru Winstona Churchilla.

Emerytowany przywódca ucieszył się, słysząc głos Marczyńskiego. Wprawdzie mówił wolniej niż kiedyś, a po kolejnym wylewie oddychał dużo ciężiej niż przed laty, nadal jednak był pełen optymizmu.

– Dużo myślałem o przyszłości – mówił. – Powiadają: im człowiek starszy, tym częściej spogląda wstecz. Widocznie jestem odmieńcem. Zgadza się z panem, iż należy uczynić wszystko, aby katastrofalne prognozy nie stały się rzeczywistością. Na szczęście nie brak jeszcze inteligentnych ludzi – tak się złożyło, że ostatnio rozmawiałem niezobowiązująco z kilkoma wpływowymi osobistościami ze Stanów – z Henrym Kissingerem, profesorem Rostowem i szczególnie przenikliwym... pańskim rodakiem... zaraz, jak on... Mam! Nazywa się Zbigniew Brzeziński. Wspomniałem im oględnie, że dysponujemy pewnymi stuprocentowymi danymi na temat przyszłości. Wyrazili zainteresowanie utworzeniem nieformalnej grupy... Za parę dni skontaktuję pana z paroma wpływowymi ludźmi z naszego Foreign Office i amerykańskiego Departamentu Stanu... Być może wygramy jeszcze tę wojnę. A na razie zapraszam

pana jutro po południu do siebie, pomyślimy wspólnie, jak się do tego zabrać. Podobno trudno było panu wydostać się z kraju? Cóż... najważniejsze, że pan tu jest.

Tak dobrze Marczyński nie spał chyba od lipca 1944 roku. Bez zwidów, koszmarów, ponurych wizji. Aliści rankiem 15 stycznia wiadomości radiowe i telewizyjne przyniosły żałobną wiadomość. Były premier i wielokrotny Pierwszy Lord Admiralicji nie żył.

Razem z nim umarły ostatnie nadzieje. Delfina, której w końcu złożył wizytę, żyła praktycznie bez kontaktu z rzeczywistością. Czasem mówiła do niego „Igorze”, to znów tytułowała „Alikiem”. Twierdziła, że jej ciemnoskóra służąca pracuje dla GRU i nieustannie usiłuje ją otruć. Przy pożegnaniu zwróciła się do Romana per „Wasza Świątobliwość” i usiłowała pocałować go w nieistniejący pierścień.

To spotkanie zniechęciło go definitywnie do jakichkolwiek kontaktów z emigracją i upewniło, że starość nie musi być wcale najpiękniejszą porą życia. Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do kraju. Aby mieć jakieś alibi wobec mocodawców z Rakowieckiej, upozorował ostry atak woreczka żółciowego, z którym już wcześniej miał kłopoty i pierwszym samolotem powrócił do Polski, gdzie zamelinował się w nowohuckim szpitalu na dłuższej obserwacji...

Potem nastąpiły kolejne szare dni, nie różniące się niczym od siebie. Najchętniej furtką wyobraźni umykał z nich do słonecznego antyku. Pisał nadal o historii, ale poniechał prób jej zmienienia. Pogodził się z nieuchronnym. Po przejściu na emeryturę za książkowe honoraria nabył w 1975 roku ładne poddasze starego domu przy ulicy Grodzkiej z widokiem na wieże kościoła Mariackiego i tam oddał się pisaniu. Żył spokojnie w dość uregulowanym rytmie, z krótkimi przerwami na wizyty w stolicy, miał psa i grono stałych partnerów do brydża. Prawie rok w rok ukazywały się kolejne tomy, poświęcone boskim czasom antyku...

Liczył na parę spokojnych lat, dzielących go od końca świata.

Atoli pewnego październikowego dnia w 1978 roku znów wezwano go na krakowską komendę. Nie zdziwił się wcale, gdy ujrzał w gabinecie oczekującego go „Roko”. W ciągu lat, jakie minęły, znacznie utył i poszarzał na gębie. Ale przywitał go jak starego dobrego znajomego. Przyjaciela nieledwie.

– Nie będę owijał w bawełnę. Potrzebujemy pańskiej pomocy, mistrzu – zaczął bez ogródek. – Swego czasu pomogliśmy wam, potem całe lata dawaliśmy wam spokój, teraz jednak potrzebujemy drobiazgu.

– Drobiazgu?

– Nie myślał pan nigdy o przeprowadzeniu się do Warszawy? Dla człowieka pióra stolica to znacznie większe możliwości.

– Ja, do Warszawy? – zaniepokoił się. – Rozumiem, że nie jest to propozycja płynąca wyłącznie z dobroci serca.

– Lubię realistyczne podejście do pracy. Moglibyśmy załatwić panu wykłady fakultatywne z historii w najlepszym warszawskim liceum.

– Miło mi, ale proszę zauważyć, że przeszedłem już na emeryturę. Skończyłem 75 lat!

– Ale nadal jesteście w rewelacyjnej kondycji. Moim zdaniem wyglądacie, mistrzu, nie więcej niż na sześćdziesiątkę. A że w oświacie obowiązują niezyciowe przepisy? Cóż... Zawsze istnieje możliwość zrobienia wyjątku dla tak wybitnego humanisty. Zwłaszcza że byłoby to z korzyścią dla utalentowanej młodzieży uczęszczającej do tej szkoły.

– A moje... – zawahał się, szukając właściwego słowa – zadanie? Jak według was miałyby wyglądać? Mam wykładać, że Jezus z Galilei był w praktyce socjalistą, a gladiator Spartakus prekursorem dyktatury proletariatu?

– Wykładać będziecie, co wam umysł dyktuje. Nasza prośba jest banalnie prosta. Pojawił się w tej szkole młody nauczyciel, niejaki Karol Rossman, jeden z, jak to się mówi, „naszych” – tu zrobił pogardliwy gest przy podbródku. – Mamy powody sądzić, że jest prominentną wtyczką tak zwanego „Komitetu Obrony Robotników”. Odpowiedzialnym za antypaństwową poligrafię. Niestety doskonale się maskuje. Jest wręcz obrzydliwie ostrożny, gdyby jednak ktoś taki jak pan zdobył jego zaufanie...

Marczyński poderwał się tak gwałtownie, aż krzesło z głuchym hukiem upadło na podłogę.

– O nie, panowie, w takich sprawach proszę na mnie nie liczyć! – zawołał.

– Doprawdy, Marczyku – „Roko” nie przestawał się uśmiechać – nie zapominaj, proszę, o podpisanym zobowiązaniu, o paszporcie, o pieniądzech...

– Jakich pieniądzech! – z trudem zapanował nad sobą. – Nigdy nie wzięłem żadnych pieniędzy!

– Ale pokwitowania są. I jaka bogata kartoteka – „TW Roman”... Gdyby tak rozeszło się wśród kolegów pisarzy, kogo mają w swoich szeregach...?

– Ty draniu...! – w głosie Marczyńskiego zabrzmiała taka furia, że oficer aż się cofnął. Na moment odsłonił uchylone drzwi w głębi za jego plecami. I wówczas Marczyński dostrzegł twarz czatującego za nimi mężczyzny. Postarzał się, włosy zrzedły, ale oczy pozostały te same, nieskończenie błękitne. Ciekawe, pod jakim teraz występował nazwiskiem: „Kowalski”, „Smith”?... Może „Kuzniecowa”?

*

Wszedł wolno po skrzypiących schodach, pamiętających zapewne *fin de siecle* i czasy Legionów, otworzył stare dębowe drzwi, starannie zamknął je na zasuwkę i łańcuch. Za oknem zapadał wczesny październikowy zmierzch, on jednak nie zapalał

światła. Długo chodził po mieszkaniu. Głaskał grzbiety ulubionych książek, wchłaniając ich cudowny zapach, przypominający wszystkie dzieła, które przeczytał, światy poznane głębiej lub pobieżniej, nade wszystko zaś wzruszenia, jakie bywały jego udziałem. Zmył naczynia, pozostawione w zlewie. Posprzątał na biurku. Postanowił nie pisać żadnego listu.

Do kogo miał go napisać i co wyjaśnić? Sam nie mógł sobie z tym poradzić, a inni? Koledzy z koła emerytów UJ? Marynia – przychodząca co piątek sprzątać? Może „Roko”? – uśmiechnął się na myśl jego głupiej miny na jutrzejszej odprawie.

– Muszę – powiedział, przechodząc obok obrazu Matki z Dzieciątkiem, nabytej na targu staroci kopii tej samej Madonny, która trzydzieści lat wcześniej wraz z całym warszawskim mieszkaniem przepadła w pożodze. Obok stał zegar, kupiony przed rokiem w Desie, podobny jak brat bliźniak do tego z Krakowskiego Przedmieścia. – Powinienem był zrobić to dawno temu. Ale ciągle się jeszcze łudziłem... Bałem się.

Teraz nie pozostawiono mu żadnego wyjścia. Wiedział, że Rossman jest nauczycielem Szymona, potrafił prowadzić śledztwo nie gorzej niż te patałachy z SB, a co gorsza przeczuwał, że jego wnuk, zauroczony fizykiem, prędzej czy później wciągnie się w robotę konspiracyjną. A on miałby na nich donosić? Z drugiej strony miał świadomość, że pogrożki o możliwym skompromitowaniu go w środowisku nie były rzucane na wiatr. Skalana pamięć u czytelników, zniszczona opinia u kolegów... Miał, jak się okazało, całkiem sporo do stracenia.

– Kończmy z tym, panie Romanie!

Zdjął żyrandol pewnie i delikatnie, tak że nie zabrzączał ani jeden ze szklanych kryształków. Zarzucił linę, fachowo zawiązał marynarski węzeł zaciskowy. Położył na biurku grubą warstwę gazet z „Trybuną Ludu” na czele, nie chcąc przypadkiem zniszczyć forniru i sukna. Potem zdjął buty.

Stał jeszcze chwilę nieruchomo na tych gadzinowych kolumnach, myśląc o najbliższych, o dawno zmarłych rodzicach, o Zosi, o Szymku, który za dwadzieścia parę lat daremnie dzwonić będzie do mieszkania na Krakowskim. Zmówił krótką modlitwę.

– Bądź miłościw mnie grzesznemu, Panie. Nie potrafię zdobyć się na nic więcej...

Włożył głowę w pętlę i zamknął oczy...

Zaczął bić zegar. Bez powodu. Inaczej niż zwykle. Kiedy minęło szóste uderzenie, potem siódme, był przekonany, że stary przyjaciel przypomina mu, iż jego czas dobiegł końca. Postanowił jednak doczekać jedenastego.

Tymczasem przy ósmym gdzieś w pobliżu rozdzwięztały się kościelne dzwony. Potem kolejne.

„Zabawne! Na powitanie to czy pożegnanie?” – pomyślał, poprawiając węzeł i spoglądając na zegar, który ochrypl przy jedenastym uderzeniu i zamilkł.

Dzwonów jeszcze przybywało. Jednak nie były raczej na trwogę, przeciwnie, zdawała się pulsować w nich jakaś niezwykła radość, skoczność, *victoria!* Aż wreszcie z Wawelu odezwał się „Zygmunt”. Co się stało, na Boga? Umarł Gierek, a może szlag trafił samego Breżniewa?

– Takiej okazji nie mogę ominąć!

Ciekawość przeważała wolę samozatrąty. Wysunął głowę z pętli. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. Klatkę od strychu po parter wypełniała radosna wrzawa, słychać było okrzyki i tupot dziesiątek nóg. Otworzył wszystkie rygle i w samych skarpetkach wyszedł na podest. Piętro niżej zobaczył sąsiadkę, panią Markowską, wybiegającą z mieszkania.

– Co się stało?

– Nie słyszał pan? – zażawioną twarz kobiety opromieniała nadzwyczajna jasność.

– Polak został papieżem!

– Kardynał Wyszyński?

– Jaki Wyszyński? Nasz Karol, kardynał Wojtyła. Idziemy na Rynek, do Marii Panny. Taki cud, taki cud!

Chwilę trwał nieruchomy, potem zawrócił i wpadł do mieszkania. Wybebeszył biurko, wyciągał kolejne szuflady komódki, bezceremonialnie wywalając ich zawartość niczym milicjant, dokonujący rewizji. Wreszcie znalazł. Stary portfel, który ukryty w dziupli pod Ostrołką przetrwał wszelkie opresje, a po latach wrócił do właściciela. Tkwiło w nim okupacyjne zdjęcie Zosi stojącej przed „Kameleonem”, stara kenkarta i paszport Hermanna Rybko oraz pożółkła wizytówka z herbem GG i nadrukiem „Hans Frank”. Odwrócił ją. Przeczytał dwa słowa, napisane kopiaowym ołówkiem w chwili, kiedy wraz z księżną pochylali się nad młodym człowiekiem, leżącym na tramwajowym torowisku.

„Karol Wojtyła”.

Powtórzył nazwisko dwa razy, potem pięć, zastanawiając się, jak było możliwe, że mieszkając w jednym mieście, chodząc na nabożeństwa do katedry, uczestnicząc w procesjach Bożego Ciała, nigdy nie skojarzył arcybiskupa Krakowa, wybitnego filozofa i teologa z młodym, rannym robotnikiem. Do dziś.

Polak został papieżem. Co to znaczyło?

W skróconej historii świata, przekazanej mu przez Szymka, nie było mowy o takim wydarzeniu. Było o katastrofie tupolewa, o strajkach w 82., o inwazji Europy w 89., lecz ani słowa o Polaku w Watykanie...

A może...?

Przestraszył się swej nadziei. Klęcząc i odmawiając modlitwę, prosił Boga, żeby nadzwyczajny fakt był właśnie owym ziarnkiem piasku, zmieniającym bieg trybów historii.

Wiedział już, że będzie żył dalej, niezależnie od tego, do jakich chwytów wobec niego ucieknie się „Roko” i jego banda. Będzie żyć tak długo, jak się da, żeby zobaczyć, jak to się wszystko skończy!

A dzwony biły i biły.

EPILOG

(niedawno i dziś)

Niech zstąpi Duch Twój i odmieni oblicze ziemi, tej ziemi...

Wracali z mszy na placu Zwycięstwa niespiesznie, spoglądając na warszawskie mury – na Teatr Wielki, pałac Blanka, bloki przy Senatorskiej, tak jakby zobaczyli je po raz pierwszy. Coś zmieniło się w tym mieście, jeszcze tylko nie wiedzieli, co... I nie chodziło wcale o zewnętrzny wystrój, flagi, ołtarzyki w oknach i rozkwitłe drzewa w Ogrodzie Saskim. Odczuwali jakiś szczególny nastrój, przypominający trochę rozdanie szkolnych świadectw, początek wakacji czy też pierwszy dzień miłosego zauroczenia. A może tylko obudzili się nagle z długiego zimowego snu w środku cudownej ukwieconej wiosny? Szli obok siebie – Aleksander, Zofia, Szymek i Agnieszka... Cała rodzina Rawskich. Normalna polska rodzina, ani wyjątkowo pobożna, ani szczególnie bezbożna, dziś jednak niosąca w sobie jakieś przedziwne światło nadziei. Koło pomnika Nike na placu Teatralnym pomachał im ręką Karol Rossman, dyskutujący zawzięcie z jakimś szczupłym księdzem o bladej, uduchowionej twarzy. Babcia Zosia dreptała nieco z tyłu, zamyślona, przyciskając do piersi modlitewnik. Mijając monument Dzierżyńskiego, Szymek doszedł do wniosku, że szef czerezwyczajki jest dziś bardziej chmurny niż zwykle.

Podprowadzili babcię na przystanek pośpiesznego F na rogu alei Świerczewskiego i placu Dzierżyńskiego. Starsza pani wydawała się dziwnie nieobecna, odpowiadała monosylabami, o mało nie wpadła pod przejeżdżające auto, na koniec upuściła trzymaną książkę, nawet tego nie zauważając.

– Chyba to pani zgubiła – jeden z przechodniów zatrzymał się obok, podniósł mszalik i podał go starszej pani. Nie był młody, miał czerstwą twarz, mlecznobiałe włosy, a idąc, opierał się na lasce. Odwrócił się i chciał odejść.

– Roman? – zawołała Zofia Marczyńska. – To ty?

Starzec zadrzał, ale się nie zatrzymał.

– Roman! – powtórzyła babcia. – Długo będziesz przed nami uciekał, ty łotrze?

Pozostali członkowie rodziny przypatrywali się ze zdumieniem, jak dwójka emerytów pada sobie w objęcia. Wywołało to spore zaciekawienie przechodniów. W

końcu nieczęsto widzi się na ulicy starych ludzi, zachowujących się jak para zakochanych nastolatków...

Był to jednak dzień cudów, dzień, w którym wszystko może się zdarzyć, kiedy ludzie całkiem obcy uśmiechali się do siebie, pijacy poniechali picia, grubianie klątw, a złodzieje kradzieży.

I naraz Szymon uświadomił sobie, że przecież zna tego pana od dawna, że widywał go koło swojej szkoły, a kiedyś, kiedy był całkiem mały i płakał, bo zgubił dwa złote, ten właśnie jegomość dał mu na lody.

Magdzie przypomniało się, że ktoś podobny do tego staruszka często pojawiał się w szpitalu, w kitlu lekarskim u łóżka jej córki. Agnieszka zaś już po chwili była pewna, że widywała tego pana w gorączce, gdy jak anioł pochylał się nad nią, powtarzając: „Nie bój się, jestem przy tobie”.

Zaś przed oczyma Aleksandra stanął lipcowy dzień zlotu grunwaldzkiego i stary rybak, stojący w wodzie. „Że ja go wówczas nie poznałem”.

Decyzja spotkania – zresztą w ostatniej chwili próbował stchórzyć – nie przyszła Romanowi łatwo. Nie był wcale pewien, czy powiodła się modyfikacja historii i czy pozwalało to na przesadną nadzieję. Owszem, reżim w Polsce złagodniał, dynamizm papieża rokował dalsze zmiany w świecie. Ale jak głębokie? Zawsze jakaś kula, zatruty kolec róży czy podłożona bomba mogły powstrzymać dalsze przemiany. O dziwo, najwięcej nadziei czerpał z owego braku telefonu do Londynu w 44., na który czekali razem z Churchillem. Był pewien, że Simon nie dzwonił, gdyż nie miał powodu, nie istniało owo centrum pod San Diego ani program „Chronos”... Ale jeśli jego optymistyczna ocena była mylna? Odpowiedzi udzielić miał czas.

Dlaczego nie mieli poczekać razem? Zwłaszcza że Aleksander dostał radcostwo w firmie, cieszącej się poparciem Episkopatu, i zaniechał myśli o emigracji. Zahamowania puściły! Przegadali całą noc – Marczyński miał mnóstwo do opowiadania, od owego poranku z pierwszych dni lipca 1944, kiedy po raz ostatni widział się z Zosią, naprawdę wiele się zdarzyło. Szymon niczym bajki o żelaznym wilku wysłuchał opowieści o swej misji w Warszawie w 2001.

– Tak będzie? – pytał zaniepokojony.

– Sądzę, że nie musi wcale tak być.

Po nieprzespanej nocy wprost z mieszkanka za Żelazną Bramą wyruszyli na kolejne spotkanie z Papieżem, tym razem na Krakowskim Przedmieściu. Z megafonów dobiegały głosy aktorów: „Wstań Konradzie, obudź się Kordianie”...

I budzili się, chłonąc pierwszy raz w życiu upajający smak wolności i ludzkiej solidarności. Nieświadomi kryjącej się w nich goryczki. Przeczuwali, że zdobytej siły musi starczyć im na długo. Życie w PRL nauczyło ich, że istnieje ograniczony limit cudów, a następna okazja może zdarzyć się nieprędko. Siejba papieska zakiełkowała

jednak nadzwyczajnie. W półtora roku potem wszyscy byli już w „Solidarności”. Aleksander został doradcą Regionu Mazowsze, Szymon zakładał NZS na uniwersytecie...

Być może kiedyś sami zechcą opisać ścieżki, jakimi chodzili, pola minowe, po których przyszło im się poruszać pomiędzy nadzieją a z wątpieniem. Najważniejsze, że wszystkim udało się zachowywać przyzwoicie. A pomimo lęków, porażek i rozczarowań życiorysy ułożyły się im dużo lepiej, niż mogli przypuszczać.

Karol Rossman, internowany w stanie wojennym, został ministrem w jednym z pierwszych rządów solidarnościowych. Do dziś dnia pozostaje z Szymonem w bliskich stosunkach, choć bywają takie okresy, kiedy żałuje zarzuconej kariery naukowej. „To nieprawda, że wszystkie wynalazki zostały już dokonane – mawia wówczas. – Mamy przewagę nad naukowcami z poprzedniego *fin de siecle*’u, że nie przychodzi nam nawet do głowy, by tak twierdzić”.

Aleksander Rawski w 1991 roku odzyskał zrujnowany dwór w Siedleckim, który służył sześciu pokoleniom jego antenatów, a po dość kosztownej i założonej na długie lata restauracji być może posłuży kolejnym generacjom rodziny. Zmarł 4 czerwca 1993 roku na udar serca podczas pamiętnej „nocy długich teczek”, przeklinając głupotę polskiej klasy politycznej, a mecenasa Olszewskiego w szczególności.

Jego syn, Szymon, po roku spędzonym na fizyce, ostatecznie ukończył biologię na Uniwersytecie Warszawskim – zaś w 1987 roku błyskotliwie uzyskał doktorat na Uniwersytecie w Princeton. Mimo znakomitych perspektyw naukowych za granicą w dwa lata później, na pierwszą wiadomość o powstaniu rządu Mazowieckiego, powrócił do kraju. Szybko zrażony stosunkami, panującymi w światku naukowym, w którym potraktowano go jak rywala i intruza, zostawił dyplomy i przeniósł się na wieś, gdzie zgodnie z obietnicą złożoną ojcu hoduje konie krwi polskiej, w przydomowym laboratorium prowadzi na własną rękę interesujące go badania genetyczne, a co jakiś czas rozgląda się za atrakcyjną ofertą którejś z polskich uczelni. Do trzydziestego roku życia pozostawał zatwardziałym kawalerem, jednak każda kosa trafia kiedyś na kamień...

Agnieszka Rawska ukończyła medycynę i jest dziś wybitnym lekarzem endokrynologiem w klinice prowadzonej przez księży barnabitów, gdzie osiąga rewelacyjne wyniki w leczeniu bezpłodności. Wolny czas poświęca wraz z mężem komputerowcem wychowywaniu czwórki wspaniałych dzieci. Zastrzega się, że jeśli idzie o liczbę potomstwa, nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Magdalena, jej matka, po czterdziestce nieoczekiwanie odkryła w sobie talent literacki – jest naczelną redaktorką kolorowego magazynu dla pań, a jej powieść „24 minuty z życia feministki” lokowała się w rankingach czytelniczych gdzieś pomiędzy przygodami Harry’ego Pottera a „Dziennikiem Bridget Jones”.

Wszystko wskazuje na to, że Roman Marczyński dożyje co najmniej setki. Zresztą musi, w serii staroegipskich monografii „Poczet faraonów” nie doszedł jeszcze do połowy listy Manethona. Nie jest to twórczość intratna, ale może sobie na to pozwolić: w 1990 roku otrzymał z Londynu zawiadomienie o 100 tysiącach funtów, zdeponowanych dla niego z polecenia anonimowego donatora. Wykorzystał część tej kwoty na odbycie z żoną spóźnionej o 50 lat podróży poślubnej dookoła świata. We właścicieliu agencji turystycznej ze zdumieniem odkrył swojego starego znajomego, „Roko”, ten jednak udał, że go nie poznaje. Większość dewiz przeznaczył na rodzinny dwór i stadninę. Od czasu do czasu budzi się w nim tęsknota do szerokich przestrzeni, zabiera wtedy wnuki na nadbużańskie łąki i puszcza z nimi latające modele, snując opowieści o pierwszych asach przestworzy.

Po dwudziestu latach, spędzonych wspólnie z odzyskanym mężem, babcia Zosia odeszła we śnie, czuwając przy łóżeczku bliźniaków – prawnuczków w samo Boże Narodzenie 2000 roku.

Najdonioślejsze bodajże dla przyszłości całej rodziny zdarzenie miało jednak miejsce jesienią 1990 roku, w trakcie pierwszej kampanii prezydenckiej. Magdalena Rawska, udzielająca się wówczas w sztabie Mazowieckiego, przyprowadziła pewnego dnia na obiad śliczną, ciemnowłosą dziewczynę, francuskojęzyczną Kanadyjkę.

– Anette Laroche reprezentuje telewizję z Toronto – przedstawiała gościa domownikom pani Magda. – Robi film o tym groteskowym kandydacie Stanie Tymińskim. A przy okazji chciałaby zrobić reportaż o jakiejś typowej polskiej rodzinie. Pomyślałam: dlaczego by nie o naszej...? Może pomógłbyś jej w tym, Szymonie?

Wystarczyło jedno spojrzenie orzechowych, lekko zwilgotniałych oczu, a decyzja mogła być tylko jedna. W ciągu jedenastu wspólnie przeżytych lat doczekali się dwóch córek bliźniaczek (inteligencja po tatusiu, uroda po mamusi – twierdzą wszyscy) i syna Jacka. Są szczęśliwi.

Ksiądz Jerzy, autentyczny wikary w jednym z warszawskich kościołów, został jesienią 1984 zabity przez grupkę oficerów SB. Jego ciało, obciążone kamieniami, zostało wrzucone do rzeki. Wielu wierzy, że męczeństwo to walcie przyczyniło się do odzyskania przez Polskę niepodległości. Morderca kapłana, Grzegorz P., po odsiedzeniu piętnastoletniego wyroku wyszedł ostatnio na wolność z zamiarem poświęcenia się działalności publicystycznej.

Gorzej powiodło się Borysowi Pugo. Wprawdzie za czasów Gorbaczowa ambitny Łotysz wspinał się na szczyty kremłowskiej hierarchii, jednak w sierpniu 1991 roku, po załamaniu się puczu Janajewa, popełnił samobójstwo, zabierając ze sobą wiele mrocznych tajemnic ZSRR. Niewykluczone, że ktoś dopomógł mu opuścić ten najlepszy z możliwych światów.

Polska znalazła się w NATO, panuje w niej kapitalizm, a rządzi postkomuniści.

Nikt nie poniósł choćby symbolicznej kary za minione zbrodnie.

Świat idzie naprzód, czasami w tył pośród szaleństw, dewiacji i niedorzeczności. Niektórzy twierdzą, że wkroczył w swe czasy przedostatnie. „Nie należy jednak tracić nadziei – jak powiada pan Roman. – Zawsze jest jakieś okienko, przez które widać lepszą część człowieczeństwa”.

Jak okno na zabytkowym placu, z którego uratowany w 1944 roku spod kół niemieckich ciężarówek przez nieznaną nikomu kobietę, anonimową pasażerkę tramwaju, wiecznie młody robotnik z Krakowa, jak długo przetrwa pamięć ludzka, będzie błogosławić Miastu i Światu.

*

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia 2001 roku stanowy oddział FBI, zajmujący się obławą na amerykańskich członków terrorystycznej Al-Quaidy, zainteresował się samotnym domem, położonym na jednej z wysepek archipelagu Florida Keys. Prowadziły tam podejrzenia, związane z licznymi międzynarodowymi rozmowami telefonicznymi, dokumentowane trzycyfrowymi miesięcznymi rachunkami, zaszyfrowanymi mailami komputerowymi i wydrukami z wielu kont niejakiego Jacka Hammersmitha.

Przybywszy na miejsce, agenci FBI z Miami, po sforsowaniu bramy, masywnych drzwi i wszelkich dodatkowych zabezpieczeń, przekonali się, że dom był pusty. Gruby kożuch kurzu dowodził, że nikt żywy nie przebywał w nim od wielu lat. Omijały go również z daleka szczury i jaszczurki, a żaden z ptaków, mających ostoję na malowniczej wysepce, nie uwił sobie gniazdka pod okapem rezydencji.

Telefon jednak był włączony, działała klimatyzacja. Broń w gablotach znajdowała się w komplecie, chociaż wydawała się również nieużywana, podobnie jak fotel na kółkach przed staroświeckim telewizorem. W całym domu nie znaleziono żadnych odcisków palców. Natomiast za oryginalnym obrazem Dürera „Zły”, wedle katalogów zaginionym podczas ostatniej wojny, w sejfie, który otworzono dość brutalnie, bowiem jego archaicznej, ale skutecznej kombinacji nie potrafił rozgryźć żaden ze współczesnych fachowców, znajdowało się całkiem sporo banknotów w różnych walutach z zaskakująco świeżych emisji. Nadto znaleziono tam kilka doskonale naoliwionych pistoletów oraz paszporty Jana Kowalskiego (wydany w 1925 roku w Warszawie), Johna Smitha (1939, Londyn), Jeana Martela (1945, Montreal) oraz Iwana Siergiejewicza Kuzniecowa (1978, Moskwa). W każdym z dokumentów z fotografii patrzyła ta sama twarz, choć w wersji polskiej właściciel paszportu był kanciastym blondynem, w angielskiej płomiennorudym brodaczem, Jean jako Kanadyjczyk miał krótkie, czarne włosy, Rosjanin zaś był łysy jak kolano. Jednak oczy

wszędzie pozostawały tak samo niebieskie. Zimne. (A przecież w tamtych czasach nie stosowano jeszcze szkieł kontaktowych!) Jak wyglądał właściciel domu, Jack Hammersmith, nie ustalono. Jego akta wyparowały z zasobów FBI, może zresztą nigdy w nich nie figurowały. Nikt z mieszkańców okolicznych wysepek nie mógł go sobie przypomnieć, a sprzątająca u niego przez dwadzieścia lat Kubanka umarła przed dziesięciu laty. Nie znaleziono też łodzi, którą musiał się komunikować ze stałym lądem, ani helikoptera, po którym pozostał hangar, części zamienne i pełne paliwa zbiorniki. Wszelkie bilingi rozmów z pustego domu i dotyczące Hammersmitha operacje bankowe urywały się z dniem 10 września 2001. Nic dziwnego, że wobec wszystkich tych sprzecznych informacji pytania, kim był, skąd się wziął i gdzie zniknął, będą musiały dłuższy czas poczekać na sensowne wytłumaczenie.

Podobnie, jak odpowiedź na pytanie: czy nasze życie nie jest przypadkiem tylko wariantem innego – lepszego albo może gorszego?

KONIEC

Wawer, lato 2000 – lato 2002

INDEKS POSTACI HISTORYCZNYCH

W „Alterlandzie” występują trzy kategorie osób. Postacie fikcyjne, postacie autentyczne o celowo zdeformowanych nazwiskach oraz postacie historyczne, których losy w powieści toczą się inaczej niż w znanej nam rzeczywistości. Uznałem, że z szacunku dla historycznej prawdy i dla orientacji czytelników warto pokusić się o indeks tych postaci wraz z krótkimi notkami na temat ich rzeczywistych losów.

Abakumow Wiktor (1896-1954) – sowiecki generał NKWD, szef organizacji Smiersz, aresztowany w 1953 i stracony.

Adenauer Konrad (1876-1967) – działacz chadecki, 1949-1963 kanclerz RFN, współtwórca państwa zachodniemieckiego, aktywny denazyfikator.

Anders Władysław (1892-1970) – generał, polityk, dowódca Armii Polskiej w ZSSR (1942-1943) i 2 Korpusu, pamiętnikarz. Zmarł na emigracji.

Andreotti Giulio (ur. 1919) – przywódca włoskiej chadecji, premier 1972-1973, 1976-1979, 1989-1992, oskarżony w aferze korupcyjnej i sądzony za związki z mafią.

Andropow Jurij (1914-1984) – komunista sowiecki, ambasador na Węgrzech 1954-1957, szef KGB 1967-1982, gensek 1982-1984.

Bacall Laureen (ur. 1934) – aktorka filmowa, partnerka i żona Humphreya Bogarta.

Bach Zelewski Erich von dem (1899-1972) – hitlerowski generał SS i policji, pacyfikator powstania warszawskiego, w 1962 skazany w ZSSR na dożywocie za zabójstwo przed wojną w Niemczech.

Baczyński Krzysztof Kamil (1921-1944) – poeta, poległ w powstaniu warszawskim.

Bandera Stepan (1908-1959) – działacz ukraiński, przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, zwolennik współpracy z Niemcami, w 1941 osadzony w Sachsenhausen, po wojnie na emigracji, przywódca UHWR (Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej), skrytobójczo zamordowany w Monachium przez agenta KGB.

Bardot Brigitte (ur. 1934) – francuska gwiazda filmowa, w połowie lat 70

porzuciła aktorstwo, działaczka ekologiczna.

Baryła Józef (ur. 1924) – generał, w latach 1980-1986 szef Głównego Zarządu Politycznego WP, od 1986 członek politbiura PZPR.

Beria Ławrientij (1899-1953) – marszałek, Gruzin, zaufany Stalina, 1938-1953 szef służby bezpieczeństwa ZSSR, 1946-1953 członek politbiura, podejrzewany niekiedy o otrucie Stalina, po jego śmierci inicjator umiarkowanej destalinizacji, w czerwcu 1953 obalony przez Chruszczowa. Oficjalnie stracony w grudniu 1953.

Berling Zygmunt (1896-1980) – legionista Piłsudskiego, pułkownik w stanie spoczynku, od 1939 na terenie ZSSR, generał, organizator podporządkowanej władzom sowieckim armii polskiej, dowódca I Dywizji im. Kościuszki, po wojnie w niełasce, w latach 1948-1953 komendant Akademii Sztabu Generalnego.

Berman Jakub (1901-1984) – polityk komunistyczny, w latach 50 postać numer 2 w PRL, odpowiedzialny za aparat represji, odsunięty w 1956.

Bernadotte Folke (1895-1948) – hrabia, bratanek króla Szwecji Gustawa V, działacz Czerwonego Krzyża, w 1945 mediator między Himmlerem a aliantami zachodnimi, przyczynił się do uwolnienia 20 tys. więźniów obozów koncentracyjnych, zginął w zamachu syjonistycznym w Palestynie.

Bierut Bolesław (1892-1956) – komunista, agent sowiecki, szef PZPR, 1947-1952 prezydent PRL, odpowiedzialny za „błędy i wypaczenia”. Zmarł w tajemniczych okolicznościach w Moskwie bezpośrednio po XX zjeździe KPZR.

Bormann Martin (1900-1945?) – jeden z przywódców hitlerowskich Niemiec, szef kancelarii NSDAP, faktyczny zastępca Hitlera, zaocznie skazany na śmierć w Norymberdze. Zaginął w dniach kapitulacji Berlina. Jego późniejsze losy obrosły wieloma legendami.

Brandt Willy (Karl Frahm; 1913-1992) – działacz socjalistyczny, dziennikarz, od 1933 na emigracji w Szwecji. Pod pseudonimem działacz norweskiego ruchu oporu, 1969-1974 kanclerz RFN, laureat pokojowej Nagrody Nobla 1971, ustąpił po wykryciu w jego sekretariacie wschodnioniemieckiej agentury.

Braun Ewa (1910-1945) – kochanka Hitlera, w kwietniu 1945 wzięła z nim ślub tuż przed samobójstwem ich obojga w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy.

Braun Wernher von (1912-1977) – niemiecki inżynier, konstruktor rakiet V-2, szef ośrodka w Peenemünde, po wojnie jeden z twórców amerykańskiego programu kosmicznego.

Breżniew Leonid (1906-1982) – komunista, 1966-1982 gensek KPZR, inicjator interwencji w Czechosłowacji i Afganistanie.

Broniewski Władysław (1897-1962) – legionista, sztandarowy poeta rewolucyjny. 1940-1941 więziony w ZSSR, żołnierz Armii Andersa, w 1945 wrócił do kraju, autor *Słowa o Stalinie*.

Brzeziński Zbigniew (ur. 1928) – politolog i publicysta amerykański pochodzenia polskiego, 1977-1980 doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Bułganin Nikołaj (1895-1975) – marszałek Armii Czerwonej, 1953-1955 minister obrony, 1955-1958 premier ZSSR, odsunięty pod zarzutem działalności antypartyjnej.

Bürger – Niemiec, ksiądz katolicki w okupowanym Krakowie.

Burgess Guy (Francis de Moncy; 1911-1963) – urzędnik brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, szpieg sowiecki w siatce Kima Philby'ego, w zdemaskowany 1951, uciekł wraz z Donaldem Macleanem do ZSSR.

Canaris Wilhelm (1887-1945) – admirał niemiecki, od 1935 szef Abwehry, aresztowany w lipcu 1944 i stracony za udział w spisku Stauffenberga.

Carter Jimmy (ur. 1924) – amerykański prezydent 1977-1981 z ramienia Partii Demokratycznej, rzecznik praw człowieka i miękkiej polityki zagranicznej, laureat pokojowej Nagrody Nobla 2002.

Ceaușescu Nicolae (1918-1989) – przywódca komunistów rumuńskich, od 1965 sekretarz generalny, od 1974 prezydent. Dyktator o zabarwieniu nacjonalistycznym, obalony w wyniku jednodniowej rewolty i stracony razem z żoną Eleną w grudniu 1989.

Chomeini Ruhollah (1900-1989) – ajatollah szyitów irańskich, 1974-1979 na wygnaniu, przywódca islamskiej rewolucji w Iranie w 1979 i aż do śmierci absolutny zwierzchnik teokratycznej Republiki Islamskiej.

Chruszczow Nikita (1894-1971) – komunista sowiecki, 1938-1949 gensek WKP (b) Ukrainy, odpowiedzialny za wielką czystkę na jej terenie, po śmierci Stalina gensek KPZR, premier 1958-1964, inicjator potępienia Stalina na XX zjeździe (1956), inicjator kryzysu kubańskiego w 1962, w 1964 obalony przez Breżniewa i Kosygina.

Churchill Winston (1874-1965) – angielski mąż stanu, konserwatysta, pisarz historyczny, wybitny mówca, dwukrotnie pierwszy Lord Admiralicji, 1940-1945 i 1951-1955 premier, jeden z przywódców koalicji antyhitlerowskiej, laureat literackiej Nagrody Nobla 1953.

Cooper Gary (1901-1961) – amerykański aktor filmowy.

Czapski Józef (1896-1993) – malarz i eseista, więzień łagrów, potem w Armii Andersa, od 1945 na emigracji w Paryżu, współzałożyciel „Kultury”.

Dajan Mosze (1915-1981) – jednoooki generał izraelski, od 1967 minister obrony, 1977-1979 minister spraw zagranicznych, zwycięski dowódca w wojnie sześciodniowej w 1967 i wojnie Jom Kippur w 1973.

Deng Xiao Ping (1904-1997) – komunistyczny polityk chiński, represjonowany w trakcie rewolucji kulturalnej, od 1978 inicjator otwarcia Chin i reform gospodarczych. Odpowiedzialny za stłumienie rewolty studenckiej w 1989.

De Sica Vittorio (1901-1974) – reżyser i aktor włoski, jeden z twórców neorealizmu.

Dewey Thomas – gubernator Nowego Jorku, republikański kandydat na prezydenta w 1944, według sondaży zwycięzca, ostatecznie prześcignięty przez Roosevelta przewagą 2,5 mln. głosów.

Dietrich Marlena (1904-1992) – aktorka i piosenkarka niemiecka, od lat 30 w USA, działaczka antyhitlerowska.

Dietrich Otto – rzecznik prasowy III Rzeszy.

Disney Walt (1901-1966) – plastyk, reżyser filmów animowanych, producent filmowy, w latach 50 współpracownik CIA, zwolennik antykomunistycznych czystek senatora McCarthy'ego.

Dönitz Karl (1891-1980) – admirał niemiecki, od 1943 dowódca Kriegsmarine, wyznaczony w testamencie Hitlera na następcę, za zbrodnie wojenne skazany w Norymberdze na 10 lat więzienia.

Dreszer „Orlicz” Gustaw (1889-1936) – legionista, generał, w zamachu majowym 1926 dowódca oddziałów Piłsudskiego.

Drobner Bolesław (1888-1968) – krakowski działacz socjalistyczny, w latach 1943-1944 członek Związku Patriotów Polskich w ZSSR.

Dymsha Adolf (Adolf Bagiński; 1900-1975) – polski aktor komediowy.

Eichmann Adolf (1906-1962) – oficer SS, jeden z głównych organizatorów zagłady Żydów, w 1960 porwany przez wywiad Izraela w Buenos Aires, sądzony w Jerozolimie i stracony.

Eile Marian (1910-1984) – publicysta i plastyk, przed wojną sekretarz „Wiadomości Literackich”, założyciel i wieloletni redaktor naczelný tygodnika „Przekrój”; usunięty po marcu 1968.

Einstein Albert (1879-1955) – niemiecki fizyk, twórca teorii względności, działacz pokojowy i syjonistyczny, od 1933 na emigracji w USA, inicjator budowy bomby atomowej.

Eisenhower Dwight (1890-1969) – generał i polityk amerykański, republikanin, 1942-1945 głównodowodzący wojsk amerykańskich w Europie, 1953-1961 prezydent, zwolennik twardej polityki wobec komunizmu.

Fieldorf „Nil” August (1895-1953) – generał, szef Kedywu AK, aresztowany i stracony przez komunistyczne władze PRL.

Fonda Jane (ur. 1937) – amerykańska aktorka filmowa, działaczka antywojenna.

Frank Hans (1900-1946) – prawnik, funkcjonariusz NSDAP, 1939-1945 generalny gubernator GG, sądzony w Norymberdze, jedyny, który okazał skruchę, stracony.

Fromm Ernst – niemiecki generał pułkownik, dowódca rezerwy wojsk lądowych.

Fuchs Klaus (1911-1988) – fizyk atomowy, niemiecki komunista, uczestnik

Manhattan Project, agent wywiadu sowieckiego, umożliwił budowę radzieckiej bomby wodorowej, aresztowany w 1950. Po 1959 na wysokich stanowiskach w NRD.

Funk Walter (1890-1960) – od 1938 minister gospodarki i prezes Banku Rzeszy, skazany w Norymberdze na dożywocie.

Gaulle Charles de (1890-1970) – generał i wybitny polityk francuski, teoretyk wojny ruchomej, od 1940 na emigracji w Anglii, przywódca Wolnej Francji, 1944-1946 premier, 1959-1969 prezydent, twórca V Republiki.

Gierek Edward (1913-2001) – w latach 1970-1980 pierwszy sekretarz PZPR.

Goebbels Joseph (1897-1945) – literat, działacz ścisłego kierownictwa NSDAP, od 1926 gauleiter Berlina, od 1933 minister propagandy Rzeszy, twórca pojęcia wojny totalnej, wraz z rodziną popełnił samobójstwo w oblężonym Berlinie.

Goerdeler Carl (1884-1945) – polityk niemiecki, m.in. nadburmistrz Lipska i komisarz ds. kontroli cen, po 1939 w opozycji. Przez spiskowców z grupy Stauffenberga przewidywany na kanclerza. Aresztowany i stracony.

Gold Harry (Gołodnicki; ur. 1910) – Żyd ukraiński, od lat 30 agent sowiecki i łącznik między naukowcami Manhattan Project a wysłannikiem Berii Jakowlewem. Aresztowany w 1950, skazany na 30 lat więzienia.

Gombrowicz Witold (1904-1969) – pisarz polski, od 1939 na emigracji w Argentynie, od 1964 we Francji.

Gomułka Władysław (1905-1982) – komunista polski, sekretarz PPR, represjonowany w latach 50, po październiku 56 pierwszy sekretarz PZPR. Obalony po wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu w 1970.

Göring Hermann (1893-1946) – działacz NSDAP, marszałek Rzeszy, od 1934 dowódca lotnictwa, 1936-1943 zarządzał gospodarką, potem w niełasce u Hitlera, skazany na śmierć w procesie norymberskim; popełnił w celi samobójstwo.

Grabski Tadeusz (1929-1998) – działacz PZPR, 1975-1979 pierwszy sekretarz w Koninie, przywódca frakcji „betonu partyjnego”, 1980-1981 członek politbiura.

Gromow Borys (ur. 1944) – generał sowiecki, ostatni dowódca wojsk interwencyjnych w Afganistanie, do 1995 wiceminister obrony, deputowany, założyciel partii Braterstwo Broni.

Gromyko Andriej (1909-1989) – dyplomata sowiecki, 1957-1985 minister spraw zagranicznych, w 1985 odsunięty przez Gorbaczowa.

Guderian Heinz (1888-1954) – generał niemiecki, wybitny dowódca wojsk pancernych, twórca doktryny wojny błyskawicznej, 1944-1945 szef sztabu wojsk lądowych.

Hemar Marian (1901-1972) – poeta i satyryk polski, kierownik literacki kabaretów międzywojennych, po wojnie na emigracji w Londynie.

Heydrich Reinhard (1904-1942) – działacz NSDAP i SS, współorganizator

gestapo, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, od 1941 zastępca protektora Czech i Moraw, zabity przez przerzuconych z Wielkiej Brytanii czeskich komandosów.

Himmler Heinrich (1900-1945) – minister spraw wewnętrznych Rzeszy, szef policji i SS, w 1945 za próbę kontaktu z aliantami wykluczony z NSDAP. Ujęty przez Brytyjczyków, popełnił samobójstwo.

Hitler Adolf (1889-1945) – kanclerz i wódz III Rzeszy. 30 kwietnia 1945 popełnił samobójstwo w swoim bunkrze w Berlinie.

Hlond August (1881-1948) – od 1926 prymas Polski, od 1927 kardynał. Powrócił do Polski w 1945.

Holoubek Gustaw (ur. 1923) – wybitny aktor teatralny, reżyser, 1976-1982 poseł na Sejm, 1989-1991 senator.

Honecker Erich (1912-1994) – komunista niemiecki, 1971-1989 pierwszy sekretarz SED, od 1973 przewodniczący Rady Państwa NRD, usunięty w 1989, aresztowany w 1992, zmarł na wygnaniu w Chile.

Höss Rudolf (1900-1947) – komendant obozu Auschwitz, wydany przez Brytyjczyków Polsce, sądzony w Warszawie, stracony w Oświęcimiu.

Iwazkiewicz Jarosław (1894-1980) – pisarz, poeta, 1945-1949 i 1957-1980 prezes Związku Literatów Polskich.

Jankowski Jan Stanisław (1882-1953) – Delegat Rządu RP na Kraj 1943-1945. Zatwierdził decyzję o wybuchu powstania warszawskiego, sądzony w moskiewskim procesie szesnastu, zmarł w sowieckim więzieniu.

Járosy Fryderyk (1890-1960) – konferansjer i reżyser międzywojennych kabaretów warszawskich, po wojnie w Wielkiej Brytanii.

Jaroszewicz Piotr (1909-1992) – komunista polski, oficer polityczny I Armii w ZSSR, 1976-1980 premier rządu PRL, w niewyjaśnionych okolicznościach zamordowany wraz z żoną w willi w Aninie.

Jaruzelski Wojciech (ur. 1923) – generał, 1968-1983 minister obrony narodowej, 1981-1989 pierwszy sekretarz PZPR, 1981-1985 premier, 1989-1990 prezydent.

Jerzy VI (1894-1952) – król Zjednoczonego Królestwa od 1936, cesarz Indii, głowa Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Jodl Alfred (1890-1946) – generał, szef sztabu dowództwa Wehrmachtu, sądzony w Norymberdze, stracony.

Juan Carlos II (ur. 1938) – wnuk Alfonsa XIII, w 1969 ogłoszony przez generała Franco sukcesorem władzy, od 1975 król Hiszpanii o ogromnych zasługach dla hiszpańskiej demokracji.

Kádár János (1912-1989) – komunista węgierski, 1948-1950 minister spraw wewnętrznych, więziony 1951-1954, inicjator interwencji sowieckiej w 1956. 1956-

1988 szef partii, twórca tzw. gulaszowego socjalizmu.

Kaganowicz Łazar (1893-1991) – prominentny członek stalinowskiego kierownictwa ZSSR, usunięty w 1957 przez Chruszczowa ze wszystkich stanowisk.

Kalinin Michaił (1875-1946) – przewodniczący fasadowej Rady Najwyższej ZSSR, od 1936 nominalny szef rządu.

Kaltenbrunner Ernst (1903-1946) – od 1943 szef policji bezpieczeństwa Rzeszy RSHA. Skazany na śmierć w Norymberdze.

Keitel Wilhelm (1882-1946) – feldmarszałek, 1938-1945 szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji. Skazany na śmierć w Norymberdze i stracony.

Kennedy Edward (ur. 1932) – najmłodszy brat prezydenta, senator od 1962, w 1969 oskarżenie o ucieczkę z miejsca wypadku uniemożliwiło mu kandydowanie na prezydenta USA, w 1980 ostatecznie zrezygnował ze starań o prezydenturę.

Kennedy John Fitzgerald (1917-1963) – prezydent USA, z ramienia Partii Pemokratycznej, zamordowany w Dallas.

Kesselring Albert (1885-1960) – feldmarszałek, dowódca armii C we Włoszech w 1943, w 1947 skazany przez brytyjski trybunał wojskowy w Rzymie na karę śmierci zamienioną na dożywocie. Zwolniony w 1952.

Kisielewski Stefan „Kisiel” (1911-1991) – kompozytor, pisarz, felietonista, polityk, poseł na Sejm 1957-1965 z koła „Znak”. Działacz opozycji demokratycznej.

Kissinger Henry (ur. 1923) – polityk, dyplomata, politolog, 1969-1974 doradca prezydenta Nixona do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Kiszczak Czesław (ur. 1925) – generał, funkcjonariusz wywiadu i kontrwywiadu PRL, 1981-1990 minister spraw wewnętrznych. Współorganizator „Okrągłego Stołu” w 1989.

Klimuszko Czesław (1905-1980) – franciszkanin, bioenergoterapeuta i jasnowidz. Przed śmiercią przepowiedział pięćdziesiąt szczęśliwych dla Polski lat.

Komorowski „Bór” Tadeusz (1895-1966) – generał, 1943-1944 dowódca AK, komendant powstania warszawskiego. 1945-1946 Naczelny Wódz wojsk polskich na Zachodzie, 1947-1949 premier rządu emigracyjnego.

Koniew Iwan (1897-1973) – marszałek ZSSR, 1944-1945 dowódca I Frontu Ukraińskiego.

Korczyński Grzegorz (1915-1971) – generał, podczas wojny dowódca obwodu lubelskiego komunistycznej Armii Ludowej. Organizator sił bezpieczeństwa PRL, więziony w latach 50, pacyfikator wydarzeń grudniowych 1970. Zmarł, wysłany na placówkę dyplomatyczną do Algierii.

Królak Stanisław (ur. 1931) – kolarz, triumfator Wyścigu Pokoju w 1956.

Kukliński Ryszard (1930-2003) – szef oddziału planowania strategicznego w

Sztapie Generalnym LWP, agent wywiadu USA. Przekazał za Zachód sowieckie plany inwazji. W 1981 zbiegł z planami stanu wojennego w Polsce. Mieszkał w USA.

Kulikow Wiktor (ur. 1921) – marszałek ZSSR. 1977-1990 naczelny dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego.

Kuroń Jacek (ur. 1934) – działacz opozycji demokratycznej, współtwórca Komitetu Obrony Robotników.

Kwiatkowska Irena (ur. 1912) – aktorka komediowa i kabaretowa.

Kwiatkowska Lass Barbara (1940-1995) – aktorka, polska gwiazdka filmowa przełomu lat 50/60, po wyemigrowaniu z Polski sukcesu nie osiągnęła.

Kwiatkowski Eugeniusz (1888-1974) – działacz gospodarczy, 1935-1939 wicepremier i minister skarbu. Twórca Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego. Po wojnie krótko pełnomocnik do spraw odbudowy Wybrzeża.

Laval Pierre (1883-1945) – premier rządu Vichy 1942-1944. Stracony.

Lechoń Jan (1899-1956) – poeta, dyplomata, od 1940 na emigracji w USA, popełnił samobójstwo.

Łapicki Andrzej (ur. 1924) – aktor-amant, 1989-1991 poseł. W latach 50 lektor stalinowskiej Polskiej Kroniki Filmowej.

Łukaszewicz Jerzy (1931-1983) – działacz młodzieżowy i partyjny. Sekretarz KC 1971-1980, odpowiedzialny w ekipie Gierka za propagandę.

MacArthur Douglas (1880-1964) – generał. 1941-1951 naczelny dowódca wojsk USA na Dalekim Wschodzie, 1950-1951 – głównodowodzący wojsk ONZ w wojnie koreańskiej, usunięty, gdyż domagał się użycia broni atomowej.

Mackiewicz Józef (1902-1985) – pisarz, publicysta antykomunistyczny, w 1942 skazany przez AK za współpracę z Niemcami na karę śmierci. Uczestniczył w ekshumacji katyńskiej. Po wojnie w Wielkiej Brytanii.

McCarthy Joseph (1908-1957) – senator z ramienia Partii Republikańskiej, 1947-1957 przewodniczący senackiej komisji śledczej do spraw działalności antyamerykańskiej, potępiony w 1954 za nadużywanie władzy.

Machejek Władysław (1920-1991) – pisarz, partyzant GL, oficer bezpieczeństwa, działacz PPR i PZPR, od 1952 redaktor naczelny „Życia Literackiego”.

Macleane Donald – szpieg sowiecki w Wielkiej Brytanii. Ostrzeżony przez Kima Philby’ego, w 1951 uciekł do ZSSR.

Maczek Stanisław (1892-1994) – generał, dowódca polskiej dywizji pancernej na Zachodzie, pamiętnikarz.

Malenkow Gieorgij (1902-1988) – uznawany za następcę Stalina, 1953-1955 premier, w 1957 usunięty z kierownictwa przez Chruszczowa.

Malraux André (1901-1975) – pisarz, polityk, partyzant. Przyjaciel de Gaulle’a, w którego rządach sprawował funkcje ministra informacji i ministra kultury.

Mao Tse-tung (Zedong; 1893-1976) – komunista, od 1949 autokratyczny przywódca ChRL. Uniezależnił kraj od hegemonii ZSSR. Inicjator katastrofalnych przełomów gospodarczych („wielki skok”) i politycznych („rewolucja kulturalna”).

Mazowiecki Tadeusz (ur. 1927) – publicysta, polityk chadecki, redaktor naczelny „Więzi” i „Tygodnika Solidarność” (1981), 1961-1971 poseł koła „Znak”, doradca „Solidarności”, 1989-1990 premier.

Michnik Adam (ur. 1946) – publicysta, polityk. Działacz opozycji demokratycznej w PRL, współtwórca KOR, od 1989 redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”.

Mikojan Anastas (1895-1978) – Ormianin, komunista sowiecki, 1935-1955 członek politbiura.

Mikołajczyk Stanisław (1901-1966) – polityk partii chłopskich, 1943-1944 premier rządu RP na uchodźstwie, 1945-1947 wicepremier i lider legalnej opozycji w PRL, po ucieczce w 1947 na emigracji.

Milewski Mirosław (1932-1991) – generał służb bezpieczeństwa, wiceminister, prezydent Warszawy.

Miller Arthur (ur. 1915) – dramaturg amerykański, mąż Marilyn Monroe.

Miłosz Czesław (ur. 1911) – poeta, wykładowca, od 1951 na emigracji we Francji i USA, laureat literackiej Nagrody Nobla 1980. Od 1994 mieszka na przemian w Kalifornii i Krakowie.

Moczar Mieczysław (1913-1986) – generał, partyzant AL, 1945-1948 szef UB w Łodzi, 1964-1968 minister spraw wewnętrznych, ekspansywny przywódca frakcji nacjonalistycznej w PZPR, 1970-1971 i 1980-1981 członek politbiura.

Moczulski Leszek (ur. 1930) – publicysta, historyk, polityk, działacz opozycji, w 1979 twórca Konfederacji Polski Niepodległej i jej wieloletni przywódca. 1991-1997 poseł.

Molczyk Eugeniusz (ur. 1931) – generał.

Moltke Helmuth von (1907-1945) – hrabia, działacz konserwatywnego skrzydła opozycji antyhitlerowskiej, aresztowany w styczniu 1944 i stracony.

Mołotow Wiaczesław (Skriabin; 1890-1986) – dyplomata komunistyczny, jako minister spraw zagranicznych 1939-1949 wynegocjował pakt Ribbentrop-Mołotow. Po 1945 sławny twardogłowy przedstawiciel ZSSR w ONZ. Minister spraw zagranicznych 1953-1956. Usunięty wraz z „antypartyjną grupą” w 1957, ambasador w Mongolii.

Moreli Theodor – przyboczny lekarz Hitlera.

Mori Takeshi (zm. 1945) – generał japoński, dowódca gwardii cesarskiej, zabity przez rebeliantów usiłujących nie dopuścić do ratyfikowania kapitulacji przez cesarza Hirohito.

Moskalenko Kirył (1902-1985) – generał sowiecki. Pod koniec wojny dowódca 38

armii, w 1953 dowódca Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Przypisuje mu się doniosłą rolę przy aresztowaniu Berii.

Mrozek Sławomir (ur. 1930) – prozaik, dramatopisarz. Od 1963 poza krajem we Włoszech, Francji i Meksyku. W 1992 powrócił do Krakowa.

Müller Heinrich (1900-?) – od 1939 szef gestapo. W 1945 zginął.

Munk Andrzej (1921-1961) – reżyser filmowy, współtwórca tzw. polskiej szkoły filmowej. Zginął w wypadku samochodowym.

Mussolini Benito (1883-1945) – twórca faszyzmu. Od 1922 premier Włoch, od 1925 Duce (Wódz). W lipcu 1943 obalony przez Wielką Radę Faszystowską. Aresztowany i uwolniony przez komandosów Skorzenego, głowa efemerycznej republiki Saló, podczas ucieczki ujęty i rozstrzelany przez partyzantów.

Nowak-Jeziorański Jan (ur. 1913) – polityk, publicysta. W czasie wojny pięciokrotny kurier z Warszawy. Walczył w powstaniu warszawskim. 1952-1975 dyrektor sekcji polskiej Radia Wolna Europa. Od 2002 na stałe w Polsce.

Okulicki „Niedźwiadek” Leopold (1898-1946) – generał, cichociemny, ostatni dowódca AK. Podstępnie aresztowany przez generała NKWD Sierowa w Pruszkowie, w 1945 sądzony w procesie szesnastu w Moskwie, zamordowany w więzieniu.

Olszewski Jan (ur. 1930) – adwokat, polityk, dziennikarz. 1991-1992 premier III RP, obalony wskutek tzw. afery teczkowej.

Olszowski Stefan (ur. 1931) – działacz komunistyczny, 1968-1985 z przerwami członek kierownictwa PZPR, 1971-1976, 1982-1988 minister spraw zagranicznych, w okresie „Solidarności” lider partyjnego betonu. Po upadku PRL na emigracji w USA.

Ordonówna Hanka (1902-1950) – piosenkarka, gwiazda międzywojennych kabaretów, żołnierz Armii Andersa. W 1942 zorganizowała na Bliskim Wschodzie opiekę nad osieroconymi w ZSSR dziećmi, zmarła w Bejrucie.

Osóbka-Morawski Edward (1909-1997) – działacz PPS, 1944-1947 premier, figurant na licznych dekoracyjnych stanowiskach w PRL.

Papen Franz von (1879-1969) – polityk niemiecki, 1932 kanclerz, utorował drogę Hitlerowi. 1933 wicekanclerz, 1939-1944 ambasador w Turcji. Sądzony w Norymberdze, uniewinniony.

Patton George (1885-1945) – znany z energii generał amerykański, 1944-1945 dowódca 3 Armii. Po kapitulacji Niemiec wojskowy gubernator Bawarii, zginął w niejasnych okolicznościach.

Paulus Friedrich von (1890-1957) – feldmarszałek, dowódca pod Stalingradem, 1943-1953 w niewoli sowieckiej, repatriowany do NRD.

Pełczyński Tadeusz (1892-1985) – zastępca dowódcy AK w powstaniu warszawskim, po wojnie na emigracji.

Penderecki Krzysztof (ur. 1933) – kompozytor.

Pétain Philippe (1856-1951) – marszałek, bohater pierwszej wojny światowej. W 1940 jako premier podpisał kapitulację Francji, szef marionetkowego rządu Vichy. Skazany na śmierć za kolaborację, wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie.

Petersburski Jerzy (1897-1979) – kompozytor muzyki popularnej, 1947-1968 w Ameryce Południowej.

Philby Kim (1912-1988) – pracownik wywiadu brytyjskiego, od 1933 agent sowiecki. W 1943 odegrał niewyjaśnioną rolę w zamachu na premiera Sikorskiego w Gibraltarze. Działając w ambasadzie w Waszyngtonie, ostrzegł w 1951 zdemaskowanych szpiegów Burgessa i Mcleana, którzy uciekli do ZSSR. Sam, bliski zdemaskowania, uciekł w 1963. Konsultant KGB w randze generała majora, zmarł w Moskwie.

Piłsudski Józef (1867-1935) – działacz socjalistyczny, komendant Legionów, marszałek Polski, twórca Polski Odrodzonej, Naczelnik Państwa 1918-1921. Powrócił do władzy w wyniku zamachu majowego 1926.

Pimen (Siergiej Izwiekow; 1910-1990) – zakonnik, więzień łagrów, oficer frontowy, od 1971 prawosławny patriarcha Moskwy i Wszechrusi.

Pio ojciec (Francesco Forgione; 1887-1968) – włoski kapucyn, stygmatyk, cudotwórca i wizjoner z San Giovanni di Rotondo. Beatyfikowany w 2002.

Pius XII (Eugenio Pacelli; 1876-1958) – papież od 1939. Antykomunista, kontrowersyjny ze względu na postawę wobec faszyzmu i nazizmu.

Pobóg-Malinowski Władysław (1899-1962) – wybitny historyk polski, od 1939 na emigracji. Autor *Najnowszej historii Polski*.

Popiełuszko Jerzy (1947-1984) – ksiądz z parafii św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Kapelan „Solidarności”, organizator Mszy za Ojczyznę, zamordowany przez funkcjonariuszy SB Grzegorza Piotrowskiego, Leszka Pękale i Waldemara Chmielewskiego.

Popławski Stanisław (Siergiej Gorochow; 1902-1973) – generał sowiecki, od 1944 w WP, dowódca II, a następnie I Armii. W 1956 wrócił do ZSSR.

Poskriebyszew Aleksandr (1891-1965) – felczer, generał, sekretarz Stalina, szef nieformalnego ośrodka władzy w ŁSRR.

Pugo Borys (1937-1991) – wieloletni szef KGB Łotwy, pierwszy sekretarz KP Łotwy, 1990 minister spraw wewnętrznych ZSSR. W 1991 jeden z przywódców tzw. puczu Janajewa. 21 sierpnia, w obliczu załamania przewrotu, według oficjalnego komunikatu zastrzelił żonę i popełnił samobójstwo.

Pużak Kazimierz (1883-1950) – działacz socjalistyczny, 1944-1945 przewodniczący Rady Jedności Narodowej. W moskiewskim procesie szesnastu skazany na 1,5 roku, powrócił do kraju, ponownie aresztowany w 1947, zmarł w więzieniu.

Raczyński Edward (1891-1993) – dyplomata, 1941-1943 minister spraw zagranicznych, 1979-1986 prezydent RP na uchodźstwie.

Remer Otto – major, w 1944 dowódca batalionu ochrony Führera.

Reston James (1909-1995) – wpływowy dziennikarz „New York Timesa”, specjalista od polityki międzynarodowej.

Ribbentrop Joachim von (1893-1945) – minister spraw zagranicznych III Rzeszy. Skazany w Norymberdze. Stracony.

Rokossowski Konstanty (1896-1968) – marszałek ZSSR, 1937-1940 więziony, dowódca armii i frontów II wojny. 1949-1956 minister obrony narodowej PRL, wicepremier. Po październiku 1956 powrócił do ZSSR.

Rommel Erwin (1891-1944) – feldmarszałek niemiecki, dowódca Afrika Korps, obrońca Wału Atlantyckiego. Podejrzany o udział w spisku na życie Hitlera, popełnił samobójstwo.

Roosevelt Franklin Delano (1882-1945) – czterokrotny prezydent USA, ostatni raz wybrany w 1944. Współtwórca powojennego ładu światowego.

Rundstedt Gerd von (1875-1953) – feldmarszałek niemiecki, 1942-1945 z krótką przerwą dowódca frontu zachodniego. Brał udział w sądzie uczestników spisku 1944. Po wojnie 1945-1949 więziony przez Brytyjczyków.

Sapieha Adam (1867-1951) – książę, od 1912 biskup krakowski, członek austriackiej Izby Panów, 1926 arcybiskup, w czasie okupacji powołał Radę Główną Opiekuńczą, 1946 kardynał.

Sawczuk Włodzimierz (ur. 1925) – działacz komunistyczny.

Schellenberg Walter (1910-1952) – oficer Abwehry, Brigadeführer SS, osobiście aresztował Canaris. Pośredniczył w rozmowach między Himmlerem a księciem Folke Bernadotte.

Schirach Baldur von (1907-1974) – działacz NSDP, 1933-1940 szef Hitlerjugend, 1940-1945 gauleiter Wiednia, skazany w Norymberdze na 20 lat.

Seyss-Inquart Arthur (1892-1946) – nazista austriacki, adwokat, 1938-1939 namiestnik Austrii, 1939-1940 zastępca Hansa Franka w Polsce, 1940-1945 komisarz Rzeszy w Holandii. Osądzony w Norymberdze i stracony.

Sierow Iwan (1905-1990) – generał NKWD, doradca polskiego UB, w 1945 aresztował 16 przywódców polskiego państwa podziemnego. Szef KGB w czasie powstania węgierskiego, potem szef GRU.

Sikorski Władysław (1881-1943) – generał, od 1939 premier rządu RP na uchodźstwie, twórca Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zginął w niewyjaśnionej katastrofie w Gibraltarze.

Skorzeny Otto (1908-1976) – Sturmbahnführer SS, specjalista od akcji specjalnych, w 1943 uwolnił Mussoliniego z Gran Sasso. W latach 60 rzekomy

współpracownik Mosadu.

Sokorski Włodzimierz (1908-1999) – generał, polityk, publicysta, współorganizator Związku Patriotów Polskich w ZSSR, stalinowski minister kultury, potem m.in. prezes radia i telewizji. U schyłku życia krytyk reżimu.

Sosabowski Stanisław (1892-1967) – generał, dowódca polskiej brygady spadochronowej pod Arnhem. Pozostał na Zachodzie.

Sosnkowski Kazimierz (1885-1969) – generał, współpracownik Piłsudskiego, 1939-1944 pełniący obowiązki prezydenta. W 1941 przeciwnik układu polsko-sowieckiego, ustąpił z rządu, 1943-1944 Naczelnny Wódz. Od 1944 osiadł w Kanadzie.

Speer Albert (1905-1981) – architekt, faworyt Hitlera, 1942-1945 szef Organizacji Todta, minister uzbrojenia. W Norymberdze skazany na 20 lat.

Słonimski Antoni (1895-1976) – poeta, publicysta, satyryk, w PRL długoletni opozycjonista, zmarł w wyniku wypadku samochodowego.

Stalin Iosif (Dżugaszwili; 1879-1953) – komunista gruziński, totalitarny przywódca ZSSR, jeden z największych zbrodniarzy w historii. W okresie 1941-1945 główny rozgrywający Wielkiej Koalicji.

Starzyński Stefan (1893-1944?) – od 1934 komisaryczny prezydent Warszawy, we wrześniu 1939 przywódca walczącej stolicy, aresztowany przez Niemców, pod koniec wojny zamordowany w obozie.

Stauffenberg Claus Schenck von (1907-1944) – pułkownik, oficer niemieckiego sztabu generalnego. Jeden z przywódców „spisku generałów”. 20 lipca 1944 dokonał w Wilczym Szańcu nieudanego zamachu na Hitlera. Tego samego dnia stracony w Berlinie.

Stawiński Jerzy Stefan (ur. 1921) – pisarz i scenarzysta filmowy, współtwórca polskiej szkoły filmowej, oficer AK i uczestnik powstania warszawskiego.

Stewart James (1908-1997) – wybitny amerykański aktor filmowy.

Stypułkowski Zbigniew (1904-1979) – adwokat, polityk, narodowiec, w 1944 podpisał umowę scaleniową NSZ-AK. W moskiewskim procesie szesnastu skazany na 4 miesiące, wyemigrował, przywódca Stronnictwa Narodowego na wychodźstwie.

Susłow Michaił (1902-1982) – działacz komunistyczny, główny ideolog partii sowieckiej doby Breżniewa.

Talbott Strobe (ur. 1948) – polityk amerykański, za prezydentury Clintona zwolennik orientacji prorosyjskiej, doradca prezydenta George’a W. Busha.

Truman Harry (1884-1972) – 1945 wiceprezydent USA, po śmierci Roosevelta 1945-1953 prezydent. Podjął decyzję o użyciu broni jądrowej przeciw Japonii. Autor doktryny powstrzymania komunizmu.

Tuwim Julian (1894-1953) – poeta, satyryk. W 1946 powrócił z emigracji.

Vogel Hans-Jochen (ur. 1926) – jeden z przywódców SPD, konkurent Helmuta

Kohla do urzędu kanclerskiego.

Ustinow Dmitrij (1908-1984) – marszałek sowiecki, od 1976 minister obrony, członek ścisłego kierownictwa późnej doby Breżniewa.

Wajda Andrzej (ur. 1926) – reżyser, działacz społeczny, jeden z twórców polskiej szkoły filmowej.

Wałęsa Lech (ur. 1943) – robotnik, polityk, przywódca robotniczego zrywu 1980. 1980-1990 przewodniczący NSZZ „Solidarność”, 1990-1995 prezydent III RP.

Wasilewska Wanda (1905-1964) – pisarka, działaczka komunistyczna, współorganizatorka Związku Patriotów Polskich w ZSSR, 1944 wiceprzewodnicząca „rządu lubelskiego”, pozostała w ZSSR.

Wieniawa-Długoszowski Bolesław (1881-1942) – generał, adiutant Piłsudskiego, 1938-1940 ambasador w Rzymie, popełnił samobójstwo.

Witos Andrzej (1878-1973) – brat Wincentego, działacz chłopski, 1941-1942 więziony w ZSSR. Członek Związku Patriotów Polskich. W rządzie lubelskim wicepremier i minister rolnictwa.

Własik Nikołaj (1896-1967) – generał, szef ochrony Stalina.

Wojciechowski Stanisław (1869-1953) – działacz socjalistyczny i spółdzielczy, założyciel PPS, 1922-1926 prezydent RP, obalony przez zamach majowy.

Wojtyła Karol (ur. 1920) – od 1978 papież Jan Paweł II. Z powodów dramaturgicznych autentyczny przypadek potrącenia go przez samochód przeniesiony został z początku 1944 na czerwiec tegoż roku.

Woroszyłow Kliment (1881-1969) – marszałek ZSSR, odpowiedzialny za wielką czystkę w armii i klęskę w wojnie fińskiej. 1926-1952 członek politbiura, 1953-1960 przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej.

Woszczerowicz Jacek (1904-1970) – wybitny aktor teatralny.

Wozniesiński Nikołaj (1897-1950) – ekonomista sowiecki, przewodniczący Gosplanu (komisji planowania), do 1948 członek politbiura, zausznik Żdanowa, skazany na śmierć w tzw. procesie leningradzkim, stracony.

Wyszynski Andriej (1883-1954) – mienszewik, później czołowa postać stalinowskiego terroru, 1933-1939 prokurator generalny w trakcie wielkiej czystki, 1949-1953 minister spraw zagranicznych i szef delegacji ZSSR przy ONZ.

Wyszyński Stefan (1901-1981) – Prymas Tysiąclecia, 1946 biskup lubelski, 1948 arcybiskup gnieźnieński, 1953 kardynał, 1953-1956 więziony, niekwestionowany przywódca duchowy narodu polskiego.

Zagórski Włodzimierz (1882-1927?) – generał, dowódca lotnictwa, w trakcie zamachu majowego aresztowany, zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Zaleski August (1883-1972) – dyplomata, historyk, 1939-1941 minister spraw zagranicznych, 1947-1972 prezydent RP na wychodźstwie.

Zaruba Jerzy (1891-1971) – grafik, karykaturzysta, w latach 50 as „satyry antyimperialistycznej”.

Żdanow Andriej (1896-1948) – działacz sowiecki, odpowiedzialny za kulturę i ideologię, prześladowca artystów. Kierował wielką czystką w Leningradzie, od 1939 w politbiurze, zmarł w niejasnych okolicznościach.

Żukow Georgij (1896-1974) – marszałek sowiecki, bohater spod Stalingradu, dowódca frontów, w 1945 przyjął kapitulację Niemiec. Odegrał znaczną rolę w obaleniu Berii. 1955-1957 minister obrony, w 1958 usunięty wraz z „grupą antypartyjną”.

Żymierski „Rola” Michał (Łyżwiński; 1890-1987) – oficer legionów i WP wydalony i skazany w 1927 za nadużycia finansowe, związany z wywiadem sowieckim, organizator AL. W 1944 szef resortu obrony w „rządzie lubelskim”, od 1945 marszałek, 1953-1955 więziony.